

Andrzej Sejan

ZABÓJCA BOGÓW



Andrzej Sejan

ZABÓJCA BOGÓW

Projekt okładki
Andrzej Sejan

Copyright © 2012 by Andrzej Sejan

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie i kopiowanie całości lub części publikacji
zabronione bez pisemnej zgody autora.

ISBN 978-83-272-3620-3

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Stwór wyraźnie tracił siły, lecz walczył nadal. Jego przeciwnik niemal go za to podziwiał. Co, oczywiście, nie oznaczało, że byłby gotów darować mu życie.

W pewnej chwili, kiedy odstąpili od siebie, by nabrać oddechu przed ostatecznym starciem, stwór przemówił.

- Powiadają – rzekł melodyjnym głosem, który zdumiewająco kontrastował z jego groteskowym wyglądem - że pewien człowiek, obdarzony umiejętnościami, jakich nie powinien posiadać, przemierza świat, zabijając bogów.

- Tak powiadają – zgodził się jego przeciwnik. On także miał mocny, dźwięczny głos, który jednakże harmonizował z jego wysoką i szczupłą postacią.

- Mówią też, że ów człowiek dopóty będzie przemierzał świat, dopóki pozostanie choćby jeden bóg.

- Tak mówią.

- Dlaczego chcesz nas wszystkich zabić, śmiertelniku?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Mógłbym ci odpowiedzieć, że jako śmiertelnik nie mogę znieść myśli, iż ktoś inny będzie żył wiecznie. Mógłbym też stwierdzić, że na to zasługujecie. Ludzie was już nie potrzebują, lecz wy nie macie zamiaru odejść. Jesteście pasożytami żerującymi na ludzkiej zabobonności i strachu. Ale nie przybyłem tu, by wieść teologiczne dysputy z kimś, kto ma rogi, kopyta i cuchnie jak kozioł.

- Przybyłeś tylko po to, by mnie zabić?

- Właśnie.

- Żadnych wątpliwości? Żadnych rozterek moralnych ani religijnych?

Mężczyzna uniósł rapier o długiej głowni i zniszczonej, pozbawionej jakichkolwiek zdobień oprawie. Nie była to wykwintna broń pojedynkowa o lekkim, ażurowym ostrzu, lecz ciężki, sieczny rapier kawaleryjski. Na chroniącym dłoń koszu widniały niezliczone ślady po cięciach, które ześlizgnęły się z klingi. Niektóre spośród nich omal nie osiągnęły celu.

Człowiek uśmiechnął się pogardliwie, lecz bez radości.

- Masz pecha, satyrze. Jestem ateistą.

Stwór tupnął gniewnie nogą zakończoną kopytem, aż zadrżała ziemia. Pobliskie drzewa zakołysały się, sypiąc wokoło liśćmi. Ten pokaz nadludzkiej siły nie zrobił na mężczyźnie żadnego wrażenia. Stał spokojnie, a ostrze jego rapiera kreśliło w powietrzu niewidzialne linie.

Leśny bożek zaatakował pierwszy. Jak na bestię o wzroście siedmiu stóp poruszał się zdumiewająco szybko. Kopyto, wielkie niczym u perszerona, wystrzeliło w stronę mężczyzny. Ten jednak nie dał się zaskoczyć. Z gracją

wytrawnego szermierza zszedł z linii ciosu i pchnął ku górze, chcąc wykonać szybkie cięcie na twarz. Liczył na to, że przeciwnik utraci równowagę, kiedy kopnięcie trafi w próżnię, i pochyli się, samemu niejako nadstawiając policzek.

Nie docenił kozłonogiego, który zachwiał się tylko na moment, lecz zdołał wykorzystać impet, by obrócić się tyłem i wierzgnąć drugą nogą. W tej pozycji ruch ten był bardziej naturalny, a więc i szybszy; co zrozumiałe u istoty o takiej budowie kończyn.

Reakcja mężczyzny była natychmiastowa, czyli mocno spóźniona. Krawędź kopyta otarła się zaledwie o jego ramię, ale to wystarczyło, by pozbawić je czucia. Rapier potoczył się po ziemi, a stwór zaryczał triumfalnie.

- Głupcze! Nie można zabić nieśmiertelnego!

Człowiek cofnął się i podniósł rapier lewą ręką. Nie potrafił nią dobrze walczyć; nie chciał jednak stracić broni.

- Wkrótce się przekonamy – rzekł wpatrując się uważnie w płonące wściekłością oczy satyra. - Postawisz na to swoje życie?

- Postawię twoje, człowieczku!

- Nigdy nie stawiaj – mężczyzna nadal się cofał, bacząc, by nie wyjść poza ubity trakt i nie wkroczyć w wysokie, zdradliwe trawy - czegoś, co nie należy do ciebie.

- Już jesteś mój – stwór napawał się rejteradą przeciwnika. – Śmierć wskazała cię palcem i teraz czeka, by cię odprowadzić do piekła.

Mężczyzna zatrzymał się na skraju drogi. Każdy krok dalej niósł ryzyko potknięcia się o jakąś nierówność, bądź ugrzęźnięcia w masie splątanego poszycia.

- Powiedz jej – ostrze rapiera zakreśliło krótki łuk, nie tak płynnie jednak, jak wówczas, gdy kierowała nim prawa dłoń - że to nieładnie pokazywać kogoś palcem.

Oblicze kozłonogiego – groteskową parodię ludzkiej twarzy – zniekształciła furia. Runął na człowieka rozkładając szeroko potężne ramiona. Węzły mięśni grały pod szarobrązową skórą, porośniętą długimi, czarnymi włosami, poniżej pępka przechodzącymi stopniowo w gęstą sierść. Stwór niewątpliwie był samcem, czego trudno było nie zauważyć.

Przez głowę mężczyzny przemknęły dwie myśli. Pierwsza – jaki sens ma płęć, skoro nikt nigdy nie słyszał, by istniały satyry rodzaju żeńskiego? I druga, że gdyby zdołał trafić w te groteskowo wyolbrzymione atrybuty męskości, walka byłaby zakończona.

Dziś jednak nie był dzień spełniania się pobożnych życzeń. Jego przeciwnika chronił zwierzęcy instynkt i to nie gorzej od pancerza. Odruchowo przyjął pozycję utrudniającą pchnięcie w pachwinę.

Mężczyzna wiedział, że jeśli dopuści do zwania, nie sprosta straszliwej sile potwora. Tymczasem gdyby chciał ugodzić tamtego w podbrzusze, musiałby podjąć ryzyko znalezienia się w zasięgu jego ramion. Pytanie, co nastąpiłoby najpierw: czy zdołałby lewą ręką zadać wystarczająco szybki i

precyzyjny cios, czy też satyr skreśliłby mu kark? Już nie po raz pierwszy jego życie zależało od odpowiedzi na pytanie czysto retoryczne.

- Wszystko w rękach bogów – mruknął i zachichotał.

Jego śmiech zaskoczył koźloniego. Satyr przywykł przerażać ludzi samym swoim wyglądem. Co więcej, znajdowali się w jego domenie. W walce o byt intruz zawsze stoi na gorszej pozycji niż gospodarz. Bogowie nie stanowili wyjątku. Niechby ktoś tylko spróbował odebrać Mardukowi jego Babilon!

Leśny bożek władał zaledwie kilkoma hektarami rachitycznego zagajnika. Lecz to nie miało znaczenia. W swoim królestwie był silniejszy, niż jakkolwiek nędzny człeczyna.

I oto jedna z tych marnych istot stała przed nim i śmiała się. Cóż za nihilizm i brak szacunku dla boskości! Zatem i tu dotarła już zaraza racjonalizmu.

Z gardła stwora wydobył się ryk, od którego mąciły się zmysły innych stworzeń, a ludzie często popadali w obłąd. Las odpowiedział echem, ucinającym śpiew ptaków i gaszącym wszystkie dźwięki. Ciężka cisza nakryła okolicę. Na miękkich nogach podkradło się przerażenie.

Mężczyzna tylko skrzywił się ironicznie. Efekty akustyczne jeszcze nikomu nie wyrządziły krzywdy. Krowa, która dużo ryczy...

Z wprawą nabytą w dziesiątkach pojedynków przejrzał zamiary koźloniego, zanim ten zdołał je sobie uświadomić. Uchyliwszy się przed wymachem długich ramion, ciął w lewą nogę stwora, tuż nad kopytem, a następnie jednym płynnym ruchem skierował ostrze ku pachwinie przeciwnika.

Osiągnął tylko połowiczny sukces. Satyr zachwiał się, lecz rana była zbyt mała, aby ból skłonił go do popełnienia błędu. Zatrzymał się w porę i wielką dłoń odtrącił głównię rapiera, jakby to była trzcinka. Jeśli nawet się przy tym skaleczył, nie osłabiło to jego furii. Druga dłoń pomknęła ku gardłu człowieka i choć nie dosięgła celu, zmusiła tamtego do cofnięcia się między trawy.

Oczy stwora rozbłysły radością. To nie był teren dobry do szermierki. Tutaj trudno będzie o wystudiowane finty i zasłony. Nieludzka siła przeciwko ludzkiej słabości – tak, takie wyrównanie szans bardzo mu odpowiadało.

Mężczyzna spoważniał, lecz nie porzucił pozornej nonszalancji. To też była broń; czasami skuteczniejsza od rapiera. Posługiwał się nią zresztą od tak dawna, że sam nie wiedział, czy to jeszcze poza, czy już głupota.

Pod stopami czuł miękkość; być może tylko trawy, być może także gleby. Okolica była dość podmokła, pocięta starymi rowami melioracyjnymi, które, od kiedy wieki temu osiedlił się tu koźlonogi, niemal całkowicie zarosły, zamieniając się w grząskie pułapki na nieostrożnych.

Stwór natarł ze zdwojoną energią, chcąc zepchnąć człowieka dalej w bezdroża. Zapadał się przy tym aż po kostki pod własnym ciężarem, brnąc mimo to naprzód, w ślad za cofającym się krok po kroku mężczyzną. Ten jednak nie tracił zimnej krwi. Walczył już z takimi, którzy zyskując przewagę, stawali się

nieostrożni. Czuł, że tak będzie również w tym wypadku. Lecz najpierw sam musiał zachować ostrożność.

Czas pracował na korzyść stwora. Mężczyzna nie wątpił, że prędzej czy później potknie się i narazi na atak. Dlatego dostrzegłszy szansę na zadanie pchnięcia, nie wahał się ani chwili. Stanął w miejscu, dopuszczając satyra na odległość dwóch kroków, i uderzył z klasycznego wypadu, mierząc pod lewą pierś kozłonogiego.

Miał pecha. Ostrze przebiło skórę, lecz ześlizgnęło się po masywnym żebrze, zostawiając na nagim torsie długą, ale płytką krwawą pręgę.

Powierzchnowa rana przeraziła i zarazem rozwścieczyła stwora. Gwałtownym wymachem ramion zagarnął człowieka i cisnął nim dobrych kilka kroków. Mężczyzna upadł ciężko; jak na złość, w tym miejscu ziemia była sucha i twarda. Nie tracił czasu na zastanawianie się, czy coś mu się stało. Chciał się podnieść, zanim kozłonogi rozdepcze go na miazgę. Grunt trząsał się już od galopu stwora.

Nie zdążył. Jeszcze dźwigał się, gdy spadło nań uderzenie. Kopniak w brzuch, na szczęście osłabiony nieco, bo zadany w niewygodnej dla satyra pozycji, porachował mu wnętrzności i zmusił do zwrócenia porannego posiłku. Rapier wysunął się ze zdrtwiałych palców.

Stwór zarechotał z diabelską uciechą.

- Nędzny robaku! – zawył, prostując się na całą wysokość. – Śmiałeś podnieść rękę na boga! Zraniłeś mnie! Zabiję cię za to i zjem twoje serce!

Mężczyzna obrócił się na wznak i bez strachu popatrzył na unoszące się do decydującego ciosu kopyto.

- Nic z tego, poczwaro – wykrztusił, przewyciężając kwaśny smak w ustach. - Jesteś przecież roślinożercą.

Czuł, że nim przebrzmia jego słowa, satyr uderzy. O to mu właśnie chodziło. Prowokując tamtego, sam wybrał moment. Stwór stracił inicjatywę i nawet o tym nie wiedział. Widać to prawda, że roślinożercy są mniej inteligentni od drapieżników. A najgroźniejszym z drapieżników jest człowiek.

Koźlonogi włożył w kopnięcie całą energię zmagazynowaną w pięćsetfuntowym ciele. Gdy uderzył, grzmot przetoczył się nad okolicą. Niebo okryło się cieniem, ziemia jęknęła, w lesie rozległ się trzask padających drzew. W miejscu, gdzie trafiło kopyto, powstał krater o głębokości dwóch łokci. Lecz człowieka dawno już tam nie było.

Ułamki sekund rozciągnęły się w minuty, kiedy odtaczał się z linii ciosu, chwyciwszy przedtem rapier, a następnie podrywał się na nogi i zadawał straszliwe cięcie, zanim jeszcze mózg stwora zdołał przetworzyć informację, że kopyto chybiło.

Ryk bólu był tak ludzki, że powstrzymał mężczyznę od następnego pchnięcia. Nie było już potrzebne. Koźlonogi padł jak libański cedr pod toporem drwala.

Człowiek dopiero teraz zauważył, że trzyma rapier prawą dłonią. A więc w skrajnym stresie uległa cudownemu uleczeniu. Ludzkie ciało kryje w sobie wielkie możliwości. Nic dziwnego, że czasami można zobaczyć w cyrku fakirow łykających gwoździe i chodzących po rozżarzonych węglach.

Satyr żył; był przecież nieśmiertelny. Nawet toledańska stal to za mało, by zniszczyć jego fizyczną konstrukcję.

- Jednak dureń z ciebie, człowieku – oczy koźlonogiego zasły mgłą bólu i szoku. – Nie można zabić boga. Nigdy nie wierzyłem w te wszystkie opowieści o tobie. Teraz wiem, że to tylko bajki. Tym żelazem mogłeś zabijać takich, jak ty, śmiertelników. Zraniłeś mnie, to prawda. Ale to tylko rana, która się zagoi.

Mężczyzna pochylił się nad nim, na wszelki wypadek kierując ostrze w gardło stwora.

- Choć jesteś głupi nawet jak na boga, tym razem masz rację – rzekł. – Oczywiście, że żelazo nie wystarczy. A zatem muszę mieć coś jeszcze, prawda?

Łagodnie położył wolną dłoń na czole satyra. Koźlonogi zeszytywniał i próbował szarpnąć głową. Z jego oczu zniknęła mgła, a pojawił się w nich błysk zrozumienia. I śmiertelnego strachu.

- Kim jesteś? – słowa stały się niezrozumiałe, jakby artykułowało je coraz mniej ludzkie gardło. - Żaden człowiek nie może...

- Wracaj tam, skąd przybyłeś, satyrze – szepnął mężczyzna. – Przykro mi, ale tu cię nie chcą.

Nie cofnął dłoni, kiedy rozpoczęła się przerażająca przemiana. Ciałem satyra wstrząsnęły konwulsje, których gwałtowność przywodziła na myśl nieskoordynowane ruchy marionetki w rękach początkującego lalkarza. Stwór wył rozdzierająco. Ale śmierci się nie spieszyło.

Koźlonogi wciąż żył, kiedy jego ciało zaczęło zatracać swój kształt. Coś działo się pod skórą; jakiś ruch, jakby mrowiły się tam tysiące owadów. Rysy traciły ostrość, w końcu twarz spłynęła niczym maska z wosku nad płomieniem świecy. To samo stało się z resztą ciała.

Satyr nagle zamilkł i człowiek zobaczył jak na ziemię sypią się białe okruchy. To były szczątki zębów, łamiących się pod prasą spazmatycznie zaciśniętych szczęk.

Mężczyzna wreszcie oderwał dłoń od tego, co kiedyś było czołem leśnego bożka. Jednak proces rozpadu tkanek trwał nadal. Trawa wokół stwora zabarwiła się czerwienią. Z pewnością w jego ciele trudno byłoby znaleźć choć jedno całe naczynie krwionośne. Tak musiało być też ze wszystkimi narządami. Umierający bóg cierpiał katusze.

Ale być może musiał. Może takie miało być odkupienie za boskie grzechy, jakiegokolwiek były?

Człowiek patrzył jak ziemia wchłania wszystko, co pozostało z ciała stwora, jak znika krew, a trawa prostuje się i zazielenia. Nawet głownia rapiera

lśniła nieskalaną czystością, tak jak wówczas, kiedy opuszczała warsztat w Iberii.

Nieśmiertelny, rzecz jasna, nie mógł umrzeć. Stało się więc tak, jak gdyby nigdy nie istniał.

2

Nazywał się Krest i był zabójcą bogów.

Choć mało kto pamiętał jego imię, mówiono o nim w wielu miejscach. W niektórych śpiewano o nim pieśni. W innych – nie mniej licznych – przeklinano go.

I jedno, i drugie było mu obojętne.

Czasem zastanawiał się, po kim odziedziczył swoje zdolności. Bo przecież nie po ojcu, spokojnym, łagodnym człowieku, doskonałym mechaniku i cieśli. O dalszych przodkach nic mu nie było wiadomo; zapewne więc i oni nie grzeszyli wojowniczością. To prawda, że dorastał w świecie pełnym przemocy, ale sam fakt życia nad brzegiem morza nie czyni nikogo marynarzem.

O takich jak on mówią, że urodzili się z mieczem w dłoni. Czas względnego spokoju skłonił go do poszukiwania wrażeń poza rodzimą prowincją. Wówczas odkrył drugi ze swoich darów i zarazem swoje przeznaczenie, czy raczej przekleństwo. Ten dar przywiódł go tutaj – na próg śmierci z rąk cuchnącego jak kozioł leśnego bożka.

A wszystko przez to, że odkrył, iż potrafi zabijać bogów.

W sławiących go pieśniach nazywano to objawieniem w drodze do Damaszku, ale nie było w tym nic mistycznego; jedynie rozpaczliwa walka o życie. Przerażający potwór, na poły lew, na poły kobieta, zaatakował go, kiedy odpoczywał w cieniu skalnego nawisu nie opodal traktu. Maszkara nie pofatygowała się nawet, by przed napaścią zadać zagadkę. Krest nie odczuwał więc skrupułów, odsyłając ją w nicłość; zresztą, nigdy nie lubił feministek.

Walka była jednak długa i coraz wyraźniej ją przegrywał. Rapier wprawdzie wielokrotnie unurzał się we krwi kobiety-lwa, lecz bez widocznego skutku. Dopiero gdy Krest, pochwycony przez mocarne, zgoła nie kobiece ramiona i przyciśnięty do wspaniałych, jak najbardziej kobiecych piersi (to przeżycie zasługiwało zresztą na osobną opowieść) przypadkowo dotknął jej głowy, zaszło coś zdumiewającego i straszliwego.

Zwierzokształtna bogini zadrżała spazmatycznie i wypuściła go z objęć. Wykorzystał okazję, by ugodzić ją ostrzem prosto w serce, a następnie, gdy wciąż żyła, wiedziony impulsem przełamał obawę i ponownie położył jej dłoń na czole.

Później długo siedział w miejscu, gdzie odbyła się walka, wstrząśnięty tym, co uczynił. Nie miał pojęcia, czym jest jego dar i skąd się wziął, ale wiedział, że już nic nie będzie takie samo, jak przedtem. Ten, kto mu to zrobił, z pewnością nie dopuścił możliwości złożenia reklamacji.

Tak stał się Zabójcą Bogów.

W pieśniach, jak to w pieśniach, pomija się milczeniem wszystko, co nie pasuje do wizerunku bohatera. Dlatego nie usłyszy się w nich, że minęło wiele miesięcy, nim ponownie odważył się użyć swojego daru. To prawda, że z

każdym kolejnym razem przychodziło mu to łatwiej. Nie opuściła go już jednak nieufność wobec samego siebie. Tkwiło w nim coś, czego nie rozumiał. Toteż nigdy nie naigrawał się z zaskoczenia swoich ofiar.

Legowisko koźlonogiego przypominało wielki, uklepany stos przywleczonych na jedno miejsce gałęzi i cuchnęło niczym przyzmy kompostu za wiejskimi stodołami. Z całą pewnością nie pachniało nektarem i ambrozją.

Kilkanaście kroków przed barłogiem, na niewysokim, z grubsza tylko wyciosanym z kamienia postumencie leżały resztki tego, co okoliczna ludność, gnana bardziej strachem niż uwielbieniem, składała leśnemu bożkowi w ofierze. Pośród skorup i łupin owoców Krest dostrzegł liście kapusty, kolby kukurydzy (płody dziwnej, coraz popularniejszej rośliny pochodzącej z Nowej Fenicji za Zachodnim Oceanem), kosz winogron i czarki z orzechami. W sumie, dieta stanowczo zbyt uboga w białko. Człowiek by na niej nie przeżył. Krest skrzywił się ironicznie. Tak marnie mógł się odżywiać tylko nieśmiertelny.

Trudno było ocenić, czy ołtarz postawiono specjalnie dla koźlonogiego, czy też znajdował się tu wcześniej i służył jakiemuś innemu, zapomnianemu już boskiemu pożeraczowi kapusty. Satyr mógł wybrać to miejsce na swoją domenę ze względu na istniejącą tu tradycję kultu. Jeden darmożjad zastąpił drugiego.

Krest schylił się po jabłko, leżące przy ołtarzu. Musiało spaść, kiedy jakiś przerażony wieśniak, zapewne wyznaczony przez wspólnotę za pomocą losowania lub w ramach kary, rzucił wota na kamień i uciekł, gdzie pieprz rośnie.

Jabłko było dojrzałe i dorodne – dowód, że ziemie te nie bez powodu słynęły z urodzajności. Krest wytarł je niedbale o poję kaftana. Ostatecznie, teraz to wszystko, prawem zwycięzcy, należało do niego. Choć niewątpliwie byłoby przesadą, gdyby zaczął domagać się ofiar.

Jeszcze raz obrzucił spojrzeniem liche dary dla leśnego bożka. Nie świadczyły o zbyt wielkim zapale religijnym miejscowych.

- A nie mówiłem – mruknął, ciskając ogryzek na legowisko – że ludzie już was nie chcą?

Kiedy otworzył oczy Mleczna Droga wciąż spływała po nieboskłonie migotliwym strumieniem, ale tym, co go obudziło, z pewnością nie była muzyka gwiazdnych sfer. Ujął rękojeść rapiera. Ciche rżenie potwierdziło, że miał rację. Jego koń wyczuł coś niepokojącego.

A przecież nie powinien. Krest dlatego wybrał na nocleg miejsce nie opodal legowiska koźlonogiego, że gwarantowało to całkowity spokój. Żadne

zwierzę nie odważyłoby się tu zbliżyć, nie mówiąc już o mieszkających w pobliżu ludziach. To musiał być ktoś nietutejszy.

W ciemnościach rozległo się oburzone parsknięcie i głuchy odgłos uderzenia, a po nim jęk bólu i seria stłumionych przekleństw. Krest uśmiechnął się. Trzeba być nie lada głupcem, by próbować ukraść Wędrowca. Tak, to na pewno był człowiek.

Nie musiał się już spieszyć. Podniósłszy się, dorzucił dREW do ogniska i gdy płomień wzbił się wyżej poszedł zobaczyć, co się stało.

Wędrowiec przywitał go radosnym potrząśnięciem łba. O drzewo, do którego był przywiązany, siedział oparty jakiś mężczyzna, trzymając się za podbrzusze. Był krępy i – sądząc z wyglądu – zapewne silny. Miał na sobie skórzany półpancerz, u boku pałasz, a przez plecy przewiesił muszkiet; Krest dostrzegł wystającą mu znad ramienia lufę tej nowomodnej, ciężkiej i mało skutecznej broni.

Intruz łypnął ponuro spod zmierzwionej, kasztanowej czupryny. Nie był młodzieniaszkiem, ale nie przekroczył chyba jeszcze trzydziestki.

- Dlaczego chciałeś mnie okraść? – zainteresował się Krest, głaszcząc łagodnie konia po siwej grzywie.

- Bo masz coś, czego ja nie mam – padła harda odpowiedź. – To chyba oczywiste?

Krest popatrzył na niego z zainteresowaniem. Nieczęsto spotyka się mężczyzn tak głupich, żeby zachowywali się arogancko, kiedy trzymają się za jadra.

- Znajdź sobie jakąś pracę.

- Tak, jasne. Czy kradłbym, gdybym miał szansę ciężko harować i zarabiać grosze, za które nie mógłbym nawet kupić sobie pary butów?

- Wyczuwam w twoim głosie sarkazm.

- Sarkazm? O nie, wielmożny panie. To nie sarkazm. Jestem tylko głodny, zmęczony i w dodatku koń kopnął mnie w jaja. Poza tym wszystko w porządku.

Krestowi zaczęła się podobać ta rozmowa.

- Masz jakieś imię?

- Mursilis... powiedzmy.

- Mursilis Powiedzmy? Ciekawe imię. Boisz się, że doniosę na policję?

- Policja nic do mnie nie ma. Po prostu nie zaprzyjaźniam się z ludźmi, których okradam.

- Jesteś Nesyjczykiem?

Mężczyzna przeczesał palcami brązowe kędziory.

- Nie da się ukryć. Z samego Hattusas. Ale dawno tam nie byłem. A ty, kim jesteś? Nie, żebym był ciekawski, ale skoro już tak sobie gawędzimy... pod ostrzem tego dziwnego miecza...

- Na imię mi Krest. A to jest rapier.

- Rapier? Słyszałem już tę nazwę. Rzadka broń w tych stronach.

Intruz spojrział na kamienny ołtarz i resztki ofiar, wydobyte z ciemności przez blask ogniska. W jego oczach pojawiło się zrozumienie.

- Czy to jest ostrze, które pozbawiło życia tylu bogów? – zapytał.

Krest zdwoił czujność. Mursilis nie był tak głupi, na jakiego wyglądał. A inteligencja bywa niebezpieczna.

- I ludzi – uśmiechnął się znacząco. – Tak, to ono.

- Jak je nazywasz?

- Nie nazywam go. Tylko mieczom nadaje się imiona. To po prostu dobra stal.

- Bardowie, śpiewający o twoich przygodach, nie będą zadowoleni.

- Wymyślą jakieś imię. Tak jak i większość moich przygód.

Mursilis wstał postępując. Był o głowę niższy od Kresta, lecz znacznie mocniej zbudowany.

- Możesz schować ten rapier bez imienia – powiedział. - Nie odważę się walczyć z Zabójcą Bogów.

- Walczyć? – powtórzył Krest. - Zapewne nie. Ale jesteś złodziejem. Co cię powstrzyma od strzelenia mi w plecy?

W spojrzeniu Mursilisa pojawiły się iskierki rozbawienia.

- Źle mnie oceniasz. Co prawda, zdarzyło mi się raz czy dwa niechcący nacisnąć spust, kiedy jakiś człowiek stał odwrócony do mnie tyłem... Ale w tym przypadku to się nie przytrafi.

- Dlaczego nie?

- Bo nie sądzę, żebyś był człowiekiem. Nie mam zamiaru strzelać do demona.

Później, kiedy siedzieli przy ognisku, a Mursilis, po dokończeniu kolacji Kresta, zabrał się do owoców ściągniętych z ołtarza koźlonogiego, Krest powrócił myślą do tych słów. Słyszał je już wcześniej, najczęściej wykrzykiwane w gniewie. Tak żegnano go w wielu miejscach, które opuszczał po oczyszczeniu ich ze złośliwych bożków i pazernych bogów. Gdzie indziej słyszał takie słowa na powitanie.

Ludzie rzadko odczuwają wdzięczność. A jeszcze rzadziej powściągają nienawiść wobec kogoś różniącego się od nich.

Kim był? Człowiekiem, oczywiście. Mógł podać imiona swoich rodziców. W archiwum świątynnym spoczywała metryka jego urodzenia. Pamiętał, jak ojciec uczył go naprawiać koła wodne w okolicznych młynach, fantazjując jednocześnie, że kiedyś siłą napędową, zamiast płynącej wody, będzie woda zamieniona w parę. Skonstruował nawet zmyślną zabawkę, w kształcie zawieszanej na sznurku metalowej kuli z kilkoma cienkimi dyszami. Gdy podgrzewał kulę wypełnioną wodą, z dysz wylatywała para, powodując coraz szybsze wirowanie całego urządzenia.

Wszyscy chcieli to zobaczyć. Ale nikt nie wierzył, by znalazło jakiegokolwiek praktyczne zastosowanie.

Biedny staruszek do końca usiłował zainteresować swoim pomysłem zarówno kręgi naukowe, jak i gospodarcze Wielkiej Chaldei. Niestety, powolny upadek, w jakim pogrążała się metropolia już od kilku dziesięcioleci, nie sprzyjał takim inicjatywom.

Krest miał więc swoją przeszłość, zatem musiał być człowiekiem. Czyż demony niewąją życiorysy?

Mursilis, zaspokoiwszy głód, ułożył się wygodnie po drugiej stronie ogniska. Muszkiet oparł o pobliski głąz, ale Krest nie odczuwał niepokoju. Z tej broni można było wystrzelić dopiero po zapaleniu lontu. Cała procedura trwała tak długo, że w większym niebezpieczeństwie znajdował się strzelec niż jego cel.

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie? – Mursilis sięgnął do ogniska po płonący patyk i Krest zeszytniał, ale tamten tylko przypalił sobie fajkę. Nałóg ten rozprzestrzeniał się coraz szerzej, po tym, jak przedsiębiorczy Egipcjanie zaczęli uprawiać ziele tytoniu przywiezione przez Hannona, odkrywcę Nowej Fenicji.

- Nie.

- Więc zapytam. Czy naprawdę zabiłeś jakiegoś boga?

- Sam wspominałeś o bardach śpiewających o mnie pieśni.

- Och, bardowie... Zaśpiewają cokolwiek za miskę soczewicy.

- Ale przynajmniej nie kradną.

- Ależ kradną, kradną. Przecież nie śpiewają o sobie. Żyją kosztem tych, o których śpiewają. Czy to uczciwe?

Krest pokręcił głową.

- Złodziej bawiący się w krytyka sztuki... O bogowie!

Mursilis parsknął śmiechem, lecz niezupełnie szczerym. Krest zauważył, że jego rozmówca rozejrzał się ukradkiem. Zapewne i jemu wpojono w dzieciństwie przykazanie, by nie wzywać Ich imienia nadaremno...

- Odpowiedź na twoje wątpliwości – rzekł – znajduje się wokół ciebie. Nie sądzisz chyba, że pan tego ołtarza odstąpił mi swoje legowisko z przyjaźni dla rodzaju ludzkiego?

Mursilis rzucił w ciemność jeszcze jedno ukradkowe spojrzenie.

- Kim był?

- Czy to ważne? Nigdy nie istniał.

- Nie rozumiem.

- Wiem. Szczerze mówiąc, ja też nie.

Mursilis milczał przez chwilę, otoczony chmurą wonnego dymu.

- Dlaczego to robisz? – odezwał się. – Rozumiem, że niektórzy z nich są dość nieprzyjemni i dobrze jest umieć się przed nimi bronić. Ale nawet jak na kogoś, kto dużo wędruje, ty spotykasz ich zbyt często. Mam wrażenie, że to nie jest przypadek.

- Rzeczywiście, nie jest.

- Ale dlaczego? Co takiego ci zrobili, że tropisz ich i zabijasz?

Krest westchnął.

- Nie masz pojęcia, ile razy słyszałem to pytanie. Męczy mnie już szukanie odpowiedzi, która usatysfakcjonowałaby pytającego. Odpowiedź, która satysfakcjonuje mnie, jest taka, że to dlatego, iż oni istnieją, a ja potrafię ich zabić. Przyjmij ją albo odrzuć; jak chcesz.

Mursilis pokiwał głową.

- Zatem, jeśli zapytam, jak to robisz albo dokąd teraz wiedzie cię ta osobliwa pielgrzymka, to także usłyszę coś równie nieokreślonego, jak program wyborczy kandydata do niższej izby winlandzkiego Kongresu?

- Prawdopodobnie.

- A czy c o k o l w i e k o tym, co robisz, jesteś w stanie mi powiedzieć, skoro już...

- Skoro już tak sobie gawędzimy? Podobno nie zaprzyjaźniasz się z osobami, które okradasz.

- Ciebie nie okradłem, musisz to przyznać.

Krest roześmiał się.

- Istotnie. Fakt, że przeszkodził ci w tym Wędrowiec, to szczegół bez znaczenia. Lecz dlaczego tylko ja mam mówić o sobie? Teraz twoja kolej.

Mursilis opróżnił fajkę stukając cybuchem o obcas buta.

- Wolałbym opowiedzieć o sobie jutro. Powinniśmy się przespać, jeśli oczywiście pozwolisz mi zostać przy swoim ognisku.

- Z całą pewnością zasłużyłeś na ten przejaw zaufania – zakpił Krest. – Ale dobrze. Zostań.

Podszedł do ognia. Wodą z bukłaka stłumił płomień, a następnie zgarnął na to miejsce ziemię i udeptał. Jedynie księżyc, stojący w pierwszej kwadrze, rozjaśniał teraz ciemność. Krestowi to wystarczało.

- Dlaczego to zrobiłeś? – zdziwił się Mursilis.

- Powiedzmy, że z troski o bezpieczeństwo przeciwpożarowe w lesie. A tak nawiasem mówiąc - niech ci się nie wydaje, że zdołasz skrzesać iskrę bez obudzenia mnie.

- Iskrę? Nie skrzywdziłbym człowieka, który zaoferował mi nocleg. Zresztą, muszkiet jest nie nabity.

- Szczerze w to wątpię.

- W to pierwsze, czy w to drugie?

- Dobrej nocy, Mursilisie.

Złudzenie, że potrafi spać czujnie, prysło, kiedy się obudził. Mursilisa nie było, a wraz z nim zniknęły zapasy żywności. Tamten nie był, oczywiście, tak głupi, by ponownie próbować ukraść konia.

Krest popatrzył na ołtarz bożka, który odszedł w nicość, i skrzywił się. Dziś śniadanie będzie bardzo jaskie.

A to kawał łobuza z tego Nesyjczyka. Uśmiechnął się. Niewielu znalazłoby się ludzi na tyle odważnych, by okraść demona.

3

W ciemności – o ile była to ciemność, a nie miejsce, gdzie nie ma przestrzeni, materii ani promieniowania – rozlegały się ludzkie głosy – o ile były ludzkie.

- Czy ktoś może mi, u diabła, wyjaśnić, dlaczego Wszechwiedzący dowiaduje się o wszystkim ostatni? – władczy głos należał do mężczyzny w sile wieku, pewnego swej mocy i autorytetu.

- Często wyjeżdżasz, bracie – drugi głos, także męski, miał w sobie nie mniej siły, lecz dało się pod nią wyczuć porywczosć i brutalność. – Sprawa nie była aż tak ważna...

- Nie tak ważna? Siedem unicestwionych hybrów i to przez człowieka? Czy nikt tu nie myśli, kiedy mnie nie ma? Świat się skończy, a wy nawet tego nie zauważycie!

- Każda twoja nieobecność jest dla świata niepowetowaną stratą, bracie.

Przez kilka uderzeń serca – gdyby w pobliżu znajdowało się jakieś bijące serce – panowała cisza. A potem pierwszy głos przemówił bardzo łagodnie.

- Przestań pieprzyć, braciszku. Rzygać mi się chce, jak słyszę te dyrdymały. Od was, moich najbliższych współpracowników, oczekuję inicjatywy i skuteczności.

- To tylko hybry...

- Ale praktycznie nieśmiertelne! Jakim cudem – tfu!, przepraszam, cuda nie są domeną ludzi – więc jakim sposobem udało mu się je zabić? Czy ktoś się tym zainteresował? Siedem hybrów! Niedługo zacznie brakować nam kadr do utrzymania porządku w terenie.

- Wyhodujemy nowe.

- Pewnie, nic prostszego! Nie robiliśmy tego od tysięcy lat. Nie wiemy nawet, czy da się szybko uruchomić starą linię produkcyjną. I to po co? Żeby wysyłać je w charakterze mięsa armatniego przeciwko jednemu człowiekowi?

- A może... – nowy głos należał do kobiety; z pewnością pięknej. Stwórca popełniłby świętokradztwo, gdyby obdarzył takim głosem brzydulę. – Może to ktoś z rodziny?

Dopiero po pauzie, którą ludzie w swej ignorancji nazywają chwilą, odezwał się drugi z mężczyzn.

- Bzdura! Nikt z nich nie ośmieliłby się wystąpić przeciwko naszej trójce.

- Czy ja wiem? – pierwszy głos zdradzał niepewność i zaintrygowanie. - Otwarcie zapewne nie. Ale wykorzystać człowieka do zasiania niepokoju... Trzeba by się zainteresować, czym zajmują się w wolnym czasie nasi bracia i siostry.

- Tym, co zwykle – prychnął pogardliwie drugi. - Drobnymi intrygami i rozpustą.

- Czy tobie wszystko, co nie dotyczy musztry, musi kojarzyć się z rozpustą? – zakpiła kobieta. – Może po prostu wolą korzystać z życia, niż zadawać śmierć?

- Wojna i śmierć są częścią boskiego porządku, siostrzyczko. Choć rozumiem, że ich bronisz, zważywszy na twoje preferencje; czy też może brak preferencji...

- Ty tępy osiłku! Ciebie nie dotknęłabym nawet kijem!

- Przestańcie, do cholery! – zirytował się pierwszy z mężczyzn. - Czy zawsze musicie się kłócić? Gdyby nie to, że pochodzimy od jednego ojca... – zamilkł nagle, jakby tknięty jakąś myślą. – Nie – mruknął. – To niemożliwe.

- Nad czym tu deliberować? – zniecierpliwiał się jego porywczy brat. – Załatwmy tego śmiertelnika i będzie po sprawie. Ktokolwiek za tym stoi, będzie musiał poszukać innego sposobu, by nam zaszkodzić. A wtedy może popełni błąd i go dopadniemy.

- Tak – zgodził się pierwszy. – Szukanie prowodyrów swoją drogą, ale tego człowieczka i tak musimy powstrzymać.

- Zajmę się tym osobiście.

- Dawno nie obróciłeś żadnego kraju w perzynę, bracie? – wtrąciła z przekąsem kobieta. – Może lepiej będzie, jak ja to załatwię?

- Czyżby ten śmiertelnik był aż tak przystojny? – ironia nieczęsto gościła w głosie pierwszego z mężczyzn, ale niekiedy nie mógł jej sobie odmówić. – Nie tym razem, droga siostrze. Zostawmy tę sprawę naszemu bratu. To jego branża. Lecz najpierw spróbujmy wykorzystać coś, co bywa niezastąpione wszędzie tam, gdzie trzeba kogoś upokorzyć, zgnoić i zniszczyć - prawo. Tak, na początek to będzie najlepsze...

- Cholerni męscy szowiniści...

- Co tam szepczesz? Jesteś niesprawiedliwa, o Najpiękniejsza.

- Przepraszam, o Najwyższy!

- I do tego złośliwa...

4

Strata nie była zbyt poważna i Krest powetował ją sobie w najbliższej wiosce. Kupiwszy prowiant zadbał o nakarmienie Wędrowca, po czym udał się do szynku, żeby samemu coś zjeść. Odbijało mu się jeszcze po zieleninie koźnogiego, która stanowiła podstawę jego porannego posiłku.

Wieś była spora; liczyła ze dwieście dymów. Oprócz karczmy, którą wybrał, funkcjonowały jeszcze dwie, ale ta oferowała podwyższony standard – zamiast klepiska miała prawdziwą podłogę, a jej zaplecze kuchenne cuchnęło mniej, niż w pozostałych.

Mimo dość wczesnej pory większość miejsc była zajęta. Krest usiadł w kącie, cierpliwie wytrzymał kilkanaście taksujących spojrzeń, puścił mimo oczu kilka potencjalnych zaczepek, aż wreszcie złożył zamówienie.

Kończył gulasz, nawet smaczny, pod warunkiem, że człowiek nie zastanawiał się, kto i z czego go ugotował, kiedy nad niedbale skleconą ławą pochylił się karczmarz.

- Wybaczcie, panie. Kazali mi powiedzieć, że czekają na was na zewnątrz.

- Kto taki?

Karczmarz zawahał się

- Wójt... Z milicją.

- Wójt?

- To porządny człowiek, panie. Ale ludzie gadają, że w nocy zniknął Sylwan. A wy nosicie ten, no, rapierz. Musicie więc być Zabójcą Bogów, o którym opowiadają, że...

- Rapiers. To jest rapierz. Ale dlaczego wójt nie wszedł do środka? Pogadalibyśmy przy kuflu tego sikacza, który nazywasz piwem.

- Wójt chciałby uniknąć... To znaczy... Tam jest więcej miejsca... i w ogóle.

- No tak, po tamtej stronie drzwi jest z pewnością więcej miejsca, niż tutaj. Cały świat. Ale rozumiem was, gospodarzu. Wizyta milicji nie służy interesom.

Wstał.

- A więc nazywał się Sylwan?

- Co? Ach, tak, panie. Tak kazał na siebie wołać.

- Dziwne, że mnie tego nie powiedział.

- Może nie pytaliście?

Krest roześmiał się.

- To prawda. Jakoś o tym nie pomyślałem.

Słońce chyliło się ku zachodowi świecąc mu prosto w oczy. Pokręcił z politowaniem głową. Siedmiu czekających nań mężczyzn było bardzo

naiwnych, jeśli sądzili, że to mu w czymkolwiek przeszkodzi. Właściwie powinien ich zabić za samą głupotę.

Oczywiście nie miał zamiaru nikogo zabijać. Ale oni nie musieli o tym wiedzieć.

Wójt – co go zaskoczyło – okazał się człowiekiem dość młodym. Wiejskie społeczności, zazwyczaj bardzo konserwatywne, rzadko wybierały na urzędy ludzi przed czterdziestką. Ten tutaj był młodszy od większości swoich milicjantów.

Najwyraźniej i na prowincję docierał z wolna powiew nowych czasów. Rozum przestawał być funkcją starości, a młodość zaczynała kojarzyć się z inicjatywą i umiejętnością pozyskiwania dotacji z budżetu centralnego, przede wszystkim na szczególnie ostatnio modne inwestycje związane z budową wodociągów. Jak kraj długi i szeroki, wszędzie ryto i kopano rowy pod rury. Każda osada chciała mieć w centrum fontannę, a co bogatsi gospodarze wykładali z własnej kieszeni pieniądze na budowę przyłączy do swoich zagrod.

Chaldejska wieś oszałała na punkcie bieżącej wody. Nie wszystkim jednak to się podobało. Szlachta biadoliła, że wanna odciągnie chłopów od pług. Krest widział to inaczej. Zbyt często jadał w wiejskich karczmach, by nie doceniać aspektu higieny osobistej.

Wójt musiał być odważny, jeśli przyszedł po Kresta. Albo niezbyt mądry. Dopóki milczał, odpowiedź mogła być jedynie hipotetyczna.

Tylko on miał miecz; reszta ścisnęła w dłoniach piki – standardowe uzbrojenie milicji ludowej, fundowane przez gminy. Wbrew pozorom, nie wynikało to z oszczędności, lecz z chłodnej kalkulacji. Wyposażenie ochotników w miecze pociągałoby konieczność nauczania ich szermierki. Natomiast chłop z drzewcem w ręku był gotów do walki natychmiast. Klucie siedmiostopową piką, zakończoną ostrzem o długości jednego łokcia, nie wymagało żadnej subtelności. Krest znał tę groźną broń. Widział pobojuwiska pełne martwych paniczek, którzy ją zlekceważyli.

- Wybaczcie, panie, że przerwaliśmy wasz posiłek – wójt postąpił krok przed swoich ludzi. Mówił uprzejmie, ale bez służalczości. – Musimy sprawdzić, czy nie jesteście zamieszani w pewną nieprzyjemną sprawę, a mianowicie w zniknięcie Sylwana; to jest, naszego... naszego...

- Wiem – przerwał mu Krest. - Czčiliście go?

- Że co? – zdziwił się tamten.

- Czy oddawaliście mu cześć? Wielbiliście go? Jeśli nie, powinniście się cieszyć, że... odszedł.

- Tego... No... Nie powiem... Ale prawo, to prawo. Zabrania świętokradztwa. A wy macie rapierz... Czy jesteście tym, którego nazywają Zabójcą Bogów?

Krest skłonił głowę, nie spuszczać wzroku z grupki mężczyzn.

- Tak mnie nazywają. A to jest mój rapierz. Tylko gdzie jest *corpus delicti*?

Wójt zerknął na swoich ludzi, a oni na niego.

- Gdzie ciało? – wyjaśnił Krest. – Zazwyczaj, jeśli dojdzie do zabójstwa, pozostaje ciało. Zwłoki. Trup. Pytam więc, gdzie ono jest?

- Nie wiemy.

- Zatem na jakiej podstawie oskarżacie mnie o zabójstwo?

- Jesteście Zabójcą Bogów... Sami to przyznaliście.

- A gdyby nazywali mnie, czy ja wiem, Psującym Powietrze, to aresztowalibyście mnie za zanieczyszczanie środowiska naturalnego?

- Nie rozumiem, o czym mówicie, panie, ale lepiej będzie, jeśli powiecie nam, skąd przybyliście, w jakim celu i gdzie spędziliście ostatnią noc – wójt przestąpił z nogi na nogę. - Sylwan przedtem był. Teraz go nie ma. Jesteście wy. Wołają na was Zabójca Bogów. Tyle wiemy.

- Naprawdę jestem pod wrażeniem tej dedukcji.

Wójt otworzył usta. Zamknął. Poczzerwieniał.

- Nie lubimy tu obcych, podejrzanych o popełnienie przestępstwa - warknął. - Mamy broń.

- Tak, widzę – potwierdził Krest. – I co z nią?

- Że jak?

- No, macie broń. Użyjcie jej?

Na takie pytanie tamten nie był przygotowany. Krest czuł, że balansuje na krawędzi. Nie powinien ośmieszać wójta przy jego ludziach. Jeśli przekroczy granicę, tamci rzucą się na niego, choć są tylko spokojnymi rolnikami. Uczynią to ze strachu, a wtedy nic ich nie powstrzyma.

Chłop żywemu nie przepuści – mruknął pod nosem. Zwłaszcza gdy zgromadzi się tłum, co niechybnie nastąpi, jeśli będą tak stać na widoku. Czas na odrobinę dyplomacji.

- Musicie być mądrym człowiekiem, wójcie, skoro w tak młodym wieku zostaliście wybrani na ten urząd.

Milicjanci pokiwali z zadowoleniem głowami, ale wójt spojrzał na niego podejrzliwie.

- Jestem wójtem już drugi raz z rzędu – odparł ostrożnie.

- Od razu wiedziałem, że macie doświadczenie. Ludzie rozsądni większość problemów rozwiązują w rozmowie. Spróbujmy wyjaśnić to nieporozumienie. Może wejdziemy do karczmy?

Wójt zawahał się. Chęć uniknięcia konfrontacji walczyła w nim z obawą przed utratą autorytetu u swoich podwładnych. Krest musiał rzucić mu jakieś koło ratunkowe.

- Przesłuchiwanie mnie na ulicy byłoby dość niewygodne. A nie macie tu pewnie żadnego komisariatu czy czegoś w tym rodzaju?

- Na ulicy, faktycznie... A komisariat dopiero w powiecie... – wójt popatrzył po twarzach swoich towarzyszy, szukając w nich aprobaty.

- Moi ludzie wejdą z nami – zdecydował.

Karczmarz przywitał ich ponurą miną, ale nie odważył się zaprotestować. Wójt usiadł z Krestem przy stoliku, który ten zajmował przedtem, a milicjanci

ulokowali się przy sąsiednich. Odprężyli się natychmiast, znalazłszy się wśród sąsiadów i znajomych, a w wielu przypadkach zapewne i krewnych.

- Opowiedzcie mi o tym Sylwanie – poprosił Krest, zamówiwszy osiem kufli piwa.

Włóścianin był wyraźnie skrępowany. Krest nosił się skromnie, lecz to tylko podkreślało dystans. On mógł się tak ubierać; oni musieli. Konia z rzędem temu, kto domyśliłby się, że jest synem cieśli.

Bo też i po prawdzie nim nie był. Był synem wynalazcy i wizjonera. Jego ojciec daleko bardziej od niego zasługiwał na szacunek. Tworzył, podczas kiedy Krest potrafił tylko niszczyć. Gdyby miał więcej cynizmu, mógłby powtarzać sobie, że niszcząc tworzy nową jakość, ale zalaatywało to czystym bolszewizmem. A nigdy nie był sympatykiem wiekopomnych osiągnięć północnego mocarstwa barbarzyńskich Antów.

- O Sylwanie? Baliśmy się go – odrzekł wójt. – Nigdy nie było wiadomo, co mu strzeli do rogatego łba. Już za mojego życia napadł na wioskę i pozabijał mnóstwo ludzi. Potem był spokój, ale czasami przychodził nocą pod chałupy i strasznie się ciskał. Bywało, że cała wieś nie mogła zmrużyć oka.

- Skąd się wziął w tych stronach? Kiedy się pojawił?

- Będzie ze dwieście lat, może więcej. Nie wiemy, skąd przyszedł. Kazał nazywać się Sylwanem, a to obce słowo. Zajął najlepsze ziemie, psi syn.

- Próbowaliście go przepędzić?

- A jakże, rychło po onym napadzie. Myśleliśmy, że w razie czego wykpiemy się przed królewskim starostą, że to niby w obronie własnej.

- Ale nie udało się?

- Nijak. Silny był, bestia, i widać przywiązany do miejsca. Moc chłopca wytracił, nimeśmy odstąpili. Może to i dobrze, bo starosta nie chciał dać wiary, żeśmy przez desperację z czystej głupoty to uczynili. W kajdany pozakuwał, procesami za świętokradztwo groził. Ale że Sylwan naprawdę szkód narobił, tedy nam darował i tylko ostrzegł na przyszłość i ofiary kazał regularnie składać.

- Rozumiem. Boicie się teraz, że to na was spadnie odpowiedzialność za zniknięcie koźlonogiego, jeśli nie wydacie staroście właściwego sprawcy?

- W rzeczy samej, panie. Nic do was nie mamy, ale biedni z nas ludzie i nie nam przeciwstawiać się królewskiemu urzędnikowi.

- A jeśli to nie ja jestem winien? Chcecie ratować własną skórę za cenę mojej?

Wójt uśmiechnął się krzywo. Krest nagle zorientował się, że tamten jest sprytniejszy, niż by się wydawało.

- Pan zawsze wybroni się przed panem.

To brzmiało jak sentencja. Krest omal się nie roześmiał. Dał się okpić przez chłopca! Stanowczo za długo już miał do czynienia głównie z bogami. Trzeba zejść na ziemię.

- Ilu was było, kiedy próbowaliście zabić satyra? – zapytał od niechcena.

Wójt wyszczerzył zęby już otwarcie.

- Ze trzydziestu. Wiem, do czego zmierzacie, panie. Zechciejcie jednak mieć na uwadze, że zabijanie nieśmiertelnych – choć swoją drogą ciekaw jestem, jak to robicie – nie czyni nieśmiertelnym was. Mamy przewagę, a wy macie tylko ten rapier. Nie zdołacie wydostać się z karczmy. A knechci z powiatu są już pewnie w drodze.

- Powiedzieliście: rapier? Zdaje się, że mówicie jakoś inaczej, wójcie. Jak człowiek wykształcony. Gdzie się podziała wasza gwara?

- Liznęło się trochę szkół... panie.

Krest nie zdołał się dłużej powstrzymać. Ryknął śmiechem. Pozwolił się podejść jak dziecko. To tyle, jeśli chodzi o dyplomację.

- Podobacie mi się, panie wójcie – wyjąkał wreszcie. - Niezły z was drań, przyznaję. Pewnie wybrali was, mimo młodego wieku, bo obiecaliście załatwić dotację na budowę wodociągu?

- To był główny punkt mojego programu wyborczego. Został już zrealizowany.

- Jestem pod wrażeniem. A jaki będzie następny?

- Fontanna w centrum i wanna w każdym domu.

Kolejny atak śmiechu naraził Kresta na poważny ból brzucha. Wójt wtórował mu melodyjnym barytonem. Zza sąsiednich stołów patrzono na nich jak na szaleńców.

Pikinierzy z milicji wydawali się z lekka zaniepokojeni, więc wójt posłał im uspokajające spojrzenie.

- Dla nas to właściwie nie jest śmieszne – rzekł – choć rozumiem, że w mieście może się takie wydawać. Ale ludzie tutaj traktują swoje aspiracje ze śmiertelną powagą. Chcą, by wszyscy wiedzieli, że je mają i realizują. Jednak coś, czego nie widać, nie istnieje. Rurami leżącymi w ziemi trudno się pochwalić, ale jeśli na ich końcu będzie fontanna, to co innego.

- Albo wanna?

- Albo wanna.

- Szkoły, których liznąłeś, panie wójcie, musiały być całkiem niezłe, o czym nietrudno się przekonać już po chwili rozmowy. Jesteś tutejszy czy może przyjezdny?

- Pochodzę stąd. Moja rodzina jest dość zamożna, oczywiście na tyle, na ile to możliwe, kiedy jest się rolnikiem. Dlatego mogłem studiować w samym Babilonie... Do mojego rodu należała kiedyś ziemia, którą zajął po swoim przybyciu koźlonogi, jak go nazywasz.

- O! Czyli masz szansę ją odzyskać?

- Prawnie należy do mnie, jako głowy rodu. Odzyskanie jej będzie wymagało pewnych zabiegów... i kosztów, ale to tylko kwestia czasu.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

Wójt dłuższą chwilę wpatrywał się z namysłem w prawie pusty kufel. Z jego twarzy całkowicie już zniknął wyraz udawanej tępoty.

- Mój ród zaciągnął u ciebie dług wdzięczności, choć bogowie świadkami, że nieświadomie – rzekł. – Jednak dług to dług. Wieśniacy też mają swój honor. Staram się uczciwie wypełniać swoje obowiązki, ale nie jestem funkcjonariuszem królewskim, lecz urzędnikiem samorządowym. Wybrała mnie wspólnota i to jej przede wszystkim służę. W jej interesie nie leży poświęcenie życia kilku swoich członków, żeby zatrzymać kogoś, kto tak naprawdę oddał jej przysługę. Jako podejrzanego, nie mogę puścić cię wolno, ale jeśli weźmiesz mnie na zakładnika i spróbujesz stąd wyjść, moi ludzie nie będą interweniować.

Krest nie ukrywał zaskoczenia.

- Ciekawy plan. Mam nadzieję, że się nie mylisz. Ich interwencja nie na wiele by się zdała, wiesz o tym, prawda?

- Oczywiście, jesteś przecież Zabójcą Bogów, Demonem z Rapieniem.

- Demon z Rapieniem... To mi się podoba! No dobrze, zatem do dzieła!

Szybkość i brutalność Kresta zaskoczyła nawet wójta, który się tego spodziewał. Nim jeszcze przewrócony stół uderzył o podłogę, Krest już przyciskał ostrze sztyletu do szyi tamtego, tak mocno, że w przyływie paniki wójt zamarł w całkowitym bezruchu.

- Zostańcie na miejscach, a wtedy nikomu nic się nie stanie – Krest mówiąc to, z trudem powstrzymał się od śmiechu; tak sztucznie to zabrzmiało. Ale nikt tego nie zauważył.

Zmniejszył nieco nacisk ostrza na krtań wójta.

- Róbcie, co każe – tamten pospieszył z potwierdzeniem.

Krest był znacznie silniejszy, niż wskazywała na to jego szczupła sylwetka. Wójt czuł, że jest niemal niesiony i służy za tarczę, którą Krest zasłaniał się przed gośćmi szynku, kiedy przeciskali się między stołami.

Dotarli do drzwi nie niepokojeni. Krest schował sztylet, a wójt natychmiast sięgnął ręką do szyi, gdzie ostrze pozostawiło czerwony ślad.

- Do wesela się zagoi – roześmiał się Krest. – Musiałem być przekonujący.

- I byłeś, niech to diabli – zaklął tamten. – Przez chwilę myślałem, że jednak zrobisz to po swojemu.

Krest wskoczył na siodło i pogłaskał Wędrowca po grzywie.

- Na mnie czas. Miło było cię poznać, panie wójcie. A przy okazji – nie sądziłem, że tak szybko zainteresujecie się losem stwora, który was terroryzował. Gdybym wiedział, nie zatrzymywałbym się tu i nie byłoby problemu.

- Nie zainteresowaliśmy się. Nikt tam nie chodził częściej niż raz na tydzień.

- Więc jakim cudem...?

- Wpłynęło, że się tak wyrażę, anonimowe doniesienie.

- Naprawdę?

- Ktoś mógł cię widzieć – wójt wzruszył ramionami. – Ludzie wszędzie się kręcą, choć nie lubią się do tego przyznawać. Wszyscy chodzą do lasu po drzewo, choć las należy do króla, i tak dalej...

Krest spał konia.

- Nieważne. Żegnaj, przyjacielu.

Wójt skinął głową i przez chwilę patrzył za oddalającym się jeźdźcem. W jego oczach pojawił się chłód. A potem otworzył drzwi karczmy i rzucił do środka:

- W porządku. Ruszamy.

Widział jak się zbliżają, ale nie mógł nic zrobić. Kilka mil za wsią spadł z konia i nadal leżał w tym samym miejscu. Świat wirował wokół niego, jakby rzeczywiście rację mieli siwobrodzi uczeni, że Ziemia kręci się i zatacza jak dziecięca zabawka. On sam uważał to za mało prawdopodobne.

Wędrowiec dreptał obok i żałośnie trącał go łbem. Krest miał nadzieję, że nie wyrządzą mu krzywdy.

Na czele kilkunastu ludzi jechał wójt. Wszyscy zsiadli z koni, lecz tylko on odważył się podejść do Kresta.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie Krest zmusił myśli do ułożenia się w słowa.

- Dlaczego...? Jak...?

- Przykro mi, lecz dobro wspólnoty jest najważniejsze – wójt nie sprawiał wrażenia szczęśliwego. Ale też nie wyglądał na płonącego ze wstydu. – Wielki Marduk na pewno już wie o tobie; zbyt wielu bogów zabiłeś. Zrównałby wioskę z ziemią, gdybym cię wypuścił. Mieliśmy czas na podjęcie przygotowań, więc karczmarz otrzymał polecenie doprawienia twojego gulaszu specjalnym dodatkiem.

- Trucizna?

- Och, nie, nic tak melodramatycznego. Po prostu środek nasenny o opóźnionym działaniu. Trochę nas kosztował – wójt uśmiechnął się ponuro - ale myślę, że się opłaci. Może nawet wioska dostanie dotację na budowę fontanny.

- I waniem?

- Niestety, wanny to zupełnie inna sprawa. Każdy musi zapłacić za nie sam. Tak jak w większości spraw tego świata, trzeba liczyć tylko na siebie.

Krest czuł, że traci przytomność.

- Znam jeszcze jedną sentencję... – wyszeptał. – Nigdy...

Wójt pochylił się nad nim.

- Tak?

- Nigdy nie ufaj politykom...

5

Isztar, Astarte, Izyda (miała wiele imion i z pewnością więcej niż jedno oblicze) przybyła do swego pałacu, w miejscu zwanym Rozdrożem Isztar. Zbiegały się tam cztery strony świata, choć jakim sposobem – to wiedzieliby jedynie specjaliści od sztuczek z czasoprzestrzenią.

Gdyby istnieli.

Trafić tam było niepodobieństwem. Opuścić pałac, znalazłszy się w nim, byłoby głupotą.

Lecz namiętność Isztar nie trwała długo. A kiedy mijała, pałac stawał się za mały dla dwojga osób. Chwilowy kochanek – czy był nim bóg, król czy szczególnie urodziwy pastuch, uwiedziony na stogu siana – musiał zbierać swoje manatki i dzwonić po taksówkę, klnąc przy tym kobiece humory i mrucząc coś pod nosem o napięciu przedmiesiączkowym.

A kiedy już się wyprowadził, nigdy nie mógł sobie przypomnieć drogi powrotnej.

Jeszcze nim dotarła do swoich komnat, opędzając się niecierpliwie od służby, dopadło ją znajome uczucie. Olbrzymie sale, o kolumnach wysokich na trzydzieści łokci, jakby zmalowały, skurczyły się. Szerokie korytarze stały się węższe; niemal ocierała się łokciami o ściany. Powietrze zgęstniało, a za każdymi drzwiami czaił się potwór, któremu na imię: Ścisk, Tłok, Godziny Szczytu.

Ogarnęła ją chęć otwarcia na oścież wszystkich okien i pozbycia się - do ostatniej cząstki - zapachu testosteronu. Wiedziała, że nadeszła pora na chwilę samotności. A potem na odmianę.

Lim był zbyt zadufany w sobie, by zauważyć jej zły nastrój. Zirykowało ją to, choć przecież nie sprowadziła go tutaj dla piękna jego charakteru.

Otoczony szczebioczącymi dwórkami leżał na skraju owalnego basenu o krystalicznie czystej wodzie, falującej lekko dzięki zmyślnemu mechanizmowi ukrytemu w dnie. Ciało Lima stanowiło prawdziwe dzieło sztuki użytkowej: tylko mięśnie, ścięgna i bezmiar seksapilu.

- Wróciłaś, kochanie – ucieszył się. Zauważyła, że zabrzmiało to niemal szczerze. Widocznie nie było jej na tyle długo, by zdołał się znudzić służącymi i sprzątaczkami. – Jak tam sprawy rodzinne?

Dwórki znacznie lepiej rozpoznawały wyraz twarzy swej pani. Wystarczyło jedno spojrzenie, by uciekły jak stadko spłoszonych motyli.

- Nagle zainteresowały cię moje sprawy rodzinne? – nie potrafiła pohamować złośliwości.

Obrzucił ją tak bezczelnym spojrzeniem, że aż zagotowała się wewnątrz.

- Ależ, Izis, kimże jestem, by interesować się sprawami twojej rodziny? - zakpił. - Nie śmiałbym, nawet gdybym chciał.

- Może gdybyś spróbował, okazałoby się, że nie jest to takie straszne?

- Śmiertelnik nie powinien interesować się sprawami bogów.

- Czyli, jak rozumiem, pieprzenia się z boginią nie uznajesz za formę „interesowania się sprawami bogów”?

Wyszczrzył zęby.

- Te sprawy interesują nas oboje, prawda?

Okrzyżła basen i stanęła nad nim. Był największym sukinsynem spośród wszystkich zabójczo przystojnych mężczyzn, jakich kiedykolwiek miała. Albo odwrotnie. Nadal wzbudzał w niej pożądanie. Wiedział o tym. Dostrzegła to w jego oczach: triumf i samcze zadowolenie z siebie.

Oparła stopę na jego muskularnej piersi. Uznał to za zachętę i pogłaskał jej nogę. Wtedy pchnęła. Kiedy wpadał do wody arogancję w jego spojrzeniu zastąpiło zaskoczenie.

Z tej strony basenu było dość płytko, więc zaraz stanął na nogi, prychnął i klnął. Czują, że jest wściekły. Sprawilo jej to satysfakcję.

- Dlaczego to zrobiłaś? – warknął.

- Powinieneś być zmyć z siebie zapach moich służek, zanim odważyłeś się mnie dotknąć.

Wspiął się na brzeg i ściągnął moką przepaskę. Stał przed nią nagi, ociekający wodą, przewyższając ją o głowę. Miała już okazję widzieć, jak bardzo jest silny. Tacy ludzie z trudem znoszą upokorzenia.

- O co chodzi, Isztar? Co cię ugryzło? Nie chce mi się wierzyć, że bogini miłości jest pruderyjna jak stara panna z Albionu.

- Męczysz mnie, Lim. Znudziłeś mi się. Będziesz musiał odejść.

Uśmiechnął się lekceważąco.

- Ależ oczywiście, Izis. Kiedyś...

Zaczął manipulować przy spinie jej chitonu. Chwyliła go za rękę.

- Natychmiast!

Uwolnił prawą dłoń i uderzył ją w twarz. Niezbyt mocno, tak jak się karci niegrzeczne dziecko. Poczowała piekący ból i łzy napłynęły jej do oczu. Lim zerwał z niej szaty.

- Niemądra jesteś, bogini – przyciągnął ją do siebie i przycisnął do swego mokrego ciała. – Nie wiesz tego, co wiem nawet ja - marny śmiertelnik, zwykły żołnierz, zbyt tępy, by zostać kimś więcej, niż kapitanem jakiejś bandy maruderów. Nie słyszałaś nigdy, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie? Panujesz nad ludźmi dzięki twojej domenie – miłości, ale czy panujesz nad miłością? Zastanawiałaś się nad tym? Kto jest czyją panią?

Isztar drżała w objęciach Lima. Chciała wierzyć, że to tylko od chłodu wody. Mogłaby się wyswobodzić bez problemu; była przecież boginią, siostrą Marduka i niezwyciężonego Baala. Mogła zetrzeć tego śmiertelnika w proch. Dlaczego więc tego nie czyniła?

Uścisk Lima przestał być brutalny. Jej gruboskórny kochanek nie był pozbawiony instynktu - wiedział, kiedy pomachać kijem, a kiedy wręczyć marchewkę.

- Nie walcz z tym, o Najpiękniejsza – pocałował ją. Miał fascynująco zielone oczy. - Wszyscy podlegamy tym samym prawom. A jedno z nich mówi, że nie warto kopać się z koniem.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, więc coś za nią wybrało to drugie. Szloch wyrwał się z jej ust, jakby chciał zagłuszyć westchnienie rozkoszy, którego nie zdołała pohamować, kiedy dłonie Lima zaczęły błędzić po jej ciele.

To prawda, że była boginią, bytem transcendentnym. Lecz transcendentne bytowanie nie dość, że wymagało olbrzymich energii, to jeszcze bywało nudne. Dlatego nawet Marduk Mądry, najpoważniejszy i najbardziej odpowiedzialny z nich wszystkich, zstępował na ziemię, żeby odciążać generatory Łodzi Milionów Lat, a przy okazji trochę się rozerwać. A co dopiero mówić o bogini, której domeną była miłość?

Wcieleniem, które przybierała, rządziła taka sama burza hormonów, jak innymi ludzkimi ciałami. Bo przecież nie chciała wyglądać jak dwunastoletnia dziewczynka lub siedemdziesięcioletnia staruszka. Dlatego Lim, przy całym swoim prostactwie, miał rację. Ona kierowała swoim ciałem w tym samym stopniu, co ciało nią.

I teraz to ono przejęło rządy. Po czym, jak zwykle, poddało się bez walki.

- Nie wypada, żeby bogini płakała – Lim wziął ją na ręce i zszedł po marmurowych schodkach do basenu. – W wodzie nie będzie widać łez. Zresztą, zbyt długo nie kąpaliśmy się razem. Czas sobie przypomnieć, jakie to przyjemne.

Zdradzieckie serce zabiło jej mocniej.

- Nienawidzę cię – szepnęła.

A może siebie? – odezwało się w jej duszy.

6

Pałac zamarł w strachu i oczekiwaniu. Zły sen dręczył króla. Po korytarzach krążyły widma zabitych uzurpatorów, pomordowanych krewnych i straconych przywódców opozycji.

Nabonid VIII, zwany Gnuśnym (przydomek ten pasowałby zresztą również do paru jego poprzedników) rzucał się w mokrej od potu pościeli. Leżący przy łóżku pies skamlał żałośnie i lizał swego pana po twarzy, chcąc przynieść mu ulgę.

Na próżno. Żaden przewodnik nie był w stanie wyprowadzić duszy króla Wielkiej Chaldei, władcy imperium, nad którym nigdy nie zachodziło słońce, z piekła, w jakim się pogrążyła.

Powtarzający się sen nawiedzał go od wielu tygodni. Głównym jego elementem był szybki, przyprawiający o mdłości ruch, z jakim oddalał się od ziemi. Pędził z dołu w górę, niczym wystrzelona pionowo strzała.

Zupełnie jakby spadał na niebo.

Pod sobą miał plac jakiegoś nieznanego miasta, przy którym wznosiła się wysoka, kamienna ściana. Gromadzili się przy niej odziani na czarno i dziwnie zachowujący się ludzie. Widział ich z góry, z rosnącego oddalenia, toteż choć bardzo się starał, nie potrafił rozpoznać, do jakiego z licznych ludów, zamieszkujących jego królestwo, należą. Kiwając się rytmicznie wprzód i w tył, zdawali się płakać lub modlić, ale do jakiego boga?

Początkowo myślał, że to on jest tym bogiem i dlatego unosi się ponad nimi. Czyż jednak jako bóg nie rozpoznałby swoich wyznawców?

I kiedy tak wznosił się coraz szybciej i wyżej, mijając w pędzie ścianę, zaczynały się na niej ukazywać i zaraz gasnąć płomienne litery. Ich kształt przypominał standardową czcionkę drukarską, lecz sposób pojawiania się sprawiał wrażenie, jakby jakiś niewidzialny olbrzym wypalał je w kamieniu, jedną w miejsce drugiej.

Nabonid czytał je odruchowo w miarę jak rozbłyskiwały:

S O T S E R K

Litery były mu znane, ale układały się w słowo, którego nie rozumiał.

Śniącego króla dziwiło zrazu, że żaden z modlących się ludzi nie zwraca uwagi na płonące szkarłatem znaki. Doszedł więc do wniosku, że ich nie widzą. Całe przedstawienie musiało być odgrywane wyłącznie dla niego.

Lecz co miało oznaczać?

Wiele godzin strawił na zastanawianiu się nad sensem owego słowa. Jego wróżbici także nie potrafili mu pomóc. Pewien Egipcjanin zauważył podobieństwo do zniekształconego przez Greków egipskiego określenia

najjaśniejszej gwiazdy nieba - Sotis. Lecz językoznawcy nie potrafili dowieść związku między obydwoma wyrazami.

Astrolodzy zresztą także nie umieli wyjaśnić, dlaczego właśnie ta gwiazda, ważna przede wszystkim dla egipskich rolników, bo zwiastująca nadejście wylewu Nilu, miałyby zakłócać spokojny sen króla królów.

Był wprawdzie ktoś, kogo mógłby zapytać, z dużym prawdopodobieństwem otrzymania właściwej odpowiedzi, ale sama myśl o tym przerażała go jeszcze bardziej, niż powtarzający się koszmar. Im rzadziej Pan Esagili zwracał swoje wszystkowiedzące oczy na Nabonida, tym król czuł się lepiej. Potęga Marduka była niezmierną. Jego okrucieństwo również. Chciałoby się rzec – niemal jak ludzkie.

Zatem wielki król śnił i cierpiał samotnie. Jedyne wierny pies towarzyszył mu podczas wypraw do piekła podświadomości. Dzielne zwierzę nie lękało się niczego. Było ostatnim przyjacielem imperatora, który panował nad milionami poddanych, nie zdołał wszakże zawładnąć choćby jednym sercem.

Mroczne sny króla, napawające lękiem dworaków, niewiele obchodziły Babilon. Za bramą pałacu dzień i noc tętniło życiem olbrzymie miasto, nie bez przyczyny okrzyknięte przez proroków Wielką Nierządnicą.

Szerokie aleje, po których przechadzali się możni tego świata, krzyżowały się z ciemnymi zaułkami, gdzie nawet scytyjscy policjanci zaglądali niechętnie; tak jak cnota krzyżowała się z występkiem, a bogactwo z biedą. Babilon był nieokiełznany, nieobliczalny i niebezpieczny, a od pomieszania ras i języków wielu dostawało pomieszania zmysłów.

Innymi słowy, był najwspanialszym miastem, jakie kiedykolwiek istniało.

Jered nienawidził Babilonu do granic obłędu. Codziennie modlił się, by pochłonęła go ziemia i nie pozostał tu kamień na kamieniu. Jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że wówczas zapewne w jakiejś innej metropolii wykiełkowałyby te same niegodziwości i grzechy. Gdyby był lepszym uczniem i uważniej słuchał chaldejskich nauczycieli, wiedziałby, że w przyrodzie nic nie ginie.

Szczycił się jednak swoją ignorancją. Babilońska nauka i szkolnictwo były składnikami aparatu represji, wymierzonego w mniejszości narodowe, takie jak jego lud. Nawet pozornie obiektywne twierdzenia matematyczne kryły w sobie truciznę kosmopolityzmu. Oddziałując silnie na chłonne umysły, stanowiły szczególnie skuteczne narzędzie zniewolenia.

Jedyną obronę dawała niewiedza. Dumne słowa: „wiem, że nic nie wiem” wytyczały program działania i strategię walki z bezbożną, oświeconą tyranią.

Jeredowi nie wystarczał już jednak sam bierny opór. Jako człowiek czynu pragnął czegoś więcej. Miał dość wylewania łez nad rzekami Babilonu.

Grupa jego stronników liczyła zaledwie dwanaście osób, włącznie z nim samym, lecz byli zdeterminowani i mieli konkretny cel: zabić Nabonida. To z pewnością osłabi władzę Złotego Cielca, demona z Esagili, tego krwawego zbira – Marduka. Przynajmniej na czas niezbędny do uwolnienia Ana i jego ludu z niewoli.

Każdy reżim gnije od środka. Kiedy przebiją skostniałą skorupę, nic nie powstrzyma rozkładu.

Nie byli lekkoduchami. Jered zdawał sobie sprawę, że potrzebują sojuszników. Nawiązał kontakt z wysłannikiem Kurusza, wodza licznego i bitnego plemienia Persów. Kuruszowi od dawna ciążyła zależność od Babilonu, mimo iż jego państewko cieszyło się sporą autonomią.

Wielu towarzyszy Jereda z niechęcią godziło się na konszachty z barbarzyńcami. Lecz Jered dla wyzwolenia się spod jarzma gotów był nawet

sprzymierzyć się z Filistynami lub jeszcze gorszymi od nich Frankami. Tyle że tamci także jęczeli pod twardym sandałem następców Hammurabiego.

Noc była ciepła i duszna; powietrze pęczniało od jawnych i skrywanych, zaspokojonych i niezaspokojonych pragnień i popędów. Jered wyczuwał to całym sobą. Ledwo od godziny przemierzał ulice, a już czuł się zbrukany.

Nienawiść do wszystkiego, co występne lub choćby tylko frywolne, trawiła jego duszę nigdy nie gasnącym płomieniem. Wiedział, że łaskawość Ana jest niezmierną i że teoretycznie obejmuje także litość dla tych, co błędzą. Miał jednak nadzieję, że w dniu sądu (oby nadszedł jak najprędzej!) Jedyiny nie skorzysta z tych nieżyciowych prerogatyw.

Dobry grzesznik, to martwy grzesznik. Kula w łeb to najlepsza forma reedukacji.

Mimo późnej pory Babilon nie spał. Przypominał kolonię mrówek, w której nigdy nie ustawała krzątanina.

Niemal całe centrum zajmował ogromny zespół zabudowań pałacu Nabonida, zwany Złotym Domem. Sąsiedował z niewiele mniejszym okręgiem świątynnym, Esagilą, gdzie wznosiła się Wieża Narodów, na której szczycie lśniła lazurem kaplica Marduka; tak wysoko, że każdego ranka słońce oświetlało ją jako pierwszą, podczas gdy leżące u jej stóp miasto pozostawało jeszcze w półmroku.

Najwyższy bóg, jak zwykle, bawił gdzieś w swoich sprawach. Nie widziano go w Babilonie od kilku tygodni. Łatwo to było stwierdzić po swobodnym zachowaniu kapłanów i rytuałach odprawianych wprawdzie ściśle z wymogami liturgii, lecz bez żarliwości.

Gruby mur, ogradzający obie enklawy władzy - duchownej i świeckiej - miał raczej podkreślać ich potęgę, niż spełniać funkcje obronne. Żaden władca - nawet tak niepopularny jak obecny - nie musiał obawiać się buntu mieszkańców Wiecznego Miasta. Wszyscy żyli z imperium, a nikt nie zabija kury znoszącej złote jajka.

Droga Jereda wiodła na nabrzeże, do jednej z wielu zatłoczonych, niebezpiecznych tawern, od jakich roiło się w dzielnicach portowych nad Eufratem. Świadomie wybrał ryzyko, ponieważ to, co było niebezpieczne dla niego, w dwójnasób zagrażało agentom chaldejskiej bezpieki. Dlatego prawie nigdy tam się nie pokazywali. Z punktu widzenia spiskowca lepiej było narazić się na utratę sakiewki, niż na dekonspirację.

Patrząc z oddali na światła Złotego Domu złorzeczył w duchu despotie, śpiącemu zapewne smacznie na jedwabnych poduszkach, w ramionach jednej z wielu nałożnic, które biegiłości w rozpuście uczyły się podobno od samej Isztar.

Już niedługo, Nabonidzie, pomocie szatana - zazgrzytał zębami. Ciesz się chwilą, zostałeś już bowiem policzony, zważony i znaleziony zbyt lekkim. A dla twojej duszy zarezerwowano bilet w ekspresowej karawanie do piekła.

Wysłannik Kurusza, Arses, już na niego czekał - wysoki, postawny Pers o modnie przyciętej, kruczoczarnej brodzie i jasnych oczach ludów północnego stepu. Zapewne pochodził ze szlachtetnego rodu, gdyż tylko tacy cieszyli się bezpośrednim dostępem do władcy.

Tej manifestacji męskiej charyzmy Jered nie mógł przeciwstawić ani urody, ani rodowodu, ani stojącej za nim potęgi. Poczul się jak ubogi krewny, który przyszedł żebrać o jałmużnę u zamożnego kuzyna. Ta myśl rozwścieczyła go. Wszystko przez tyranie, która skazała naród wybrany na nędzną wegetację. O Babilonie! Przyjdzie czas, że wilki będą wyły na twoich ruinach, a pamięć o tobie przetrwa jedynie w przekleństwach!

- Wyglądasz na zmęczonego, Jeredzie – Arses niedbałym gestem wezwał szynkarza. – Może kufel piwa rozproszy twoje troski? Ja wolałbym szklanicę scytyjskiego miodu, ale choć zatrudniacie tylu Scytów do pilnowania porządku, nie przejeliście od nich zamiłowania do tego złotego napoju.

- To Chaldejczycy zatrudniają Scytów, nie my – burknął Jered.

Pers uśmiechnął się pod nosem. Nie raz już drażnił się w taki sposób z Jeredem, którego uważał za pozbawionego poczucia humoru fanatyka. Ale fanatycy bywają użyteczni – zazwyczaj gotowi są zrobić za darmo to, czego nikt inny nie robi za żadne pieniądze.

- Przepraszam, przyjacielu. Żyjesz tu, o ile wiem, od urodzenia, dlatego nie mogę pozbyć się odruchu, by traktować cię jak Babilończyka.

- Postaraj się.

- Oczywiście – Arses położył dłoń na sercu, muskając palcami niepozorną broszę spinającą poły jego fioletowego płaszcza. Doskonale wiedział, że Jered terminuje u złotnika, więc rozpozna od razu nieoszlifowany kamień wyglądający jak kawałek brudnego szkła. Był to pochodzący z najdalszych zakątków Etiopii diament. Za połowę jego wartości Jered mógłby kupić całą ulicę, przy której mieszkał.

- Lepiej nie afiszuj się ze swoim wyrafinowanym gustem, Arsesie - Jered obrzucił klejnot niechętnym spojrzeniem. Był czeladnikiem już trzeci rok i nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miał się dorobić własnego warsztatu i konta w banku. – To niebezpieczne miejsce.

Radosna mina Persa świadczyła o tym, że całkowicie zgadza się z opinią rozmówcy.

- O tak! – zawołał. – Od kiedy ja wszedłem do środka.

Ach, ci barbarzyńcy, pomyślał Jered. Nic dziwnego, że tłuką się między sobą, zamiast wykorzystać własną siłę do uderzenia na chaldejskie Imperium Zła.

- Przejdźmy do interesów – odezwał się.

- Słusznie – Arses spoważniał równie szybko, jak przedtem dowcipkował.

- To kiedy zamierzacie zabić Nabonida?

- Ciszej! Oszalałeś?

- Daj spokój, Jeredzie. Tu w co trzeciej rozmowie pada imię króla, a w drugiej słowo: zabić. Jeśli będziemy mówić o czymś innym, staniemy się podejrzani.

- Czy Kuruszowi nie zależy na sukcesie, skoro powierzył tę misję człowiekowi, który ma tak lekceważącą opinię o chaldejskiej służbie bezpieczeństwa?

Pers machnął ręką.

- Wielka Chaldea to kolos na glinianych nogach. Nabonid boi się puścić wiatry bez pozwolenia Marduka, struktury państwa przeżarła korupcja, a to, co nazywasz służbą bezpieczeństwa, to zgraja szumowin, bardziej zajętych własnymi sprawami, niż pomyślnością imperium. Kiedy wymierzymy temu kolosowi prztyczka w nos, upadnie i nigdy się nie podźwignie.

Jered słuchał pełen wątpliwości. Gadaniem nikt jeszcze nie wygrał wojny. Ten barbarzyńca nie doceniał potęgi Babilonu, która – choć nienawistna – była przecież godna podziwu. Szczerze mówiąc, Jered nie przypuszczał, by coś mogło jej zagrozić; nie wyłączając Kurusza. Zamach miał na celu jedynie wywołanie przejściowego zamieszania; tak, aby lud wybrany przez Ana mógł odzyskać wolność. Zwycięstwo Kurusza nie było konieczne. A nawet – Jered był o tym przekonany – było niemożliwe.

Oczywiście, perski król mógł się na to zapatrywać bardziej optymistycznie. Tym lepiej, nadzieja to dość skuteczna motywacja do podjęcia beznadziejnej walki.

- Czy jesteście przygotowani do szybkiego uderzenia? – zapytał.

- Szlachetny Pers rodzi się na koniu – odparł dumnie Arses. – Jego obowiązkiem jest natychmiast stawić się na wezwanie króla.

- Czyli nie jesteście gotowi – skonstatował Jered.

- Już ci powiedziałem, Jeredzie. Z a w s z e jesteśmy gotowi.

Jered westchnął. Może jego oponenti mieli rację i nie warto było wchodzić w układy z barbarzyńcami.

- Nie pytam o gotowość do walki każdego Persa, Arsesie. Pytam o armię. Macie ją?

- Kurusz zwołał już niektóre rodzaje wojsk.

- To dobra wiadomość. Powodzenie naszego planu zależy od koordynacji działań. Musicie uderzyć na tyle wcześnie, by wzniecić zamieszanie na dworze, ale nie za wcześnie, żeby was zbyt szybko nie odparto.

Arses parsknął śmiechem, jakby usłyszał dobry żart.

- Człowieku małej wiary! – zagrzmał. – Napoimy konie w Eufracie prędzej, niż wy zdążycie zaśpiewać psalm do tego waszego Ana.

Jered poczerwieniał.

- Nie bluźnij, abyś nie musiał na Sądzie zdawać sprawy ze swojego zuchwalstwa!

- Spokojnie, Jeredzie. Nie chciałem urazić twoich uczuć religijnych. Chodziło mi o uzmysłowienie ci, że nie doceniasz potęgi Kurusza Wielkiego.

- Od kiedyż to jest Wielki?
- Będzie. Persja nie miała jeszcze takiego władcy. Uwolnimy wszystkie ludy od tyranii, a Chaldejczykom każemy zgolić brody.
- Jeśli tak się zdarzy, tym lepiej – rzekł wymijająco Jered. Nie zamierzał wyjaśniać temu barbarzyńcy, że imperia nie upadają od jednego uderzenia. – Musimy być jednak przygotowani na każdą ewentualność. Zdajesz sobie przecież sprawę, Arsesie, że będzie wam znacznie trudniej, jeśli my nie wyeliminujemy Nabonida, zaś nam – jeśli wy wcześniej nie zajmiecie wojną jego uwagi.
- Zapewniam cię, że ruszymy w ustalonym momencie i że zaabsorbuje to Nabonida jak nic przedtem. Dojrzał już czas, by Babilon przebudził się ze słodkiego snu o panowaniu nad światem. Mam natomiast obawy, czy uda wam się zrealizować waszą część zadania.
- Bądź spokojny. Zrobimy to.
- Jak zamierzacie tego dokonać?
- Wolałbym nie mówić o szczegółach. W przeciwieństwie do ciebie, nie mam tak lekceważącej opinii o możliwościach tajnej policji Chaldejczyków.
- Oczywiście, Jeredzie. Przyznasz jednak, że jesteś w bardziej komfortowej sytuacji ode mnie. Wiesz, że za Kuruszem stoi cała perska potęga, podczas kiedy ja wiem jedynie, że kilku – wybacz mi to określenie – nic nie znaczących spiskowców zamierza zabić króla władającego połową świata. Gdybym był złośliwy, mógłbym powiedzieć, że usiłujesz nam sprzedać kota w worku.
- Jak mawiają, gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść, Arsesie. Nadmiar tylko powoduje chaos. Tam, gdzie nie poradziłaby sobie armia, często wystarczy jedna ręka ze sztyletem.
- Pers taksował go wzrokiem.
- Macie wtyczkę w pałacu?
- Jeredowi nawet nie drgnęła powieka.
- An nie pozwoli, żeby tyrania dłużej niewoliła lud przez Niego wybrany – odparł wywołując grymas zniecierpliwienia na twarzy Arsesa.
- O ile wiem, pozwalał na to przez ostatnich kilkaset lat – zauważył z przekąsem Pers. - Cóż takiego się zmieniło?
- Fatalizm przestał być modny. Trzeba działać. Pamięć – tak; rozpamiętywanie – nie. Czas wracać do domu.
- Przecież tu jest twój dom, Jeredzie. Tu się urodziłeś, tu urodził się twój ojciec i jego ojciec. Skoro nie można tego nazwać ojczyzną, to jakie miejsce można?
- Takie, w którym człowiek jest wolny.
- Wolny? Czy ktoś tutaj ogranicza twoją wolność? Czy mieszkasz w klatce? Żyjesz w kajdanach? Doprawdy, Jeredzie, powinieneś wykazać więcej obiektywizmu.

- A dlaczego wy chcecie wystąpić przeciw Chaldecykom, szlachetny Arsesie? Czy nie dlatego, że doskwiera wam zależność od Babilonu?

- Ta zależność, jak to nazywasz, jest tylko nominalna – obruszył się Pers.
– A my jesteśmy silnym ludem, którego powołaniem jest panowanie nad innymi.

- Tylko An jest powołany do panowania nad wszystkimi.

- Jeśli wasz An pretenduje do władzy nad światem, to będzie miał sporą konkurencję – Arses roześmiał się. – Obawiam się, że ma niewielkie szanse. Gdzie są jego zastępy? Ile ma dywizji?

Jered zacisnął usta.

- Potęga Jego nie z tego świata pochodzi.

Pers kpiąco skłonił głowę.

- To wiele wyjaśnia. Zatem macie kogoś w pałacu, czy nie?

Jered z trudem powściągnął gniew. Nie pozwoli temu barbarzyńcy wyprowadzić się z równowagi. An powołał go do wyzwolenia ludu z niewoli; nie do nawracania pogan. Tym zajmiemy się w drugiej kolejności, pomyślał.

Arsesowi nie spodobałby się błysk w oku Jereda, gdyby go dostrzegł.

- Dwór jest ogromny, toteż zawsze znajdzie się ktoś sfrustrowany.

- Ktoś z rządu? Nie, nie dotarlibyście tak wysoko. Raczej jakiś oficer gwardii. Musicie mieć na niego haka, więc przypuszczam, że to hazardzista, który zdefraudował fundusz wojskowy.

- Zdziwiasz mnie swoją przenikliwością, Arsesie.

Zęby Persa zaśliniły biało na tle kruczoczarnej brody.

- Ale nie zamierzasz mi zdradzić nic ponadto? Mam zadowolić się czymś w rodzaju: nie potwierdzam, ani nie zaprzeczam?

- Jeśli byłbyś tak miły...

- Ja tak, ale nie wiem, czy Kurusz będzie równie miły. Może nawet uznać, że worek jest pusty i nie ma tam żadnego kota.

- Mamy zamiar zaryzykować własne życie! Czy to nie jest argument?

- Jest. Weź jednak pod uwagę, że wy narażacie tylko siebie, podczas kiedy nasz król ryzykuje życiem swoim, swoich żołnierzy, a także pomyślnością całego ludu. Ma chyba prawo oczekiwać pełnej informacji?

Jeredowi nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Nie mógł jednak zignorować żądań Persa. W przypadku klęski los Kurusza i Persów byłby nie do pozazdroszczenia. Czekala ich niewola. Jereda i jego spiskowców – tylko śmierć.

- Nie doceniasz nas, Arsesie – odparł z ponurą satysfakcją. - To nie oficer, lecz ktoś znacznie wyżej postawiony. Tak wysoko, że nikt nie odważy się spytać, kim są ludzie, których wprowadza do pałacu...

- Ale gdzie najciekawsze, Jeredzie? – przerwał mu Arses. – Jakiego macie na niego haka?

- Chodzi o... zboczenie – Jered wypuścił to słowo z miną człowieka, który zjadł niemal całe jabłko i nagle zauważył robaka.

Arses uśmiechnął się pod wąsem.

- Zboczeńców tu nie brakuje.

- Nie takich! Nawet w Babilonie, choć to gniazdo zgnilizny, takie praktyki nie uszłyby płazem, gdyby zostały odkryte.

Pers uniósł brwi z ironicznym powątpiewaniem, jak ktoś, kto niejedno już widział i jest pewien, że nic go nie zaskoczy. Jered poczuł nagle chęć wstrząśnięcia zarozumiałym barbarzyńcą.

To ci zetrze uśmieszek z twarzy, pomyślał.

- Słyszałeś o przypadkach... – nachylił się do rozmówcy i reszta jego słów utonęła w hałasie wypełniającym szynk.

Kiedy skończył, Arses już się nie uśmiechał.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Jeredzie. To ryzykowna gra. Trudno przewidzieć postęпки psychopaty, a jeszcze trudniej nim pokierować. Nie jestem zresztą pewien, czy naprawdę macie go w garści. Kto wam uwierzy, gdybyście zechcieli go zdemaskować?

- Nie zdemaskujemy go. Pokażemy dowody rodzinom ofiar. On o tym wie.

- Jakim cudem to wy zdobyliście dowody, a nie policja, choć od miesięcy szuka sprawcy?

- No cóż, powiedzmy, że pierwsza z ofiar była niezupełnie przypadkowa.

Arses zdębiał.

- Zaskakujesz mnie, Jeredzie. Uważałem was za bandę idealistów, ale teraz sam nie wiem... Podsunęliście mordercy ofiarę? I pozwalacie, by nadal zabijał?!

- Cel uświęca środki.

- Przerażasz mnie, Jeredzie.

- Nie bądź śmieszny, szlachetny Arsesie. Oceń sam, co ważniejsze – ściganie każdego zboczeńca czy zniszczenie Chaldei i zlikwidowanie przyczyny całego zła?

- Tak... – Pers odsunął pusty kufel, jakby poczuł doń obrzydzenie. – Teraz widzę, że moje obawy, iż traktujesz nasze przedsięwzięcie zbyt emocjonalnie były nieuzasadnione.

- Z pewnością.

- Mogę więc spokojnie wracać. Kurusz będzie usatysfakcjonowany. Rozumie takie sprawy lepiej niż ja, prosty szlachcic.

- Jest królem – oschle stwierdził Jered.

- Tak, to prawda. Tym niemniej, sądzę, że dopiero teraz pojmie, dlaczego nazywają cię Jeredem Młotem.

- To tylko konspiracyjny pseudonim.

- Czyżby?

Jered wykrzywił pogardliwie wargi. Przekłete przezwisko przyłgnęło do niego niczym drugie imię. Uważał się wprawdzie za Bicz Boży, za narzędzie

Ana, ale nie sądził, żeby Jedyne walczył z demonami i heretykami młotem. Cholerne pogańskie naleciałości!

Lecz, jak to zwykle bywa, im większe okazywał niezadowolenie ze swego przydomku, tym chętniej nim go określano. Sami tego chcecie, pomyślał mściwie. Teraz będę musiał na niego zapracować.

8

Bywają przebudzenia, po których można zatęsknić za bezsennością. Kresta wyrwało ze snu coś gwałtownego, jednak nie to było najgorsze, lecz widok pomieszczenia, w jakim się znajdował.

Niewielkie, przypominało wychodek, tyle że bez armatury sanitarnej. Ściany pokrywał szary tynk, nałożony niezbyt starannie. Przy stalowych, otwartych drzwiach płonęła pochodnia, dająca słabe, brudne światło.

Krest westchnął. Nie ma to jak przytulna cela w prowincjonalnym areszcie.

Było duszno i gorąco; czuł się jak w łaźni parowej. Obok stał jakiś ponury typ. To on pewnie przed chwilą uderzył go w twarz. Fakt, że się odważył, stanowił dowód, iż zabrali Krestowi broń. Nawet nie musiał sprawdzać. Skuli go też; kajdany na rękach łączył masywny łańcuch.

Z trudem usiadł na drewnianej pryczy i spojrzał tamtemu w oczy.

- Nie rób tego więcej... proszę.

Potężny, otyły mężczyzna o niemal kwadratowej sylwetce i brutalnej twarzy skrzywił się pogardliwie i wymierzył mu kolejny cios na odlew. Głowa Kresta odskoczyła i łzy napłynęły mu do oczu. Nieznajomy miał łapę jak niedźwiedź.

Krest usiadł ponownie.

- Przecież prosiłem – rzekł, czując w ustach smak krwi. – Obudziłeś mnie i nie ma potrzeby, żebyś budził mnie dalej.

Grubas warknął coś w odpowiedzi i zamachnął się pięścią. Krest nie próbował zrobić uniku. Obunożny kopniak w pachwinę zaskoczył tamtego i powalił go na kolana. W następnej chwili Krest zarzucił łańcuch na kark napastnika, po czym skrzyżował ramiona pod jego brodą, wkładając w to całą siłę.

Jego przeciwnik szarpnął się, ale było już za późno. Kręgi szyjne pękły z suchym trzaskiem. Przez mgnienie w oczach tamtego tliło się jeszcze życie, oderwane już od swojej materialnej powłoki. Potem gdzieś odplynęło. Dokąd?

Krest rozluźnił łańcuch i martwe ciało osunęło się na brudną posadzkę. Nie lubił zabijać ludzi. Ale w tym wypadku można było przyjąć, że grubas popełnił samobójstwo. Był zbyt pewny siebie i jak wielu głupców przed nim dał się zwieść szczupłej sylwetce Kresta.

- Brawo! – głosowi, który się rozległ, wtórowały skąpe oklaski. Przy drzwiach stał olbrzym i z uśmiechem patrzył na Kresta.

Krest nie odczuwał kompleksów przy swoich sześciu stopach i czterech calach wzrostu, lecz był pewien, że gdyby wstał, tamten przewyższałby go co

najmniej o głowę. Nie ma tak wysokich ludzi. A jeśli to nie człowiek, przybranie takiej postaci świadczyło o nie lada megalomanii.

Krótko przystrzyżone czarne włosy okalały przystojną, ale oszpeconą kilkoma bliznami twarz przybysza. Masywny tors okrywał stalowy kirys, poczerniały i miejscami powgniatany. Skórzane spodnie nie wyglądały na zbyt czyste. Kresta najbardziej zainteresowała jednak broń u pasa nieznanego. Po kształcie rękojeści i długiej, bardzo wąskiej głównej rozpoznał szpadę – rzadko spotykany, subtelny oręż z Zachodu.

Oto dzień zaskoczeń, pomyślał cierpko. Do olbrzymiej postury przybysza bardziej pasowałby rzeźnicki topór albo maczuga wielkości belki stropowej.

- Warto było poświęcić trochę czasu temu nędzemu światu, żeby to zobaczyć – odezwał się kpiąco tamten. – Nie dlatego, że złoczyńca w kajdanach zamordował swojego strażnika; to się w końcu zdarza. Tylko po co? Nadal jesteś w kajdanach.

- Mam wrażenie, że stały się odrobinę lżejsze – odparł Krest.

- Naprawdę? Ciekawe jaki czynnik skuteczniej wpłynął na grawitację: jego śmierć czy twoja głupota?

Krest pokręcił ze znużeniem głową.

- Kim jesteś i czego chcesz?

- Tak trudno się domyślić? Zabójca Bogów ma z tym problem?

- Przecież widzę, że nie jesteś człowiekiem. Nie wiem tylko, z którym łądakiem z tej boskiej zgrai mam przyjemność.

- Czy to będzie przyjemność, jeszcze się okaże, śmiertelniku. Szczerze wątpię, skoro masz taką niewyparzoną gębę. Twój problem polega na tym samym, co przed chwilą zgubiło tego biedaka – ty też przeceniasz swoje możliwości.

- Nie potrzebuję kazań, tylko paru łyków wody, boże jakiś tam – Krest przełknął ślinę zmieszaną z krwią. Po tym świństwie, które pozbawiło go przytomności, czuł się jak na kacu. – Jeśli jej nie masz, to się wynoś.

- Jeszcze chwilę. Muszę ci się dokładnie przyjrzeć. To rzadki widok – Zabójca Bogów, który nigdy nie zabił żadnego boga.

- Mój rapier wyszczerbił się na waszych czaszkach.

- Masz na myśli te pokraczne stwory, z którymi ledwo sobie poradziłeś? Nazywasz je bogami? Jesteś więc głupszy, niż sądziłem. Może jednak szkoda mojego czasu dla durnia, który zabiwszy kilka much utrzymuje, że zbawia świat.

- Gdybyśmy się spotkali w innych okolicznościach stałbyś się jedną z nich.

Olbrzym zbliżył się do ściany i pacnął dłonią wielkiego karalucha, który nie zdążył skryć się w szparze między kamieniami. Wstrząs omal nie zrzucił Kresta z pryczy. W miejscu pozornie lekkiego uderzenia powstało wgłębienie na pół łokcia. Z sufitu posypał się zwietrzały tynk.

- Zdaje się, że i ja powinienem teraz przejść do legendy – odezwał się nieznajomy. – Nawet cię przewyższyłem: karaluch jest większy od muchy.

- Idź do diabła.

Tamten roześmiał się.

- Po co? Widziałem niedawno mojego brata. Nic się u niego nie zmieniło.

Ty też wkrótce się z nim zobaczysz.

- Pozdrowię go od ciebie. Zanim go zabiję.

Śmiech zabrzmiał głośniej.

- Masz tupet, przyjacielu.

- Nie jestem twoim przyjacielem.

- Nie jesteś n i c z y i m przyjacielem. Tacy jak ty nie mają przyjaciół.

Niestety, skutek jest taki, że nie ma im kto podać szklanki wody.

Krest czuł się zbyt podle, by silić się na dowcipne odpowiedzi.

- Nie przyszedłeś tu chyba po to, żeby mnie obejrzeć?

- A jeśli tak? Nie bądź taki skromny. Jesteś znaną osobą.

- Chcesz autograf? A może chodzi o cyrograf?

- Takie sprawy załatwia się bez podpisów. W końcu jesteśmy dżentelmenami. Mówiąc krótko – jeśli chcesz żyć, pracuj dla mnie.

Tym razem roześmiał się Krest.

- Którego nieśmiertelnego miałbym zabić?

- Którego będzie trzeba. Czy to dla ciebie jakaś różnica?

- Żadna. Ale co z tobą? Masz opory przed zabijaniem krewnych?

Wyglądasz na niezłego zabijakę.

- Cóż... Boginie zemsty nie tolerują pewnych przedsięwzięć wymierzonych w najbliższych członków rodziny.

- I w mojej skromnej osobie dostrzegłeś sposób na ominięcie tej niedogodności?

- Przyszło mi to na myśl.

Krest pokręcił głową.

- Już powiedziałem – idź do diabła.

W oczach przybysza pojawił się chłód.

- Nie znoszę głupców odrzucających korzystną ofertę, zwłaszcza gdy jest to oferta jedyna.

- Korzystną dla kogo, bezimienny boże? Nie muszę znać się na biznesie, żeby trzymać się z dala od takiej spółki.

- Wolisz spółkę z katem?

- Jeśli jesteś tym, którym, jak sędzę, jesteś, to każdy kat przy tobie stanowi uosobienie łagodności i człowieczeństwa.

- Cieszę się, że doceniasz zalety mojego charakteru. Ale zastanów się dobrze nad odpowiedzią. Kolejnej szansy nie będzie. Nie zamierzam marnować energii – dosłownie i w przenośni – na uganianie się za śmiertelnikiem. Nie jestem Isztar. Czy nie rozumiesz, co ci proponuję? Daję ci szansę zrealizowania twoich planów. Dzięki mnie dotrzesz – i zabijesz ich, mam nadzieję - do tych,

do których sam nie dotrzesz nigdy. Chcesz całe życie uganiać się za kreaturami, którym ciemny lud oddaje cześć, czy chcesz zabić wreszcie prawdziwego boga?

Myśl, że zmierzyłby się z którymś z Najwznieściejszych, z przedstawicielem boskiej elity, budziła podekscytowanie. Tych potężnych, tajemniczych istot nie spotyka się po lasach i polach. Są nieosiągalni dla śmiertelników, jeśli sami tego nie zechcą. Na dotarcie do nich mogło Krestowi nie starczyć życia. Z drugiej strony, mogło to też nastąpić w ułamku sekundy, lecz mało kto wychodził żywy z takiego objawienia. Bogowie ukazywali się najczęściej tym, których chcieli zgładzić.

Isztar była wyjątkiem. Podobno gustowała w ludzkich kochankach, ale Krest jeszcze żadnego z nich nie spotkał. Gdyby prawdą było to, co opowiadano o jej rozwiązłości, świat powinien być pełen jej byłych faworytów. Albo więc legendy mijały się z rzeczywistością, albo bogini miłości pozbywała się świadków swojego zepsucia.

Godna siebie rodzinka – Krest uśmiechnął się ponuro. Żałosny anachronizm. Przeżytek z czasów, kiedy ludzie potrzebowali prostych recept na wyzwania, jakie niósł świat. Lecz świat pozostał ten sam, a ludzie się zmienili. Potrafili już obyć się bez *dei ex machina*. Ci jednak nie chcieli tego zaakceptować. Nie umieli pojąć, że są skazani na wymarcie. Krest zamierzał im to dobitnie uzmysłowić.

Jednak jeszcze nie teraz. Nie będzie marionetką w jakiejś podejrzaney rozgrywce. Zrobi to po swojemu. Był Zabójcą Bogów. Nie ich sługą.

- Tracisz czas, Panie Burzy i Wojny - mruknął. - Na pewno masz wiele lepszych zajęć. Nie powinienes miotać gromów na jakąś bogu ducha winną osadę?

Olbrzym zacisnął pięści wielkości kul armatnich.

- Głupcze! – zahuczał. – Beze mnie nie masz żadnych szans! Twoja śmierć będzie spektakularna i bardzo nieprzyjemna; tak bardzo, by zdołała zniszczyć twoją legendę.

- Legendy tworzą ludzie i nie w waszej mocy je niszczyć.

Przybysz wolno pokiwał głową.

- No cóż, jak chcesz, człowieczku. Spotkamy się w Babilonie, jeśli oczywiście nie zabiją cię wcześniej koledzy tego nieszczęśnika, któremu skreśliłeś kark.

- To była samoobrona. Mógłbyś o tym zaświadczyć.

- Niestety, spieszę się. Sprawy najwyższej wagi, sam rozumiesz.

- W takim razie, dlaczego ty mnie nie zabijesz?

- Zrobiłbym to z przyjemnością. Ale Wielki Marduk chce cię zobaczyć i wyraził niezrozumiałe dla mnie życzenie, żebyś to był ty, a nie twoje zwłoki. Jednak co się odwlecze... Do rychłego zobaczenia.

Tamten pochylił się i Krest zbyt późno zrozumiał, na co się zanosi. Wielki kułak trafił go w skroń i pogasił wszystkie światła.

*Głos Ana grzmiący nad wodami;
Głos Ana potężny; łamie cedry Libanu.*

Stare dzieje – uśmiechnął się kpiąco Marduk – żywe tylko w ludowej tradycji i religijnych księgach. I tam też powinny pozostać.

Tylko dlaczego te wersety wciąż kołaczą mu się w głowie? Dlaczego brzmią jak memento, choć od chwili, gdy podstępem pozbawili groźnego starca władzy, upłynęły już całe eony?

Strach, obawa, respekt – jakkolwiek określić to uczucie, Marduk wiedział, że nigdy się od niego nie uwolni. Cholerny kompleks Edypa! Tylko czemu dotknął właśnie jego, a nie pozostałych współników w niegdysiejszym zamachu stanu: irytującego braciszka-mięśniaka, Baala, czy tej suki... *pardon*, siostry, Isztar?

No tak - zmytygował się - Isztar jest, w zasadzie, kobietą...

Otóż to. W zasadzie. Tak jak w zasadzie byli rodziną, w zasadzie władali tym państwem i w zasadzie byli nieśmiertelni. Lecz czy na pewno? Wyrażanie się z lekceważeniem o człowieku zabijającym hybrydy, to jedno, a problem, jak daleko sięgały jego umiejętności, czym właściwie były i skąd się wzięły – to drugie, trzecie i czwarte.

Zaklął. Już jako dziecko nienawidził wyliczanek. Na końcu szeregu cyfr z reguły czaiła się jakaś niemiła niespodzianka. Na przykład: raz, dwa, trzy - umierasz ty. Albo: trzy, cztery, pięć, sześć – nie masz co jeść. Bądź też: siedem, osiem, dziewięć, dziesięć – porwie cię potwór w lesie.

Czy to przypadek, że kiedy bawili się w gronie rodzeństwa ostatnia cyfra tak często padała na niego?

Dziś był tu, rzecz jasna, szefem. Nikt z braci i sióstr nie śmiałyby nawet wspomnieć, że kiedyś było inaczej. Ostatni będą pierwszymi... i tak dalej. Na świecie istnieje jednak sprawiedliwość.

Roześmiał się. Oczywiście, że istnieje. Wystarczy jej trochę pomóc.

Daleko posunięta automatyzacja miała swoje zalety. Nie musiał z nikim się witać, odpowiadać na żadne pytania. Postawiona w dryf Łódź Milionów Lat praktycznie nie wymagała obsługi. Nieliczna załoga wykonywała swoje obowiązki sprawnie i dyskretnie. Wszyscy wiedzieli zresztą, że Wielki Marduk nie przepadał za towarzystwem, kiedy coś go trapiło. A to, co musiał zrobić dzisiaj, było wyjątkowo stresujące.

Każda rozmowa z tym, którego kiedyś nazywano Anem, przerażała go. Nikt nie znał wszystkich możliwości jego potężnego umysłu. Chociaż jego cień został schwyty w pułapkę, skąd nie było ucieczki, przekonanie o skuteczności tego więzienia stanowiło jedynie hipotezę.

No cóż - Marduk westchnął - nie było precedensów. Nikt wcześniej nie obalał Stwórcy.

Tylko niematerialny sobowtór (zwany duszą lub cieniem) Pana Esagili był wystarczająco silny, by przetrwać kontakt z cieniem Przedwiecznego. Jednak zawsze stanowiło to loterię. Komunikowanie się na tym poziomie bezpośrednio prowadziło niemalże do wymieszania jestestw. W normalnych warunkach Marduk ufałby aparaturze różnicującej, której zadaniem było niedopuszczenie do takiej sytuacji, lecz warunki dalekie były od normalności. Miał do czynienia z istotą odmienną pod wieloma względami; dużo bardziej odmienną niż można byłoby się spodziewać w przypadku ojca i syna.

Mówiąc krótko – Wielki Marduk bał się.

Kiedyś nie był tak bojaźliwy. Gdy wraz z Baalem i Isztar przejmował rządy, nie czuł strachu, lecz tylko bezgraniczną pewność siebie, wynikającą z przeświadczenia, iż władza należy mu się, ponieważ jest młodszy i silniejszy. To drugie nigdy zapewne nie było prawdą. O sukcesie zdecydował wybór odpowiedniego momentu i zgodne współdziałanie trójki najśmielszych z rodzeństwa. Zrozumiał to, kiedy po raz pierwszy podjął próbę kontaktu z uwięzionym starcem. Omal nie przypłacił jej unicestwieniem. Niewiele brakowało, by cień obalonego boga zniszczył jego własny.

Od tej pory zachowywał większą ostrożność. Najchętniej zrezygnowałby całkowicie z tej wymiany rodzinnych uprzejmości, lecz to nie wchodziło w rachubę. Wierzył, że z czasem stanie się na tyle silny, by zminimalizować zagrożenie, a może nawet doprowadzi do odwrócenia sytuacji i przewyższy siłą ojca. W końcu, byłaby to naturalna konsekwencja zmiany pokoleń.

Skłonność do podejmowania ryzykownych działań stanowiła zresztą fundament, na którym wzniósł swój autorytet. Zapoczątkował to obalając Ana. Teraz nie miał już odwrotu. Musiał nadal robić to, co przekraczało możliwości jego braci i sióstr. Inaczej skrzykną się i on także wyląduje pod horyzontem zdarzeń.

Póki co jednak – pomyślał – weź się w garść, Marduku. Jesteś Najwyższym. Najpotężniejszym. Najdzielniejszym. Niepotrzebnego nie skreślać. Jeszcze długo nie.

Wprowadził kod i drzwi stanęły otworem. Zabezpieczenie było czysto symboliczne, ale na czym opiera się wiara – a także władza – jeśli nie na symbolach? Nikt zresztą spoza rodziny nie miałby tu czego szukać. Separator był zabójczy dla ludzi, toteż załoga Łodzi Milionów Lat trzymała się od niego z daleka. A pozostali bogowie dysponowali własnymi urządzeniami. Niektórzy – Marduk skrzywił się – przedkładali separację nad świat realny i łatwiej było ich spotkać w eterze, niż w ich ziemskiej siedzibie. Nałóg ten rozszerzał się niepokojąco; choć z drugiej strony, im więcej potencjalnych malkontentów wybierało życie w bezcielesności, zamiast knuć przeciwko jego władzy, tym lepiej dla niego.

Pogardzał tą skłonnością do ucieczki od rzeczywistości. Separator skonstruowano jako narzędzie, a nie kolejną używkę. Niestety, nikt nie przewidział, że jego stosowanie może prowadzić do uzależnienia.

Ciekawe, kto w tej chwili przebywa w tym na poły wirtualnym świecie? Zapewne ci sami, co zawsze – najbardziej sfrustrowani, znudzeni i słabi spośród boskiego rodzeństwa. Żałosne cienie istot, które niegdyś zdolne były do przebycia otchłani czasu i przestrzeni, a dziś nie potrafią poradzić sobie z własną wyjątkowością.

Staczymy się – przemknęło Mardukowi. Jako grupa popadamy w dekadencję. Jako rodzina już dawno przekroczyliśmy granicę patologii. Tylko patrzeć, aż wymrzemy. Czy nie o to właśnie chodzi temu śmiertelnikowi wymachującemu rapierem?

Separator wypełniał niemal całe pomieszczenie, w którym się znajdował. Był czymś w rodzaju wielkiej, ażurowej kuli wielkości niedużego pokoju, o ściankach z szerokich, połyskliwych pierścieni, krzyżujących się i przenikających, trochę na podobieństwo astrolabium, używanego przez żeglarzy.

Marduk rozebrał się do naga i wszedł do środka. Aktywował pole i poczuł jak niewidzialna siła chwyta go i unosi w powietrze. Kiedy zawisł dokładnie w osi separatora, zadziałał automat i wokół coraz szybciej jęły wirować pierścienie skanujące.

Proces oddzielania cienia od pozostałych elementów istoty, zwanej Mardukiem, rozpoczął się.

Zamknął oczy. Czuł się nieważki, ale ani trochę nie odprężony. To skutek obawy przed czekającym go spotkaniem. Na co dzień separator służył do wchodzenia w eter, co było przyjemnym przeżyciem. Musiało być, skoro niektórzy bogowie spędzali tam więcej czasu, niż w materialnych ciałach.

Marduk z chęcią by się z nimi spotkał, choćby po to, by zbadać nastroje wśród boskich malkontentów, ale miał dziś co innego do zrobienia. Musiał skierować swój cień do izolowanego fragmentu eteru, zapętlonego w osobliwość, gdzie pod horyzontem zdarzeń, bez nadziei na uwolnienie, błąkał się cień ich ojca.

Tylko to pozostało ze Stwórcy. Cień był wprawdzie elementem najważniejszym, lecz zdolnym do samoistnej egzystencji jedynie w eterze. Ciało przezornie zniszczono podczas zakońzonego sukcesem puczu. Marduka wprawdzie do dziś niepokoił fakt, że ich ojciec nie potrzebował, jak oni, separatora, by wejść w eter, co świadczyło o jego zdumiewających, przekraczających ich rozumienie zdolnościach, lecz tak czy inaczej – nie miał już do czego wracać.

Marduk nie mógł sobie pozwolić na zaprzestanie tych wizyt, bowiem to siła jego cienia stabilizowała osobliwość, zapewniając jej nieskończone trwanie.

Nikt prócz niego nie miał dostępu do pułapki. Któż zresztą chciałby tam się dostać? – pomyślał z przekąsem. Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy zabrakło

starego despoty. Poza tym, nawet najgłupszy z bogów wiedział, że ojciec jest zbyt niebezpieczny, by wykorzystać go przeciwko Mardukowi. Lepiej nie leczyć dżumy cholera.

Jak zawsze, odłączenie się cienia od ciała przebiegło niepostrzeżenie. Już nie lewitował pośrodku kabiny, podtrzymywany polem siłowym, lecz unosił się swobodnie, nie ograniczony niczym materialnym; pozbawiony wprawdzie dotyku, wzroku i słuchu, ale w zamian wyposażony w zmysły, jakich nie można nazwać w żadnym z ludzkich języków.

Dotykał pustki, słyszał kolory i widział dźwięki.

Ale co w tym dziwnego? Był najpotężniejszym z bogów. I w tym momencie naprawdę takim się czuł.

Tylko przez chwilę.

- Kto tam? Czy to aby nie mój syn marnotrawny?

- Ojciec...

- Ileż to stuleci minęło od twojej poprzedniej wizyty, Marduku? Czy świat bardzo się zmienił? Czy ludzie pamiętają jeszcze starego Ana?

- Jakie to ma znaczenie? Nigdy tak naprawdę nie interesowałeś się nimi.

- Ja ich stworzyłem.

- Byli ci potrzebni, żeby zdefiniować samego siebie. Stanowili rezultat twojej młodzieńczej pasji eksperymentowania. Potem pozostawiłeś ich własnemu losowi. Wyrzuciłeś zabawkę do kąta. Dopiero my zaczęliśmy ich zmieniać. Na lepsze.

- Tak, słyszałem to już. Mówiąc: my, masz zapewne na myśli tę twoją juntę. Co u Isztar? Nadal gustuje w nieokrzesanych brutalach i ukrywa pod makijażem siniaki? Ją lubiłem najbardziej z waszej trójcy. A Baal? Wciąż sterydy zastępują mu ambrozję?

- To twoje dzieci. Kpiąc z nich, jakbyś kpił z samego siebie.

- Hm, rzeczywiście, może nie powinienem. Są tacy, jakimi ich stworzyłem. Nie ich wina, że nie zawsze przykładałem się do tego, co robiłem... Ale ty mi się udałeś, Marduku. Rzekłbym, że nawet za bardzo...

- Nie uda ci się mnie obrazić.

- Marduku, chłopcze, skąd u ciebie ta zgorzkniałość? Więcej poczucia humoru. Ja siedzę w więzieniu, a mimo wszystko potrafię dostrzec dobre strony tej sytuacji. Na przykład to, że nie muszę już zastanawiać się, kto z was pierwszy – jeśli wybaczysz mi to określenie – wbije mi nóż w plecy. To duża ulga.

- ...

- Milczysz? No tak, co tu gadać. Obaj wiemy, że to mogłeś być tylko ty. Nie musiałem się nad tym zastanawiać. Inni nie mają dość rozumu, by pojąć, że

to, co wydaje się nieosiągalne, najczęściej wcale takie nie jest. Pytanie brzmiało jedynie: kiedy ty to pojmiesz?

- Zawsze to wiedziałem. Ale nikt nie wbił ci noża w plecy. Wciąż istniejesz.

- Naprawdę?

- Istnieje najważniejsza część ciebie. Nawet ty musisz przyznać, że okazaliśmy się wspaniałomyślni. Mogło być gorzej.

- O, tak, przyznaję. Podziwiam was. Mówię szczerze, bo znam siebie i wiem, że wy nie moglibyście liczyć na moją wyrozumiałość, gdyby udało mi się stąd uwolnić. Niestety, jest to, rzecz jasna, niemożliwe, prawda?

- Absolutnie.

- Tak też sobie od początku powtarzam. Trzeba pogodzić się z porażką. Zresztą, w końcu wszystko zostanie w rodzinie, ha ha...

- Jakoś nie bardzo się tym przejmujesz.

- Przywilej wieku, drogi synu. Z perspektywy wieczności czymże jest chwilowa niedogodność?

- Chwilowa?

- Och, wybacz starcowi to o s o b l i w e przejęzyczenie. Oczywiście wiem, że spędzę tu resztę... życia, że się tak wyrażę.

- ...

- Znów milczysz. Co z tobą, Marduku? Kiedyś nie zapominałeś tak łatwo języka w gębie. Czyżbyś czegoś się obawiał? Teraz widzisz, czym jest władza. To nieustanny strach przed jej utratą. A co gorsza, kiedy raz ją chwyciłeś, nie możesz jej już tak po prostu oddać. Ani temu, komu ją wydarłeś, ani tym, którzy chętnie wydarliby ją tobie. Cokolwiek zrobisz, będziesz tego żałował.

- Daruj sobie to kazanie, ojczu. Nie jestem jednym z twoich dawnych wyznawców. Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to najrozsądniejszym wyjściem jest utrzymanie władzy i to właśnie zamierzam zrobić. Nawet ty mi w tym nie przeszkodzisz. Nie boję się ciebie. Byłbym głupcem, przychodząc tu bez podjęcia odpowiednich środków ostrożności. Nie udało ci się mnie zniszczyć za pierwszym razem, tym bardziej nie uda ci się teraz.

- Nie chciałem cię zniszczyć, mój synu. To był odruch. Jednak nie wyrządziłem ci krzywdy.

- Nie zdążyłeś. Teraz też nie zdążysz, jeśli spróbujesz. Separator jest tak ustawiony, by przy najmniejszym zakłóceniu pola przerwać połączenie. Zadziała natychmiast.

- Twoja wiara w potęgę techniki jest doprawdy zdumiewająca...

- Co przez to rozumiesz?!

- Spokojnie, Marduku. Nie zamierzam ścigać się z automatem. Mam na myśli tylko to, że pochodzimy z dwóch różnych epok. Być może w porównaniu z wami, młodymi, można by mnie nawet nazwać jaskiniowcem z epoki kamiennej. No, ale nie powinniśmy się nawzajem straszyć. A w każdym razie

mnie wypada być bardziej gościnnym; jestem tu w końcu gospodarzem, ha ha... Chętnie posłucham, z jaką sprawą przyszedłeś.

- No cóż... Pojawił się pewien człowiek. Dysponuje umiejętnościami, których nie powinien posiadać. Oczywiście, nie stanowi żadnego zagrożenia. Został już ujęty i wkrótce podąży tam, gdzie wszyscy śmiertelnicy. Intryguje mnie jednak, skąd wzięły się jego zdolności. Czegoś takiego nie można się nauczyć. Ktoś go nimi obdarzył. Przychodzi mi do głowy tylko jeden dobroczyńca, choć przyznaję, że wydaje się to niemożliwe.

- I takie jest, Marduku. Nic o tym nie wiem. Jestem przecież twoim więźniem. Ale to ciekawe, co mówisz. Człowiek, który załazł bogom za skórę... No, no. Nie ma mnie tylko chwilę i proszę... Co się na tym świecie porobiło?

- Twój sarkazm mija się z celem, ojczy. Ze światem jest wszystko w porządku. O wiele lepiej, niż było. W pełni panujemy nad sytuacją.

- Zatem co tu robisz? Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle?

- Przyszedłem do ciebie nie po to, by cię prosić o radę, lecz, żeby cię ostrzec. Jeśli w jakiś sposób – choć nie mam pojęcia, w jaki – maczasz palce w tej sprawie, wiedz, że pierwsze, co zrobię, kiedy się o tym upewnię, to każę zlikwidować połączenie z tobą. To jedyny kanał. Zostaniesz sam.

- Żeby mieć pewność, powinieneś zlikwidować mnie.

- Powiniennem. I może tak zrobię.

- ...

- Co w tym śmiesznego?

- Czyżbym się śmiał?

- Nie muszę słyszeć, żeby wiedzieć, że się śmiejesz!

- Marduku, Marduku... Groźby nie wychodzą ci, tak samo jak dowcipy. Właściwie trudno je od siebie odróżnić. Nigdy nie miałeś poczucia humoru. Zawsze byłeś sztywniakiem, który brał wszystko na serio, nawet jeśli inni pękali ze śmiechu. Ale to nie twoja wina, że myliłeś powagę z posępnością. To ja musiałem popełnić gdzieś błąd. Jako mój najukochańszy syn miałeś być doskonały, pozbawiony wad i słabości, wolny od emocjonalnego chaosu. Zapomniałem, że brak wad sam w sobie jest słabością. W rezultacie nie rozumiesz tych, którzy się nimi kierują, a więc nie dostrzegasz grożącego ci z tej strony niebezpieczeństwa.

- Nie jestem ślepy na przywary moich braci i siostr. Na twoje zresztą także.

- Nauczyłeś się je widzieć, owszem. Tak jak dzieci uczą się, że to, co u dołu jest wąskie i brązowe, a górą szerokie i zielone, to drzewo. Znasz nazwy i potrafisz je przyporządkować do konkretnych cech, ale w gruncie rzeczy jest to czynność czysto mechaniczna. Słowa takie, jak: radość, rozpacz czy miłość nie budzą w tobie żadnych emocjonalnych skojarzeń.

- Chcesz powiedzieć, że jestem upośledzony?

- Jak my wszyscy; każdy na swój sposób. Pamiętaj o tym.

- Może i nie rozumiem cudzych słabości, ale potrafię rozpoznać groźbę.

- Świetnie. Ta umiejętność będzie ci potrzebna.
- Nie w tym przypadku, ojcie. Potrafię też rozpoznać p u s t ą groźbę.
- Powiedziałeś: pustą?
- Owszem. Ja...
- ...
- Ojcie! Co robisz?
- ...
- Nawet nie próbuj! Mówiłem ci, że najmniejsze zakłócenie pola spowoduje przerwanie kontaktu... Nie rób tego! Przestań!
- ...
- Nie!!!
- Ha ha... Ha ha... No, już dobrze, synu. Do zobaczenia następnym razem. Przynies piwo i orzeszki! Ha ha...

Wielki Marduk natychmiast pobiegł do kabiny, gdzie nawet bóg chodzi piechotą, i pozostał tam bardzo długo. Wyszedł blady i roztrzęsiony.

Jako cień odczuwał strach, jak każda myśląca istota, ale powrót do ciała był stokroć gorszy – do głosu dochodziła bowiem także fizjologia. A strach potrafi być niezwykle cielesny.

Trzeba będzie kiedyś wymyślić sposób na całkowite pozbycie się tego worka łajna i płynów ustrojowych, pomyślał. Nic dziwnego, że niektórzy woleli ucieczkę w bezcielesność.

Ubrał się dopiero wówczas, kiedy uzyskał pewność, że sensacje żołądkowo-jelitowe minęły. Przeklęty starzec! Chciał go zabić, czy tylko się nim bawił? Czym była jego siła? Skąd wiedział o osobliwości? Umysł pozbawiony dopływu informacji z zewnątrz nie jest w stanie rozpoznać swojego położenia.

Najwyraźniej ten, kto sformułował to prawo, nigdy nie spotkał Ojca.

Lecz to Marduk, nie An, żył prawdziwym życiem. I nadal był Najpotężniejszym. W każdym razie po tej stronie horyzontu zdarzeń.

10

Nie zabili go. Przywrócili mu, co prawda, przytomność kopniakami i ciosami pałek, ale tak miarkowanymi, by nie wyrządzić mu krzywdy. Najwyraźniej nakaz zachowania go przy życiu był silniejszy od chęci zemsty.

Dzięki bogu, mógłby rzec.

Powiatowy areszt był na ogół dość spokojnym miejscem, ale nie teraz. Zamieszanie, którego Krest stał się przyczyną, przypominało najazd wrogiej armii na senne miasteczko. Kilkunastu knechtów pod bronią okupowało budynek magistratu, w którego skrzydle mieścił się komisariat. To nie byli wiejscy milicjanci, z trudem odróżniający pikę od cepa, tylko sękaty typy, zaprawione w bojach; w większości zdemobilizowani weterani.

Wszystko wskazywało na to, że można Baal odwiedził go w tajemnicy. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. W celi znaleziono tylko martwego strażnika i dziurę w ścianie, którą uznano za rezultat walki. Krest został w odwecie poturbowany, ale buńczuczność knechtów wyraźnie podszyta była obawą i ostrożnym szacunkiem.

Nadzieja, że zostanie przesłuchany, co dałoby może okazję do dokonania przekupstwa, szybko się rozwiała. Najwyraźniej nikt nie zamierzał z nim rozmawiać. Polecenie doprowadzenia go do Babilonu musiało być jasne i poparte odpowiednią motywacją. Zapewne Baal nie kłamał twierdząc, że sam Wielki Marduk zapragnął spotkać się z Zabójcą Bogów.

I wzajemnie, pomyślał Krest. Boże dawno minionych dni, jestem gotów na to objawienie. A ty?

Kiedy wyciągnęli go z aresztu na światło słońca, ból omal nie rozsadził mu czaszki. Czuł się jak po wypiciu paru szklanicy sarmackiej okowity. Co za świństwo zaserwował mu ten łajdak, wójt? Może wodę ze swojego wodociągu?

Rzucili go na wóz, zaprzężony w dwa woły; między skrzynie i pakunki. Zapewne, korzystając z obecności tak dużej grupy zbrojnych, zamożni mieszkańcy powierzyli im co cenniejsze przesyłki. Na ławkach zasiadło czterech krzepkich knechtów; reszta sformowała kolumnę otaczającą wóz. Tylko dowódca miał jechać konno wiodąc za sobą Wędrowca. Krest poczuł ulgę. Obawiał się, że nakaz doprowadzenia go do Babilonu nie obejmuje konia. Wędrowiec był osiodłany; Krest dostrzegł też rapier przypięty do lewego boku wierzchowca, niczym kawalerski koncerz. Najwyraźniej ten, kto to uczynił, miał kiepskie pojęcie o sposobie posługiwania się tą egzotyczną bronią.

Zapowiadała się długa podróż. Do Babilonu mieli dotrzeć dopiero za trzy dni. Krest nie wiedział, gdzie będą zatrzymywali się na noc; zależało to od trasy, jaką wybiorą jego konwojenci. Tak czy inaczej, nie sądził, żeby miejsca

noclegów cokolwiek zmieniły w jego sytuacji; na pojawienie się sposobności do ucieczki nie warto było liczyć.

Na odkrytym wozie upał dawał się we znaki już od samego rana. Krest ułożył się możliwie wygodnie między twardymi pakunkami, lecz na palące słońce nic nie mógł poradzić. Jedyne pocieszenie stanowił widok knechtów, smażących się w swoich pancerzach. Za kilka godzin będą zupełnie wykończeni. Gdyby miał nieco więcej swobody ruchów i rapier pod ręką... Ale nie miał.

Zanim ruszyli dobiegły go odgłosy szamotaniny. Kilku strażników wlekło jakiegoś spętanego człowieka, który rzucał się i kłął siarczyście. Krest omal nie wybuchnął śmiechem. Miał dobrą pamięć do osób, które weszły mu w drogę. Zwłaszcza gdy ponowne spotkanie następowało tak szybko.

Knechci dźwignęli krewkiego osobnika i cisnęli na wóz. Zabrzęczały kajdany.

- Witaj, Nesyjczyku – przywitał go Krest.

- Na Teszuba! – wykrzyknął Mursilis. – Co Zabójca Bogów robi w takim miejscu? Nie wyglądasz na pasażera; chyba że przyłapanego na jeździe na gapę.

- A co ty robisz w takim miejscu? Skończyła ci się żywność, którą mi ukradłeś, i chciałeś ograbić kogoś bardziej spostrzegawczego?

Mursilis roześmiał się.

- Prawdę mówiąc, chodziło mi o zdobycie dobrego konia. Ale miałem pecha. Kiedy go zabrałem sprzed karczmy, spłoszył się i poniósł niezupełnie w stronę, w którą chciałem jechać.

- To znaczy?

- Prosto na patrol straży gminnej. Koń należał, niestety, do miejscowego oficjela. Strażnicy, swoje chłopcy, pomogli mi go okiełznać, ale przy okazji zauważyli czyje piętno nosi. No, a ponieważ list gończy za mną wystawiono w samym Babilonie, więc postanowili mnie tam odtransportować, by pozbyć się problemu i papierkowej roboty. Naprawdę nie wiem dlaczego przylepili mi łatkę recydywisty.

Krest z rozbawieniem pokręcił głową.

- Po co ci koń? Mojego też chciałeś ukraść, a przecież wyglądasz na piechura.

- Bo nim jestem. Po prostu podjechałbym do najbliższego miasta na koński targ. Potem znów byłbym piechurem, tyle że z gotówką w kieszeni. Bez urazy, Zabójco.

- Nie udało ci się, więc nie ma sprawy.

- I nie będzie. Trzeci raz już nie spróbuję. Najwyraźniej nie jest mi to dane. Trzeba pogodzić się z wyrokami Opatrzności. Może nawet warto trochę

jej się podlizać? Jak myślisz, będzie mi zapisane, jeśli przeproszę cię za twojego konia?

- Złotymi zgłoskami. Jednak nie jestem pewien, czy złoto w takiej formie cię usatysfakcjonuje.

- Nie wiem, jak zabijasz bogów, ale nie zdziwiłbym się, gdybyś to robił samą złościwością. Uważaj, bo możesz też zabić naszą, rodzącą się właśnie, przyjaźń.

- Ten poród jakoś umknął mojej uwadze, choć bezustannie myślę o przyjaciółach. I o wrogach.

- Przecież nie masz ani jednych, ani drugich. Ci drudzy nie żyją, a ci pierwsi jeszcze się nie narodzili!

Krest nie mógł się nie uśmiechnąć. Nesyczyk był draniem, za którego uczciwość nie dałby złamanego grosza, ale miał szelmowskie poczucie humoru. Byłby niezłym kompanem; należałoby tylko pamiętać, by nie wodzić go na pokuszenie, zbyt często odwracając się plecami.

Kapitan Assurbalit pocił się w ciężkim, łuskowym pancerzu, obserwując z rezygnacją słońce. Wciąż zdawało się stać w zenicie, choć powinno już rozpocząć wędrówkę w dół. W normalnych warunkach przeczekaliby najgorętsze godziny w cieniu, lecz rozkaz był wyraźny – najszybciej, jak to możliwe, dostarczyć do Babilonu więźnia, zwanego Zabójcą Bogów. Inna sprawa, to określenie granic możliwości. Dwadzieścia lat służby w polu nauczyło go, że pogląd na tę kwestię ludzi, którzy rozkazy wydają, różni się diametralnie od poglądu tych, którzy je wykonują. Ale był tylko kapitanem; jego opinia nikogo nie interesowała.

Jako dowódca musiał dopilnować wykonania rozkazu, był jednak też odpowiedzialny za bezpieczeństwo swoich ludzi. A bezpieczeństwo malało wraz ze wzrostem temperatury. Kiedy hełm rozgrzewa się do czerwoności, trudno skupić uwagę na otoczeniu.

Początkowo podążali traktem wzdłuż jednej z odnóg Eufratu. Monotonię pól z rzadka tylko urozmaicały oliwne i palmowe zagajniki. W tym dobrze nawodnionym regionie szczególną popularnością cieszyła się uprawa ryżu – egzotycznej rośliny przywiezionej z dalekiego cesarstwa C'in. Assurbalit nie cierpiał tej białej papki, dobrej, jego zdaniem, do karmienia niewolników. Był Asyryjczykiem; prostota i surowość przodków dawały o sobie znać niechęcią do wszystkiego, co nowomodne i dekadentkie.

Odruchowo pogładził dłonią bujną brodę. Zapamiętał ją celowo, by upodobnić się do wizerunków dawnych asyryjskich królów. Traktował to jak narodowy manifest, choć nie miał złudzeń co do śmieszności tej demonstracji. Oto przecież sam służył Chaldejczykom, którzy niegdyś złamali asyryjską potęgę i uczynili z kraju nad Tygrysem podrzędną prowincję.

Nienawidził ich, to prawda. Lecz wolał walczyć dla imperium, niż walczyć o przetrwanie w zapomnianej przez bogów, popadającej w ruinę Niniwie.

Krajobraz zmieniał się. Droga, biegnąc prosto, zaczęła oddalać się od rzeki, zataczającej wielki łuk. Stopniowo pola ustąpiły miejsca łąkom, a te z kolei bagnom. Tu wody było aż nadto. Prawdopodobnie obszar ten stanowił część starorzecza Eufratu. Kiedyś musieli żyć tu ludzie. Niektóre ciekłe wodne miały zbyt regularnie ukształtowane koryta jak na zwykłe strumienie; mogły to być zaniedbane od stuleci kanały. W gęstym kożuchu roślin, pokrywającym powierzchnię moczarów, dało się miejscami dostrzec pozieleniałe od mchu, zwietrzałe resztki kamiennych zabudowań.

Jeśli ktokolwiek, to jedynie bogowie pamiętali jeszcze, kto i kiedy tu mieszkał.

Koń kapitana nadepnął na coś, co przełamało się z chrzęstem. Assurbalit zerknął w dół i ujrzał kilka skorup jakichś starych naczyń.

Obejrzał się na swoich ludzi. Nie byli słabeuszami, jednak marsz w pełnym słońcu nawet weteranom mógł dać się we znaki. Wiedział, że nie oczekują od niego słów zachęty bądź pocieszenia; znany był ze swej oschłości, graniczącej z bezwzględnością. Mimo to postarał się, by w jego spojrzeniu błysnął cień aprobaty dla ich dzielnej postawy. Zresztą, naprawdę był z nich zadowolony. Nikt się nie skarżył; nikt nie zostawał w tyle. To dzięki takim jak oni Wielka Chaldeja mogła stać się tak wielka.

Tylko czy właśnie on powinien być za to wdzięczny?

Podążali wzdłuż szerokiego kanału, czy może raczej rozlewiska o stojącej, ciemnej wodzie. Trudno było dostrzec jego brzegi, gdyż porastające je gęste trawy i trzciny niemal niezauważenie przechodziły w trzęsawisko. Wóz ledwo się mieścił na ścieżce nie szerszej niż kilka łokci. Kto i kiedy ją wydeptał – nad tym Assurbalit przestał się już zastanawiać.

Po lewej stronie mieli splątany gąszcz wysokich trzciny. Drzewa, z rzadka rozrzucone, czepiały się skrawków twardszego podłoża. Ich korony o małych liściach niemal nie dawały cienia. Słońce podniosło z bagna biały opar, sięgający końskiego brzucha, przez co wydawało się, że wierzchołek kroczy w chmurach.

Assurbalit aż wzdrygnął się, kiedy z pobliskiego drzewa poderwało się z krzykiem stadko ptaków.

- Jak tam więźniowie, Kalamdugu? – zawołał do dziesiątnika, by przerwać ciszę.

Dziesiątnik kopnął Kresta w biodro i uśmiechnął się, kiedy ten otworzył oczy.

- Wszystko w porządku, kapitanie! Wygodniej im, niż nam.

- Tak to bywa w naszym zawodzie. Ale do czasu, Kalamdugu. Do cza...

Dudniący ryk sprawił, że urwał. Wszyscy spojrzeli w stronę nieodległych zarośli. Patrzyła na nich stamtąd męska twarz o długiej, wymyślnie trefionej brodzie. Czoło zdobiła wysoka tiara.

Twarz mogłaby należeć do człowieka, gdyby nie to, że przy zachowaniu odpowiednich proporcji człowiek ten musiałby mieć dziesięć stóp wzrostu. Dopiero po kilku chwilach kapitan pojął, czym są dziwne, wygięte struktury obejmujące tiarę. To były ogromne, podwójne rogi; po parze z każdej strony czaszki.

Już wiedział. Nieznajomy mierzył nie dziesięć, ale prawie piętnaście stóp. Tyle, że w poziomie.

Z ludzkich na pozór ust wydobył się potężny ryk i zwierzęca wściekłość zniekształciła rysy bożka. Istota nie wyszła z zarośli, lecz przedarła się przez nie, niczym teutońska machina wojenna. Demon *lamassu* - nadnaturalnej wielkości byk z głową człowieka i skrzydłami orła - wałąc mocarnym kopytem w ziemię gotował się do ataku.

Koń kapitana, śmiertelnie przestraszony wonią i rykiem potwora, zatańczył na ścieżce, poślizgnął się i stracił równowagę, rżąc przeraźliwie. Wokół podniósł się krzyk. Assurbalit usiłował zeskoczyć z siodła, lecz stopa uwięzła mu w strzemieniu i koń, padając, pociągnął go za sobą. Z potężnym pluskiem runęli między trzciny.

Pociągając za sobą Wędrowca.

Krest wrzasnął. Roztrącając knechtów przesadził burtę wozu i ignorując ciężar łańcuchów rzucił się ku swemu koniowi. Wpadł po pas w bagno, lecz zdążył chwycić za lejce, którymi Wędrowiec przywiązany był do łęku siodła kapitana Assurbalita.

Kapitan i jego koń tonęli. Wierzchowiec rzucał się rozpaczliwie, co jeszcze bardziej pogarszało sytuację. Assurbalit zachował tyle przytomności umysłu, by wyjąć nóż i przeciąć lejce Wędrowca. Następnie uwolnił nogę i usiłował odsunąć się od swojego konia, dla którego nie było już ratunku. Nie zdążył. Przypadkowe kopnięcie trafiło go w głowę. Oszołomiony znieruchomiał, a bagno, niczym żywa istota, wyciągnęło po niego setki dłoni.

Krest, na ile pozwalał mu luz łańcucha, sięgnął drugą ręką ku kapitanowi. Zdołał chwycić kołnierz jego kaftana, zanim nad tamtym zamknęła się szara breja. Jednak w rezultacie sam zaczął się zapadać.

- Zostaw go! – krzyknął z wozu Mursilis. – Nie ma na to czasu!

Wędrowiec zarżał w proteście, kiedy Krest uwiesił się na lejcach, obciążony dodatkowo ciałem kapitana.

- Dalej, koniku – zachęcił Krest. – Nazad!

To było teraz jego jedyne oparcie. Pod stopami nie czuł już twardego gruntu. Głowa kapitana zniknęła pod powierzchnią trzęsawiska, a i jemu pozostało niewiele czasu.

Wędrowiec usiłował się cofnąć, lecz ślizgał się po grząskim podłożu. Ścieżka również była zbyt rozmokła, by koń mógł na niej się zaprzeć. Niemal przysiadł na zadzie, a spod jego kopyt leciały bryzgi gliniastej ziemi i płaty darni.

Wszystko na próżno.

Krest poczuł na szyi chłód wody. Powinien puścić kapitana. Lecz instynkt samozachowawczy akurat zrobił sobie wolne.

- Na co czekasz, Nesyjczyku?! – wrzasnął. – Jeśli utonę, będziesz musiał stawić czoła temu potworowi. Tu nie ma dokąd uciec. Potrafisz go zabić? Myślisz, że żołnierze to zrobią? Wszyscy tkwimy w bagnie po uszy.

- Pogratulować przenośni – warknął Mursilis i zeskoczył z wozu. – Boki zrywać.

Knechci rozbiegli się w panice. Kalamdug wykrzykiwał rozkazy, usiłując zorganizować obronę. Klnąc i rozdając kuksańce spędził w końcu swoich ludzi i

sformował z nich linię w poprzek traktu. Nie wierzył w skuteczność oręża przeciwko stworowi. Liczył jednak na to, że powstrzyma go widok tylu uzbrojonych i gotowych do walki żołnierzy.

Mursilis chwycił Wędrowca za popręg, obejmując jednocześnie nogami koło wozu. Napiął mięśnie. Miał nadzieję, że jego poświęcenie zostanie mu policzone tam, na górze, gdy nadejdzie czas – pewnie nieodległy – rozstania się z tym padołem. Jeśli, rzecz jasna, Zabójca Bogów nie zdąży do tego czasu uczynić z nieba kompletnej pustyni.

A swoją drogą, kto będzie sądził ludzi po śmierci, kiedy nie będzie już bogów?

Ten ciekawy problem filozoficzny zaprzątał go przez jakąś sekundę. W następnej zdarzyło się kilka rzeczy naraz. *Lamassu* ryknął i runął na ludzi, a jego kopyta wprawiły w drżenie ziemię. Bojowy okrzyk knechtów jeszcze nie przebrzmiał, kiedy zakłócił go wrzask przerażenia i bólu. Byk przebił się przez nich, jak przez słomianą matę, łamiąc włócznie i tratując tych, którzy nie zdążyli zejść mu z drogi.

Mursilis przelał wszystkie siły w jedno potężne szarpnięcie za popręg, a potem puścił go, odepchnął się od koła i odtoczył w trawę. Niemal w tej samej chwili wóz z trzaskiem wyleciał w powietrze, uniesiony jednym ruchem mocarnego byczego karku. Przekoziółkowawszy spadł w bagno, błyskawicznie znikając pod powierzchnią.

Lamassu pognał dalej, niczym przerośnięty bawół, zbyt rozpędzony - i zbyt tępy - by się natychmiast zatrzymać.

Desperacka próba Nesyjczyka okazała się zbawienna. Wędrowiec zdołał zaledwie na mgnienie znaleźć oparcie dla kopyt, ale to wystarczyło. Raz wbiwszy je w twarde grunto, już nie pozwolił, by się ześlizgnęły. Wspomógł go Mursilis ponownie łapiąc za popręg. Ich połączony wysiłek sprawił, że najpierw głowa Kresta, a zaraz potem Assurbalita, wychynęły nad powierzchnię trzęsawiska.

Zabójca Bogów otworzył oczy i skierował błękitne tęczówki prosto na Nesyjczyka.

- Ile mamy czasu? – zapytał spokojnie.

- Jeśli nie wyciągnę was w ciągu minuty, to będziemy mieli całą wieczność!

- Więc nie obijaj się.

Mursilis prychnął. Co za charakter! Nic dziwnego, że Demon z Rapieniem chce zniszczyć bogów. Z takim podejściem do życia i ludzi nie miałby szans nie tylko na niebo, ale nawet na czyściec.

Krest, poczuwszy pod stopami twardszy grunto, pomógł im, gramoląc się niemal o własnych siłach na brzeg rozlewiska. Nie miał pojęcia, czy kapitan, którego uparcie włókł za sobą, jeszcze żyje. Ale i tak by go nie porzucił. Nic nie było w stanie skłonić go do zmarnowania wysiłku Wędrowca. A także Nesyjczyka – choć tylko koń robił to całkowicie bezinteresownie.

Mursilis spojrział na ciało kapitana.

- Nie żyje. Mówiłem, żebyś go zostawił.

Lecz Assurbalit żył. Leżał na brzuchu, do pasa wyciągnięty z wody. Zakasłał raz i drugi, po czym zwymiotował coś, co przypominało szlam z dna zanieczyszczonego stawu. Torsje ustały dopiero po dobrej chwili.

Był twardym człowiekiem. Choć aż drżał z wysiłku, usiadł, by ocenić sytuację. Jego oczom ukazało się pobojuwisko. Potwór zabił kilku knechtów, a dwóch czy trzech było rannych. Reszta zbiła się w przerażoną gromadkę, pozbawioną zarówno możliwości ucieczki, jak i nadziei na przeżycie.

Assurbalit nie należał do głupców. Nie mieli szans w starciu z *lamassu*. Nie mógł narazić swoich ludzi na bezsensowną śmierć.

Zwrócił spojrzenie na Kresta.

- Jesteś Zabójcą Bogów. Czy zdołasz go zabić?

Krest wykrzywił wargi w drapieżnym uśmiechu.

- Zabić nie.

Assurbalit uniósł brwi.

- Ale mogę sprawić – dodał Krest – że odejdzie w niebyt.

Wzrok kapitana zdradzał dezorientację, ale stary żołnierz mimo wszystko pojął konkluzję.

- Kalamdugu! – zawołał. - Zdejmijcie mu kajdany. Szybko!

Dziesiątnik nadbiegł z kluczem i po chwili Krest był wolny. W głębi traktu *lamassu* już zawracał. Krest wyszarpnął z pochwy rapier, ale nie zamierzał dosiadać Wędrowca. Wolał stanąć przeciwko bykowi pieszo. Czyż nie tak robią to w Iberii?

- Usunście się – powiedział do kapitana. – Nie pomożecie mi, a będziecie tylko przeszkadzać. Weźcie mojego konia.

Spojrział z namysłem na Mursilisa.

- Dobrze strzelasz?

- Najlepiej.

- Zdasz naładować muszkiet, kiedy ja go trochę zajmę?

- Trudno powiedzieć.

- Więc będziesz musiał się pospieszyć... Jego też uwolnijcie – zwrócił się do Assurbalita.

Kapitan skinął głową i dziesiątnik zdjął z Mursilisa łańcuchy. Jeden z żołnierzy dźwigał muszkiet Nesyjczyka; teraz oddał mu go. Mursilisowi ukochana broń wydała się nagle śmieszna.

- Może z nim pogadasz? – zasugerował. - W końcu jesteś Zabójcą Bogów. W pewnym sensie macie ze sobą wiele wspólnego...

Krest obrócił na niego ciężkie spojrzenie.

- Więcej wspólnego mają ze sobą dzień i noc, Nesyjczyku. Zresztą, to tylko bezrozumne bydlę. Nawet jeśli umie mówić, to nie ma o czym z nim rozmawiać.

- Szkoda.

- Wręcz przeciwnie. Instynkt łatwiej pokonać, niż rozum.

Lamassu jakby ich słyszał. Opuścił głowę i patrzył bykiem na dwóch ludzi.

Knechtom nie trzeba było powtarzać, by się usunęli. Wszyscy ocalali zeszli ze ścieżki tak głęboko w bagno, jak to było możliwe. Kalamdug prowadził Wędrowca, zaś jeden z żołnierzy pomagał iść kapitanowi Assurbalitowi.

Byk nawet na nich nie spojrzał.

Zabójca Bogów nie spuszczał z niego oczu, jakby mocował się z nim wzrokiem. Po chwili na usta człowieka wypełził pogardliwy uśmiezek.

- Lepiej go nie prowokuj – bąknął Mursilis.

- A ty lepiej naładuj muszkiet.

Nesyjczyk sięgnął po proch, by rozpocząć zmundną procedurę przygotowywania prymitywnej strzelby do strzału. Ten ruch jakby przełamał czar, powstrzymujący stwora od ataku. *Lamassu* ryknął wściekle i runął na śmiałków.

Zabójca Bogów nawet nie drgnął. Jedyne ostrze rapiera zatańczyło nieznacznie w powietrzu wypisując jakieś tajemnicze zaklęcia, a może po prostu niecenzuralne słowa.

Mursilis wysiłkiem woli powściągnął chęć zanurkowania pod powierzchnię bagna. Stłumił drżenie rąk i usiłował skupić się na czynnościach bezsensownych z punktu widzenia ocalenia życia. Bowiem już wiedział, że nie zdąży. Nie wiedział za to, co go powstrzymuje od ucieczki: wiara w możliwości Kresta czy głupota.

Był dobry, ale nie na tyle, by naładować muszkiet w pół minuty. Nikt nie był aż tak dobry. Mimo to, miał pewność, że pobije swój rekord. Rezultat będą mogli wypisać mu na nagrobku.

To tylko bezrozumne bydlę... Krest powtarzał sobie w duchu te słowa jak mantrę. Nawet nie brakujące ogniwo ewolucji, bo ewolucja nie mogłaby stworzyć czegoś tak nonsensownego.

Czyżby kreacjonizm górą?

Bydlę, tak, z pewnością. Żadna istota rozumna nie byłaby tak głupia, by biec prosto na człowieka z nagim ostrzem w ręku. Choć *lamassu* ponad dwukrotnie przewyższał wielkością byki zabijane na arenach Iberii, rozumu musiał mieć nie więcej, niż one.

Ale nawet w jego małym mózdzku powinno zaświtać podejrzenie, że ma przed sobą Demona z Rapierem. Widocznie nie czytał gazet.

Oczy bożka świdrowały Kresta, jakby nic poza nim nie istniało. Ziemia jęczała pod ogromnym cielskiem. Krest, trwając wciąż w bezruchu, przygotował

się do zmiany pozycji. Jego szybkość przeciwko masie. Inteligencja przeciw instyktowi.

Teraz!

Nim uskoczył tuż przed nosem szarżującego potwora, zdążył posłać kopniakiem Mursilisa w trzciny. Miał nadzieję, że Nesyjczyk nie był akurat w trakcie umieszczania lontu nad panewką z prochem. Widać nie, bo nic nie wybuchło; usłyszał tylko stłumione przekleństwo. Kiepskie podziękowanie za uratowanie życia.

Kiedy byk mijał Kresta, ten zadał pchnięcie, szybkie jak użądlenie osy. Ostrze weszło w podbrzusze, tuż za kręgami, i zaraz się cofnęło. Na wszystko Krest miał nie więcej, niż ułamek sekundy. Gdyby nie zdążył wyjąć klingi, impet wyrwałby mu ją z ręki.

W przypadku normalnego zwierzęcia cios byłby zapewne śmiertelny; to cielsko jednak miało rozmiar słonia. Krest nie był pewien, czy ostrze w ogóle sięgnęło jakiegoś żywotnego organu. A o przebicciu serca, bez ryzyka utraty rapiera, nie mógł nawet marzyć.

Lamassu przegalopował jeszcze kilkanaście metrów, po czym zatrzymał się i odwrócił. Potrząsnął łbem – czy też może głową? – i zaryczał. Krest nie wiedział – z bólu czy z wściekłości. Jedyłą oznaką odniesionej rany była krew barwiąca trawę.

Wszystko to przypominało parodię walki byków. Co prawda, uśmiechnął się ponuro Krest, z czerwoną płachtą byłoby bardziej widowiskowo.

Stwór ruszył tym razem bez walenia kopytem w ziemię, za to z rozłożonymi szeroko skrzydłami. Potężne, lecz nie na tyle, by unieść taki ciężar w powietrze, stanowiły raczej zawadę, niż pomoc. Jeszcze jeden dowód na to, że całość była bardziej obliczona na efekt, niż efektywna. Stwórca – kimkolwiek był – nie sądził zapewne, by znalazł się człowiek skłonny poddać jego dzieło testom wytrzymałościowym.

Jeśli byk liczył, że zaskoczy przeciwnika, musiał być naprawdę mało roztępny. Krest bez wysiłku usunął mu się z drogi, przykucnął i wyprowadził swoje ulubione cięcie w ścięgno Achillesa. Skutek był natychmiastowy.

Tylna noga *lamassu* załamała się pod nim. Olbrzym potknął się, przewalił na bok i przez kilka chwil szorował po ziemi, miażdżąc na swojej drodze trawę i trzciny. Krest obserwował to z zaciekawieniem; jeszcze nie miał równie żalostnego boskiego przeciwnika.

Większość z tych, których dotąd zabił, sprawiła mu spory kłopot. Kilkoro omal nie zabiło jego. Tym razem wyciągnął szczęśliwszy los. Widocznie zasłużył na bonus w swojej grze z niebem.

Byk częściowo zsunął się ze ścieżki w trzęsawisko. W połączeniu z raną nogi unieruchomiło go to dość skutecznie; przynajmniej na chwilę.

Krest bez pośpiechu podszedł do potwora. Chwila to wieczność dla śmiertelnika, który niesie śmierć, zaś wieczność to chwila dla nieśmiertelnego, który ma umrzeć.

Na posągowej, brodatej twarzy malował się cały katalog uczuć; ludzkich i nieludzkich. Wśród nich nietrudno było rozpoznać wściekłość, strach i żądę mordu. *Lamassu*, widząc zbliżającego się człowieka, podjął desperacką próbę dźwignięcia się na nogi. Wierzgając kopytami i bijąc skrzydłami usiłował wyciągnąć tylną część ciała na twardszy grunt, ale pogorszyło to tylko sytuację. Zapadł się głębiej, a jedno skrzydło wyglądało na złamane.

Krest zatrzymał się poza zasięgiem przednich kopyt. Pokręcił głową.

- Co za chora wyobraźnia stworzyła cię, przyjacielu? Nawet ja wiem, że nie da się skrzyżować przeżuwacza z drapieżnikiem.

Groteskowa hybryda człowieka, orła i byka, pokonana i bezradna, mogła wzbudzać jedynie litość. Zabójca Bogów poszukał w mrokach swojego umysłu śladów tego uczucia. I nie znalazł.

Stwór zaryczał z rozpaczą, zrozumiałwszy, co go czeka. A więc jednak czytał gazety.

Krest przykucnął i położył dłoń na czole *lamassu*, tuż poniżej tiary, jakby sprawdzał, czy tamten nie ma gorączki. Ten łagodny, opiekuńczy gest wywarł przerażający skutek. Potężnym cielskiem zatrzęsło. Kopyta zaczęły ryc ziemię. Bryzgi błota ochlapały Kresta, który pomyślał z rezygnacją, że dziś ma wyjątkowego pecha do wody.

Odwrócił wzrok od straszliwej przemiany. Nie mógł cofnąć ręki, ale patrzeć nie musiał. Kiedyś przywyknie. To tylko kwestia skali. Wyrwanie muchom skrzydełek też zapewne wygląda paskudnie w mikroświecie.

Spojrzał na drzewa rosnące za pradawnym kanałem. Niezbyt wysokie, jak zawsze na terenach podmokłych, rosły wzdłuż regularnych, prostych linii, niczym zasadzone celowo. Prawdopodobnie ich układ odzwierciedlał przebieg starożytnych kanałów i dróg, ale żeby to ocenić należałoby wznieść się w powietrze.

Z pewnością, gdyby człowiek kiedykolwiek nauczył się latać, widok z góry powiedziałby mu więcej, niż jest w stanie sobie wyobrazić.

Ale to niemożliwe; bogowie zbyt zazdrośnie strzegą swych prerogatyw.

Ogłuszający ryk ucichł, kiedy krtań potwora zmieniła się w masę rozpadającej się tkanki. Na szczęście przemianie nie towarzyszył żaden przykry zapach.

- Na Teshuba! – usłyszał stłumiony głos Mursilisa dobiegający z zarośli. – Jeśli mogę prosić, nigdy mnie nie dotykaj, dobrze?

- Bez obaw. Nie jesteś w moim typie.

- Już po wszystkim! Wychodźcie!

Usłyszawszy wołanie Mursilisa, kapitan Assurballit skinął na swoich ludzi. Przeczekali walkę w kępie krzewów i trzciny, pod rachitycznym drzewkiem. Odgłosy boskiej agonii przeraziły ich do tego stopnia, że bali się nawet oddychać.

Kim był ten szczupły mężczyzna z rapierem i jaką mocą dysponował?

Assurballit wiedział tylko, że jest niebezpieczny. Lecz nie bardziej niebezpieczny, niż Pan Burzy, który nabije ich wszystkich na pale, jeśli nie dostarczą Zabójcy Bogów do Babilonu.

Brnąc przez trzęsawisko kapitan myślał chmurnie o tym, że nie ma wyboru. Będzie musiał rozbroić więźniów i ponownie zakuć ich w kajdany. Wóz utonął, ale jeśli wsadzi ich na konia i będzie dobrze pilnował...

Zawdzięczał im życie. Jego ludzie także mieli im za co dziękować.

Zatem podziękują. A zaraz potem ich obezwładnią.

Wydał rozkazy zanim jeszcze opuścili kryjówkę. Kluczowym elementem było zaskoczenie. Miał nadzieję, że żaden z knechtów nie zdradzi się przedwcześnie. Byli już na tyle blisko, że wystarczyłoby byle grymas...

Usiłował przywołać na twarz uśmiech, choć zdawał sobie sprawę, że nie bardzo pasuje to do jego surowego oblicza.

Spojrzenia więźniów i strażników skrzyżowały się.

I wówczas kapitan dostrzegł w oczach Kresta, że tamten przejrzał jego zamiary. Zabójca Bogów powiedział coś cicho do stojącego obok Nesyczyka.

Lodowata dłoń ścisnęła gardło Assurballita. Chciał zawołać, zaprzeczyć, powstrzymać nieuchronne...

Lecz było już za późno.

Huk nie był głośny i można byłoby go wziąć za trzask suchej gałązki pod stopą idącego przez las człowieka, gdyby nie to, że w pobliżu nie było suchych gałęzi. Jednak to wystarczyło, by myśl Assurballita pomknęła ku dawno nie przywoływanym wspomnieniom. Ujrzał lasy północy, ogromne i dzikie, takie, jakimi widział je, kiedy wraz z niezwyciężoną dotąd armią uciekał przed odzianymi w skóry barbarzyńskimi Nordami i nadciągającą zimą, jeszcze straszliwszą od nich.

Wrażenie, że znalazł się w tamtym miejscu, było nieodparte. Stał między olbrzymimi drzewami, wśród mrocznego poszycia, zupełnie sam; jakby tysiące jego towarzyszy zamieniło się w płatki cicho padającego śniegu. Nagle dostrzegł człowieka zmierzającego w jego kierunku. Krępa postać kogoś mu przypominała. Ujrzawszy szeroką, pogodną twarz zrozumiał, że to musi być sen. Jego dawno nieżyjący ojciec wyciągnął rękę.

- Nareszcie, synu – rzekł. – Naa... reesz... ciee...

Głos rozszedł się po lesie, potężniejąc, dudniąc, aż zamienił się w grom, obalający drzewa, rozpruwający ziemię i rwący na strzępy niebo.

Assurbalit zapłakał, nim wszystko zniknęło we wszechogarniającym błysku.

Impet kuli cisnął kapitanem jak szmacianą lalką. Stary żołnierz legł w trzęsawisku, z krwawą dziurą pośrodku czoła. Był martwy zanim jeszcze poczuł, że umiera.

Oddział stanął jak wryty. Precyzja strzału poraziła knechtów. Niewielu ludzi potrafiło tak biegle posługiwać się bronią palną. Dla większości żołnierzy jej użycie wciąż miało w sobie coś z magii.

Jednak doskonale wiedzieli, że to broń jednostrzałowa.

- Ty łajdaku! – wrzasnął dziesiętnik Kalamdug. - Flaki ci wypruję!

Jedenastu knechtów puściło się biegiem ku ścieżce. Pozostawiony samemu sobie Wędrowiec zaczął skubać trawę. Szczęk żelaza i bojowe okrzyki nie robiły na nim wrażenia.

Mursilis odrzucił niepotrzebny już muszkiet i podniósł upuszczony przez martwego knechta miecz. Śmierć kapitana nie powstrzymała żołnierzy, czego się zresztą obawiał. To nie byli podtatusiali wiejscy milicjanci, lecz weterani, przywykli do radzenia sobie w bitewnym chaosie bez dowódców. Miał już z takimi do czynienia. Przeżył, czego nie dałoby się powiedzieć o wielu jego ówczesnych kompanach.

Nie było czasu oglądać się na Kresta. Z nadzieją, że Zabójca Bogów wie, jaki użytek zrobić z rapiera przeciwko ludziom, uniósł miecz i przywitał pierwszego żołnierza paskudnym cięciem w udo. Doświadczenie nauczyło go preferować metody mało wyrafinowane, lecz skuteczne.

Mówią, że nic nie cieszy męskiej duszy bardziej, niż dobra walka. Jest to jednak uczucie znane tylko zwycięzcom. Wątpliwe, by podzielali je ci, którym rozpruto brzuch, odrąbano rękę czy rozłupano czaszkę.

Koło głowy Kresta świsnął sztylet. Dziesiętnik Kalamdug, rycząc jak niedawno odesłany w nicość *lamassu*, natarł na Mursilisa, a trzech żołnierzy rzuciło się na Kresta. Pozostali szykowali się do pójścia w ich ślady.

Krest postąpił krok ku atakującym knechtom. Głownia rapiera kreśliła w powietrzu niewidzialne linie, a w oczach Zabójcy Bogów płonęło piekło.

Uchylił się przed ciosem pierwszego z knechtów i ciał go potężnie w poprzek torsu, rozrąbując kolczugę, ciało i żebra. Dwaj kolejni uderzyli równocześnie, co zmusiło Kresta do cofnięcia się. Jednak tylko na chwilę. Sparowawszy sztych, kopnął jednego z przeciwników w pachwinę i zwał się z drugim. Długa głownia rapiera nie na wiele przydaje się w takiej sytuacji, ale rękojeść owszem. Krest z chłodnym rozmysłem zgruchotał knechtowi czaszkę.

A później obrócił się i dokończył dzieła z poprzednim. Odrąbana głowa potoczyła się pod nogi nadbiegających żołnierzy.

Stanęli, jakby krwawy ślad wzniosł przed nimi niewidzialną barierę. Krest wiedział wszakże, że to tylko chwilowe zmieszanie. U doświadczonych, obytych z wojną weteranów reakcją na okrutną śmierć towarzysza bywa nie strach, lecz wściekłość.

Rzucił szybkie spojrzenie w stronę Mursilisa. Nesyjczyk wciąż zmagał się z krzepkim dziesiętnikiem. Trudno było ocenić, kto wygrywał, lecz Krest i tak nie zdołałby pomóc. Najpierw musiał sam zyskać przewagę, nim przeciwnicy obkoczą go wszyscy naraz – a podejrzewał, że rychło zrozumieją, iż to najlepsza taktyka.

Zrozumieli.

Czterech knechtów zaatakowało Kresta, zaś dwóch pośpieszyło wesprzeć dziesiętnika. Krest zabił pierwszego sztychem w szyję, kiedy ten pochylił się po szerokim cięciu i nie zdążył się wyprostować. Nie było mu to już dane; zacharczał i upadł u stóp Kresta, obojętnego wobec tego mimowolnego hołdu.

Przeskakując przez martwego kolegę pozostali trzej uderzyli razem. Jeden był prawdziwym olbrzymem. Krest przyjął najbliższego sztychem w pierś, co dzięki długości rapiera dało mu czas na zrobienie uniku przed atakiem wielkoluda. Tamten młócił mieczem, jak cepem, lecz w ścisku, jaki nagle zapanował, nie trzeba było wielkiej wirtuozerii; wystarczyła krzepa i determinacja, a ani jednego, ani drugiego mu nie brakowało. Krest z trudem sparował kilka uderzeń, zdolnych powalić słonia, nim dostrzegł sposobność do zadania ciosu. Ciął niezbyt mocno w brzuch, chroniony jedynie skórzanym kubrakiem, lecz rosły knecht wybrał właśnie ten moment, by zrobić krok do przodu.

Potężne cielsko nadziało się na ostrze rapiera i to, co miało być draśnięciem, zamieniło się w rzeźnicki szlacht. Z rozprutego brzucha wypłynęły wnętrzności. Olbrzym przez chwilę przyglądał im się ze zdumieniem, usiłując przytrzymać je dłonią, po czym wolno uklęknął i wreszcie padł twarzą w dół.

Ostatni żołnierz poślizgnął się na trzewiach towarzysza i nie zdołał sparować sztychu w pierś. Jako jedyny zginął niczym uczestnik honorowego pojedynku - po czystym trafieniu w serce.

Można powiedzieć, że miał najwięcej szczęścia.

Mursilis przegrywał swoją walkę. Krest, zbliżając się do tamtego miejsca, ocenił jego szanse pokonania trzech napastników jako nikłe. Nesyjczyk lepiej strzelał niż szermował. Bronił się już ostatkiem sił przed twardo nacierającymi knechtami.

Krest zatrzymał się w odległości kilku kroków.

- Hej, wy tam! – zawołał. – Dobrze się bawicie?

Dziesiętnik rzucił jakieś polecenie i dwaj żołnierze podskoczyli do Kresta. Jednego przyjął krótkim, śmiertelnym sztychem w szyję, drugi jakimś cudem zdołał uchylić się przed cięciem w pierś i ostrze rapiera zarysowało tylko

skórzany pancerz. Jednak bliskość śmierci odebrała tamtemu odwagę. Cisnąwszy miecz na ziemię pognał ścieżką ku zbawczej linii krzewów.

- Stój! – wrzasnął Kalamdug. – Tchórz!u!

Dziesiątnik, zmuszony do odbijania silniejszych teraz ciosów Mursilisa i jednocześnie obserwowania zbliżającego się Kresta, zaczął się cofać. Krest celowo nie spieszył się. Wolał, żeby walkę wygrywał za niego strach. Po co marnować energię?

Już nie wściekłość, lecz przerażenie malowało się w oczach Kalamduga. Krest wiedział, że to długo nie potrwa. Poruszył lekko klingą, chwytając w wypolerowaną stal blask słońca. Uwielbiał te świetliste refleksy – piękno równie doskonałe, jak mroki niebytu.

Dziesiątnik musiał być kiedyś świetnym żołnierzem. Ale i on wiedział, że nie warto ginąć nadaremnie. Nie porzucił jednak miecza. Zadawszy ostatni, silny cios Mursilisowi, który tamten wprawdzie sparował, lecz aż przysiadł, zwrócił się czujnie ku Krestowi i zaczął się cofać.

- Zabij go! – wydyszał Mursilis. – Ściągnie na nas pogoń.

Krest obserwował dziesiątnika, ale nie poruszył się. Na dzisiaj dość zabijania.

Nesyjczyk potrząsnął mieczem.

- Wróc tu, a łeb ci rozwałę! – krzyknął za znikającym w zaroślach Kalamdugiem. – Przygotuję kulkę specjalnie dla ciebie!

Rozejrzał się, dopiero teraz dostrzegając martwych żołnierzy.

- A więc wygraliśmy – zaśmiał się triumfalnie.

- Można to tak określić.

Mursilis rzucił miecz i podniósł muszkiet. Obejrzał go z uwagą, jakby nadal od tego zależało jego życie, po czym zadowolony opadł na trawę, postępując i sapiąc. Wyglądał na wyczerpanego. Jednak odruchy wzięły górę. Wyciągnął wycior i zaczął metodycznie czyścić lufę.

- Pierwsza zasada strzelca – wyjaśnił – brzmi: najpierw nabij broń, a dopiero później odpoczywaj.

Krest usiadł obok niego. Był zlany potem i potwornie chciało mu się pić. Jakby znajdował się na pustyni, a nie na moczarach.

- Nie cieszysz się, Zabójco Bogów? Żyjesz i jesteś wolny; czy to nie zwycięstwo?

- Rzecz w tym, że nie lubię zabijać tylko po to, żeby przeżyć, Nesyjczyku. Złodziej mierzył go przez chwilę niepewnym spojrzeniem.

- Naprawdę? Przecież to normalna kolej rzeczy w przyrodzie. Poza tym, mam na imię Mursilis.

- Podobno nie zaprzyjaźniasz się z ludźmi, których okradasz.

- W czasie pracy nie. Jestem profesjonalistą. Ale ciebie okradłem dawno temu. Nikt mi nie zarzuci, że łamię etykę zawodową.

Krest ironicznie skłonił głowę.

- Jestem pod wrażeniem twojej uczciwości... Mursilisie.

Głośnie rzenie sprawiło, że popatrzyli na Wędrowca. Koń przestał skubać trawę i niespokojnie strzygł uszami. Krest, wiedziony jakimś impulsem, spojrzął za siebie. Prosto w oczy ruszającego do szarży drugiego *lamassu*.

Przypomniał sobie, że boskie byki zawsze przedstawiane były parami. Zaczął się podnosić, ale wiedział, że tym razem nie zdąży. Cholerne bliźniaki.

Wybrała ten zaułek, żeby skrócić sobie drogę. Musiała się spieszyć. Jeśli nie wróci przed świątynię w ciągu godziny, jej opiekun w najlepszym przypadku pobije ją, a w najgorszym – oszpeci. Safira zbyt często była świadkiem takich scen, by łudzić się, że jej to nie spotka.

Kto mógłby ją obronić? Imperialna policja, która wołała ścigać dysydentów, niż toczyć beznadziejną walkę ze stołecznym półświatkiem? Ostatni umundurowany funkcjonariusz, jakiego widziała w tej najnędzniejszej z dzielnic, był martwy. Ktoś pozbawił go broni, a potem głowy; albo odwrotnie. Po jego zwłoki przybył cały pluton specjalny.

Dolne Miasto od zawsze było częścią Babilonu tylko formalnie. Miało własnego monarchę: Protektora i własne przykazania: kradnij, zabijaj, cudzołóż i pożądaj żony bliźniego swego, a nawet jego samego. Nikt już nie pamiętał prawdziwej przyczyny nazwania dzielnicy Dolnym Miastem. Teraz było Dolne, ponieważ stanowiło ostatni przystanek przed drogą prosto do piekła.

Safira przemierzała niemal zupełną ciemność. W Dolnym Mieście latarnie stały jedynie na placach i przed nielicznymi świątyniami. Z punktu widzenia magistratu nie opłacało się oświetlać ulic, po których nie chodzili uczciwi obywatele.

Dziewczyna przywykła do ciemności, niemal jak nocne zwierzę. Po części też nim była, jak wszyscy tutaj. Mało kto wychodził z domu przed wieczorem i nieliczni tylko nie wracali do domu przed świtem. Przypominali nietoperze, opuszczające o zmroku jaskinie, by polować na zabłąkane owady.

Nagle przystanęła. W odległości niespełna dwóch kroków po prawej i lewej stronie wznosiły się gładkie, pozbawione okien ściany. Choć za dnia białą wapnem, teraz były tylko odrobinę mniej czarne od przestrzeni przed nią i za nią.

Po chwili potrząsnęła głową. Dźwięk, który, jak jej się zdawało, dobiegł gdzieś z przodu, już się nie powtórzył. Widocznie się przesłyszała. Być może to wiatr poruszył śmieci walające się wszędzie dokoła.

W takich miejscach do piekła było zdecydowanie bliżej niż gdzie indziej. Nigdy nie wiadomo, co mogło z niego wypełznąć.

- Nie mam na to czasu – mruknęła. – Złego licha nie weźmie.

Jak na dziewiętnastolatkę Safira była doświadczoną prostytutką. Ale czy sześć lat temu dano jej jakiś wybór?

Ruszyła znów szybkim krokiem. Bała się, że Ruti już nie śpi i płacze teraz pozostawiony samemu sobie. Lecz co mogła na to poradzić? Nielatwo służyć Isztar i zarazem być matką.

Była jeszcze zbyt młoda i prostolinijna, by stłumić w sobie miłość do niechcianego dziecka. Choć nie byłaby w stanie wskazać ojca chłopca, może właśnie ten fakt sprawił, iż przypadkowa ciąża i poród nie obudziły w niej nienawiści.

Niemowlę nie było niczemu winne. A ponieważ nie mogła też ukierunkować swojej nienawiści na żadnego z licznych, w większości przygodnych klientów, pozostało jej tylko mieć pretensje do siebie.

Starsze koleżanki śmiały się z jej naiwności. Nienawidziły wszystkiego i wszystkich, a spędzanie płodów stanowiło część codziennej kosmetyki. Podobnie jak ona oddane Isztar w bardzo wczesnej młodości, z czasem zaakceptowały swój podły status za cenę wyzbycia się ludzkich uczuć. Liczyło się tylko przetrwanie.

Babilon należał do Marduka, ale Babilończycy należeli do Isztar. Jej córki cieszyły się znacznie większą popularnością niż surowi kapłani Najwyższego.

A jakże! – prychnęła pogardliwie Safira – grzech zawsze jest przyjemniejszy od pokuty.

Pora karmienia dziecka minęła jakąś godzinę temu, ale wcześniej nie mogła opuścić swojego pokoju w Przystani Isztar. Jej opiekun przez cały wieczór kręcił się w pobliżu, jakby coś podejrzewał. Z trudem zaakceptował jej ciążę i niechęć do usunięcia dziecka. Nie zabił jej tylko dlatego, że niektórych klientów podniecał seks z ciężarnymi kobietami. Była więc przydatna i zarabiała pieniądze; tym większe, z im większym brzuchem się obnosiła.

Opiekuna nie obchodziło jednak, jak sobie poradzi z wychowywaniem dziecka; nie miał pojęcia, że wymyka się w tym celu każdej nocy. Wiedziała, że stąpa po cienkiej linii. Gdyby to się wydało, los jej i Rutiego byłby przesądzony. W Dolnym Mieście obowiązywały tylko dwie zasady, ale za to bez żadnych klauzul ulgowych: każdy miał nad sobą jakiegoś opiekuna i musiał być wobec niego bezwzględnie lojalny. Kłamstwo i oszustwo stanowiły grzech śmiertelny. Karany niezwłocznie.

Zatrzymała się. Znów ten dźwięk. Tym razem nie miała wątpliwości. To nie wiatr.

- Kto tu jest? – rzuciła w ciemność.

Głos mężczyzny, łagodny, jakby zawstydzony, że stał się przyczyną jej przestraszenia, odparł:

- Nie obawiaj się. Nie mam złych zamiarów.

- A czy ktoś się obawia? – odparła buńczucznie.

Usłyszała cichy śmiech.

- Oczywiście, głupiec ze mnie. Przecież jesteś u siebie. Dlaczego miałabyś się bać?

Coś w jego śmiechu zmroziło ją.

- Spiesz się, więc...

- Nie, zaczekaj! – zawołał szybko. – Przepraszam. Powinienem się pokazać. Ale widzisz, cierpię na pewną chorobę... Noszę kaptur, więc nie chciałem, żebyś się mnie przestraszyła... – paplał.

- Trąd?!

- Ależ nie! Nie... To nic groźnego. Zapewniam cię.

- Czego chcesz?

- Niczego. Przechodziłem tylko. Chowam się przed ludźmi. Rzadko z nimi rozmawiam. Nie sądziłem, że w takim miejscu spotkam piękną dziewczynę. Myślałem, że będę sam.

- Musisz mieć wzrok kota, żeby zauważyć, że jestem piękna – odparła z przekąsem. – Niestety, nie mogę z tobą porozmawiać. Powinna już iść.

- Jeszcze chwilę, proszę – usłyszała zbliżające się kroki. – Skoro już trafiliśmy na siebie... Nie zajmę ci wiele czasu. Tak mało mam okazji... Kiedy jest się innym, niż wszyscy, największą trudność sprawia przekonanie ludzi, że inność nie jest zagrożeniem. Ty nie masz uprzedzeń; słyszę to w twoim głosie.

Zakapturzona postać była ledwie widoczna – plamka atramentu na aksamicie. Mężczyzna nie był wysoki i raczej korpulentny, choć to drugie mogło być złudzeniem, wynikającym z faktu, że okrywała go luźna peleryna. Tym niemniej Safira odprężyła się nieco; nieznajomy nie miał nad nią fizycznej przewagi. A ona umiała sobie radzić.

- Przykro mi, ale naprawdę się spieszę. Może innym razem...

- Zamknij się, kurwo!

Wrzask odbił się echem od ścian i uderzył w nią zwielokrotniony, niczym pięść. Safira aż cofnęła się z przerażenia.

A potem rzuciła się do ucieczki.

Coś załśniło na tle ciemnej sylwetki i poczuła ukłucie w szyję. Uniosła dłoń, by zabić natrętnego komara, lecz nie zdążyła. Zakręciło jej się w głowie, opuściły ją siły i runęła na ziemię. Jej ciało zaczęło drętwieć zanim jeszcze zdała sobie sprawę, że leży. Po kilku sekundach nie mogła ruszyć nawet palcem.

Postać stanęła nad nią.

- Nie – wyszeptała. - Proszę... Mam dziecko...

Napastnik przykucnął i położył jej dłoń na policzku. Nie była już w stanie nawet się wzdrygnąć. Zresztą, nie czuła dotyku. Głos również odmówił jej posłuszeństwa.

- Wszystkie dzieci są nasze, córko – rzekł łagodnie mężczyzna. Po niedawnym wybuchu nie było już śladu. Spod kaptura spoglądały na nią inteligentne, lecz kompletnie szalone oczy.

- Nie bój się, niczego nie poczujesz. Nie jestem okrutny. Niepotrzebny ból niczemu nie służy. Ten środek skutecznie odcina umysł od ciała. Tak skutecznie, że mógłbym wyjąć mózg z twojej czaszki, a tobie wydawałoby się, że dotyczy to kogoś zupełnie innego.

Twarz mężczyzny nie nosiła żadnych znamion choroby. Była zwyczajna; tak przeciętna, że nie zapamiętałaby takich rysów nawet u klienta, który

zdołałby przełamać jej profesjonalną oziębłość. A to nie zdarzyło się jeszcze ani razu.

Takie twarze są jak czapka-niewidka. Kaptur nie jest potrzebny.

Tamten uchwycił jej spojrzenie i źle je zinterpretował.

- Nie jestem piękny, ale kimże ty jesteś, żeby to oceniać? – szybkimi ruchami zdarł z niej lekką sukienkę, częściowo rozsznurowując węzły na piersiach, a częściowo rwąc je. Słyszała jego coraz szybszy oddech. – Jesteś tylko dziwką, która odda się każdemu, kto zapłaci. Zakałał tego miasta i tego świata.

Wyjął zza pasa krótkie, połyskliwe ostrze.

- Ale jesteś też dzieckiem bożym, nad którego sromotą nie wolno mi przejść obojętnie – dotknął nożem piersi Safiry, rysując na skórze niewidoczne linie. Nadal niczego nie czuła. – Bogowie powołali mnie do naprawiania ich psujących się dzieł. Uczynili ze mnie mechanika biegłego w sztuce odzyskiwania tego, co powinno trafić na śmietnik. To paskudna robota. Zostałem wybrany i jednocześnie naznaczony. Są rzeczy, które ktoś musi zrobić, ale za które nie otrzymuje się nagrody - jego głos zaczął się łamać. – To przywilej i zarazem wieczne potępienie... Tak, czeka mnie piekło! – roześmiał się histerycznie. – Mnie, który wyciągnąłem z niego tyle zabłąkanych dusz! Myślisz, że się o to prosiłem?!

Zaszlochał i nagłym pchnięciem wbił ostrze noża w jej brzuch.

Umysł Safiry eksplodował. Nie bólem, lecz przerażeniem i szokiem. Krzyknęłaby, gdyby mogła. Ale mężczyzna mówił prawdę – była niczym obserwator, nie biorący udziału w spektaklu.

Pot spływał grubymi kroplami po niej twarzy nieznanego.

- Ciebie też uratuję - mamrotał. - Jeszcze nie jest za późno. Masz szczęście, że mnie spotkałaś. Jaka piękna z ciebie dziewczyna... Naprawa nie będzie skomplikowana. Wystarczy usunąć siedlisko zła i przestawić kilka elementów mechanizmu.

Ostrze weszło nie głębiej, niż na pół cala, przecinając powłoki brzuszne. Następnie wprawna dłoń skierowała je ku dołowi. Skóra rozstępowała się w ślad za cięciem. Ciało Safiry otwarło się od piersi aż po łono.

Nie widziała tego. Zdawała sobie sprawę, że dzieją się potworne rzeczy, ale jej pole widzenia obejmowało tylko kopułę ciemności w górze i majaczącą na jej tle, zaczerwienioną i jakby nabrzmiąłą twarz napastnika. Równie dobrze tamten mógł ją gwałcić; żaden jej nerw nie reagował na bodźce. Lecz wiedziała, że to nie gwałt. Tak wiele męskich twarzy pochylało się nad nią w jej życiu, że znała każdy możliwy grymas seksualnego zapamiętania. Ta twarz wyrażała coś zupełnie innego. Była natchniona. Jak twarz świętego czyniącego cuda.

Bogini, pomóż mi! – chciała zawołać.

Człowiek w kapturze przez chwilę kontemlował swoje dzieło, nie zwracając uwagi na płynącą coraz obficie krew. Następnie rozchylił brzegi

rozcięcia i zagłębił weń nóż. Nie wahał się. Doskonale wiedział, gdzie znajduje się źródło wszelkiego zła. Robił to nie po raz pierwszy.

- Za chwilę będziesz wolna – szepnął. – To już nie potrwa długo.

Safira zaczęła bezgłośnie krzyczeć.

A potem ostrze noża dotknęło jakiegoś żywotnego organu i wszystko zawirowało. Twarz napastnika roztopiła się w mroku głębszym niż najciemniejsza noc i Safira poczuła ruch. Jakby zapadała się w głąb samej siebie. Rozmaite obrazy wybiegały jej naprzeciw i rozwiewały się, kiedy przenikała przez nie. Nigdy nie wierzyła, że umierając ogląda się całe swoje życie. Ale jej było tak krótkie i nieskomplikowane, że dałoby się streścić w tych kilku scenach.

Na koniec ujrzała Rutiego, krzyczącego z głodu. Wyciągnęła ku niemu rękę, lecz im dalej sięgała, tym bardziej kołyska odsuwała się od niej. Wiedziała, że nigdy już nie zdoła go dotknąć. Łzy bez udziału świadomości spłynęły jej po policzkach.

Dokończywszy dzieła, morderca przykrył dłonią jej nieruchome oczy. Wciąż jeszcze dyszał ciężko, a serce waliło mu jak oszalałe. Czuł się spełniony. Ocalił dziś kolejną duszę.

- Nie płacz, córko - szepnął. - Odchodzisz do lepszego świata...

Kroki były ciche, lecz ten, który wyłonił się z ciemności zaułka, wcale nie starał się skradać. Po prostu zawsze tak stapał; leżało to w jego naturze.

Wysoka, masywna postać zatrzymała się nad ciałem Safiry. Chłodne spojrzenie prześlizgnęło się po rozprutym brzuchu. Na ile był w stanie ocenić bez dokładnych oględzin, dziewczynę pozbawiono niektórych narządów. Był przekonany, że lekarz sądowy nie znajdzie ani jajników, ani macicy. Tak samo, jak we wcześniejszych przypadkach.

Znakomicie. To ostatecznie potwierdzało jego podejrzenia.

Obserwował wszystko od początku do końca. Nawet nie przyszło mu do głowy, by pomóc dziewczynie. Ofiary były nieuniknione i nieistotne. Liczyły się tylko względy bezpieczeństwa narodowego.

To, na co patrzył, ani nie fascynowało go, ani nie wzbudzało w nim odrazy. Był profesjonalistą; najlepszym - jak przyznawali nawet jego wrogowie - w najnowszej historii imperialnej służby bezpieczeństwa. Nigdy nie kierował się osobistymi uczuciami.

Gdyby ktoś go tu spotkał, zdziwiłby się nie tyle okolicznościami, ile faktem, że sam dyrektor Agencji Ładu i Pomyślności zajmuje się pracą operacyjną. Nieczęsto to robił. Lecz chodziło o wyjątkową sprawę.

Cieszyło go to oderwanie się od kwestii strategicznych; znizenie się do poziomu ulicy. Od czasu do czasu odczuwał brak dawki adrenaliny związanej z

bezpośrednią, indywidualną przemocą. Był drapieżnikiem. Lubił podążać za krwawym tropem, a polowanie kończyć przegryzieniem gardła ofierze.

Niekoniecznie w przenośni.

Zajmował się tym przypadkiem, bowiem chodziło o bardzo grubą zwierzynę. Angażując się w to osobiście mógł wiele zyskać lub wszystko stracić. Sądził jednak, że raczej to pierwsze. Dlatego zacierał ślady, fałszował dowody i sabotował działania metropolitalnej policji, prowadzącej oficjalne śledztwo. Jej dochodzenie nie miało prawa zakończyć się sukcesem. Opinia publiczna nigdy nie pozna rozwiązania.

Sprawy tego kalibru zawsze przechodzą do historii jako niewyjaśnione tajemnice. To oczywiste - tylko dzięki temu mogą spełnić swoją rolę wygodnego narzędzia szantażu.

A on był doświadczonym szantażystą; i to niejako z urzędu.

Obszedł kilkakrotnie zwłoki, żeby pozostawić jak najwięcej śladów i zatrzeć właściwe. Wyjął z kieszeni niewielki flakonik i wylał z niego nieco krwi w pewnej odległości od zwłok, a następnie rozrzucił parę strzępków materiału. Miał nadzieję, że zasugeruje to śledczym, iż doszło do szarpaniny i napastnik został ranny.

Śledztwo dotyczące serii zabójstw prostytutek w Przedpieklu od samego początku spychał na manowce, czyli w najbardziej pożądanym dla siebie kierunku. W swoim czasie, jeśli zajdzie taka konieczność, postara się o podsuniecie detektywom pokaleczonego zboczeńca z okrwawionym i podartym płaszczem, schowanym w koszu z brudną bielizną. Uśmiechnął się - rutynowe postępowanie w takich sytuacjach.

Skorygował jeszcze kilka detali w scenerii zbrodni i z zadowoleniem ocenił swoją pracę. Nawet cień współczucia dla bestialsko zamordowanej dziewczyny nie mącił jego satysfakcji. Sumienie nie wchodziło w zakres jego obowiązków.

A jednak Krest prawie zdążył. Widać nie bez przyczyny miał reputację demona. Tyle że równie dobrze można by powiedzieć o nieboszczyku, iż jest prawie żywy.

Stwór nie próbował uderzyć go rogami, jak uczyniłby prawdziwy byk. Rogi *lamassu*, mocno wygięte, wręcz owinięte wokół tiary, nie nadawały się do tego. Krest spodziewał się więc raczej kopnięcia, lecz nie przypuszczał, że będzie tak szybkie i silne.

Zdołał unieść ramię, by ochronić głowę. Jednak odłonił w ten sposób bok i olbrzymie kopyto, wielkości bochenka chleba, trafiło go w żebra. Potworny ból zlał się w jedno z trzaskiem łamanych kości. Krest upadł, upuszczając rapier. Pociemniało mu przed oczyma. Uderzenie musiało uszkodzić nie tylko żebra; czuł jakby coś w nim pękło, rozlewało się. Zapewne wewnętrzny krwotok.

Tętent ucichł i Krest domyślił się, że *lamassu* zawraca i zaraz zaatakuje ponownie. Nawet ta świadomość nie była w stanie zmusić go do ruchu. Mógł tylko biernie czekać na śmierć.

Jednak cisza przedłużała się. W pewnej chwili wydało mu się, że słyszy głos, jakby ktoś przemawiał łagodnie do rozjuszonego zwierzęcia.

A potem dobiegł go szelest.

- Rany boskie! – rozległ się szept Mursilisa, który zdołał skoczyć w zarośla.

- Nie pokazuj się – Krest mówił z trudem. – Chyba że już zdążyłeś nabić muszkiet.

- Jeszcze nie, ale i tak nie wiedziałbym do kogo strzelić: czy do niego, czy do niej.

- Do niej?

- Do tej kobiety, która głaszcze poczwarę po głowie, jakby był jej pokojowym pieskiem.

- Co ty wygadujesz?

- Zaraz sam się przekonasz. Idzie do ciebie.

- Jeśli to prawda, to tym bardziej siedź cicho. Może nie wie, że tu jesteś. Domyślam się, kto to może być. Za żadne skarby nie patrz jej w oczy.

- Zamieni mnie w kamień?

- W pewnym sensie. Zakochasz się.

Chwila ciszy.

- Obawiam się, że już się zakochałem.

Na trawę padł cień i Krest ujrzał najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek widział. I, biorąc pod uwagę jego stan, zapewne najpiękniejszą, jaką kiedykolwiek zobaczy.

Stała nad nim z miną zwycięzcy.

- A więc tak je zabijasz, śmiertelniku – odezwała się. - Bardzo ciekawe.

Kiedy się nie poruszał, ból stawał się łatwiejszy do zniesienia.

- No proszę – mruknął. – Pierwszy raz widzę taką zbójcejką...
przepraszam – boską spółkę.

Isztar roześmiała się.

- No cóż, niekonwencjonalne rozwiązanie w odpowiedzi na niekonwencjonalne zagrożenie.

- Kobieta i byki. Co najmniej dwuznaczne. Przyznaj się, pani, lubisz takie zabawy?

- Są bardzo męscy. Nie sądzisz?

- O tak. Myślą też raczej nie głową.

Zachichotała. Krest przyjrzał się jej mimo wszystko nie bez przyjemności. Pani Rozkoszy – nie mógł to być nikt inny – niewątpliwie potrafiłaby uczynić z siebie uosobienie męskich fantazji erotycznych, gdyby chciała. Ale nie robiła tego. Była piękna – nieziemsko piękna – lecz nie zniżala się do epatowania obfitością szczegółów kobiecej anatomii. Pozostawiała to swoim dwórkom.

Była szczupła i wysoka, niemal tak wysoka jak Krest. Pojawiła się nie wiadomo skąd, ale nie była złudzeniem. Jej buty ochlapało błoto, a jakiś szczególnie żarłoczny komar zdążył już zostawić czerwony ślad na jej szyi.

Pacnęła go dłonią i zakłęła zupełnie po ludzku.

- Psiakrew! Co za wstrętne miejsce!

Bogini miała na sobie strój, w jakim czasami przedstawiano ją na posążkach wotywnych, składanych w świątyniach: jednoczęściowy kombinezon z miękkiej skóry, idealnie opinający jej ciało. Na nogach długie buty na wysokim obcasie. Kruczoczarne włosy spływały na podwatowane ramiona. Przy pasie nosiła coś w rodzaju sakwy; być może na jakąś dziwną broń. Pod pachą ścisnęła kulisty przedmiot, metalowy, ale z ze szklaną szybką; przypominał bardzo nietypowy hełm.

Krest nie miał pojęcia co o tym sądzić. Nie był ekspertem w sprawach niebiańskiej mody.

- Czym mogę służyć, o pani? – w ustach czuł krew i wiedział, że to kiepski znak.

- Chciałam cię zobaczyć.

- Czy cała twoja rodzina będzie chciała mnie zobaczyć? Niech ustawią się w kolejce. A może namalujesz mój portret i pokażesz wszystkim ciekawskim?

- Nie mam przy sobie pędzla. Ale mogę zabrać twoją głowę. Myślę, że to ich zadowoli.

- Podobno twój najstarszy brat chce mnie widzieć żywego.

- Marduk miewa różne kaprysy. Ale jest w stanie wiele wybaczyć najukochańszej siostrze.

- Nie wątpię. Zważywszy na rodzaj miłości, jaki wam przypisują.

Zmarszczyła brwi, ale zaraz uśmiechnęła się z przekąsem.

- Nie wierz we wszystko, co ludzie gadają, Zabójco. Sam powinieneś to wiedzieć, zważywszy na czyny, jakie przypisują tobie. Zresztą, problem zaraz sam się rozwiąże. Umierasz.

- Niedoczekanie – zakaszał i zauważył kilka kropel krwi, które zabarwiły żółtą trawę. – Nie zakończyłem jeszcze spraw z twoją rodziną. Nie pozbędziecie się mnie tak łatwo.

- Już po tobie, człowieczku. Mój zwierzak chętnie by cię dobił, ale to niepotrzebne. Nie przeżyjesz najbliższej godziny. Chyba że...

- Tak?

- Mam w domu całkiem nieźle wyposażoną apteczkę...

Parsknął.

- Co chcesz w zamian? Moją duszę?

- A na co mi ona? Jestem boginią miłości; jeśli już, to bardziej interesowałoby mnie twoje ciało.

- Niestety, nie lubię dziwek w skórzanych kombinezonach.

Zacisnęła usta. Poczuli, że walczy z chęcią kopnięcia go. Niezbyt to było podobne do bogini miłości. A jednak nie mógł się mylić – była gotowa uciec się do przemocy.

Bogowie! Czy nie ma już na tym świecie – i na tamym – niczego – i nikogo - świętego?

- Marduk nie mógł przyjść po mnie sam? – zakpił. - Jest takim tchórzem, że wysłał kobietę?

- Mój brat nie wie, że tu jestem. Chociaż zapewne wiele by dał, żeby zobaczyć to, co ja widziałam.

- Opowiesz mu o tym?

- Zastanowię się.

- Mam nadzieję, że spotkacie się w piekle, gdzie wasze miejsce.

- Póki co, wolę niebo. Tobie też się spodoba.

Pochyliła się nad nim. Krest uczynił wysiłek, by sięgnąć po rapier, ale Ishtar chwyciła go za rękę i poczuł, że wlecze go bezceremonialnie przez trawę. Zdawało się, że nie sprawia jej to najmniejszej trudności. Najwyraźniej było jej też obojętne, że pokiereszowanym bokiem szoruje po ziemi. Uderzył w jakąś nierówność i ból eksplodował w każdym z nerwów jego ciała. Zaczął tracić przytomność.

Ostatnim, co usłyszał, był strzał. A więc Mursilis wreszcie nabił muszkiet i wybrał cel. Biedny głupiec; mógł przeżyć. Nie strzela się do pięknych kobiet, zjawiających się znikąd w środku głuszy i ciągnących bez wysiłku dorosłego mężczyznę.

Zabójcą bogów nie zostaje się przez przelotny kontakt z nosicielem.

- Będziesz musiał odejść, Lim. Jeszcze dzisiaj.

- Naprawdę? Porozmawiajmy o tym.

- Nie ma o czym.

- Kim on jest, Isztar?

- On?

- Nawet woda w twoich fontannach szepcze, że przywiozłaś z podróży nowego kochanka.

- Nie twój interes, Lim. Czy nie powinieneś zacząć się pakować?

- Prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko temu, że kogoś poderwałaś. Nie jestem zazdrosny. Myślę, że nie będziemy sobie przeszkadzać. To duży pałac.

- Od kiedy to procesy zachodzące w twoim mózgu można nazwać myśleniem?

- Złośliwość obraca się przeciwko tobie, Izis. W końcu, kto jest głupszy: głupiec czy ten, co z nim przestaje?

- Wynoś się z mojego domu!

- Nie tak ostro, maleńka. Stary Lim nie lubi, kiedy się go wyrzuca, jak zużytą prezerwatywę. Nagle stałem się persona non grata? Co innego szeptałaś mi do ucha przez ostatnie pół roku. Zresztą, o co tyle hałasu? Jeśli masz ochotę na odmianę, prześpij się z tamtym parę razy. Obiecuję, że nie będę robił scen. A może nawet zaprzyjaźnię się z nim?

- Głuchy jesteś, człowieku? Pakuj manatki i jazda stąd.

- Ach, rozumiem. Prowokujesz mnie. Spodobała ci się kąpiel poprzedzona odrobiną przemocy. Może to powtórzymy?

- Zabierz ręce, Lim.

- Przecież to lubisz, Najpiękniejsza. Nie opieraj się swemu instynktowi. Twoje ciało nie potrafi kłamać. Czujesz, jak odpowiada na mój dotyk? Wystarczy, że poddasz się i zaakceptujesz nieuchronne. Moglibyśmy...

- Przestań!

- Moglibyśmy...

- Zarkh'm k'na pequet sa!

- Okay, okay! Już cię puszczam!

- N'kha'rh!

- W porządku, Izis. Nie musisz na mnie strzępić tego języka bogów i demonów. Chcesz, żebym odszedł, odejdę.

- Świetnie.

- Wiem, że niczego, co się wydarzyło, nie zapamiętam. Ale ty będziesz pamiętać. I wiesz, co? Żał mi cię, bogini. Być Panią Miłości i nigdy jej naprawdę nie zaznać, to musi być frustrujące.

- Niech cię o to głowa nie boli.

- Powinnaś zrobić coś ze swoim życiem, Isztar. Inaczej zawsze będziesz taką żołą. I nawet nie możesz tego usprawiedliwić menopauzą, jak prawdziwe kobiety.

15

W ciemności – o ile była to ciemność... i tak dalej – Marduk wściekał się.

- Czy aby coś zostało zrobione dobrze, trzeba robić to samemu?! To była prosta operacja: zakuć i przywieźć. Ale nawet to spieprzono.

- Winni zostaną ukarani, bracie – pospieszył z zapewnieniem Baal.

Isztar spojrzała na niego niezbyt przyjaźnie.

- Jeśli będziesz w takim tempie folgował swojej słabości do wbijania na pal, ekolodzy zarzucą nam, że niszczymy lasy.

- Każdy musi mieć jakieś przyjemności, droga siostrze. W razie czego ograniczymy przydział papieru dla opozycyjnych gazet. A o wbijaniu na pal sama wiesz chyba najwięcej; w końcu pal to symbol falliczny...

- Świnia!

Baal roześmiał się. Marduk westchnął.

- Gdyby płacili mi za każdą minutę wysłuchiwania waszych kłótni, byłbym bogatszy od moich kapłanów, a to naprawdę niełatwe. Uspokójcie się i skupcie na problemach, a nie na wzajemnych animozjach.

- Przepraszam, bracie – Pan Burzy skłonił głowę.

Isztar burknęła coś pod nosem. Marduk przez chwilę rozważał, czy można to uznać za wyrażenie skruchy. Westchnął ponownie.

- Zdumiewające, że jeszcze nikt nie pokusił się o odebranie nam władzy. Nawet nie musiałyby się ściągnąć niezgody wśród nas. Konflikt jest w naszym gronie przypadłością chroniczną.

- A więc może jednak pojawienie się tego człowieka to próba wywołania zamieszania? – zasugerowała Najpiękniejsza. – Może chodzi o odwrócenie uwagi od właściwej akcji przeciwko nam?

- Przez kogo niby prowadzonej? – z powątpiewaniem zapytał Baal.

- Gdybym wiedziała, może przyłączyłabym się do niego.

- Niewykluczone, że Isztar ma rację – wtrącił szybko Marduk, chcąc zapobiec kolejnej kłótni. – Sam o tym myślałem. Takie umiejętności, jakie prezentuje ten osobnik, nie biorą się znikąd. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że nabył je w szkółce niedzielnej.

- Sądysz, że ktoś grzebał w jego genomie? – zdumiał się Baal.

- To by wiele wyjaśniało.

- Nie widzę takiej możliwości – Isztar pokręciła głową. – Oprócz naszego mądrego brata, Thota, nikt inny nie ma dość wiedzy, nawet by o tym pomyśleć. A Thot ma wiedzę, ale nie dysponuje technicznymi możliwościami, by ją wykorzystać.

- A stara linia do produkcji hybryd? – zasugerował Marduk.

- Teoretycznie mogłaby zostać do tego wykorzystana, ale wiedzielibyśmy, gdyby ktoś usiłował ją uruchomić.

- Nie musiałby uruchamiać całej linii. Wystarczy, by udało mu się uzyskać dostęp do kilku urzędów.

- Musiałby je rozkonserwować, zdobyć surowce, wznowić pobór energii. Nie wydaje mi się, żeby można było to zrobić niepostrzeżenie.

Baal przysłuchiwał się dyskusji z krzywym uśmiechem.

- Dużo o tym wiesz, siostrzyczko, jak na...

- Dziwkę?

- Boginię miłości.

- Zapominasz, że niektóre moje inkarnacje mają wśród swoich prerogatyw także mądrość.

- Wybacz, pani. Trudno się połąpać w tych sprzecznościach.

- Sam jesteś największą sprzecznością...

- Dosyć! – głos Marduka wyrażał hamowaną wściekłość. – Jak śmiecie nadużywać mojej cierpliwości?! Uważacie się za niezastąpionych? Jestem pewien, że wśród naszych braci i siostr znaleźliby się chętniejsi do udzielania mi rad, a mniej skłonni do skakania sobie do oczu. Czy muszę wam przypominać, że nasz ojciec też miał się za niezastąpionego? Kto jak kto, ale wy wiecie o tym najlepiej.

W głębokiej ciszy nieomal słyszało się zgrzytanie zębów. Pierwszy odezwał się Baal. Nie ulegało wątpliwości, że uważał się za zwycięzcę tego słownego pojedynku.

- Nie będziemy cię już denerwować, bracie. Jeśli chcesz, mogę nawet przeprosić naszą piękną siostrę.

- Wsadź sobie swoje przeprosiny – mruknęła Isztar, na tyle cicho, by mogli uznać, że nie dosłyszeli. – Nie trzeba – powiedziała głośno. – Są ważniejsze sprawy.

- Tak już lepiej – z aprobatą stwierdził Marduk. – Odrobina rozsądku jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Skoncentrujmy się na tym, co istotne.

- Wspomniałeś o ojcu, bracie – jakby mimochodem zauważył Baal. - Podobno spotkałeś się z nim ostatnio...

Marduk spojrzał na niego przeciągle. Cholerne ściany, które mają uszy i oczy. Nawet na swojej Łodzi Milionów Lat nie mógł sobie zapewnić prywatności. Ciekawe, którego z członków załogi Pan Burzy przekupił bądź – co bardziej do niego podobne - zastraszył.

Zapewne zdołałby się tego dowiedzieć. Tylko po co? Wkrótce znalazłby się kolejny donosiciel.

- Owszem – odparł. – Ma się dobrze, zważywszy na sytuację. Pytał o was, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że przesyła pozdrowienia.

- Ja myślę! – roześmiał się Baal. – Wolę sobie nawet nie wyobrażać, czego mógłby nam życzyć. Już dawno powinniśmy staruszka wyłączyć.

- Nic nam z jego strony nie grozi, więc nie ma pośpiechu. Nigdy nie wyrzucaj starych rzeczy, bo nie wiadomo, co może się przydać.

- Gorzej, że nie wiadomo też, komu...

Oczy Marduka zwężyły się.

- Panuję nad sytuacją, bracie.

Baal uniósł ręce obronnym gestem.

- Ma się rozumieć. Nikt tego nie kwestionuje. Tak tylko sobie myślałem...

Isztar, która liczyła na silniejsze spięcie i upokorzenie Baala, odezwała się nieco zawiedziona:

- Czy spotkanie z ojcem miało coś wspólnego z bieżącą sytuacją?

- Oczywiście, że nie, Isztar. Sama wiesz, że on nie może mieć żadnej wiedzy o tym, co dzieje się poza osobliwością. To fizycznie niemożliwe.

- W takim razie nie bardzo rozumiem, po co się z nim spotykasz, Marduku. Ja bym się bała. Nikt nie wie, co on tak naprawdę potrafi.

- Powtarzam raz jeszcze – panuję nad sytuacją. Niech będzie, że stałem się sentymentalny.

- On też się stał. Zanim...

Marduk omal nie roześmiał się jej w twarz.

- Wzrusza mnie twoja siostrzana troska, pani - postarał się, by ironię złagodziło znużenie. - Ale odeszliśmy od tematu. Chcę wiedzieć wszystko o tym... Zabójcy Bogów, włącznie z faktem, czy po pięćdziesiątce grozi mu przerost prostaty. Zdumiewające skądinąd, że jeszcze tego nie wiem.

- Będziesz wiedział, bracie – pospieszył z zapewnieniem Baal. - Twój pionek, Nabonid, ma odpowiedniego człowieka. Bardzo utalentowanego. Jeśli pozwolisz, zajmę się tym.

- Zgoda, Baalu. Możesz w moim imieniu zwrócić się w tej sprawie do króla. Tylko bądź taktowny, dobrze? Nabonid jest nam potrzebny.

- Nie rozumiem twojego afektu dla tego mięczaka, bracie, ale oczywiście zastosuję się do twojego polecenia.

- Ten mięczak jest ostatnim przedstawicielem tysiącletniej dynastii, która wiernie nam służy i gwarantuje stabilność polityczną, a ja nie życzę sobie zawirowań wokół tronu, a tym bardziej rewolucji. To nie leży w interesie naszej rodziny.

- Prędzej czy później obsada tronu stanie na porządku dziennym. Nabonid jest bezdzienny.

- Owszem, ale nie jest bezpłodny, zbadaliśmy to już dawno. Trzeba tylko przewyciężyć jego niechęć do kobiet. Myślę, że będzie to zadanie dla ciebie, Isztar. Wkrótce, za moją namową, król ożeni się po raz kolejny. Może byłoby dobrze, gdybyś wpłynęła na niego, aby poczuł do wybranki coś innego, niż strach. Nie chciałbym posuwać się do metod wspomaganego rozrodu.

- Może powinienś, bracie, wprowadzić wielożeństwo? – zasugerował Baal. – Gdyby Nabonid miał harem, zwiększyłoby to szanse na pomyślne rozwiązanie kwestii sukcesji.

Marduk pokręcił głową.

- Nie. Im mniej czynników, komplikujących sytuację w pałacu, tym łatwiej nam ją kontrolować.

- Ten człowiek boi się własnego cienia – prychnęła Isztar. – Poza tym, to psychopata. Zawsze dziwiłam się, że pozwalasz mu na zabijanie kolejnych żon i to w majestacie prawa. Słyszałam nawet, że robi to jeszcze przed skonsumowaniem małżeństwa! I taki typ miałby mieć harem?! Ile kobiet już oddał katu – pięć?

Marduk wzruszył ramionami.

- Sześć. Racja stanu chadza dziwnymi ścieżkami, moja droga. Jak powiedziałem, liczy się przede wszystkim stabilność i interes rodziny. Uległy tyran na tronie jest lepszy niż nieobliczalny liberał.

- Nie sądzę, by tego samego zdania byli jego poddani.

- Nikt ich o to nie pyta – wtrącił pogardliwie Baal.

- Nawet nie w tym rzecz – rzekł Marduk. – Stopień społecznej akceptacji to istotny czynnik. Ale eksperymenty polityczne na ogół nie prowadzą do niczego dobrego. Pamiętajcie co stało się ze Związkiem Czerwonym Antów, którzy ze stanu barbarzyństwa chcieli od razu przeskoczyć na etap powszechnej szczęśliwości. Większość ludzi podświadomie obawia się zmian. A radykałów jesteśmy w stanie kontrolować.

- Bez problemu – przytaknął Pan Burzy i Wojny.

- Póki wystarczy drzew do wbijania na pal – Isztar nie mogła odmówić sobie złośliwości. – A co potem?

- Pozwolimy, żeby ktoś wynalazł gilotynę – roześmiał się Baal.

W migotliwym świetle pochodni twarz Kalamduga przypominała maskaron. Zniekształcone potwornym bólem rysy ledwie dawały się rozpoznać. Każdą właśnie się zakończyła, lecz bogowie odmówili dziesiętnikowi łaski utraty przytomności. Cierpiał więc dalej, a jego udręka sprawiała wyraźną przyjemność olbrzymiemu mężczyźnie stojącemu przed palem.

Nie bez powodu zwano go Baalem Palownikiem. Nie tolerował porażek, a nawlekanie na pal było jego ulubioną karą. Obok dziesiętnika konał jedyny ocalały z walki na mokradłach knecht. Ten miał więcej szczęścia i szybko zemdłał.

Wściekłość Baala potęgował fakt, że miał też pretensje do siebie. Wyrzucał sobie, że nie dopilnował konwojowania Zabójcy Bogów osobiście. Ale Marduk chciał, by wszystko odbyło się formalnie i na pozór bez udziału rodziny.

To, że w sprawę wdał się czynnik nadprzyrodzony, nie miało znaczenia. Żołnierze, których wytypowano do doprowadzenia więźnia, powinni byli wiedzieć, że jedynie w piekle mogą uniknąć odpowiedzialności za

niewykonanie rozkazu. Nic nie miało prawa ich powstrzymać; nawet jakiś zabłąkany hydr.

Tymczasem ci durnie sami uwolnili więźnia i dali mu do ręki oręż. Bogowie! Zasłużyli na śmierć w męczarniach za samą głupotę.

Kopnął pień, na którym wisiał Kalamdug, i z uśmiechem przyjął jęk bólu. Rozejrzał się po ściągniętych strachem twarzach żołnierzy z posterunku, zgromadzonych wokół miejsca kaźni. Niech zapamiętają ten widok. Tak skończy każdy tchórz. Czyli ten, kogo bóg wojny uzna za tchórza.

Jered odczuł ulgę, kiedy dowiedział się, że zgodnie z obietnicą Kurusz zorganizował dywersję na pograniczu, by odciągnąć uwagę Nabonida od stolicy. Mimo zapewnień Arsesa, nie był przekonany, czy perski król da się wykorzystać w roli narzędzia. A jednak, dał się wykorzystać. Chyba nie było mu pisane zostać Wielkim.

Perskie zagony wtargnęły do Elamu, docierając nawet w pobliże letniej rezydencji Nabonida w Suzie. Tego król królów nie mógł puścić płazem. Z pałacu wybiegli posłańcy z rozkazami do prowincjonalnych garnizonów, a posiedzenia szefostwa połączonych sztabów przeciągały się do północy.

Gorączka wojny ogarnęła dwór, potęgując zamieszanie wywołane przygotowaniem do ceremonii ślubnej imperatora i jego wybranki. Ślub, połączony z koronacją nowej królowej, miał się odbyć za tydzień w świątyni Marduka. Podobnie jak w poprzednich przypadkach, zapowiadały się męczące, całodzienne uroczystości.

Wszystko to zaprzętało umysły Chaldejczyków, osłabiało czujność. Dlatego to właśnie w noc poślubną króla miał rozstrzygnąć się jego los.

Plan Jereda nie był skomplikowany. Dwunastu spiskowców jeszcze za dnia przedostanie się do pałacu. Nie będzie to zbyt trudne – miał ich tam wprowadzić szantażowany dygnitarz. Poczekają do nocy, kiedy Nabonid, wykończony weselem i próbami pozbawienia nowej żony wianka, uda się na spoczynek. Zdrajca miał doprowadzić ich do komnat króla. Nie pozostawiono mu wyboru; gdyby Jered ujawnił, czym zajmuje się nocami w Dolnym Mieście, czekałaby go powolna i bolesna śmierć. Oczywiście, w razie wyjścia na jaw jego zdrady, śmierć byłaby jeszcze boleśniejsza, ale mógł liczyć na to, że w powstałym po zabiciu Nabonida zamieszaniu zdoła ukryć swój udział w zamachu.

Jereda zresztą nie obchodziły cudze obawy. Nawet strach każdego z towarzyszy liczył się tylko o tyle, o ile mógł odbić się na powodzeniu planu. Cenił swoich ludzi – jedynych sprawiedliwych wśród narodów świata – ale gdyby któryś stchórzył, zabiłby go własnoręcznie.

Tylko Ana stać było na luksus wybaczenia słabości. On miał robotę do wykonania.

W zwróconych na siebie twarzach widział posępną desperację i pogodzenie z losem. Wiedzieli, że szanse na przeżycie nie są duże. Robili to nie dla siebie, lecz dla całego ludu. Nawet jeśli większość tego ludu - kierując się godnym pogardy oportunistycznym – wcale nie chciała wyzwolenia.

Nieważne. Nie będzie nikogo prosił o zgodę. W tym wypadku głos ludu nie był głosem Boga.

Jered nie miał co do tego wątpliwości. Tylko on przecież słyszał Jego głos.

Każdą ze swoich rozmów z Anem natychmiast relacjonował współpiskowcom. Naturalnie, dodawał to i owo od siebie; czasem całkiem sporo. Ale co miał zrobić? Musiał ich jakoś zmotywować. A An był tak lakoniczny...

- Zaprawdę, powiadam wam, pierwsi będą ostatnimi, a ostatni pierwszymi – perorował. – Obiecał mi to An i jestem pewien, że miał na myśli życie nie tylko na tamtym świecie. Czyż jego słowa nam nie wystarczą?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Mogła być tylko twierdząca. Spróbowałyby być inna.

Mrok katakumb rozjaśniała jedna jedyna świeca. Tak było bezpieczniej. Podziemnych cmentarzy używano od stuleci. Pozwalały we względnym spokoju sprawować kulty źle widziane przez państwo. Chaldeczyków na ogół nie obchodziło co dzieje się w miejscach, dokąd nawet szczury zapuszczały się niechętnie. To była domena bogów, którzy nie mieli ani zbyt wielu wiernych, ani świątyń, a nawet obawiano się wymawiania ich imion.

- Nasze poświęcenie nie pójdzie na marne – Jered wygłaszał ten optymistyczny pogląd już nie raz, ale zamierzał powtarzać go, dopóki słowo nie stanie się ciałem. Doceniał rolę propagandy. – Wyprowadzimy lud z niewoli. Kiedy zabijemy Nabonida, w Babilonie zapanuje chaos. Ten pomiot szatana nie ma następcy. Nasze dzieci będą cieszyć się wolnością, jakiej wyznawcy Ana nie zaznali od pokoleń. Czy chcielibyście, żeby te zasługi stały się udziałem kogoś innego? – zapytał retorycznie.

Odruchowo pokręcili głowami.

To było coś więcej, niż zagrzewanie do boju. To był rytuał. Jeden z tych nowomodnych, choć odwiecznych, socjotechnicznych chwytów mających na celu umocnienie więzi w grupie. Jered, rzecz jasna, nie uczęszczał na żadne kursy; umiejętność manipulowania ludźmi miał we krwi.

Sprawiało mu to satysfakcję. Dla swoich towarzyszy był pierwszym po Bogu. W skrócie – po prostu pierwszym.

- Zostaliśmy wybrani przez Ana. Posłał nas, abyśmy utorowali Mu drogę, by mógł powrócić w chwale. Jesteśmy zwiastunami dobrej nowiny. Pamiętajcie o tym. Niech ta świadomość doda wam odwagi, kiedy wasze dusze strwoży myśl o walce z siłami ciemności. An z wami!

Wiedział, że entuzjazm to coś, co trzeba nieustannie podsycać. Temu głównie służyły spotkania w katakumbach. Plan zamachu był tak prosty i mało szczegółowy, że już od dawna każdy z nich pamiętał go na wrywki. Mogliby się nie spotykać, co miałoby tę zaletę, że zmniejszyłoby ryzyko dekonspiracji, ale Jered zdawał sobie sprawę, że żadne przysiężenie nie może się obyć bez seansów zbiorowej nienawiści.

To dobrze, bo bardzo je lubił.

- Dzień sądu już blisko, Babilonie!

Każde smgnięcie rzemieni zakończonych ołowianymi kulkami wstrząsało wychudzonym ciałem Jereda. Ból sprawiał, że jego głos nabierał coraz bardziej histerycznego brzmienia.

- An przybywa na jasnym obłoku!

Smgnięcie.

- Nie ukryjcie się przed Nim nawet w mysiej dziurze!

Smgnięcie.

- Dłoń Ana karząca, a jego gniew jako miecz nad waszymi głowami!

Smgnięcie.

I tak już prawie od godziny.

Plecy Jereda spływały krwią, lecz jego świadomość wносиła się coraz wyżej ponad cielesność, grzech oraz slumsy, w których mieszkał. Radowało go to.

A że ból stawał się z każdą chwilą trudniejszy do zniesienia? No cóż, nikt nie twierdził, że świętość przychodzi łatwo.

Zaczynał już zatracać poczucie rzeczywistości. Cichły wulgarne odgłosy znienawidzonego miasta. Zacierał się obraz obscurnego pokoiku, oddzielonego cienkimi ścianami od kilkudziesięciu innych, znajdujących się w starej, grożącej zawaleniem czynszowej kamienicy.

Taki był jego dom, jak raczył to nazwać ten barbarzyński dureń, Arses. Dom! O Anie! Ześlij na ten chlew ogień piekielny i siarkę, by wypaliły występki do siódmego pokolenia wstecz. A potem zatruj ziemię solą i nie pozwól wyrosnąć tu nawet ostom.

Nie tak wyglądałoby jego życie w Jeruzalem, gdyby była wolna i niepodległa.

- Oto An nadchodzi w chwale, a śmierć kroczy przed nim!

Smgnięcie.

I wreszcie stało się.

Nie czuł już pokrytych starymi i świeżymi ranami pleców. Ujrzał siebie wyzwolonego z ciała, unoszącego się ku kopule z żywego światła. Szybował swobodny, radosny jak dziecko, przepelniony kosmiczną energią i karmiony strumieniami twardego promieniowania.

A potem poczuł, że jest ktoś jeszcze. Czyjaś obecność, potężna i wszechogarniająca, groźna i opiekuńcza zarazem.

Odnalazł swego Boga.

Co prawda, nie było to szczególnie trudne od czasu, kiedy przed kilkunastoma miesiącami, podczas jednego z regularnych seansów samobiczowania, Bóg odnalazł jego.

- Witaj, Jeredzie – usłyszał (a może zobaczył, poczuł, wyobraził sobie?) głęboki jak wieczność głos. - Znów bawiłeś się pejczem? Nikt ci nie powiedział,

że to bywa przyjemne tylko we dwoje? Powinieneś wreszcie znaleźć lepszy sposób wprowadzania się w trans. Pamiętaj, że potrzebuję cię całego i w dobrej kondycji.

Przyszła nocą, a może posłała noc przodem, by zaspokoić jego ludzką potrzebę intymności. Nie wiedziała, że nigdy jej nie odczuwał.

Skąd mogła wiedzieć? Była przecież tylko boginią.

- Czekales na mnie – stwierdziła dużo, dużo później.

- Tak – przyznał.

- Mimo że nie lubisz dziwek w skórzanych kombinezonach?

- Tak.

- Nie zabrzmiało to, jak przeprosiny.

- Nie.

Roześmiała się.

- Zaczynam podejrzewać, że to prawda, co mówią – iż gustuję w brutalach i chamach.

- Przykro mi.

- Nie ma powodu. Powinieneś raczej współczuć im.

Milczał chwilę.

- Kim właściwie jesteście?

- My?

- Ty, twoi bracia, twoja rodzina.

- Nie wiesz? Ty, który nazywasz siebie Zabójcą Bogów?

- Nie ja tak siebie nazywam, lecz mnie tak nazywają.

- Och, przepraszam – zakpiła. – To istotnie wiele zmienia.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie.

- Nie.

- Odpowiesz?

- A jak myślisz?

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Więc po co pytasz?

- Nigdy nie zaszkodzi spróbować.

- To typowe dla was, ludzi. Nie prosicie o informację, lecz staracie się ją wymusić.

- A gdybym poprosił, odpowiedziałabyś?

- Oczywiście, że nie.

Roześmieli się oboje. Niedbałym gestem zapaliła wszystkie lampy. Między alabastrowymi kolumnami popłynęła cicha muzyka. Gdzieś w oddali zaszumiały fontanny.

- Przyznasz, że to przyjemne miejsce – zatoczyła ręką koło.

- Owszem, i w dobrej dzielnicy – mruknął.

- Możesz tu zostać.

- Wiesz, że nie mogę.
 - Nie bądź głupcem, Krest. Nie masz żadnych szans. Twoja obsesja na naszym punkcie jest doprawdy żalosna.
 - Ale jest moja.
 - Zrozum, poza tymi murami nie ma dla ciebie przyszłości!
 - Przeciwnie, Isztar. Przyszłość jest tylko tam. Tutaj czas się zatrzymał.
- Bogini odepchnęła gniewnie jego dłoń błędzącą po jej biodrze, ale zaraz przyciągnęła ją z powrotem. Zmusiła się do uśmiechu.
- Jeszcze o tym porozmawiamy – obiecała.
 - Tak, Isztar – odparł ze znużeniem. – Wiem, że porozmawiamy.

Niewiele pamiętał z tego, co wydarzyło się między utratą przytomności gdzieś nad moczarami, a odzyskaniem jej w Rozdrożu Isztar.

Leciał; to jedno było pewne. Wraz z boginią przemierzał niebo w jakimś pojeździe, który potrafił wznieść się jak wystrzelona pionowo strzała. W jaki sposób? Isztar nie zdobyła się na wysiłek, by mu to wyjaśnić.

Przypomniał sobie opowieści przypisujące jej zdolność przebywania w kilku miejscach na raz. A więc stąd się wzięły. Ludziom, dla których koń był najszybszym środkiem lokomocji, trudno było odróżnić pokonanie pięciuset mil w godzinę od przebycia tej odległości w jednej chwili.

Tak rodzą się mity. Sam o tym co nieco wiedział.

Leżał na podłodze latającego pojazdu i w krótkich momentach, kiedy wracała mu świadomość, widział Najpiękniejszą siedzącą w osobliwym fotelu, wykonującą rozmaite ruchy i dotykającą różnych przyrządów, ze spokojem wynikającym z ogromnej wprawy.

W końcu zemdlął na dobre i ocknął się dopiero w raju.

Najcudowniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział, wymykało się precyzyjnej obserwacji. Było w nim coś zmiennego, nieokreślonego, jakby realne stawało się tylko to, na co akurat patrzył, a wszystko inne, poza polem widzenia, istniało jedynie potencjalnie, jako nieskończona liczba wariantów, czekających na urzeczywistnienie.

Kiedy się rozglądał, nie mógł oprzeć się myśli, że stwarza w ten sposób to, na co pada jego wzrok.

Leżał w wielkim łożu, nakrytym – a jakże! – baldachimem, z którego nieustannie sypały się płatki kwiatów. Tę pretensjonalność łagodził nieco fakt, że nie dolatywały do pościeli, lecz znikwały po drodze, jakby rozplływały się w powietrzu, pozostawiając jedynie aromat – coś pośredniego między zapachem dzikiej róży a jaśminu.

Na tym nie kończył się pokaz efektów specjalnych.

Szmerzące strumienie i grzmiące wodospady spływały i spadały tam, gdzie nie powinno ich być. Blask dnia i czerń nocy wypełniały bez żadnego

uchwytnego rytmu to samo pomieszczenie, w zależności od nastroju, w jakim był, kiedy doń wchodził. Korytarze niekiedy prowadziły go tam, dokąd zmierzał, ale równie często musiał zmierzać tam, dokąd go prowadziły.

Była też komnata, gdzie znikala grawitacja i człowiek unosił się swobodnie dzięki niewidzialnej energii. Któregoś dnia Isztar zaprowadziła go tam i kochali się w nieważkości, długo i namiętnie, choć początkowo trochę nieporadnie. Miał wprawdzie wrażenie, że nie do takich celów urządzono to miejsce, ale, rzecz jasna, nie protestował.

W raję mógł znaleźć wszystko. Z wyjątkiem wyjścia.

Gdy leżał chory opiekowano się nim, karmiono go i pojono. Kto to robił? Pamiętał jak przez mgłę twarze pięknych, roześmianych dziewcząt, ale może były to tylko erotyczne marzenia.

Kiedy doszedł do siebie, nie wiedział, czego oczekiwać po tej luksusowej niewoli. Spotkanie z Isztar na bagnach dalekie było od kurtuazji. Miał powody do obaw, że nawet w raję zostanie mu to policzone.

Otworzył oczy pewnego poranka (a może nocy, popołudnia, wieczoru?) i ujrzał ją siedzącą u wezgowia.

- Co z moim towarzyszem? – zapytał. – Zabiłaś go?

Zamrugnęła, zaskoczona.

- Ani dzień dobry, ani pocałuj mnie w nos? Czy nikt już nie pamięta o takich słowach jak: witaj, cieszę się i dziękuję?

- To pojęcia z ludzkiego języka. Wątpię, żeby znajdowały się też w waszym. A jeżeli nawet, to raczej nie znaczą tego samego.

- Skąd wiesz? Spróbuj, to się przekonasz.

- Witaj. Cieszę się. Dziękuję.

- No widzisz. Nie bolało, prawda?

- A więc, co z moim towarzyszem?

- Cóż, powinien był siedzieć jak mysz pod miotłą. Ale jemu zachciało się bawić w obrońcę uciśnionych.

- Strzelił do ciebie?

- Och, nie. Zapewne słyszał naszą rozmowę i zdawał sobie sprawę, że jeśli ci nie pomogę, umrzesz. Próbował wyładować swoją frustrację na byku. A potem, cóż... Całkiem dosłownie dostał się pod obcas.

- Żyje?

- Byk ma się dobrze.

- Do diabła, Isztar...

Zaśmiała się.

- Chyba nie sądzisz, że przeprowadziłam obdukcję? Ale niełatwo przeżyć z dziurą po fleku w głowie.

Krest wpatrywał się w jej jasne, fiołkowe oczy.

- Nie musiałaś go zabijać.

- Naprawdę nie rozumiesz, czy tylko udajesz? Nie wolno bezkarnie popełniać świętokradztwa. Do czego by doszło, gdybyśmy pozwalali każdemu głupcowi z rurą nabitą prochem kpić sobie z *sacrum* i czynić z niego *profanum*?

Pokręcił głową.

- Nie bardzo to jakoś pasuje do bogini miłości.

- Takie jest życie, Krest. Miłość na równi ze śmiercią są jego częściami. To, co mówię, dotyczy oczywiście także głupców z rapierem.

- Jestem tego świadomy.

- Czyżby? Twoja poczytalność budzi poważne wątpliwości. Jak nazwiesz kogoś, komu nie starcza rozumu, by wiedzieć, że porywa się z motyką na słońce? Czy masz choćby blade pojęcie o zdolnościach Marduka? Albo Baala? Moich?

- Jeśli chodzi o twoje, to mógłbym się tego i owego domyślać...

- Nie bądź wulgarny, człowieku. Lekceważenie niebezpieczeństwa nie sprawi, że będziesz bezpieczny. Moi bracia zastanawiają się, skąd się wzięłeś. A ja już wiem – ze szpitala dla normalnych inaczej.

Teraz i on się roześmiał. Ale zaraz spoważniał.

- Dlaczego mnie uprowadziłeś? Bo przecież pojawienie się byków nie było przypadkowe, prawda?

- Byłam cię ciekawa. A byki... To nie było trudne. Każde z moich braci i sióstr ma swoje... jak to nazwać? Zwierzęta totemiczne. A właściwie nie zwierzęta, lecz istoty. Ludzie w swej ignorancji nazywają je bogami. Dla nas to tylko hybrydy, stworzone dawno temu w laboratorium. *Lamassu* należą – teraz już tylko jeden należy - do mnie. Łączy mnie z nimi specyficzna więź... Rodzaj kontaktu na odległość. Trudno to wyjaśnić. W każdym razie wyczuwam, kiedy coś się z nimi dzieje. Ich strach, agresję...

- Podniecenie też?

- Głupi.

- A więc miałem rację - kobieta i byki...

- Głupi, głupi, głupi. Tak czy inaczej, potrafię nimi do pewnego stopnia kierować. Wysłałam je tam, by zaabsorbowały żołnierzy. Sądziłam, że skorzystasz z okazji i uciekniesz. Pomogłabym ci wówczas, a ty w zamian poczułbyś dozgonną wdzięczność. Lecz wolałeś wymachiwać tym swoim śmiesznym rapierem. Ja straciłam jedno ze swoich zwierzątek, a ty omal nie postradałeś życia.

- Naraziłaś się swoim braciom. Koniecznie chcieli mnie poznać.

- Mam to gdzieś. Kobiety mają pierwszeństwo.

Na jakiś znak Isztar, którego nie dostrzegł, weszła jedna z dwórek i podała mu puchar z musującym napojem.

- Czas na lekarstwo – rzekła bogini.

Wypił.

- A dlaczego byłaś mnie ciekawa?

Zawahała się. Lecz zaraz uśmiechnęła się ironicznie do jakiejś myśli.

- Dawno, bardzo dawno temu studiowałam egzobiologię. Chyba do dziś lubię badać obce gatunki.

- Nie rozumiem.

- Wiem.

A potem przyszła do niego nocą. I tak to się zaczęło, jak mówi refren starej, kiczowatej piosenki.

Była tylko boginią, więc skąd mogła wiedzieć, że się myli?

Rana głowy nie była śmiertelna, choć kopnięcie, jakie wymierzyła mu Isztar, nim zdążył poderwać się na nogi po nieskutecznym strzale do byka, okazało się na tyle niebezpieczne, by pozbawić go sporej ilości krwi. Ściemniało się już, więc musiał przeleżeć bez czucia ładnych kilka godzin. Nad moczarami panowała cisza; głęboka, by nie rzec – martwa.

Muszkiet posłużył mu za laskę, kiedy wstawał. Po potwornym byku, tajemniczej kobiecie i Kreście nie było ani śladu. Jedyne zwłoki żołnierzy poniewierały się na trakcie.

Obmył wodą ranę i z grubsza opłukał szmatę, która zazwyczaj służyła mu do czyszczenia broni, po czym obwiązał sobie głowę. Na razie musiało wystarczyć. Co cię nie zabije, to cię wzmocni, jak mawiają. Trzymał się tej zasady i na przekór wszystkiemu jeszcze chodził po tym padole.

Nawet nie próbował domyślać się, co się stało z Zabójcą Bogów. Mówiono, że Pani Miłości ma specyficzne upodobania. Może to były tylko plotki, ale nikt nigdy nie spotkał żadnego z jej licznych kochanków. Istniały dwa możliwe wytłumaczenia: albo pozbawiała ich pamięci, albo życia. Wątpliwe, by którakolwiek z tych ewentualności odpowiadała Demonowi z Rapiem.

W oficjalnej doktrynie, rzecz jasna, wszystko było po bożemu.

Mursilis rozejrzył się. Nie zagrażało mu chyba niebezpieczeństwo, więc mógł poświęcić kilka chwil na ograbienie zwłok martwych knechtów. Takich okazji się nie przepuszcza.

Pieniędzy znalazł niewiele, ale na solidny obiad powinno wystarczyć. Broń go nie interesowała; nie zamierzał obciążać się żelastwem. Przywłaszczył sobie tylko miecz, którym walczył z żołnierzami. Zastrzelony kapitan pochodził najwyraźniej z awansu społecznego; gdyby był arystokratą jego ekwipunek miałby z pewnością jakąś wartość. Niestety, ten tutaj niewiele różnił się od standardowego wyposażenia. Pech.

W miejscu, gdzie drugi *lamassu* zaatakował Kresta, Mursilis dostrzegł rapier. Zdumiało go to. Jakoś nie mógł sobie wyobrazić demona bez swojego legendarnego oręża. Stał niezdecydowanie. Rozwiązanie problemu, czy ma zabrać rapier, czy go zostawić, zależało od odpowiedzi na pytanie, czy kiedykolwiek jeszcze spotka Zabójcę Bogów.

A właściwie – czy chce go spotkać.

Zaklął. Jeśli weźmie rapier z zamiarem oddania go właścicielowi, zobowiąże się tym samym do podjęcia próby odnalezienia go, udzielenia mu pomocy i tak dalej. Słowem – okaże się frajerem, który sam pcha się w kłopoty. Z kolei, jeśli weźmie rapier z zamiarem spieniężenia go w najbliższym mieście,

będzie musiał przez resztę życia oglądać się za siebie. Najbezpieczniejszym wyjściem byłoby pozostawienie rapiera tam, gdzie leżał, i ewentualne udawanie, że się go w ogóle nie widziało.

Tak, to będzie najlepsze rozwiązanie. Zwłaszcza, że nie mógł liczyć na znaleźne.

Noc zapadała szybko, a jemu nie uśmiechało się spędzenie jej na bagnach. Koń! Jak mógł o nim zapomnieć. Przewiesił muszkiet przez plecy i ruszył ścieżką. Trochę kręciło mu się w głowie. Ale nie bardziej, niż po wizycie w karczynie. Nesyjczycy mają mocne głowy; zarówno do wypitki, jak i do wybitki.

Wędrowiec pasł się spokojnie kilkadziesiąt kroków dalej. Musiał uciec tu na widok drugiego potwora.

Mursilis znów zaklął. Niech to diabli, kolejny dylemat. Nie zamierzał brnąć pieszo przez te niegościnne okolice. Jeśli jednak dosiądzie tego konia, sam założy sobie na szyję pętlę zobowiązań wobec Kresta. Czyli, zrobi dokładnie to, czego chciał uniknąć.

Odległy ryk jakiegoś zwierzęcia przerwał jego wahanie. Wiedział, że wkrótce nastanie pora nocnych drapieżników. A on na milę cuchnął krwią.

Zbliżył się ostrożnie do Wędrowca - diabli wiedzą, czego można się spodziewać po wierzchowcu demona. Ale koń nie okazał niepokoju; widocznie pamiętał o pomocy, jakiej udzielił mu Nesyjczyk, i zaakceptował go jako przyjaciela. Pozwolił się dosiąść, choć Mursilisa nie opuszczało wrażenie, że niewinnie wyglądające zwierzę zawiezie go wprost do piekła.

Ruszył w końcu, lecz nie w kierunku lasu. Zawrócił na bagna, ku miejscu niedawnego starcia. Skoro wziął konia Zabójcy Bogów, to mógł też zabrać jego rapier. Dodatkowa pętla na szyi nie może już bardziej pogorszyć sytuacji wisielca.

Miał jednak cichą nadzieję, że bogowie rozwiążą jego problem i dług sam się umorzy po śmierci wierzyciela. Przemknęła mu nawet zaskakująca myśl, czy się o to nie pomodlić.

Czasami znikąca na całe dni i Krest myszkował do woli po swoim więzieniu, nie zaczepiany przez piękne służące. Powiedzenie o złotej klatce musiał wymyślić ktoś, kto znał to miejsce. Krest był pewien, że większość mężczyzn z ochotą sama by się w niej zamknęła i jeszcze połknęła klucz, niczym nie popijając.

Zapewne byli już tacy; i to niejedni. Gdzie się podziiali?

Pałac to za mało powiedziane. Rozdroże Isztar wobec Złotego Domu władców Babilonu było jak zegar z kukułką wobec patyka wetkniętego w piasek. Dla Kresta, który nieczęsto gościł w czymś bardziej luksusowym od wiejskiej karczmy, stanowiło apoteozę zbytku, świątynię braku umiaru, przybytek próżności i niepohamowanej ambicji.

Dopiero po pewnym czasie odkrył, że w dużej części było iluzją. A właściwie, nie tyle iluzją, ile cieniem nieskończonej liczby wirtualnych możliwości.

Istniał pewien stały, stabilny w czasie i przestrzeni zrab pałacu, który tworzyło kilkanaście sal i komnat, kilka sypialń, toalet, łazienek i wszystkiego, co potrzebne damie do życia na wysokiej stopie. Wliczając w to, rzecz jasna, baseny, sauny, gabinety odnowy biologicznej i wiszące ogrody, w których bogini szukała wytchnienia po trudach sprawowania swego urzędu.

Reszta pałacu egzystowała jakby o jeden stopień realności niżej. Była katalogiem możliwych do zrealizowania wariantów, niczym żywe, nieustannie zmieniające się *portfolio* szalonego architekta. Stanowiła ilustrację słów owego filozofa, który twierdził, że nie można dwukrotnie wejść do tej samej wody.

Obie sfery zresztą pokrywały się do pewnego stopnia, toteż właściwie wszędzie można było zetknąć się z przypadkowością, nieprzewidywalnością i nieoznaczonością. Kiedyś zanurkował w basenie otoczonym nefrytową kolumnadą, a wypłynął pośrodku sadzawki, wokół której ujrzał rząd surowych, granitowych filarów.

Idealne rozwiązanie dla kogoś, kto nie lubi częstych remontów.

Zupełnie inny charakter miał gabinet Isztar. Trafił do niego przypadkiem, ale bogini nie zganiła go, kiedy jej o tym powiedział. Później niejednokrotnie chodzili tam razem. Najwyraźniej nie sądziła, by mógł wyrządzić jakieś szkody; zapewne uważała, że jest na to za głupi.

To pomieszczenie było zwyczajne. Oczywiście, jak na niebiańskie standardy.

Masywne biurko z jakiegoś egzotycznego drewna stało niemal na środku, otoczone pokrywającymi całe ściany regałami. Krest nigdy nie widział tylu książek w prywatnym domu; co zresztą nie wydaje się dziwne – nie bywał raczej w domach intelektualistów, a pod strzechy słowo drukowane wciąż trafiało opornie.

Niewiele tytułów był w stanie przeczytać. Zdecydowana większość składała się z nieznanym mu słów, a w licznych nawet znaki pisma były całkowicie obce. Wcale by się nie zdziwił, gdyby znalazły się tu książki nie napisane w żadnym z ludzkich języków.

Ile mądrości zgromadzono na tych półkach? Zamiast niego powinien był tu trafić ktoś bardziej tego godny.

Kiedy znalazł się tu po raz pierwszy, rozsiadł się w wygodnym, skórzanym fotelu i przez dłuższą chwilę napawał bezruchem. Nic tu nie było umowne, nic nie przemieszczało się, nie zmieniało, wszystko wydawało się solidnie zakotwiczone, trwałe i klasyczne.

Oaza konserwatyzmu w modernistycznym świecie. Świątynia dumania bogini, która tutaj nie musiała niczego udawać.

Złudzenie to, niemal doskonałe, psuły okna. Bo, rzecz jasna, były tu okna. Jak w całym pałacu. Wątpliwe jednak, by widok za nimi choćby otarł się o

realność. Nie istniały pałace, które znajdowałyby się jednocześnie w górach, nad morzem, w środku wielkiego miasta i w czarnej przestrzeni, usianej miriadami gwiazd.

- Mylisz się – Isztar śmiechem przyjęła jego wątpliwości. – To wszystko jest jak najbardziej prawdziwe. Każde z tych miejsc istnieje rzeczywiście, a my znajdujemy się w każdym z nich.

- Przecież to niemożliwe.

- Niemożliwe jest tylko klaskanie jedną ręką.

Ale nie to zainteresowało go szczególnie. Cudów się spodziewał. Natomiast zaintrygowała go rzecz banalna - oświetlenie.

Cały pałac przesycony był światłem; pod różną postacią: jarzących się ścian, powietrza wypełnionego blaskiem, wielkich kryształowych żyrandoli, wreszcie zwyczajnych świec i kaganków. Niektóre źródła światła paliły się bez przerwy, inne zapalały się w znanym tylko sobie rytmie lub reagowały na pojawienie się człowieka. Jeszcze inne Isztar zapalała głosowym lub myślowym poleceniem.

W gabinecie odpoczywała od tych sztuczek, jakby były przeznaczone głównie dla gości. Tutaj zapalenie lampy na biurku wymagało prozaicznego naciśnięcia włącznika.

Ale prozaiczne było to tylko dla niej. Kresta zafascynowała elektryczność. Możliwość przegrania ciemności jednym ruchem palca dawała niewyobrażalną władzę nad największym wrogiem człowieka – nocą.

Ku rozbawieniu Isztar pstrykał włącznikiem przez kilka minut, ciesząc się na każdy rozbłysk żarówki. Podejrzewał, że zdradza objawy typowe dla dzikusa, któremu po raz pierwszy w życiu udało się skrzesać iskrę z krzemienia.

- Jak to działa? – zapytał.

- Obawiam się, że nie da się tego wyjaśnić bez dłuższego wykładu z podstaw fizyki – odparła, ale nie wyczuł w jej głosie lekceważenia. Stwierdziła po prostu fakt. – Nie ma w tym nic nadprzyrodzonego. Zwyczajna, a w dodatku bardzo prosta i stara, oczywiście z naszego punktu widzenia, technika.

- A skąd wy, bogowie, to wszystko umiecie?

Pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- Nie potrafię na to odpowiedzieć bez wyjaśnienia, kim jesteśmy. A rozmowę na ten temat mamy już za sobą, prawda? Powiedzmy, że mieliśmy więcej czasu od was na zdobywanie tej wiedzy. O wiele więcej czasu...

- Ludziom też przydałaby się ta... elektryczność.

- Nie wątpię. Tyle że jeszcze jej nie wynaleźliście.

- Ale wy ją macie. Moglibyście...

- Krest - przerwała mu - wierz mi, to nie takie proste. Nie można przeskoczyć iluś tam stuleci rozwoju technologicznego. Prędzej czy później, wszystko, czym dysponujemy, trafi do ludzi. Postęp jest nieuchronny. Ale na razie monopol na nowoczesną technologię jest dla nas kwestią strategiczną.

Dlatego ludzie muszą jeszcze poczekać na swojego Prometeusza z ukradzioną żarówką.

Było mu dobrze, a nawet zbyt dobrze. Odczuwał dziwną niechęć do myślenia o wszystkim, co pozostało za murami Rozdroża Isztar; czymkolwiek były: materialną konstrukcją, polem energii, ugięciem czasoprzestrzeni czy blokadą psychiczną.

Wypisz, wymaluj – kolejny szczęśliwy lokator złotej klatki.

- Nie boisz się, że wykorzystam okazję, by zrobić ci krzywdę? – zapytał któregoś nocy, w jednej z coraz rzadszych chwil, kiedy przypominał sobie o tym, co działo się przedtem. - Gdybym doszedł do wniosku, że powinienem kontynuować swoją misję...

- Czymże jest Zabójca Bogów bez swojego rapiera? – zakpiła. - Trutniem bez żądła.

- Wiesz, że to tylko rekwizyt. Nie jest mi potrzebny. Widziałas jak zabijam.

- Owszem i jestem pod wrażeniem. Nie wiem, jak to robisz, ale co z tego? Masz mnie za bezbronną nastolatkę?

Zachichotał.

- Za nastolatkę – nie.

- Zapewniam cię, że łatwiej można by mnie uznać za nastolatkę, niż za bezbronną. Czy to jasne?

- Jak słońce.

- Nie wzywaj imienia mojego brata, Heliosa, nadaremno, śmiertelniku... Nie lubimy tego.

Bogowie nie byli zbyt towarzyscy. Krest nigdy nie widział, by ktokolwiek – śmiertelny lub nieśmiertelny – odwiedzał Rozdroże. Kiedy zapytał o to Isztar, roześmiała się.

- Nie jest aż tak źle z naszymi skłonnościami integracyjnymi, chociaż rzeczywiście brak nam instynktu stadnego, jaki macie wy, ludzie. Ale gdybym chciała, mogłabym przyjmować gości, których nigdy nie byłbyś w stanie zobaczyć. W końcu, jesteś tylko człowiekiem.

- Dziwne, ale w twoich ustach nie brzmi to jak obelga. Od Baala usłyszałem niedawno to słowo w zupełnie innej tonacji.

- Moi bracia mają do czynienia z wami, jakby to powiedzieć, na odmiennej płaszczyźnie... Władza nad światem i tak dalej. Zaraz, zaraz, rozmawiałaś z Baalem?

- Owszem. Był uprzejmy odwiedzić mnie w więzieniu.

- Dziwne. Nawet o tym nie wspomniał ani mnie, ani Mardukowi.

- Nie ma w tym nic dziwnego, zważywszy na propozycję, jaką mi złożył.

- Jaką propozycję?

Milczał chwilę.

- Ufasz swoim braciom?

- To moja rodzina.

- Nie rozśmieszaj mnie, pani.

- Cóż... Jesteśmy sobie potrzebni. Tak mi się wydaje.

- Ale czy Baalowi również tak się wydaje? Czy jesteście potrzebni jemu?

Pokiwała wolno głową.

- A to skurwiel. Chciał, żebyś kogoś zabił... Kogo? Marduka?

- Nie powiedział mi. Nie zawarliśmy porozumienia.

Popatrzyła na niego badawczo.

- Dlaczego? Przecież to by ułatwiło twoją bezsensowną wendettę.

Wzruszył ramionami.

- Wyznaję zasadę, że nawet jeśli tkwisz w szambie, nie wchodź w układy, które śmierdzą jeszcze bardziej.

Zaśmiała się.

- To dobra zasada. Mam nadzieję, że nie podjąłeś się zabicia mnie? To nie może się udać, a ja nie chciałabym pozbawić cię życia zaraz po tym, jak wyrwałam cię śmierci.

- Nie jestem najemnikiem, Isztar. Gdybym chciał to zrobić, zrobiłbym to dla siebie, a nie dla Baala.

- Czego to się nie robi dla zaspokojenia obsesji? - zakpiła, ale zaraz spoważniała. – Dziękuję, że mi powiedziałeś, Krest. Będę musiała się zastanowić, czy porozmawiać o tym z Mardukiem. Czasami warto trzymać ciekawe informacje w zanadru. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać.

- Nie jesteś aby patronką służb specjalnych?

- Ha ha, nie. Ale za to często przeklinają mnie w obyczajówce.

Był żołnierzem, wracał z jakiejś wojny (przeciwko komu i o co wojował?) i jego okręt rozbił się u brzegów rajskiej wyspy bez nazwy. Ocalony od śmierci i wyleczony przez piękną – i jedyną – mieszkankę wyspy, pozostał tam, otoczony opieką, miłością i luksusem.

Niepomny, skąd przyszedł, kim jest i dokąd zmierza.

Całymi dniami przesiadywał na skałach, patrzył na morskie fale i zastanawiał się, skąd bierze się przeświadczenie, że nie należy do tego miejsca, że powinien być gdzie indziej. Ale gdzie – nie wiedział.

Żył? A może bogowie odtrąbili koniec jego życiowej odysei?

Kiedy się obudził, poczuł żal, że skończył się tak cudowny sen. Ale czy na pewno się skończył? Z baldachimu sypały się, niknąc w powietrzu, płatki róży. Rozkoszny zapach mieszał się ze słodką muzyką i razem uderzały do głowy, niczym dojrzałe wino.

Jeszcze nie wstał z łóżka, a już czuł się jak pijany.

Słyszał ciche kroki przemykających się dyskretnie służek; dziewcząt o urodzie godnej konkursu piękności. Wystarczyło zawołać, a nawet tylko pomyśleć życzenie.

Czyż nie był w niebie?

Przeciągnął się. Zaraz, zaraz. Zdaje się, że miał coś do zrobienia... W zakamarkach umysłu tłukły mu się zapomniane słowa: obowiązek, cel, misja. Nieważne. Tu nic nie było ważne. Co masz zrobić dziś, zrób jutro, jak mawiają Iberowie.

Nabonid VIII, Imperator Wszechchaldei, Pan Czterech Stron Świata, Król Królów, Wielki Chan Zachodniego Stepu, Faraon Górnego i Dolnego Egiptu, Naczelny Strateg Związku Mykeńskiego, Pierwszy Konsul Konfederacji Italskiej, dożywotni prezydent Nowej Fenicji i Winlandii, Lord Protektor Albionu etc. etc. – żenił się.

Narzeczoną pochodziła ze znakomitego rodu, była młoda i piękna.

Nabonid bał się jej śmiertelnie.

Nie mógł zlekceważyć życzenia Marduka. Ale bóg nie będzie stał przy łóżku w noc poślubną, czuwając nad jego bezpieczeństwem.

Uroczystości ślubne potrwać tygodzień. Było jeszcze dość czasu, by wymyślić sposób pozbycia się nowej małżonki przed skonsumowaniem związku. Sama myśl o zbliżeniu wywoływała w nim panikę. Ileż możliwości zadania zdradzieckiego ciosu!

Miramis była córką kalifa koczowniczych Medynitów. Zwierzchność Wielkiej Chaldei nad tymi półdzikimi nomadami, wyznającymi dziwną religię, opartą na kulcie jakiegoś kamienia, była w gruncie rzeczy nominalna. Wątpliwe, by małżeństwo zdołało ją umocnić, a takiego argumentu używał Pan Esagili, namawiając króla do ożenku. Raczej mogło ją osłabić, jeśli Nabonid – tak jak zamierzał – postąpi z dziewczyną jak z poprzednimi żonami.

Po co Chaldei taka cesarzowa? Czy ona w ogóle mówi w jakimś ludzkim języku?

Każdy z jego ślubów – ile to już ich było? No tak, sześć – poprzedzały długotrwałe i uciążliwe uroczystości religijne. Jako władca i jednocześnie pan młody nie mógł w nich nie uczestniczyć, ale serdecznie ich nie znosił. Te same rytuały, powtarzane od stuleci - a może nawet tysiącleci - których sens zaginął dawno temu w otchłani niepamięci. Niektóre były naprawdę męczące.

Otarł pot z czoła, ukradkiem, bowiem nie wypadało mu publicznie manifestować cielesnej słabości. Słońce prażyło bezlitośnie, a jego tym razem nikt nie osłaniał baldachimem ze strusich piór. Stał na placu przed Wielką Świątynią Marduka, w pełni insygniów koronnych, i nie mógł oprzeć się wrażeniu, że lada chwila złota tiara roztopi się od upału.

Musiał zignorować skwar i zmobilizować całą energię przed czekającym go wysiłkiem. Bieg w Samo Południe stanowił trudną próbę. Jego tradycja wywodziła się z mroków przeszłości, kiedy obieralny władca musiał co pewien czas udowodniać swoją tężyznę fizyczną, by okazać się sprawnym do pełnienia urzędu. Od stuleci tron Chaldei nie był już elekcyjny, lecz dziedziczny, ale idiotyczny rytuał pozostał. Ograniczono jego celebrowanie do sytuacji, kiedy

król wstępował w związek małżeński, co miało symbolicznie dowieść zdolności do spłodzenia potomstwa. Jakby jedno miało z drugim coś wspólnego!

W przypadku większości władców oznaczało to, że w ciągu swojego panowania będą musieli okrążyć główny dziedziniec Esagili najwyżej dwa, trzy razy. Dało się to jakoś przeżyć. Jednak Nabonid przechodził przez to już sześciokrotnie. Można by go uznać za wyczynowca.

To wszystko wina zdrażliwych kobiet, z którymi żenił się, zmuszany racją stanu. Pozornie uległe i onieśmiałe zaszczytem, jakiego dostąpiły, w gruncie rzeczy nie były niczym innym, jak narzędziami w rękach popierających je rodów, frakcji, koterii czy ościennych mocarstw.

Nawet intencje Marduka nie były jasne. Nabonid nie miał pewności, czy Najwyższy któregoś dnia nie dojdzie do wniosku, że przydałoby się przewietrzyć salę tronową Złotego Domu. Miramis, protegowana Pana Esagili, była półdzikuską. Nikogo nie zdziwiłoby, gdyby w przypływie szału targnęła się na życie imperatora. Nikt nie zadawałby niewygodnych pytań.

Nabonid ścisnął mocniej berło. Tak. Pozbędzie się nowej żony jak najszybciej.

Naczelny kapłan Marduka – kościsty starzec o wybujałej ambicji i pełen arogancji, którą kiedyś trzeba będzie ukrócić - dał znak, wykrzywając pogardliwie wargi. Nabonid chętnie zdarłby mu ten uśmiezek z twarzy, najlepiej za pomocą czegoś bardzo szorstkiego. Ale na razie musiał się podporządkować absurdalnej tradycji. Ruszył ciężkim truchtem wzdłuż północnej pierzei placu. Kiedy ją pokona, pozostaną mu jeszcze trzy, aż wróci do punktu wyjścia.

Wyjątkowo męcząca runda honorowa.

Olbrzymi okrąg świątynny Marduka, Esagilę, tworzyło wiele zabudowań i kilka dziedzińców. Nabonid nawet nie wiedział, do czego większość z nich służyła. Zapewne do jakichś obrzędów, znanych jedynie kapłanom. Centralnym punktem okręgu była Wieża Narodów zbudowana w formie schodkowej piramidy o siedmiu stopniach; na ostatnim znajdowała się kaplica Marduka. Bóg podziwiał stamtąd podobno panoramę Babilonu, a także dzielił łożę z ulubioną kapłanką, kiedy przybierał cielesną postać i opuszczał Łódź Milionów Lat.

Nabonid, rzecz jasna, nie wierzył w te bajeczki dla spóółstwa.

Czy Pan Esagili spoglądał teraz na plac ze swojego ekskluzywnego punktu widokowego? Czy obserwował beznadziejne zmagania imperatora z grawitacją? Kapłani twierdzili wprawdzie, że Marduk zaszczycał swoją obecnością wszystkie oficjalne uroczystości, ale Nabonid wiedział, że to tylko propaganda. Żaden bóg, nawet najcierpliwszy, nie zniósłby tych wszystkich milowych procesji i tasiemcowych litanii.

A Marduk nie grzeszył cierpliwością.

Tłum, stojący karnie wokół dziedzińca, milczał. Nikt nie krzyczał, nie wiwatował; w końcu, to nie była olimpiada. Nawet muzycy z orkiestry opuścili instrumenty; jedynie monotony warkot bębna towarzyszył królowi. Dlaczego

akurat on, a nie, dajmy na to, zawodzenie fletu? Wyjaśnienie tego faktu zeszło do grobu wraz z jakimś starożytnym kapłanem, twórcą tego bezsensownego obrzędu.

Nabonida irytował ten dźwięk. Brzmiał jak werbel w cyrku; jakby lada chwila miało stać się coś dramatycznego. Świetna przygrywka do upadku czy zaślabnięcia.

W piersiach zaczęło go kłuć dopiero w połowie drogi. To i tak niezłe osiągnięcie sportowe pięćdziesięciolatka ze sporą nadwagą. Wysoka tiara ślizgała się po spoconym czole. Musiał uważać, by nie spadła; stanowiłoby to bardzo zły omen. Cholerne przesady!

Biegnąc przypatrywał się mijanym twarzom. Szukał oznak lekceważenia, szyderstwa bądź kpiny. Daremnie. Nigdy zresztą ich nie było. Widzowie, dopuszczeni do uczestnictwa w uroczystości, zostali starannie wyselekcjonowani. Ich lojalność nie budziła wątpliwości. Dodatkową zachętą do przyzwoitego zachowania się był kordon uzbrojonej po zęby straży i kilka tuzinów agentów bezpieczeństwa wtopionych w tłum. Ich cenna umiejętność wychwytywania najmniejszych przejawów nieprawomyślności była powszechnie znana. Ich wiedza o ludzkiej naturze przewyższała wszystko, czego mogli się nauczyć studenci psychologii na uniwersytecie.

Przy takiej organizacji można było być pewnym, że nawet gdyby Nabonid nie dotarł do mety, meta dotarłaby do Nabonida.

A jednak jawne zlekceważenie pradawnego rytuału nie wchodziło w rachubę. Taki skandal dałoby się wprawdzie doraźnie zatuszować, lecz długofalowy koszt byłby zbyt wysoki. Tradycja, raz podważona, przestałaby pełnić użyteczną funkcję opium dla mas. Zaś wkrótce potem do drzwi Złotego Domu zapukałaby rewolucja.

Dlatego Nabonid biegł, choć płuca wypełniała mu rozżarzona lawa, a nogi ołów.

Nie chciał tego małżeństwa; jak zresztą żadnego z poprzednich. Nie miewał też metres ani nałożnic. Nie, nie był homoseksualistą; po prostu minimalizował zagrożenie. Utrata kontroli nad sobą, choćby na sekundę, mogła skończyć się tragicznie. Historia Wielkiej Chaldei знаła takie przypadki. Dlatego też nigdy nie pił alkoholu, a z płynów tolerował tylko wodę, którą najtrudniej zatruć i która nie wprowadza w stan niebezpiecznego upojenia.

Mimo to – a może właśnie z tego powodu – żył w ciągłym strachu i napięciu.

Zdawał sobie sprawę, że niepokoi się na wyrost. Jego tron nie był zagrożony. O nieudolnej konspiracji niewielkich grupek opozycjonistów, malkontentów z podbitych narodów i fanatycznych innowierców na bieżąco meldował mu Huwer, niezwykle kompetentny dyrektor Agencji Ładu i Pomyślności.

Nabonid, oczywiście, obawiał się również jego.

Poważniejszą sprawą był najazd Kurusza, króla Persów. Jednak i to były zaledwie pograniczne ruchawki, jakie zdarzały się nieustannie od stuleci. Ten syn koniokrada nigdy nie będzie miał dość siły, by zagrozić imperium. Armia Wschodu poradzi sobie z nim bez problemu, a jego głowa zawiśnie wkrótce nad Bramą Isztar.

Pokonał już dwie trzecie trasy; pozostała mu ostatnia, zachodnia pierzeja placu. Bieg kończył się u stóp głównej pochylni wiodącej na Wieżę Narodów. Miał tam złożyć dziękczynną ofiarę, w podziękę za zdrowie i siłę oraz w intencji dalszego panowania.

Przeklęte rytuały! Czy nie prościej byłoby zadzwonić do boga przez gorącą linię, łączącą pałac z Łodzią Milionów Lat, i zaprosić go na kawę? Marduk z pewnością przedkładał filiżankę małej czarnej nad surową wątrobę jakiegoś biednego baranka.

Obaj jednak tkwili w niewoli konwenansów. Zresztą, Nabonid wolał modlić się do Marduka, niż z nim rozmawiać.

Ostatni odcinek przebiegł niemal nie oddychając. Nie miał już sił na zmaganie się z każdym haustem powietrza. Przed oczyma latały mu ciemne plamy, jak płatki sadzy z kopącego kaganka. Kiedy stanął, zaniósł się kaszlem, resztkę świadomości kierując na zachowanie równowagi.

Natychmiast obstąpili go dostojnicy, podtrzymując dyskretnie. Wielki marszałek dworu podsunął mu pod nos flakonik i mroczny opar zaczął się rozwiewać. Nabonid upewnił się, że tiara tkwi na swoim miejscu i dopiero wtedy głęboko odetchnął.

Po raz siódmy udowodnił, że jest godny zasiadać na tronie imperatorów, zdobywców i wojowników. A także psychopatów, oprawców i imbecyli.

Doprawdy, mógł być z siebie dumny.

Wokół rozległy się uradowane głosy.

- Brawo, Wasza Wysokość!

- Wspaniale!

- Żyj wiecznie, Imperatorze!

Nabonid wyczuwał ulgę w tych służalczych okrzykach. Nic dziwnego, że się cieszą - pomyślał z przekąsem. Gdyby powinęła mu się noga, któryś z tych dumnych notabli musiałby wystąpić w roli kozła ofiarnego. Władca przecież nigdy nie jest winien, tylko ma złych doradców.

Ktokolwiek byłby tym, który dałby głowę dla uspokojenia opinii publicznej, zawdzięczał życie kondycji króla. Czy może istnieć lepsza motywacja do kibicowania swojemu zawodnikowi?

- Jesteś szczęśliwy?
- Nie wiem, Isztar.
- Chciałabym, żebyś był szczęśliwy.
- Wiem, Isztar.

Dni przypominały jednakowe ziarenka piasku z rozbitej klepsydry, rozsypane na drodze donikąd. Wiatr przemiałał je z miejsca na miejsce, dając pozór zmienności, lecz nic się nie zmieniało.

Czas nie był tu pojęciem względnym. Był pojęciem niepożądanym.

Kiedy pewnego razu zmęczeni seksem unosili się w nieważkości, zapytał, jakie jest prawdziwe przeznaczenie tego dziwnego, kulistego urządzenia o ścianach w formie lśniących, metalowych pierścieni. Isztar roześmiała się.

- Czy takie ci nie odpowiada?
- Owszem, ale nie wydaje mi się, by budowano coś tak skomplikowanego tylko dla przyjemności.

- Dlaczego nie? Przecież jesteśmy bogami. Nie masz pojęcia, jak wiele można zrobić dla zachcianki, która choć trochę urozmaici wieczność.

- A niech cię, Isztar...

- Dobrze już, dobrze – śmiała się jeszcze głośniej. – Chętnie zaspokoilibym twoją ciekawość. Ale separator nie jest dla ludzi. To, co tutaj robimy, to jedyne, co ty możesz tutaj robić. Gdybym włączyła to urządzenie lub pozwoliła, by włączało się automatycznie, zginąłbyś.

- Ale ty nie?

- Nie.

- Dlaczego?

Westchnęła.

- Pytania... Kto pyta, może i nie błądzi, ale irytuje... Bo, niestety, oczekuje zrozumiałej odpowiedzi.

- To zrozumiałe.

- Ha ha, rzeczywiście. Cóż, separator to urządzenie do oddzielania duszy od ciała. Problem w tym, że wy, ludzie, nie macie duszy.

Uniósł brwi.

- Większość religii nie zgodziłaby się z tobą.

- Pewnie – prychnęła. – Dlatego właśnie są religiami. Ale chyba nie powinnam podcinać gałęzi, na której siedzę – zachichotała. – Chodzi o to, że to, co kapłani nazywają nieśmiertelną duszą, jest tylko wyrazem ludzkiej tęsknoty za życiem wiecznym i ma się nijak do rzeczywistości. Nie możecie żyć wiecznie, ponieważ nie macie tego, co nazywamy cieniem – niematerialnego sobowtóra, który mógłby przetrwać po śmierci ciała.

- A więc jednak śmierć jest nieodzowna?
- Oczywiście. Ciało się starzeje, jak każda materia, i na to nie ma rady.
- Wydaje mi się, że sporo ludzi wyobraża sobie nieśmiertelność we własnym ciele; jako coś w rodzaju wiecznej młodości.
- To nierealne. Nawet gdybyście byli zdolni do życia wiecznego, to co jakiś czas musielibyście na nowo uczyć się rozpoznawania siebie w lustrze. Ale to wam nie grozi.
- Dlaczego?
- Właśnie dlatego, że brak wam cienia. Żeby to sobie zrekompensować, wymyśliliście wszystkie te, skądinąd ciekawe, mity o nieśmiertelności.
- A wy nie umieracie?
- My nie.
- Dlaczego tak jest?
- Ludzie po prostu zostali tak stworzeni.
- Przez was?
- Przez nas.
- Dlaczego?
- Bogowie! – żartobliwym gestem uniosła rękę. – Czy nigdy nie przestaniesz zadawać tego najgłupszego z pytań? Przecież to oczywiste – chcieliśmy, żeby tak było. Potrzebowaliśmy siły roboczej, a nie konkurentów do boskości.
- A te... hybry, jak je nazywasz?
- To co innego. Są naszymi oczyma i uszami w terenie. Aby wzbudzały respekt, musieliśmy je wyposażyć w odpowiednie prerogatywy. Byłoby głupio, gdyby każdy mógł je upolować, jak zająca czy dziką. Dlatego są bardzo długowieczne i mają tak dużą zdolność regeneracji, że z ludzkiego punktu widzenia można je uznać za nieśmiertelne.
- Tak, jak was, bogów?
- Och, nie. Nasze – czyli w gruncie rzeczy ludzkie - ciała znacznie łatwiej zniszczyć. Zupełnie tak, jak wasze. Jednak nasza nieśmiertelność nie jest z nimi związana. Dlatego nas nie można zabić.
- Odniosłem wrażenie, że te stwory, czymkolwiek są, nie są zbyt bystre.
- Faktycznie, w zamian za niezniszczalność ujęliśmy im nieco inteligencji. Jak mawiają, strzeżonego bóg strzeże. Ale nawet bogowie muszą się strzec.
- Pewnie. Mnie.
- Głupi. Innych bogów, rzecz jasna.
- A jak wyjaśnisz fakt, że ja potrafię unicestwić wasze hybry?
- Nie umiem tego wyjaśnić. Nie było wcześniej takich przypadków. Przypuszczam, że to jakaś mutacja. Należałoby poddać cię badaniom. Obawiam się jednak, że twoja cielesna powłoka nie przetrwałaby ich. A, jak już mówiłam, śmierć ciała to dla ciebie koniec wszystkiego.
- Dla twoich braci byłoby to wygodne rozwiązanie. Połączenie przyjemnego z pożytecznym.

- Tak, to by załatwiło parę spraw – pogłaskała go po twarzy. – Będę musiała nad tym się zastanowić. W końcu, jestem jedną z nich.

- Już myślałem, że o tym zapomniałaś.

- Czasami szukam zapomnienia. Ale zawsze, prędzej czy później, ktoś mi o tym przypomni. I to nie zawsze bóg.

Krest wyczuł w jej głosie gorzkość, mimo iż starała się zaprawić ją ironią. Jednak, czy się nie mylił? Co mógł wiedzieć o uczuciach tych istot, które tylko udawały ludzi? Nie były nimi, choć w ramionach Isztar musiał zaprzeczać świadectwu wszystkich zmysłów, by o tym pamiętać.

- No dobrze - podjął. - To co właściwie się dzieje, kiedy włączasz to urządzenie?

- Umieram – uśmiechnęła się. – Moja dusza odłącza się od ciała. Mój cień zrywa swój związek z materią i przestrzenią, przenosząc się do eteru.

- Eteru? – powtórzył bezradnie.

- To tylko próba nazwania czegoś, co daje się wyrazić jedynie matematyką. Nie przejmuj się. Nikt tego nie rozumie. Ważne, że działa.

- Jak można stworzyć coś, czego się nie rozumie?

- Krest, ci, co to zbudowali, rozumieli zasadę działania. Natomiast my - użytkownicy, że się tak wyrażę - nie musimy tego wiedzieć. Nie powinieneś się temu dziwić. Czy potrafiłbyś wykuć swój rapier?

- Nie.

- No widzisz. A przecież go używasz i wiesz do czego służy.

- To znaczy, że nie wiesz, co to jest ten eter?

- Ależ wiem! Na tyle, na ile może to wiedzieć laik.

- Więc co to jest?

Zmierzyła go spojrzeniem.

- Jesteś ciekaw, co to jest, czy ciekawi cię, czy wiem?

Odwzajemnił jej uśmiech.

- Jedno i drugie.

- Co się dzieje z dzisiejszymi mężczyznami? – westchnęła. – Oczekiwać od bogini miłości, że będzie objaśniać konstrukcję wszechświata! Czyżbyś należał do tych nielicznych facetów, którym nie wystarcza dobry seks, ale lubią też porozmawiać? I to o czymś innym, niż o seksie?

- Nie wiem. Rzadko to robię.

- Rzadko rozmawiasz czy uprawiasz seks?

- Jedno i drugie.

Parsknęli śmiechem.

- Marnujesz się – zakpiła. – Miałbyś duże powodzenie jako Demon z Długim Rapiem.

- Isztar Świntusząca – odciął się. – Pod takim przydomkiem chyba cię jeszcze nie znają?

- Tylko głęboko wtajemniczeni w moje misteria.

- Nie wątpię, że głęboko. Ale nie odpowiedziałś na pytanie. Czym jest eter?

- Naprawdę tak cię interesuje miejsce, w którym nigdy się nie znajdziesz? Mnie by to nie ciekawiło. No, ale ja jestem tylko boginią. Dobrze więc. Wyobraź sobie, że nurkujesz w mętnej, całkowicie nieprzezroczystej wodzie. Unosisz się swobodnie, niczego nie odczuwasz i nie widzisz. Nie ma przestrzeni, nie ma czasu. A tak naprawdę sam jesteś tą wodą. Czujesz, że stanowisz część czegoś wielkiego, nieskończonego. Otaczają cię inni – to cienie wszystkich tych, którzy w tym momencie korzystają z separatorów. A właściwie nie tyle otaczają cię, ile przenikają cię, łączą się z tobą, stają się tobą, a ty stajesz się nimi, choć ciągle odczuwasz własną tożsamość.

- Czyż nie to właśnie robimy teraz, bez uruchamiania tego urządzenia?

- Facet zawsze myśli tylko o jednym... To, o czym mówię, ma się tak do seksu, jak tort do torebki cukru. Niby jedno i drugie słodkie, ale jaka różnica!

- I żaden człowiek nie jest zdolny poddać się tej... separacji?

- Żaden.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Krest, Krest... Czy sądzisz, że nie upewniliśmy się, iż to niemożliwe, kiedy stwarzaliśmy pierwszego człowieka? Nawet nie próbuj, bo podzielisz los tych nieszczęśników, którzy nie wierzyli i spróbowali.

- Jak tam jest?

- Cudownie. Tam się spotykamy, rozmawiamy, a właściwie wymieniamy myśli i wrażenia. Tam czujemy się naprawdę bogami. Jest tak bosko, że niektórzy z nas zostają tam na zawsze.

- Jak to – zostają?

- Nie zauważyłeś, że niektórzy bogowie znikają ze świata? Kto dziś czci jeszcze Tiamat albo Ptaha? Gdzie się podziali? Przecież w zasadzie nie umieramy. A w każdym razie nie w sposób naturalny. Oni trwają poza czasem i przestrzenią. Nie interesuje ich świat; ani ten, ani żaden inny. Porzucili swoje ciała i wszystko, co wiąże się z cielesnością.

- Co tam robią?

- Już mówiłam – trwają.

- Niewiele to wyjaśnia.

- Bo tego się nie da wyjaśnić. Tego trzeba spróbować. To jest jak narkotyk; wciąga i uzależnia. Dlatego większość z nas stara się nie wchodzić w eter zbyt często. Stosujemy też urządzenia, które po określonym czasie wyciągają nas stamtąd. Inaczej byśmy nie wrócili.

- Może powinniście odejść tam wszyscy? – zasugerował z przekąsem. - W końcu, to rodzaj nieba, a ziemia zostałaby dla ludzi.

- Ach, więc taki jest cel Zabójcy Bogów? Ziemia dla Ziemian, a bogowie na Madagaskar? – zaśmiała się. - Nie dość, że herezja, to jeszcze brzmi jak populistyczny program wyborczy.

- Możesz sobie kpić, ale najważniejsze, że wszyscy byliby zadowoleni i nikomu nic by się nie stało.

Pokręciła głową ze znużeniem.

- Krest, zakładasz, że ludzie nie chcą bogów, ale się mylisz. Rozejrzyj się wokół. Wszędzie pełno świątyń, a niemal każdy modli się do jakiegoś boga. Wszystko jedno, czy prosi o zdrowie, pomyślność w interesach, czy o odpuśczenie grzechów. Jesteśmy potrzebni, nawet jeśli nie pomagamy bezpośrednio, co, przyznaję, zdarza się rzadko. Ale już dawno przyjęliśmy zasadę minimalnej ingerencji.

- Wasze istnienie to już ingerencja.

- Bez nas nie byłoby was, więc nie miałby kto przejmować się naszą obecnością i narzekać na naszą ingerencję, prawda? Jesteś człowiekiem, spłodzonym przez rodziców, więc sam powiedz, co lepsze: istnieć dzięki komuś czy nie istnieć w ogóle?

- Dobrze wiesz, że na tak sformułowane pytanie można odpowiedzieć tylko w jeden sposób. Ale to nie zmienia faktu, że nie pozwalacie ludziom, by radzili sobie sami, bez szukania oparcia w bogach.

- Ależ, czego ty chcesz, Krest?! Żebyśmy popełnili zbiorowe samobójstwo?

- Moglibyście poszukać sobie innego świata.

Zacisnęła usta.

- Zapominasz, że byliśmy tu pierwsi, człowieku. To bardziej nasz świat, niż wasz.

- Jeśli dobrze cię zrozumiałem, przybyliście skądinąd. My powstaaliśmy tutaj, z waszą pomocą czy bez, wszystko jedno. Zatem to my bardziej należymy do tego świata. Zostawcie go nam.

- Władzy nad światem, raz zdobytej, nie oddamy nigdy – zacytowała bądź sparafrazowała nieznane mu powiedzenie. – To jałowa dyskusja. Wybacz to porównanie, ale to tak, jakby rolnik dyskutował z koniem, żądającym, by całe gospodarstwo jemu pozostawić.

- Jest pewna różnica. Wy obdarzyliście nas inteligencją; my koni - nie. Może niepotrzebnie to zrobiliście?

- Tak – przyznała – może niepotrzebnie. Ale wtedy wydawało się to dobrym rozwiązaniem. Chodziło o efektywność. Jednostki obdarzone inteligencją mogą działać autonomicznie, w przeciwieństwie do zaprogramowanych urządzeń. To był śmiały eksperyment. Udany czy nie, zależy od punktu widzenia.

- A ty jak myślisz?

- Ba! Gdybym miała sądzić według tych wszystkich sukinsynów, których poznałam, nie pozostawiłabym na rodzaju ludzkim suchej nitki. Ale z drugiej strony... Musisz zrozumieć, że z mojego punktu widzenia wygląda to inaczej, niż z punktu widzenia, dajmy na to, Marduka. Mnie przypadł dość przyjemny

resort. On musi utrzymać władzę. I to nie tylko swoją nad nami, ale także nas wszystkich nad wami. Nie wiem, co trudniejsze.

- Musi? – zapytał z przekąsem. - Kto go zmusza?

- Zmusza go sama władza, oczywiście. Władza jest wartością samoistną. To nie rządzący rządzi dzięki władzy, lecz odwrotnie – władza sprawuje rządy poprzez niego. Władza żyje, zaspokaja swoje potrzeby, walczy o przetrwanie. Zauważ, że władcy się zmieniają, ale zawsze jest jakiś władca. Nawet tam, gdzie zwyciężyła demokracja, władza ma się dobrze, choć pod inną postacią. Zawsze ktoś kimś rządzi. I zawsze tak będzie.

- Ale jest istotne k t o rządzi, Isztar. Nikt nie lubi obcego władcy.

- Nie jesteśmy obcy. Uznaj nas za rodziców całej ludzkości. W pewnym sensie nimi jesteśmy.

Uśmiechnął się z goryczą.

- Dobrze, mamusiu.

- Mogłabym raczej być twoją pra-, pra-, pra-... ileś tam pra- babką, ale niech będzie. W takim razie, niewykluczone, że popełniasz kazirodztwo.

- Jeden grzech mniej, czy więcej... I tak nie weźmiecie mnie do nieba.

- A chciałbyś?

Popatrzył na nią, niepewny, czy to na pewno tylko żart.

- Nie. Oczywiście, że nie.

- Mogę ci zagwarantować bezpieczeństwo. Moi bracia nie sprzeciwią mi się. Tym bardziej, jeśli zaprzestasz swojej wendetty.

- Nie zrobię tego, wiesz o tym.

- Nie zdołasz nas zabić. Zabijanie hybrów ma się nijak do zabijania bogów.

- Mam wrażenie, że mój dar odsyłania w niebyt nieśmiertelnych obejmuje również was. Zresztą, prędzej czy później się przekonamy.

- Mogłabym ci na to nie pozwolić. Wbrew mnie nigdy się stąd nie wydostaniesz. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Zdawał sobie, a jakże. Zorientował się niemal natychmiast po znalezieniu się tutaj.

- Tak, Isztar. Ale to kiepski pomysł. Nie chciałbym zaczynać od ciebie.

- Zabiłbyś mnie?

- ...

- Ty łajdaku... Jesteś taki sam, jak inni.

- Przykro mi. To wojna. Moja prywatna, ale wojna.

- Bredzisz jak Baal.

- To tylko dowodzi, że są sprawy uniwersalne, niezależnie od tego, kto o nich mówi.

- Gadanie! To tylko dowodzi, że obaj macie przerośnięte ego. Chcę, żebyś został, Krest.

- Nie mogę.

Ścisnęła go w objęciach, jakby na żarty demonstrując siłę drzemiącą w szczupłym ciele.

- Nie pozwolę ci odejść. Nikt nie porzuca Isztar.
- Nikt nie powinien, to prawda. Przykro mi.
- Wątpię. Co zrobisz? Czy mam już zacząć oglądać się za siebie?
- Ostrożność nigdy nie zawadzi.

W jej oczach zabłyśły dziwne ogniki. Dotarło do niego nagle, że musi być bardzo stara. Był przy niej jak przelotna chwila przy nieskończoności.

- A więc też uważaj, Krest. Miłość i nienawiść to dwie strony tej samej monety. Skąd wiesz, czym ci zapłacę?
- Nie wiem. Ale to niczego nie zmienia. Przykro mi.

Obudził go łaskoczący dotyk. Płatki róż, sypiące się z sufitu, nie znikwały już w powietrzu, lecz spadały na jego twarz. To nie było normalne. Najwyraźniej źle się działo w państwie duńskim.

I nie było komu tego naprawić.

Isztar nie pojawiła się wieczorem, spał więc sam. Podniósł się na łokciu, nasłuchując. Gdzieś z oddali dobiegały podniesione głosy i płacz. To również nie było normalne. Takich rzeczy nie powinno się tolerować w szanującym się niebie.

Wstał z łóżka i ruszył na poszukiwanie źródła niemiłych dźwięków. Nie zadał sobie nawet trudu, by skompletować strój. W końcu, miał urlop. Zresztą, służące Isztar nie były pruderyjne.

Kilka z nich i samą Isztar zastał w komnacie, którą nazwał lustrzaną, z powodu luster, zwielokrotniających obraz tak, że nie bardzo było wiadomo, która z postaci jest rzeczywista, a która stanowi tylko odbicie.

Rzeczywista czy nie, jeszcze nie widział tak rozgniewanej bogini. Jedną ręką trzymała za włosy klęczącą przed nią dwórkę, a drugą wymierzała jej siarczyste policzki.

Zatrzymał się w drzwiach.

- Co się stało?

Isztar obrzuciła go wściekłym spojrzeniem.

- Ta suka chciała donieść Baalowi, że tu jesteś – warknęła.

Zaskoczyło to Kresta. W niebie nie było miejsca na zdradę.

- Ciekawe, jakiej zapłaty się spodziewała?

- Twierdzi, że żadnej. Zrobiła to, żeby się na mnie zemścić. Za to, że odprawiłam mojego poprzedniego... przyjaciela. Podobno zakochała się w tym łajdaku. Znając go, wątpię, czy tylko platonicznie. Na pewno przeleciał je wszystkie pod moją nieobecność.

Popatrzyła gniewnie po dwórkach, które pospuszczały głowy.

- Miłość i nienawiść... – mruknął. – Sama niedawno o tym mówiłaś.

- Tak... Postaram się, żeby ta dziwka odczuła to drugie i to bardzo namacalnie.

- Co chcesz z nią zrobić?

Ponownie szarpnęła dziewczynę za włosy. Ta jęknęła.

- Odeślę ją na tę samą zapadłą wiochę, z której ją wzięłam. I tak, jak ją wzięłam. Może ktoś ulituje się nad sierotą w koszulinie, bez pieniędzy i z daleko posuniętą amnezją. Wyjdzie za jakiegoś chłopca, urodzi mu siedmioro dzieci i będzie żyła długo i szczęśliwie.

Zaśmiała się okrutnie.

Dwórcę łzy spływały po policzkach, lecz z oczu nie znikał wyraz bezgranicznej nienawiści. Twarda sztuka, pomyślał Krest. Zapewne sądziła, że Baal zapewni jej ochronę. Lecz szybko przekonałaby się o pomyłce. Bogowie nie dbali o swoich śmiertelnych sprzymierzeńców. Ludzie byli dla nich tylko mówiącymi narzędziami.

- Jak się o tym dowiedziałas? – zapytał.

- Przyłapałam ją na próbie wymknięcia się z pałacu. Nie jest to łatwe, ale jej udało się w jakiś sposób zdobyć kod dostępu. Pewnie obserwowała mnie już od jakiegoś czasu. Zbyt rzadko zmieniałam kody... – zamyśliła się. - Tak, będę musiała rano się tym zająć... Na szczęście, nie spodziewała się, że tak szybko wrócę. Zderzyliśmy się niemal w bramie.

- I chciała powiedzieć Baalowi o mnie?

- Owszem. Gdyby jej się udało, on albo Marduk już by tu byli.

Krest wiedział, że Isztar ma rację.

- Mój pobyt tutaj to dla ciebie duże ryzyko. We własnym interesie powinnaś się mnie pozbyć.

Zachichotała.

- Nieźle, Krest. Musisz się jednak bardziej postarać, by mnie przestraszyć na tyle, abym pozwoliła ci odejść.

Odpowiedział uśmiechem.

- Jeśli nawet miałem to na myśli, niebezpieczeństwo i tak istnieje. Zastanów się, czy warto.

- Tak nisko siebie oceniasz, Zabójco Bogów? – zakpiła. - Zresztą, to nieistotne. Zapominasz, że nie ma czegoś takiego, jak obiektywna wartość rzeczy. Coś jest warte tak dużo, jak bardzo ktoś chce to mieć. A ja umiem bardzo chcieć.

Obudził go... Nie, tym razem nie. Wcale nie spał. Poczekał, aż zaśnie Isztar, po czym cicho wstał.

Już drugi raz tej niespokojnej nocy.

Musiał użyć całej siły woli, by stłumić chęć rezygnacji z tego, co zamierzał zrobić. Kiedy spojrział na pogrążoną we śnie boginię, odczuł przejmujący żal. Ale taka szansa nieprędko się powtórzy.

Nie od razu trafił do właściwego skrzydła pałacu. Był tu kilkakrotnie z Isztar, ale wówczas jeszcze nie wiedział, że wróci sam, więc nie starał się zapamiętać drogi. Pomysł przyszedł mu do głowy, kiedy leżał bezsennie, wpatrując się w znikające znów płatki róż – jak gdyby wraz z gniewem bogini minęło także rozprężenie, które na chwilę ogarnęło pałac.

Nie mógł tkwić dłużej w złotej klatce. Lecz nie potrafił z niej uciec. Ktoś musiał go z niej wyciągnąć.

Istniał ktoś taki.

Tylko jedno pomieszczenie pałacu mogło służyć za areszt, ponieważ jedynie ono posiadało zamek zabezpieczony kodem. Krest wstukał ciąg znaków, podpatrzonych u Isztar, i drzwi separatora stanęły otworem. Dwórka siedziała na podłodze z podwiniętymi nogami i chyba drzemała. Uniosła jednak głowę i popatrzyła na Kresta z przestrawieniem.

Zmierzył ją spojrzeniem.

- Czy potrafisz się stąd wydostać, jeśli cię uwolnię?

Kiwnęła głową, lecz w jej oczach czaiła się nieufność. Być może podejrzewała, że to jakaś okrutna gra ze strony Isztar. Trudno, pomyślał, będzie musiała podjąć ryzyko. Rano, kiedy Isztar zmieni kody, ucieczka stanie się niemożliwa.

Odsunął się, odsłaniając wejście.

- Ruszaj. Powiedz Baalowi, że tu jestem i że przyjmuję jego propozycję. Będzie wiedział, o co chodzi.

Gniew Baala opiewaj, bogini...

Tak mógłby zaczynać się poemat o bogu wojny. Mógłby, gdyby jakąś boginię interesował jego gniew, a kogokolwiek interesowały poematy na ten temat.

Ale nikogo takiego nie było.

Baal kipiwał ze złości. Ten pokurcz, Nabonid, przyjął go w sali audiencyjnej. Coś takiego! Czy on, bóg, był jego poddanym?! Gdyby nie prośba Marduka, by był wobec króla taktowny...

Na samą myśl o tym, co zrobiłby temu tłustemu safandule, Baal uśmiechnął się. Jeszcze przyjdzie czas. Nikt nie będzie bezkarnie lekceważył boga wojny, tylko dlatego, że ma poparcie Najwyższego. Nieśmiertelny Marduk nie będzie przecież żył wiecznie.

Rozbawił go własny dowcip. Chichocząc pod nosem wszedł do ciemnego, ponurego pomieszczenia, w którym wisiał ciężki odór śmierci, strachu i płynów ustrojowych.

Wysoko sklepiony strop nosił ślady sadzy i dymu tysięcy pochodni, jakie wypaliły się tu w ciągu setek lat. Posadzka i ściany ochlapane były niedbale wytartą krwią. Urządzenia i narzędzia także miały pierwszą młodość za sobą, lecz to w niczym nie umniejszało ich funkcjonalności.

Nie raz już słyszał, że przydałby się kapitalny remont, ale ci, co tak twierdzili, najwyraźniej ulegli wirusowi humanitaryzmu, bredząc coś o prawach człowieka i temu podobnych fanaberiach.

Potrząsnął głową. Prawa człowieka! Też coś.

Jeśli o niego chodzi, wystrój wnętrza pasował idealnie do rodzaju wykonywanej tu pracy. Pracy, niestety, często niedocenianej, lecz niezbędnej. Ktoś musiał się tym zajmować, a przecież najlepiej, żeby to był ktoś, kto to lubi. Tylko wówczas można było zagwarantować pełny profesjonalizm.

Oficjalnie miejsce to nie istniało. Ale jaki reżim, ludzki czy boski, mógłby się obyć bez takich miejsc?

Pod sufitem, nad dziwną, drewnianą konstrukcją, wisiał nagi człowiek.

Okuty metalem stożek, wsparty na czterech masywnych nogach, wysokości wzrostu przeciętnego mężczyzny, zwano potocznie magiczną kołyską. Była ona jednym z najbardziej interesujących narzędzi tortur, zgromadzonych w podziemiach pałacu Baala. Bóg wojny lubił ją szczególnie, bowiem tortury przy jej użyciu przypominały wbijanie na pal.

Człowiek był krępy, dobrze zbudowanym trzydziestolatkiem, o zmierzwionej kasztanowej czuprynie. Hardy wyraz jego twarzy walczył o lepsze z przestraczem w oczach. Posadzono go, związanego i unieruchomionego, na

stalowej obręczy, zawieszanej pod sufitem, w taki sposób, jakby przysiadł w wychodku dla załatwienia potrzeby. Znajdował się wprost nad ostrym wierzchołkiem stożka wieńczącego konstrukcję.

Zapewne domyślił się już, jak działa magiczna kołyska. Sama wiedza o tym wystarczyła, by w cudowny sposób skłonić do współpracy większość delikwentów. Dlatego właśnie kołyskę nazywano magiczną.

Baal stanął pod nim i uśmiechnął się z zadowoleniem. Audiencja u Nabonida była co prawda niezbyt przyjemna, ale Huwer okazał się przydatny. Dzięki swojej siatce informatorów bez trudu wytropił Nesyjczyka, który pomógł Zabójcy Bogów w ucieczce. Schwywanie go w przydrożnym zajeździe było drobnostką.

I oto teraz złodziej z Hattusas świecił gołym tyłkiem, niczym żyrandol w sali balowej. Istotnie, zapowiadała się niezła zabawa.

Pytanie było tylko jedno i to całkiem proste: gdzie jest Krest? Baal byłby jednak zawiedziony zbyt szybką odpowiedzią. Liczył na przysłowiowy upór Nesyjczyków.

- Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Mursilisowi najwyraźniej trudno było porzucić wrodzoną krnąbrność.

- Wielkim jak góra frajerem, któremu przeleciałem żonę? – zasugerował.

Baal zarechotał. Zapowiadała się naprawdę niezła zabawa.

- Nazywają mnie Baalem. Mówi ci to coś?

- Jasne. A mnie nazywają wzorem cnót i uczciwości.

Baal zaśmiał się głośnie, ale trzech oprawcy, zatrudnieni w ciemnicy, poruszyli się niespokojnie. Nie rozmawia się tak z Baalem Palownikiem. Boska cierpliwość zdecydowanie nie dorównywała anielskiej, a furia była jak żywioł – mogła ogarnąć i ich, gdyby nie zdołali szybko złamać tego durnia, któremu wydawało się, że jest odważny.

Problem w tym, że Baal nie znosił pośpiechu. Pogodzenie tych sprzeczności stanowiło największą trudność w ich profesji.

- Są dwie możliwości – rzekł Baal. – Jeśli nie powiesz, gdzie jest twój wspólnik, którego nazywają – doprawdy, nie wiem, dlaczego - Zabójcą Bogów, zapoznasz się bliżej z tym oto ciekawym urządzeniem. Jeśli powiesz – no cóż, też się z nim zapoznasz, ha ha! Będę z tobą szczerzy: po prostu to lubię. A ty masz pecha, że akurat tu jesteś... Ha ha!

- Bądź przeklęty! Teraz wierzę, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

- A więc dołączyłeś do grona moich wiernych... Ciesz się. Wiara niesie nadzieję. Jak mawiają kapłani: uwierzcie, a będzie wam dane.

- Przy tobie raczej należy oczekiwać straty, zbroju w aureoli.

Oprawcy struchleli. Baal jednak klepnął się z uciechy w udo.

- To tak jak przy tobie, nesyjski złodzieju.

Kiwnął głową i dwaj oprawcy natychmiast popuścili przerzuconą przez kołowrót linę, na końcu której wisiał Mursilis. Nesyjczyk opadł gwałtownie wprost na zaostrzony koniec magicznej kołyski.

Wrzasnął przeraźliwie i krzyczał jeszcze długo po tym, jak zrozumiał, że nic się nie stało – oprawcy z idealnym wyczuciem ponownie chwycili linę, zatrzymując go tuż nad wierzchołkiem okutego stałą ostrosłupa.

- Durnie! – Baal udał gniew i zaskoczenie. – Nie potraficie zrobić tego dobrze? Spróbujcie jeszcze raz.

- Nie! – szarpnął się Mursilis. - Czekaście! Powiem wszystko, co chcecie wiedzieć!

Baal obojętnie wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Ale dopiero, kiedy ci pozwolę. Zaczynajcie.

Cholerna siostrzyczka! Mała, kłamliwa suka!

Pan Wojny kłął bardziej z podziwem, niż ze złością. Kto by pomyślał, że ta nimfomanka o masochistycznych skłonnościach zechce się włączyć w męską grę? Też znalazła sobie obiekt pożądania!

Chociaż, można się było tego spodziewać. Co zdoła podniecić kogoś, kto widział już wszystko? Tylko to, czego nie rozumie. Jakaś anomalia. Pieprzony wybryk natury.

Na przykład ciele z dwiema głowami. Lub człowiek zabijający bogów.

Nesyjczyk śpiewał, aż miło, choć i tak miał dużo szczęścia. Nim zdążyli go porządnie pohuścić na magicznej kołysce, jedna ze służących Isztar (która zdradziła swoją panią z przyczyn Baalowi nieznanych i zupełnie go nieinteresujących) okazała się na tyle sprytna, by skorzystać z pośrednictwa kapłanów głównej świątyni Pana Burzy w Babilonie i przysłać wiadomość, że Krest jest u bogini miłości. Baal natychmiast stracił zainteresowanie zabawą z Mursilisem. A oprawcy nie zamierzali przemęczać się, kiedy nie patrzył ich pryncypał.

Cielesność Nesyjczyka nie została więc zbyt mocno naruszona. W przeciwieństwie do jego miłości własnej.

Baal postanowił wybrać się w drogę niezwłocznie. Zapewne dlatego zabrakło mu czasu, by powiadomić o wszystkim Marduka.

Między namiotami nigdy nie zapadała cisza. Nawet późną nocą słyszało się szczęk broni, podzwanianie uprząży, odgłos kroków czy poskrzypywanie drewnianych drzwi latryny. Wielkie obozowisko było niesforne niczym sam Babilon, z którego powodu zresztą powstało.

Drzemiący wokół ognisk wojownicy śnili o skarbach Złotego Domu i Esagili, które już wkrótce – jeśli Aryman tak zrządzi – będą należały do nich.

- Dziś tu, jutro w Babilonie – nieco już podchmielony Arses uniósł kielich, przepijając do Kurusza. – A pomogą nam w tym niczego nieświadomi fanatycy Jereda. Niech żyje święta naiwność!

W namiocie króla panowała swobodna atmosfera. Sztywny ceremoniał pozostał wraz z dworakami w pałacu w Persepolis. Na wyprawie wojennej szlachetni Persowie byli sobie równi. Oczywiście, w granicach rozsądku.

Kurusz był postawnym mężczyzną około trzydziestki, o kruczoczarnej, trefionej brodzie i bystrych, niebieskich oczach. Spoczywał na łożu, niczym nie wyróżniającym się spośród kilku innych, ustawionych w krąg na środku ogromnego namiotu. Otaczali go najwyżsi dowódcy i zaufani przyjaciele.

Rycerze okrągłego namiotu – tak ich niekiedy nazywał, nie bez szczypty pobłażliwej ironii. Jak wszyscy, mieli swoje wady, ale byli najlepszymi żołnierzami na świecie. Był pewien, że wywalczą dla niego tiarę Hammurabiego, którą po dziś dzień koronowali się władcy Babilonu.

Świat będzie miał nowego pana. Upadnie Wielka Chaldeja, a powstanie tysiącletnie imperium Achemenidów.

Wieczorna uczta właściwie już się skończyła, ale, jak zwykle, nastąpiła po niej pijatyka, ciągnąca się bez końca. Nikomu zresztą nie chciało się spać przed jutrzejszą bitwą. To będzie dobra walka. Nierówna, przeciwko znacznie liczniejszemu przeciwnikowi, ale czy kiedykolwiek było inaczej? Nowe imperia powstają wówczas, kiedy Dawid pokona Goliata, a nie na odwrót.

Przeciwko sobie mają Armię Wschodu; niemal pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Jeśli zwyciężą, Nabonid niewątpliwie wyda rozkaz ściągnięcia pozostałych armii. Lecz będzie już za późno. Armia Zachodu i Armia Północy są za daleko, by zagrozić im drogę do Babilonu. Armia Południa jest zbyt słaba, rozleniwiona tropikalnym słońcem. Liczył się więc jedynie ich dzisiejszy przeciwnik – Armia Wschodu; bliska i groźna. Dopiero w starciu z nią wywalczą sobie imperium. Lub zginą.

- Nie lekceważ fanatyków religijnych, Arsesie – odparł. – To najgorszy rodzaj ludzi. Są niebezpieczni, bez względu na to, na jakiego boga chcieliby wszystkich nawrócić.

- To tylko garstka malkontentów, królu. Więcej gadają, niż robią. A ten ich przywódca, Jered, to frustrat i czubek – nie zdziwiłbym się, gdyby w zaciszu domowym dręczył psy i koty.

- Nas też jest tylko garstka w porównaniu z całą potęgą Chaldei. A mimo to, jesteśmy przekonani, że zwyciężymy, prawda?

- Zwyciężymy! – podchwycono wokół stołu.

- Zwyciężymy!

Wypadło to niezbyt wojowniczo, bowiem niektórym spośród obecnych plątały się języki. Kurusz uśmiechnął się. To nie miało znaczenia. Wiedział, że rano staną do walki z taką samą werwą, jak zawsze. Zdobywcy nie miewają kaca.

On sam również nie wylewał za kołnierz. Dotyczyło to zresztą także innych używek. Żył intensywnie, mając w pamięci starą maksymę, że bogowie tak miłują swoich wybrańców, iż często powołują ich do siebie przedwcześnie.

A jego, Kurusza, Aryman musiał ukochać szczególnie. Od kiedy wstąpił na tron towarzyszyło mu wyłącznie powodzenie. Z licznego wprawdzie, ale rozproszonego i przez to niezdolnego do wykorzystania swej potencjalnej siły plemienia, Persowie stali się postrachem zmurszałego imperium Chaldejczyków.

Ambicja Kurusza nie znała granic. Gdy Babilon otworzy przed nim bramy i padnie na twarz przed swoim nowym władcą, wyruszy do Indii, albo nawet do pachnącego ryżem cesarstwa C'in.

Dlaczego nie? Zawsze będzie coś do zdobycia.

Jego wodzowie nie mieli pojęcia o dalekosiężnych planach króla. Wątpliwe, by z entuzjazmem przyjęli pomysł wędrówki na kraj świata. Chcieli tylko zdobyć bogactwo, a ono czekało na nich w pobliskim Babilonie. Doskonale wiedzieli, że nieśmiertelna sława nie zabezpieczy ich na starość.

Nie szkodzi. Pójdą za nim, czy tego chcą, czy nie. Choćby ze wstydu, kiedy powie, że wyruszy nawet sam.

Uśmiechnął się. Kochał tych nieskomplikowanych wojaków. Na polu walki nie mieli sobie równych. Ale tak łatwo było nimi manipulować...

Dzień, w którym miało się okazać, czy zmurszałe imperia upadają od jednego ciosu, niewiele sobie robił z ciężącej na nim dziejowej odpowiedzialności. Wstał pogodny i beztroski, jak birbant przed proszoną kolacją.

Arses czuł się podobnie.

Jako szlachetnie urodzony Pers należał do konnej gwardii króla, zwanej towarzyszymi pancernymi. Wszyscy jeźdźcy, podobni do siebie w jednolitych lśniących karacenach i suto zdobionych szyszakach, wprost rwali się do walki.

Byli elitą najwspanialszej armii, jaką kiedykolwiek widziała ta kraina. Zrodzeni do wojny, pragnęli jej bardziej, niż czegokolwiek innego.

No, może z wyjątkiem kobiet i bogactwa.

Równina na zachodzie poczerniała od mrowia nieprzyjaciół i poszarzała od kłębow pyłu wzbijanego tysiącami stóp i kopyt. Kurusz dobrze wybrał pole walki. Słońce wschodziło za perską armią, oślepiając Chaldejczyków. Wielu z nich oglądało je po raz ostatni.

Arses uśmiechnął się drapieźnie na myśl, że niedługo śmierć będzie miała tu pełne ręce roboty. Zamierzał pomóc jej najlepiej jak umiał.

Przed pierwszym szeregiem galopował na białym koniu Kurusz.

- Żołnierze! – wołał. – Oto przed nami wrogowie, liczniejsi niż ziarna piasku na pustyni. Ale cóż to znaczy? Tylko tyle, że ich zabijanie zajmie nam więcej czasu! Jakoś to przeżyjemy, prawda?!

Głośny śmiech przetoczył się nad pancernymi pułkami.

- Jesteście wolnymi ludźmi! A ich – król wyciągnął rękę w kierunku chaldejskich szeregów – pędzą do walki batem! Najemnik i niewolnik nigdy nie sprostać w boju człowiekowi wolnemu. Pamiętajcie o tym, kiedy opadną was jak szarańcza. Jak szarańczę zabijajcie ich, niszczone i depreczcie.

Zatrzymał konia, dobył miecza i uniósł się w strzemionach.

- Towarzysze! Dziś ważą się losy nie tylko nasze, ale i świata! Wieczorem niektórzy z nas zjedzą kolację z bogami. Lecz wierzę, że większość będzie jutro śniadać w Babilonie! Walczcie mężnie! Bo dla tych, co zginą, to ostatnia okazja, aby pozostawić po sobie dobrą pamięć. Żołnierze! Od was zależy pomyślność naszego ludu. Bądźcie dzielni. Przez otchłań czasu, który nadejdzie, przyszłe pokolenia patrzą na nas! Nie przynieśmy im wstydu!

Ryk z tysięcy gardeł zatrząsł podstawą nieba. Arses krzyczał wraz z innymi i wywijał szablą. Jego opancerzony wierzchowiec tańczył, jakby zamiast ciężką zbroją okryty był jedwabnym kropierzem.

A potem król wskazał mieczem linię wroga.

- Za Arymana! – zawołał. – Oby był dzisiaj z nami!

- Za Baala! – niczym zniekształcone echo wzniósł się okrzyk nad dywizjami Chaldejczyków. – Oby poprowadził nas do zwycięstwa!

Lecz Baal miał inne plany. W końcu był tylko bogiem. Nie mógł się rozdwoić.

- Dobra robota, Isztar. Zwabiłaś go prosto w nasze ręce. Jestem z ciebie dumny.

Nawet gdyby nie kpił, bogini patrzyłaby z nie mniejszą nienawiścią na swego boskiego brata.

- Czego chcesz, do diabła? – warknęła. - Kto cię tu prosił?

- Ja – spokojny głos Kresta zabrzmiał jak dysonans w pełnej napięcia ciszy.

Isztar odwróciła się gwałtownie i wbiła w niego wzrok. Stojący w holu Baal wybuchnął śmiechem.

- Mogę wejść? Jak widzisz, zostałem zaproszony.

Krest wytrzymał spojrzenie Isztar. Zaskoczenie w jej oczach ustąpiło z wolna uczuciu, którego wolał nie rozpoznawać.

- Ty sukinsynu – powiedziała tylko.

Nie odezwał się. Nie było niczego do tłumaczenia.

- Znów masz pecha, siostrzyczko – Baal wyraźnie napawał się sytuacją. – Stanowczo niewłaściwie dobierasz sobie partnerów. Kiedy się wreszcie nauczysz, że mężczyznom nie można ufać? Jak tak dalej pójdzie, nie wystarczy ci na to wieczności, ha ha...

- Milcz! – uniosła ramiona i powietrze nagle stężało od utajonej mocy. - Nie zapominaj, że jesteś w moim domu! Tutaj ja jestem panią i zgmiotę cię, jak pluskwę, jeśli jeszcze raz mnie obrazisz!

- Wybacz, siostro - Baal pochylił głowę. Z jego twarzy trudno było wyczytać, czy to gest prawdziwej, czy kpiącej uległości. – Nie ośmieliłbym się kwestionować twoich prerogatyw. Nie gniewaj się. Pamiętaj, proszę, że jestem gościem.

- Nieproszonym! – prychnęła. – Prawa gościnności nie dotyczą tych, którzy pragną przy ich pomocy zapewnić sobie bezkarność. Jeszcze raz pytam: czego chcesz?

Wzruszył ramionami.

- Przyszedłem po niego, oczywiście – spojrział na Kresta. – Sam mnie o to poprosił.

- Co każe ci sądzić, że go oddam?

- Dlaczego miałabyś tego nie zrobić, skoro on potrzebuje mnie bardziej, niż ciebie?

Krest beznamiętnie przyglądał się sprzeczce. Jeszcze niedawno konflikt między tymi, których nienawidził, sprawiłby mu nie lada satysfakcję. Dziś odczuwał nieledwie zakłopotanie. To go irytowało.

Choć na taką pozowała, Isztar nie była naiwnym dziewczęciem, wykorzystanym i porzuconym. Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań. Problem, czy zawdzięczał jej życie, był czysto akademicki, skoro to jej stwór omal go życia nie pozbawił. Można przyjąć, że byli kwita.

Jakkolwiek wątpił, by się z nim zgodziła.

- Przecież i tak musiałabyś go oddać, nawet jeśli wcześniej sama byś go nie odprawiła – argumentował Baal. – Marduk dowiedziałby się prędzej czy później. Sprzeciwiłabyś się Najwyższemu?

Isztar taksowała go wzrokiem. Czyżby ten węzeł mięśni usiłował wybadać jej nastawienie względem ewentualnego zamachu stanu? Jeśli tak, musiał być naprawdę idiotą.

Myśl, że miałaby rozmawiać szczerze z własnym bratem, wywołała mimowolny uśmiech na ustach Najpiękniejszej, czyniąc ją – wbrew regułom logiki – jeszcze piękniejszą.

Krest nie mógł oderwać od niej oczu. Zdaje się, że kiedy w szkole przerabiali logikę, akurat był chory.

- Są różne sposoby obrony swoich racji – odparła wymijająco. – Dobrze wiesz, że potrafię zadbać o swoje sprawy. Dlatego tak ochoczo podchwyciłeś to jego żalosne – rzuciła przelotne spojrzenie na Kresta – żebranie o pomoc.

- Zbyt nisko oceniasz mój humanitaryzm – odparł Pan Pożogi i Zagłady. – Po prostu serce mi się kraje, jak widzę, że człowiek się męczy.

Krest wolał nie czekać na replikę Isztar.

- Możemy już iść – odezwał się. - Jestem gotów.

Bogini odwróciła się do niego.

- To bez znaczenia, człowieczku, dopóki ja nie będę gotowa.

Wzruszył ramionami.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ale i tak pójdę. Wiesz o tym.

- Wiem więcej, niż sądzisz. Lecz kto powiedział, że muszę wykorzystywać swoją wiedzę w sposób racjonalny? W końcu, jestem kobietą.

- Ta dyskusja nie ma sensu, Isztar. Nie zmienię zdania.

- Zdaję sobie z tego sprawę – zakpiła. – Tylko skąd wniosek, że to by mi przeszkadzało?

- Jesteś boginią miłości, nie przemocy.

Nim zdążyła odpowiedzieć, Baal parsknął śmiechem. Poczerwieniła, a w jej oczach zapłonęły zimne ognie. Niczym zapowiedź burzy powietrze napęczniało groźną energią. Krest spostrzegł, że Baal również sprężył się w sobie.

A on stał pośrodku tego rodzinnego zamieszania. I był bezbronny.

Pozornie słabe tupnięcie nogą bogini, obutą w delikatny trzewik na wysokim obcasie, rozłupało posadzkę holu. Pęknięcie, niczym rozpadlina po trzęsieniu ziemi, pomknęło ku Baalowi, rozszerzając się gwałtownie. Bóg wojny zachwiał się, ale zdołał odskoczyć na nietknięty fragment podłogi.

- Nie szkoda tak pięknego pałacu? - zawołał, przekrzykując huk pękającego marmuru.

- Już nie jest taki piękny, od kiedy zohydziłeś go swoją obecnością – odparła.

- Obecność łajdaków jakoś ci wcześniej nie przeszkadzała.

Isztar otworzyła ramiona, jakby zamierzała wziąć go w objęcia.

- Tamci rekompensowali mi to najlepiej, jak umieli. Tobie nie pozwoliłabym nawet na manicure.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Nie zawsze tak było.

- Dawne czasy dziewczęcych eksperymentów... – warknęła. - Rumienię się ze wstydu na samo wspomnienie o tym.

- Wątpię. Nie widziałem jeszcze dziwki, która potrafiłaby się rumienić.

- Zobaczylbyś, gdybyś spotkał którąkolwiek z tych, z którymi się zadawałeś – powiedziała spokojnie.

I uderzyła.

W jednej chwili pałac ożył. Ściany zafalowały jak wielkie skrzydła, bijąc raz po raz w Baala, niczym w panicznym trzepocie. Bóg wojny zatoczył się, na ułamek chwili tracąc równowagę, a wówczas kolumny, oderwawszy się od kapiteli, sięgnęły ku niemu, owijając się wokół niego i dławiąc go potężnymi splotami.

Jak gdyby kłębowisko olbrzymich, uśpionych węży czekało tylko na sygnał swojej pani, by zaatakować.

Baal dobył szpady, ale oręż ten nadawał się tylko do klucia, toteż niewiele mógł działać przeciwko grubym mackom z ożywionego marmuru. Zdołał mimo to uwolnić drugą rękę, zdjął z pleców jakieś podłużne zawiniątko i rzucił Krestowi.

- Łap! Zdaje się, że to twoje.

Dłoń Kresta wyciągnęła się mimowolnie. Tkanina rozwinęła się i opadła, a znajomy ciężar bez udziału świadomości uruchomił głęboko zakodowane odruchy. Klinga rapiera zabłysła w świetle lamp nim jeszcze Krest zdał sobie sprawę, że zamierza wyjąć broń.

Zabójca Bogów z czułą uwagą obejrzał głownię, a potem wypisał ostrzem w powietrzu jakieś słowo; zapewne nie całkiem cenzuralne i bardzo mordercze.

Roześmiał się.

- Na co czekasz?! – krzyknął Baal, zmagający się z groteskową menażerią. - Chyba wiesz, jaki zrobić z niego użytek zgodnie z naszą umową?

Krest wsunął rapier do pochwy.

- Nie ma jeszcze żadnej umowy.

Marmurowe sploty znieruchomiały, a Isztar, podobnie jak Baal, obróciła swoją uwagę na Kresta. Długą chwilę mierzyła go wzrokiem. Krest odwzajemnił spojrzenie. Nie odczuwał wstydu ani zmieszania. Postąpił tak, jak

musiał postąpić. Pomyśli o powrocie do złotej klatki, kiedy będzie na emeryturze.

W spojrzeniu bogini mądrość tysiącleci walczyła z ulotną, ludzką namiętnością. I przegrywała. To nieuchronne, przemknęło Krestowi. Człowiek w końcu zwycięży. A niebo spadnie na ziemię.

Czyżby stanem, który zawładnął nim na moment, było współczucie?

Isztar opuściła ręce. Jej twarz stężała. Bogini odrzucała ten przejaw ludzkiej arogancji, niczym dumny biedak jałmużnę.

- Zjedźcie mi z oczu - rzekła. - Natychmiast.

Baal uśmiechnął się kpiąco, ale tym razem nie zdobył się na żart. Isztar odwróciła się i odeszła. Nie obejrzała się.

Bóg wojny wzruszył ramionami. Nieco nerwowo.

- Zbierajmy się, zanim zmieni zdanie. Poszło całkiem nieźle.

- Nieźle?

- Obawiałem się większych problemów. Mamy szczęście, że nas puściła.

- Sądziłem, że jesteś od niej silniejszy.

- Niewykluczone. Ale nie w jej domu. Takie są zasady.

- Więc tak naprawdę nie byłeś w stanie mi pomóc? Równie dobrze sam mogłem ją poprosić, by mnie wypuściła.

- Myślę, że prosiłeś i nic to nie dało, prawda? A teraz jednak wyszedłeś.

Jak to nazwiesz, jeśli nie pomocą?

- Głupotą. Z mojej strony.

- Głupota czy nie, nasza umowa właśnie nabrała mocy, Demonie z Rapiere. Obym tego nie żałował.

- Pożałujesz – obiecał Krest. – Ale inni pożałują pierwsi.

CZEŚĆ DRUGA

- Jak tam twoje plecy, Jeredzie? Boję się spotykać z tobą zbyt często, żebyś nie zrobił sobie krzywdy.

- Czuję się doskonale, o Anie.

- Pamiętaj, że jesteś mi potrzebny. Ten, któremu masz utorować drogę, jest już niedaleko.

- ...

- Jakieś wątpliwości, Jeredzie?

- Więc to nie Tobie mam przygotować drogę, o Anie?

- Oczywiście, że mnie... w ostatecznym rozrachunku. Ale najpierw trzeba uporać się z kilkoma problemami. Nabonid jest tylko jednym z nich i to – wybaczyć – nie najważniejszym. Posłałem więc przodem kogoś, kto, by tak rzec, oczyści przedpole. Nie znasz go, ani on ciebie, i zapewne nigdy się nie spotkacie, ale pamiętaj, że walczyacie po tej samej stronie. Cokolwiek sprzyja mojemu powrotowi na świat, jest mi miłe i powinno być miłe tobie, Jeredzie.

- Tak, o Anie.

- Wiem, że nie ma potrzeby pouczenia cię. Jesteś moim najwierniejszym wyznawcą, a nawet – nie waham się użyć tego słowa – uczniem; w pewnym sensie oczywiście. Ten, o którym mówię, ma do wykonania trudne zadanie i – choć sam o tym nie wie – jest mi bliski. Twoja misja, Jeredzie, ułatwi mu realizację jego własnej. Dopiero wówczas będę mógł powrócić na świat. Jesteś więc niezbędny. Stanowisz pierwszy szczebel drabiny, po której zstąpię z nieba. Tylko tyle i aż tyle. Czyżbyś czuł się zawiedziony?

- Ależ nie... o Anie.

- Bo i nie powinieneś. Nasi wrogowie są nie tylko z tego świata. Nabonid jest ich narzędziem, tak samo, jak jego poprzednicy na tronie Babilonu. Dopóki nie usuniemy ich, nasza walka nie będzie rokować nadziei na zwycięstwo, a twój – nasz - lud będzie tkwił w niewoli po kres czasu. Domyślasz się o kim mówię? Wiesz, kto jest naszym głównym wrogiem?

- Przekłęci bogowie Chaldejczyków!

- Zgadza się, Jeredzie. Niestety, w ich przypadku sztylet spiskowca na nic się nie zda. Trzeba czegoś innego. Pomyślałem o tym już dość dawno temu; jeszcze zanim przestałem być... tym, kim byłem. Pamiętaj, zawsze należy mieć plan awaryjny, na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Bo to, że takie okoliczności prędzej czy później wystąpią, łatwo przewidzieć. I dlatego właśnie narodził się ten, który pognębi nieprzyjaciół naszych... A raczej jego linia genetyczna, żeby być dokładnym.

- Rozumiem, o Anie.

- Nie sędę, Jeredzie, ale to nieistotne. Taka wiedza nie jest ci potrzebna; jak zresztą żadnemu człowiekowi.

- Kim jest ten, o którym mówisz, o Anie? Pytam na wypadek, gdybym go jednak spotkał...

- Po czynach jego rozpoznasz, że jest częścią mojego planu. Na razie wolałbym nie udzielać ci dokładniejszych informacji. Konspiracja ma swoje prawa. Im mniej każdy z was wie, tym trudniejsze zadanie stoi przed chaldejską tajną policją. A nie chcielibyśmy ułatwiać jej życia, prawda?

- Z pewnością nie, o Anie.

- Skupmy się więc na tym, co możesz i powinieneś zrobić, Jeredzie. Zapewne masz już pomysł, jak pozbyć się Nabonida? Opowiedz mi o tym.

- A zatem, o Anie...

Armie przegrywają bitwy. Lecz wielkie armie ponoszą wielkie klęski.

Chaldejska Armia Wschodu od stuleci skutecznie chroniła Babilon przed zagrożeniem, jakie co pewien czas rodziło się gdzieś w głębi bezkresnych stepów Azji. Niejeden lud o bełkotliwej mowie i barbarzyńskich obyczajach rozbił się o to przedmurze prawdziwej wiary. Po czym powiększał szeregi chaldejskich niewolników albo słuch o nim ginął.

Armia Wschodu umiała zwyciężać, ale nie nauczono jej przegrywać. Dlatego to, co mogło stać się tylko porażką, musiało przerodzić się w klęskę.

Perski król doskonale to rozumiał, koncentrując główne uderzenie na krótkim, wybranym odcinku linii nieprzyjaciela, z zamiarem szybkiego jej przełamania. Reszta jego wojska miała tylko przez jakiś czas wytrzymać napór wroga i nie dać się rozbić.

Konni towarzysze króla stanowili ostrze pancernego klina, wymierzonego w serce wrogiej armii. Arses poczytywał sobie za zaszczyt, że jako jeden z pierwszych unurza szablę w krwi Chaldeczyków. Nie zaprzątało go pytanie, czy będą to naprawdę Chaldeczycy, czy też jacyś biedacy z ujarzmionych przez nich ludów. Jeśli tak, to nawet lepiej. Nikt nie bije się dla żołdu równie dzielnie, jak za ojczyznę.

Kto chciałby umierać dla Wielkiej Nierządniczy?

Roześmiał się. Zaczynał gadać jak ten psychopata, Jered.

Koń tańczył pod nim, podniecony zbliżającym się starciem. On także, uczestnicząc w dziesiątkach potyczek, uzależnił się od zapachu krwi.

Obaj jesteśmy zboczeni, pomyślał Arses. A z nami co najmniej pięć tysięcy otaczających nas jeźdźców.

Kiedy Kurusz dał sygnał do ataku, ruszyli wolno, trzymając się za plecami piechoty, zasłaniającej ich przed wzrokiem nieprzyjaciela. Prawe skrzydło, gdzie skoncentrowano doborową gwardię pieszą, miało za zadanie poruszać się szybciej, podczas gdy centrum i lewe skrzydło, za którym skrywała

się jazda, maszerowało wolniej. Taki szyk sprawił, że prawe skrzydło miało związać walką wroga wcześniej, niż reszta armii. Chodziło o wywołanie wrażenia, że tam właśnie pójdzie główne natarcie. Tymczasem decydujący cios miała zadać na przeciwnym skrzydle jazda, w odpowiednim momencie wypadając zza szeregów piechoty.

Po przełamaniu linii nieprzyjaciela jazda powinna skierować się ku centrum, zachodząc od tyłu główne siły Chaldeczyków, tradycyjnie ustawione w środku.

Plan był genialnie nowatorski. Innymi słowy – nikt nie wiedział, czy się sprawdzi w praktyce.

Arses nie zaprzętał sobie tym głowy. Wierzył w wojskowy geniusz Kurusza, którego najlepszym świadectwem był fakt, że dotarli aż tutaj. I dotrą do samego Babilonu.

A to się zdziwi ten szczur z katakumb, Jered!

Daleko na prawym skrzydle podniósł się hałas; rozpoczęła się walka. Tymczasem oni wciąż jeszcze znajdowali się w dość dużej odległości od przeciwnika. Osłaniająca ich piechota parła naprzód, miarowo i w doskonałym porządku.

Pierwsza chmura strzał, jaka ku nim nadleciała, nie osiągnęła celu. Na następną nie mogli czekać; stanowiliby zbyt łatwy cel. Gdzieś w punkcie dowodzenia, zasłoniętym kłębam kurzu, zostały wydane odpowiednie rozkazy i Arses ujrzał, jak w linii piechoty otwierają się szerokie przejścia. Widząc to, rotmistrze dali sygnał do ataku kręcąc młyńca szablami.

Arses roześmiał się ruszając w skok. Zajmował zaszczytne miejsce niedaleko ostrza pancernego klina. Wszyscy jeźdźcy niemal jednocześnie pochylili lance i puścili konie w galop. Pięć tysięcy wielkich, bojowych rumaków, okrytych kolczugami, nabierało rozpędu, a ziemia zdawała się kipieć pod ich kopytami.

Takiej szarzy świat jeszcze nie oglądał.

W oczach pikinierów z pierwszej linii chaldejskiej piechoty pojawił się strach. W szyk wkradło się zamieszanie. Instynkt kazał się cofnąć, lecz nie było dokąd; z tyłu napierały kolejne szeregi armatniego mięsa. Ten widok uskrzydlił perskich jeźdźców, którzy w ostatnim momencie spięli konie ostrogami, a następnie pochylili się, zaparli w siodłach i wycelowali ostrza lanc wprost w twarze nieprzyjaciół.

Trzask drzewc, łamiących się na pancerzach, ciałach i kościach, na chwilę zagłuszył nawet wrzask bólu i jęki agonii. Lecz potem to, co jest esencją walki – ryk wściekłości, krzyk przerażenia i cisza śmierci – znów objęły panowanie nad polem bitwy.

To najpiękniejsza muzyka dla uszu prawdziwego mężczyzny, pomyślał Arses, odrzucając skruszoną lancę i dobywając szabli. Uniósł się w strzemionach i potężnym, szerokim cięciem w kark najbliższego wroga przyłączył się do symfonii.

Między zwłokami przechadzały się sępy; dziwnie ciche i spokojne. Zupełnie jakby onieśmiał je ogrom ofiary złożonej tu ku czci jedynej niekwestionowanej władczyni tego i tamtego świata - śmierci.

Nie dało się tego powiedzieć o ludziach. Dwunożne szakale i hieny zbiegły się natychmiast, jak tylko ustał szcęk stali. Nie odstraszał ich trupi odór, nie powstrzymywał wzgląd na szacunek dla umarłych. Za nic mieli zagrożenie epidemiologiczne. Obdzierali martwych - niejednokrotnie chyłkiem dobijając konających - ze wszystkiego, co mogło mieć jakąkolwiek wartość.

Wieczorny powiew chłodził rozpaloną ziemię, pokrytą aż po horyzont tysiącami ciał. Pogodzeni w obliczu wieczności leżeli tu wspólnie Chaldejczycy, Persowie i przedstawiciele dziesiątka innych ludów.

To była prawdziwa bitwa narodów. Rzeź kosmopolityczna.

Kto zwyciężył? Kto został pokonany?

Ptasich i ludzkich ścierwojadów to nie interesowało.

Czuł się oszukany. Po tej nocy obiecywał sobie znacznie więcej. I znacznie szybciej.

Od dobrej godziny przemierzał ciemne zaułki Przedpiekła; dziwnie ciche i wyludnione. Coś się zmieniło od czasu, kiedy przed rokiem podjął swoje wielkie dzieło. Dopiero teraz to zauważył.

Pełen obaw, czy uda mu się dzisiaj nasycić żądzą, zachowywał się coraz mniej ostrożnie. Zdawał sobie z tego sprawę, lecz nie potrafił pohamować straszliwego pragnienia. Trawiło go nieustannie, począwszy od tamtej nocy w Dolnym Mieście, kiedy odkrył, jak je może – przynajmniej na chwilę – zaspokoić.

Tego, że Przedpiekle sparaliżuje strach, co utrudni mu znajdowanie ofiar, nie przewidział. Sądził, że tym miejscem – tak mocno skażonym zbrodnią i występkiem – nic nie zdoła wstrząsnąć.

Sprawdził już wszystkie znane sobie uliczki, w których prostytutki zwykły były czekać na klientów. Dziś dziewcząt było zdecydowanie mniej, a tych nielicznych, które trwały na posterunku, pilnowali opiekunowie. To byli źli ludzie i nie chciał mieć z nimi do czynienia. W przeciwieństwie do ich podopiecznych, dla nich nie mógł nic zrobić. Piekło miało ich na wyłączność.

Pozostało mu krążenie w okolicy świątyni Isztar i wypatrywanie okazji.

Jeśli istniało gdzieś miejsce, w którym można było zachować anonimowość, z pewnością było nim Dolne Miasto w Babilonie. Tu nie tylko łatwo było ukryć swoją tożsamość, ale – być może jeszcze łatwiej – można było ją zmienić, przybrać sobie inną, a nawet występować pod kilkoma różnymi.

Niewykluczone, że kiedyś tak zrobię, pomyślał. Może powinienem. Człowiek bez drugiej twarzy jest tu dziwołagiem.

Zachichotał nerwowo, uświadomiwszy sobie, że ma już drugą twarz. Tyle tylko, że nie mógł jej nikomu pokazać. Ludzie by go nie zrozumieli. Opinia publiczna nie dojrzała jeszcze do zaakceptowania nadzwyczajnych środków w walce o czystość moralną i zbawienie.

Nie był pewien, czy jego pozycja uchroniłaby go przed niezасłużoną karą. Wszystko byłoby w rękach nie tyle bogów, ile polityki.

Desperacja pchnęła go do działania. Wiedział, że powinien dziś zrezygnować i wrócić następnej nocy, lecz nie potrafił się do tego zmusić. Kryjąc twarz pod kapturem, ale tak, by nie wyglądało to zbyt dziwnie, podszedł do dziewczyny, stojącej w pewnym oddaleniu od innych. Nad jej głową płonęła pochodnia, zamocowana na ścianie świątyni. To dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

Taksowała go wzrokiem, kiedy się zbliżał. Usiłował sprawiać wrażenie nobliwego mieszczanina, który poczuł ochotę na skok w bok, ale stara się z tym nie afiszować. Z pewnością widziała już setki takich.

- Witaj, żeglarzu – przywitała go.

Czy ktoś im każe wygadywać te brednie? – przemknęło mu.

- Jesteś wolna? – zapytał, mając nadzieję, że głos nie drży mu od powściąganego z trudem podniecenia.

- Na jak długo zechcesz.

- Ile? – zacisnęła szczęki, by wziąć się w garść. Musiał przebrnąć przez ten rytuał. Jeszcze trochę cierpliwości i będzie mógł zaspokoić swoje pragnienie.

- Zależy od zakresu usługi, żeglarzu. Jak zawsze. Za standard – pięć imperialnych szekli.

Udawał, że się zastanawia. Nie mógł zgodzić się zbyt szybko. Wzbudziłoby to podejrzenia.

Od grupki osób, stojących nieopodal, oderwała się sylwetka mężczyzny.

- Wszystko w porządku, Nikotris? – zawołał.

- Tak – odparła. Popatrzyła na potencjalnego klienta. - Prawda?

- Tak – potwierdził szybko. – Już się dogadaliśmy.

Uśmiechnęła się, a jej alfons pokiwał głową.

- No to bawcie się dobrze.

Tak jak przypuszczał, zaprowadziła go do pobliskiego, pozbawionego oświetlenia zaułka. Na tyle blisko, by w razie czego móc zawołać o pomoc. To utrudniało mu zadanie. Ale wiedział, że sobie poradzi.

Szła przodem, co wykorzystał, by przygotować dmuchawkę. Dmuchnął w cienką, srebrną rurkę, kiedy się odwracała. Mała strzałka, nasączona środkiem paralizującym, ugodziła ją w szyję. Niemal natychmiast nastąpiła reakcja mięśni i dziewczyna osunęła się na ziemię. W jej szeroko otwartych oczach strach zmieszał się ze światłem gwiazd.

- Nie... – zdołała tylko wyszeptać.

Przykucnął przy niej, wyjął strzałkę, włożył ostrożnie do szklanej fiolki i wraz z dmuchawką schował do kieszeni. Co za cudowny wynalazek, pomyślał. Nawet gdzieś na krańcu świata geniusz ludzki znajduje najlepsze ujście w konstruowaniu niebezpiecznych narzędzi.

Dobyl noża, rozciął szatę dziewczyny, a następnie, omijając wzrokiem jej przerażone oczy, zabrał się sumiennie do dzieła. Czuł jak z każdym cięciem uwalnia ją od sromoty i otwiera zamkniętą już, wydawałoby się na dobre, drogę do nieba.

Kiedys będzie mu wdzięczna.

Nagle znieruchomiał. Usłyszał zbliżające się kroki. W przypiływie paniki szarpnął dłonią i ostrze noża ześlizgnęło się po żebrach i ugodziło w serce. Nawet tak dokładnie sparalizowanym ciałem wstrząsnął dreszcz, a oczy dziewczyny uciekły w głąb czaszki.

Jeszcze nie! – coś krzyknęło w nim. Za wcześnie! Do cholery, za wcześnie...

Wtem kroki ucichły, rozległo się zduszone stęknienie i coś ciężkiego upadło na ziemię. Potem na tle ściany pojawiła się wysoka postać.

- Mogę prosić o chwilę rozmowy? – usłyszał beznamiętny głos. – Pańska przyjaciółka nie ucieknie. A jej opiekun już nam nie przeszkodzi.

Huwer był z siebie bardzo zadowolony. Oczywiście, nie zatrzymał mordercy. Nie miał takiego zamiaru. I, rzecz jasna, nie pozwoli innym go aresztować.

Rozmowa przyniosła jednak nadzwyczajne rezultaty. Teraz będzie musiał na nowo przemyśleć swoją strategię. Najwyraźniej szykują się duże zmiany. A on ceniał zdrowy oportunizm.

Królowie odchodzą i przychodzą, i chyba właśnie zbliżał się taki moment. Rzecz w tym, żeby system pozostał, a to już zależało w dużej mierze od niego. Dylemat, czy obserwować biernie bieg wydarzeń, czy włączyć się w nie aktywnie, w ogóle dla niego nie istniał. Był człowiekiem czynu i nie zamierzał siedzieć spokojnie, kiedy wokół rodziła się nowa rzeczywistość.

Na jego nos, przesilenie mogło sięgnąć głębiej, niż tylko zmiany na tronie. Coś wisiało w powietrzu. Na niebie gromadziły się ciemne chmury, a kapłani Baala od jakiegoś czasu zachowywali się mniej służalczo względem kapłanów Marduka. Sam bóg wojny też wydawał się trawiony gorączką skrywanej ambicji, kiedy niedawno Huwer przekazywał mu informacje o Nesyjczyku.

Pozostawało pytanie, czy ci operetkowi spiskowcy z narodu lamentujących proroków i religijnych fanatyków mieli szanse powodzenia?

Uśmiechnął się. To też zależało od niego.

Na skraju Przedpiekła złapał dorożkę, ale nie pozwolił, by zawiozła go pod sam dom. Wysiadł kilka przecznic wcześniej i poszedł pieszo. Z pewnością zauważyłby, gdyby komuś strzeliło do głowy go śledzić.

Niewielka rezydencja przy dobrej, ale nie ekskluzywnej ulicy nie rzucała się w oczy. I o to właśnie chodziło. Nie zamierzał urządzić uroczystego wjazdu, toteż nie zadzwonił po dozorcę, lecz skorzystał z klucza i wszedł na dziedziniec. W jego centrum cicho szemrała fontanna, a wzdłuż otaczającej go kolumnady rosły palmy.

Nie licząc służby, mieszkał sam. Nie ożenił się jeszcze, co – jak doskonale wiedział – prowokowało liczne plotki na temat jego skłonności seksualnych. Nie zamierzał ich dementować. Obchodziły go tylko fakty i to związane ze skłonnościami seksualnymi innych.

Służący, podejmujący pracę w jego domu, otrzymywali instrukcje, by nie interesować się jego nocnymi powrotami. Sami zresztą woleli trzymać się z dala

od jego spraw. Dlatego teraz mógł spokojnie zająć się sobą, obmyślając jednocześnie kolejne posunięcia w grze o prestiż, wpływy i pieniądze.

Poruszał się po domu nie zapalając światła. Wystarczył mu blask księżyca wpadający przez dziedziniec i odpowiednio rozmieszczone świetliki. Zamierzał zapalić lampkę dopiero w gabinecie.

Chwytną klamkę usłyszał ciche skrzypnięcie. Skrzywił się. Jego stary, ulubiony fotel od dawna już nadawał się do wyrzucenia. Usiadłszy w nim, nie dało się już wstać lub choćby tylko poruszyć bez robienia hałasu.

Oprócz niego i służby nikt o tym nie wiedział.

Naciskając klamkę nie zastanawiał się, kto czeka w środku, lecz jedynie skąd wziął się ktoś tak głupi, by włamywać się do domu najlepszego w historii szefa tajnej policji.

Nie popisali się pomysłowością. Jeden stał za drzwiami i tego spotkała największa kara. Nim zdążył zadać cios krótką pałką, sztylet Huwera przeciął mu gardło, a następnie przemknął błyskawicą przez komnatę, trafiając w pierś drugiego opryszka, siedzącego nonszalancko w fotelu. Tamten zwałił się na podłogę.

Huwer wiedział, że to nie koniec. Jedynie policjanci pracowali parami; bandyci preferowali trójki. To logiczne – dwóch ludzi można w sprzyjających okolicznościach pokonać, a z kolei więcej, niż trzech, to już mały tłum, ze wszystkimi tego niedogodnościami.

Trzeci zdążył się przygotować. Miał rusznicę z obciętą lufą i kolbą, dzięki czemu łatwiej było ukryć ją pod ubraniem. Schował się jednak w miejscu nietrudnym do przewidzenia – za masywnym biurkiem; sądząc zapewne, że zdąży wystrzelić, nim sam stanie się obiektem ataku.

Nie mylił się.

Nacisnął spust, lecz szczęk opadającego kurka spowodował jedynie suchy trzask. Niewypał! Huwer dopadł go w trzech krokach i zdzielił w szczękę. Głowa tamtego zetknęła się ze ścianą, co skutecznie przeniosło go w sferę przeżyć pozazmysłowych.

Wszystko odbyło się w niemal kompletnych ciemnościach. Dopiero kiedy Huwer ocenił, że nie grozi mu już niebezpieczeństwo, zapalił kilka lampek.

Podniósł obrzyn. Ku jego niemałemu zaskoczeniu, rusznica miała nowoczesny, rzadko jeszcze spotykany ze względu na cenę, zamek skałkowy. To dlatego nie zorientował się, że napastnicy dysponują bronią palną – po prostu nie poczuł charakterystycznego zapachu tłącego się lontu.

Wygląda na to, że rozpoczął się wyścig zbrojeń między policją a przestępcami, pomyślał cierpko.

Proch na panewce musiał być wilgotny, albo skałka nie wytworzyła iskry, dlatego rusznica nie wypaliła. Zapewne to drugie. Ot, typowe wady nowej technologii...

Przyklęknął i chwycił za gardło ranionego sztyletem napastnika.

- Kim jesteście? Czego chcecie?

Mężczyzna charczał oddychając. Możliwe, że miał przebite płuco.

- Przysłał nas... Protektor. Zaprasza na... spotkanie.

Huwer popatrzył na niefortunego strzelca, który właśnie odzyskiwał przytomność.

- Obaj znacie drogę?

Tamten kiwnął głową.

- Zaproszenie przyjęte – szybkim, potężnym szarpnięciem Huwer złamał kark trzymanego mężczyzny. – Ale jeden przewodnik mi wystarczy.

W dorożce, która czekała za rogiem, opryszek wyciągnął czarną chustę.

- Muszę panu zawiązać oczy.

Huwer uniósł brwi i spokojnie zmierzył go wzrokiem.

- Proszę... – bąknął tamten. - Nie może pan poznać siedziby Protektora.

Huwer roześmiał się.

- To jego problem. W razie czego ją zmieni. Chyba stać go na to?

Droga upłynęła w milczeniu. Bandzior już nie nalegał; był ponury i wyraźnie przestraszony. Zapewne za niewykonanie polecenia groziła mu reprimenda szefa. Jej rodzaj nietrudno było sobie wyobrazić. Ta myśl rozbawiła Huwera jeszcze bardziej.

Nie pociągała go przemoc. Ale i nie odstręczała. Po prostu była. Niczym drogi narkotyk, w odpowiedniej dawce potrafiła sprawić, że czuł się doskonale.

Neoficjalny władca Przedpiekła - kimkolwiek był - nigdy nie ujawniał swojej tożsamości. Pokazywał się tylko nielicznym, zakapturzony i w masce. Można by pomyśleć, że to ktoś powszechnie znany. Taką możliwość służby specjalne również brały pod uwagę.

Dorożka zatrzymała się w jakimś anonimowym zaułku Dolnego Miasta. Nie było tu niczego, poza nagimi ścianami domów, ciągnącymi się nieprzerwanie po obu stronach wąskiej uliczki. Jego towarzysz podróży wysiadł, dając mu znak, by uczynił to samo, po czym zakołatał do skromnych, drewnianych drzwi; jedynych w zasięgu wzroku.

Uchyliły się niemal natychmiast. Znaleźli się na dziedzińcu, niewiele różniącym się od tego w domu Huwera. Tylko fontanna zamiast pary delfinów przedstawiała jakieś mityczne stworzenie o tułowiu kobiety i rybim ogonie.

Przeszli przez kilka komnat, nim ponury opryszek gestem polecił mu zaczekać. Oczekiwanie nie trwało długo. Wysoka, niewiele tylko niższa od Huwera, choć szczuplejsza postać pojawiła się w drzwiach niemal bezszelestnie. Okryta czarnym, luźnym płaszczem z kapturem, w skąpym świetle przypominała samą Śmierć.

Huwer skrzywił się z niesmakiem. Co za tanie sztuczki...

Protektor zbliżył się i skinął głową. Maską, którą nosił, zalśniła lekko. Uformowana z jakiegoś połyskliwego materiału, podobna była do twarzy

manekinów z tych drogich, nowomodnych sklepów, wyrastających jak grzyby po deszczu przy Bulwarze Elizejskim.

- Usiądźmy – odezwał się. - Przepraszam za przykrości, jakie stały się pańskim udziałem w wyniku pożałowania godnej niekompetencji moich pracowników. Słusznie pan ich ukarał.

Głos był osobliwie zniekształcony, jakby pod maską znajdował się mechanizm, zdolny tworzyć dźwięki, a nie krtań z krwi i kości. Pozbawiony intonacji, mógłby należeć do kogokolwiek. Trudno było nawet ocenić, czy jest męski, czy kobiecy.

Jeśli to jakaś sztuczka, przemknęło Huwerowi, to trzeba będzie kupić, ukraść lub wymusić tę technologię.

- Ich błąd polegał na tym, że nie zdążyli powiedzieć, iż są objęci pańską protekcją, Protektorze...

- Jeden, zdaje się, coś mówił...

- Tak? Musiałem niedosłyszeć.

- Mniejsza z tym. Cieszę się, że mam przyjemność poznać dyrektora Agencji Ładu i Pomyślności.

- A nie znamy się?

- Ha ha... W tym wcieleniu nie. A w innych? Czy w ogóle kiedykolwiek zdejmujemy nasze maski? Jaka więc różnica, czy się już spotkaliśmy, czy nie?

- Cóż... Myślę, że jednak się nie spotkaliśmy. Zapamiętałbym kogoś, kto w tak kulturalny sposób potrafi zarzucić mi dwulicowość.

Protektor skłonił głowę.

- Dziękuję. Uznanie ze strony wytrawnego gracza bardziej cieszy, niż sama wygrana.

Huwer uśmiechnął się.

- W niektórych grach łatwo wygrać, ale trudno zatrzymać dla siebie całą pulę. Dopiero to bywa miarą sukcesu.

- Nic nie odbywa się w próżni. Żyjemy w systemie naczyń połączonych. Co na górze, to i na dole. Uderz w stół, a nożyce się odezwą. I tak dalej. Wie pan, do czego zmierzam, dyrektorze?

- Chodzi panu o te morderstwa prostytutek w Przedpieklu.

- Istotnie. To nie jest problem tej czy innej pracującej tam dziewczyny. To nawet nie jest problem policji. To problem nas wszystkich. Na pewno pan to dostrzega.

- Nie bardzo.

- Niech pan da spokój, Huwer! Obaj wiemy, że zabójcą jest ktoś spoza Dolnego Miasta. To ktoś z was. Dokonując swoich odrażających zbrodni u nas, plami oba nasze światy.

Huwer wsłuchiwał się w sposób formułowania zdań przez rozmówcę. Być może da to asumpt do snucia przypuszczeń na temat jego tożsamości.

- Nie ma dwóch światów - zaproponował. - Babilon jest jeden. Prawo jest takie samo, bez względu na to, kto i gdzie je łamie. Dlatego to j e s t problem policji.

Zakapturzona postać zatrząsa się od cichego śmiechu.

- Jakbym słyszał polityka przemawiającego na wiecu... Proszę nie traktować mnie jak półgłówka, lub, co gorzej – protekcyjnie. Niewielu by się na to odważyło. Ale pan wie, że nic panu nie grozi, toteż testuje pan wytrzymałość materiału, czyli moją cierpliwość. Zapewniam, że mam jej tyle, by ta rozmowa nie przerodziła się w konkurs inwektyw.

- Dobrze powiedziane. Słucham zatem.

- Jak już zapewne zdążył się pan zorientować, niepokoi mnie ta sprawa. Oczywiście, morderstwa nie są w Przedpieklu niczym niezwykłym, o czym obaj doskonale wiemy. Ale dotychczas były to rzeczy swojskie: podcięcie komuś gardła, uduszenie, rozbicie głowy cegłą; słowem – normalka. Nawet porachunki gangów ograniczały się zazwyczaj do wyłupienia kilku par oczu, zakopania kogoś żywcem czy wykastrowania. To jednak jest coś zupełnie innego. Policja ukrywa drastyczne szczegóły, ale mamy swoje sposoby, by je poznać. Wiemy o zwłokach okaleczonych w bardzo charakterystyczny sposób. Tak nie zabijają przestępcy. To robota psychopaty.

- Bierzemy taką możliwość pod uwagę. Skąd jednak wniosek, że sprawca nie pochodzi z Dolnego Miasta?

- Z tej prostej przyczyny, dyrektorze, że tu nie ma psychopatów. Owszem, nie brakuje odmieńców rozmaitego autoramentu: sadystów, masochistów oraz przedstawicieli wszelkich innych izmów, ale ich odchylenia nie przekraczają pewnej granicy, poza którą nie można już funkcjonować w społeczeństwie. Wy, ludzie z Babilonu, nazywacie nas marginesem społecznym. Ale proszę pamiętać, że margines stanowi część strony. Może pośledniejszą, ale integralną. Jeśli coś nie mieści się na głównej części strony, zawsze może znaleźć miejsce na marginesie. Lecz jeśli wykracza również poza niego?

- Myślę, że zależy to od szerokości marginesu, Protektorze.

- Wbrew pozorom, nie jest on zbyt szeroki. Zdziwiłby się pan, jak nietolerancyjni potrafią być ludzie, którzy sami nie są tolerowani gdzie indziej. To ortodoksi zbrodni i występku. Biada odstępcom, łamiącym ich przykazania. Opinia o powszechnym lekceważeniu wszystkich zasad przez tutejszych mieszkańców to mit.

Huwer dopiero teraz zrozumiał, co niepokoiło go w sylwetce Protektora. Przywódca przestępczego podziemia w ogóle nie gestykułował, kiedy mówił. Czy to oznaka doskonałego panowania nad sobą, czy też obawa przed ujawnieniem jakimś nieostrożnym ruchem swojej tożsamości?

- Załóżmy, że zabójca rzeczywiście pochodzi z Górnego Miasta. Z Babilonu, jak zechciał pan to określić. Co w takim razie?

- Nie chcemy go tutaj. Martwi mnie nie tyle to, co robi, lecz jakie skutki może to przynieść. Ten osobnik stanowi zagrożenie dla kruchej równowagi, jaka

panuje między naszymi światami, dyrektorze. To po pierwsze. Po drugie, to jest mój teren i takie ekscesy podważają mój autorytet. A ja mam bardzo silnie rozwinięty instynkt przywódczy - zakapturzona postać zachichotała cicho. – Poza tym, muszę chronić moje owieczki. Rozumie pan - w końcu nie bez powodu nazywają mnie Protektorem. Mówiąc więc wprost – albo pan coś z tym zrobi, albo zajmę się tym ja. Podejrzewam, że ta druga ewentualność naraziłaby na szwank z kolei pański autorytet.

- Czyżby?

- No cóż, śmierć prostytutki - a nawet dwóch czy pięciu - to jedno, zaś śmierć kogoś z pierwszych stron gazet, to – przyzna pan – coś zupełnie innego. Nasz miłościwie panujący imperator nie byłby z pana zadowolony.

- Nie bardzo rozumiem... Z pierwszych stron gazet?

Lśniaca maska przez chwilę tkwiła nieruchomo. Huwer przysiągłby, że skrywający się pod nią człowiek uśmiecha się szeroko.

- Byłby z pana trudny przeciwnik w grze w karty, dyrektorze. Co za pokerowa twarz! Prawie jak moja maska, ha ha... Ale mówiąc poważnie, w tej grze nie może pan wygrać, więc blef jest daremny. Nie wiem, kim jest zabójca, ale wiem, kim nie jest. Gdyby należał do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent szarych obywateli Wielkiej Chaldei, już by tkwił na palu, prawda? Słynny Huwer nie dałby się wodzić za nos byle psychopacie. Stąd wniosek, że jest to przedstawiciel owego procenta szczególnie uprzywilejowanych. A pan wie, kto to taki, i trzyma pan tę wiedzę dla siebie, by ją odpowiednio wykorzystać.

Huwer zignorował tę sugestię.

- Powiedział pan, że nie mogę wygrać. Co miał pan na myśli?

- To, że nie może pan wygrać ze mną, ponieważ nie można wygrać z rzeczywistością. Protektor stanowi część systemu, który opiera się na dwoistości. Świat jest dwubiegunowy. Dzień ma swoją noc, życie śmierć, a społeczeństwo – nas, swoich wyrzutek. A skoro społeczeństwo ma swojego króla, my musimy mieć swojego Protektora. Protektor to element struktury. Nie da się go usunąć bez zachwiania równowagi lub gruntownej przebudowy całego gmachu. Królowie Babilonu zawsze to rozumieli. Dlatego nigdy nie podjęli próby obalenia Protektora. W obawie, rzecz jasna, by samemu się nie przewrócić. Nabonid też panu na to nie pozwoli.

- Protektor nie jest abstraktem, lecz człowiekiem. Można go usunąć.

- Oczywiście, ale co to panu da? Chce pan walczyć z władcą Przedpiekla czy ze mną osobiście? Przecież nawet się nie znamy. Gdyby wszystko opierało się na mojej skromnej osobie, moja porażka miałaby jakiś sens. Ale tak nie jest. Nawet jeśli przegram, to któż to taki – ja? Zupełnie nikt, dyrektorze. Peleryna i maska wypełnione treścią, którą można podmienić, jak algorytm w automacie. Nawet jeśli ja przegram, to pan i tak nie wygra. Mielibyśmy do czynienia z grą o sumie zerowej.

- Dziwne, nie znam tego pojęcia. W ogóle, używa pan ciekawych określeń, Protektorze.

- Proszę mi wybaczyć te archaizmy. Czasami zapominam, że dziś już nikt tak nie mówi. Chodziło mi o sytuację, w której nie ma zwycięzcy. Po co więc walczyć?

- Nigdy nie wiadomo z góry, jaki będzie wynik walki.

- Nie zgodzę się z panem. Mając wystarczająco dużo danych można przewidzieć ze znacznym prawdopodobieństwem rezultat gry.

- Każdej? – zainteresował się Huwer.

Protector najwyraźniej dobrze się bawił.

- Teoretycznie? Owszem. Ale wątpię, by uzyskał pan jasną odpowiedź w kwestii, na przykład, po której stronie w zbliżającym się kryzysie rządowym i jak najlepiej wykorzystać posiadane informacje. Zbyt dużo zmiennych.

- Nie ma żadnej kwestii.

- Oczywiście. Jest pan przecież profesjonalistą, którego uwaga skupiona jest na jak najlepszym wypełnianiu obowiązków. Tak tylko sobie teoretyzujemy.

Huwer taksował wzrokiem zamaskowaną postać. Każda wymiana zdań może dostarczyć interesujących danych. Dlatego nigdy nie pozwalał się sprowokować. Złośliwości pod jego adresem trafiały w próżnię.

Adresat nieznan, przesyłki nie dostarczono, zwrot do nadawcy.

- Co pan proponuje? – zapytał.

- Współpracę na rzecz utrzymania *status quo*. Pan powstrzyma, w taki czy inny sposób, waszego zbrojnego przed dalszym zabijaniem, a ja powstrzymam samego siebie przed zabiciem jego.

- Nie określiłbym tego jako sprawiedliwy układ.

- Bogowie! Szef powszechnie znienawidzonej tajnej policji rozprawia z przywódcą przestępczego podziemia o sprawiedliwości! Zdumiewa mnie pan, dyrektorze.

- Przecież tak tylko sobie teoretyzujemy, prawda? A ponieważ nic bliższego nie wiem o tej sprawie, nie mogę składać żadnych deklaracji. Obawiam się, że zaprosił mnie pan na próżno.

Zakapturzona postać wstała.

- Jestem pewien, że nawet dyrektor Agencji Ładu i Pomyślności posiada instynkt samozachowawczy.

Huwer podniósł się również.

- To podstawowe kryterium przy rekrutacji na to stanowisko.

- A nie brak wszelkich skrupułów?

- Czyż to nie jedno i to samo?

Protector skłonił głowę.

- Miło się z panem gawędziło, dyrektorze. Sądzę, że jednak nie traciliśmy czasu na próżno.

- Ponieważ w ogóle się nie spotkaliśmy – na pewno nie.

Protector jeszcze raz skinął głową i ruszył ku drzwiom. Niemal równocześnie obok Huwera pojawił się ten sam opryszek, który go tu przyprowadził. A więc koniec audiencji.

Huwer zawołał:

- Uniwersytet, na którym zdobył pan wykształcenie, powinien być z tego dumny, Protektorze.

Tamten odwrócił się na moment.

- Ha ha, nieźle, Huwer. Ciekawość to dobra cecha u tajniaka. Lecz moja uczelnia... Cóż, to bardzo stare dzieje, a ja, niestety, nie mogę uczestniczyć w zjazdach absolwentów.

- Czy ja dobrze rozumiem? Wyciągnąłeś mnie z lochu tego zbója, Baala, gdzie być może groziła mi śmierć, po to, żebym pomógł ci zabić jeszcze większego zbója, Marduka, gdzie śmierć grozi mi na pewno, i nazywasz to ratunkiem?

- Nie zrzędź. Na razie żyjesz.

Krest znosił cierpliwie narzekania Mursilisa. W końcu złodziej sporo wycierpiał z powodu swojej znajomości z Zabójcą Bogów. Nesyczyk nie chciał powiedzieć, jakie środki perswazji zastosował wobec niego Baal. Ten temat dziwnie go deprimował. Bardzo nietypowe zachowanie jak na malkontenta.

Od opuszczenia Rozdroża Isztar minęła niespełna doba. Zbyt mało, by zapomnieć o tym miejscu. Zbyt wiele, by pozostał po nim ślad gdziekolwiek, poza pamięcią.

Nigdy nie kochał bogini miłości. Nikt nigdy jej nie kochał, choć prawie każdy znajdował się w jej mocy. Czy żagiel może pokochać wiatr albo ogień – iskrę?

Układ z Baalem nie należał do skomplikowanych. Sprowadzał się do prostej transakcji: przysługa za przysługę. Krest miał podjąć próbę zabicia Marduka. Baal miał umożliwić mu znalezienie się na wyciągnięcie rapiera od Najwyższego. Krest doskonale zdawał sobie sprawę, że bóg wojny chce wyciągnąć kasztany z ognia jego rękoma. Nie wahał się jednak. Szansa na dotarcie w pobliże Marduka – i to w chwili dogodnej nie dla boga, lecz dla Kresta - stanowiła cenę, jaką warto było zapłacić za ten pakt z diabłem. Na wystawienie rachunku diabłu przyjdzie pora później.

Wolność dla Mursilisa była dodatkowym warunkiem, który Krest postawił, kiedy tylko dowiedział się o jego pobycie w katowni Baala. Radość Nesyczyka nie trwała długo i skończyła się w chwili, gdy zapytał o plany Zabójcy Bogów.

- Nie proszę cię o pomoc – zauważył Krest.

- Ale jej potrzebujesz – w głosie Mursilisa brzmiał wyrzut.

- Od kiedy to przejmujesz się cudzymi potrzebami?

- Szczerze mówiąc, mam je gdzieś. Ale nie lubię długów wdzięczności.

Krest roześmiał się.

- Wdzięczność? Dług? Używasz dziwnych słów...

- Jak na łajdaka? Owszem, sam się temu dziwię. No, ale w końcu zbliżamy się do samego centrum cywilizacji. Trzeba umieć się zachować. Nie pluć na chodnik i tak dalej.

- W tym, co nazywasz centrum cywilizacji, będzie dla nas mniej bezpiecznie, niż nocą w lesie pełnym wilków.

- Nasz boski wspólnik nas nie ochroni?
- Tam wszystko należy do jego brata. Jeśli wpadniemy w łapy Marduka, bóg wojny uda, że nas nigdy nie spotkał, i sam nawlecze nas na pal. Z ochotą.
- To podobne do tego sadysty.
- To nie sadyzm tylko polityka.

Babilon wyrastał z równiny białymi płaszczyznami, niczym kubistyczna wizja albinosa. Za niską, willową zabudową przedmieść wznosił się kolosalny mur, o którym w świecie krążyły legendy. Wprawdzie nie był aż tak gruby, by na jego koronie mogły minąć się dwa czterokonne rydwany, ale dwukonne – i owszem. Tajemnica tkwiła w konstrukcji: były to w gruncie rzeczy dwa mury, zewnętrzny i wewnętrzny, oddalone od siebie o osiem kroków; przestrzeń między nimi, pokryta stropem, służyła za magazyny, zbrojownie i wielu innym celom, trudnym do pojęcia dla przybysza z prowincji. Niektóre fragmenty muru wypełniono całkowicie litą masą cegieł, tłucznią i betonu. Nic dziwnego, że mógł się oprzeć każdej możliwej do wyobrażenia broni.

Z wyjątkiem, rzecz jasna, osła niosącego worki ze złotem, którym można było przekupić obrońców.

W głębi gościńca ukazała się brama. Trudno byłoby zresztą jej nie zauważyć. Nazwana imieniem bogini miłości, zdobiła mury na kształt klejnotu w królewskiej koronie. Monumentalny portal i flankujące go baszty lśniły głębokim błękitem glazury. Maszerowały po nich dostojnie święte gryfy, lwy i byki.

Wszystko to – już i tak wystarczająco wspaniałe - zostało podwojone. Identyczny portal z basztami wznosił się po wewnętrznej stronie muru, zaś kryta przestrzeń między nimi tworzyła rodzaj wysoko sklepionego tunelu, prawdziwego przejścia do innego świata. Nie na darmo nazwa Babilon oznaczała w starożytnym języku Akadów bramę bogów.

Nigdzie indziej nie zbudowano niczego podobnego.

Krest czuł coś w rodzaju gorzkiej satysfakcji na myśl, że wejdą do Babilonu właśnie przez Bramę Isztar. O ile, rzecz jasna, wejdą.

Nie wątpił, że bóg wojny byłby w stanie przerzucić ich do miasta mniej tradycyjną, za to szybszą i pewniejszą drogą – sam musiał przecież takiej używać, czymkolwiek była – jednak wyraźnie wołał nie angażować się osobiście. Dzięki temu będzie mógł w razie czego wyprzeć się podejrzanej znajomości.

To była część układu – Krest i Mursilis musieli sami dostać się do Babilonu, a dopiero tam mieli otrzymać pomoc w odszukaniu Marduka. Jedynie Baal mógł jej udzielić i z pewnością zdawał sobie sprawę, że tego ryzyka nie zdoła uniknąć. Krest jakoś mu nie współczuł.

- Bogowie! – westchnął Mursilis. – Jeśli tak wygląda brama do miasta, to jak wygląda samo miasto?

Zatrzymali się przy ostatnich zabudowaniach przedmieścia.

- Jak to możliwe, że nie byłeś jeszcze w Babilonie? – zapytał Krest.

- No cóż, zwykłem unikać miejsc, gdzie mają zbyt wiele sznura na stryczki i drewna na pale.

Krest uśmiechnął się.

- Nie słyszałem jeszcze tak celnej charakterystyki stolicy świata.

- Oby nie okazała się zbyt celna.

Krest nie przypuszczał, by w tłumie, kłębiącym się codziennie przy wszystkich bramach Babilonu, ktokolwiek był w stanie rozpoznać ich i zatrzymać. Nie mógł jednak afiszować się ze swoim rapierem, a Mursilis z muszkietem. Nieczęsto widywało się wędrujących razem szermierza i strzelca.

Ukrycie rapiera nie nastęczało większych trudności. Mursilis stanął jednak przed trudniejszym zadaniem.

- Może powinienes obciąć lufę? – zasugerował Krest.

Nesyjczyk zgromił go wzrokiem.

- A może ty przerobisz rapier na sztylet? Jestem snajperem, a nie miejskim bandziorem z obrzynem w kieszeni.

Krest popatrzył na niego z namysłem.

- A co powiesz na to, żeby zostać inwalidą?

Strażnicy przy bramach Babilonu otrzymali rozkaz wypatrywania osobników odpowiadających rysopisom, sporządzonym na podstawie zeznań dziesiętnika Kalamduga. Czynili to jednak mało sumiennie. Tym mniej, im bardziej się zapożyczali, by przeżyć do następnej wypłaty nędznego żołdu. Wielka Chaldejka niczym potworna pijawka wysysała dobra z połowy świata, ale oni osobiście nic z tego nie mieli. Skoro król królów tylko udawał, że im płaci, oni udawali, że pracują.

Poza tym, od łapania złoczyńców była policja, znacznie lepiej zarabiająca. Gdyby mieli sprawdzać każdego, kto wyglądał podejrzenie, wkrótce utworzyłaby się kolejka, jak stąd do Egiptu. Tak naprawdę, wszyscy byli podejrzeni. Uczciwy i ciężko pracujący pocziwina nie miał czego szukać w tym mieście wielkich szans i możliwości.

Głównie, rzecz jasna, straconych.

Dlatego żaden z ośmiu wartowników przy Bramie Isztar nie zwrócił większej uwagi na dwóch mężczyzn, niczym nie wyróżniających się z tłumy nieustannie płynącego pod lazurowym sklepieniem. Jeden z nich, niegdyś zapewne wysoki, lecz teraz przygarbiony, powłóczył lewą nogą, sztywną w kolanie. Drugi, niższy i bardziej krępy, w ogóle nie miał nogi, a jedynie kikut, skryty w szerokiej nogawce spodni. Wspierał się na protezie i rozglądał się wokół ponurym wzrokiem kaleki, zazdroszczącego innym, że są zdrowi.

Wyglądali na weteranów jakiejś zapomnianej wojny. Strażnik, który obrzucił ich obojętnym spojrzeniem, pomyślał złośliwie, że wkrótce będą mogli dołączyć do tysięcy im podobnych.

Czego jak czego, ale w stolicy imperium nie brakowało przeterminowanego armatniego mięsa.

Gdyby ktoś przyjrzał się dokładniej jednonogiemu, może dostrzegłby, że proteza jest metalowa i dziwnie przypomina lufę muszkietu, obwiązaną szmatami. A rzekomy kaleka robi wszystko, by zbyt mocno się na niej nie opierać.

Ale dlaczego miałyby to kogoś interesować?

Wieść o klęsce Armii Wschodu nie przeraziła Nabonida. Nie można przestraszyć kogoś bardziej niż śmiertelnie, a on już od tygodni umierał ze strachu przed nocą poślubną. Poza tym, był władcą światowego mocarstwa. Co mogła mu zrobić ta zgraja zjadaczy końskiego łajna zbliżająca się do Babilonu?

Wielka Chaldeja przetrwa kolejny tysiąc lat. A przez ten czas perskie stopy zostaną przerobione na plantacje bawełny. Marduk nigdy nie pozwoli upaść światu, który stworzył. Jaki inny zaspokoiłby jego ambicję?

Ostatnie, gorączkowe przygotowania do jutrzejszej uroczystości ślubnej zdominowały życie dworu. Echa przegranej bitwy nie były w stanie przedrzeć się przez szczelną kurtynę intryg, plotek, kłótni i rozgrywek, związanych z chęcią zapewnienia sobie jak najlepszego startu w rzeczywistości, w której należało uwzględnić rolę nowej królowej i jej naturalne dążenie do stworzenia własnej koterii.

Cóż zresztą znaczyła jedna porażka? Imperium od niepamiętnych czasów przegrywało bitwy, ale nie przegrywało wojen.

Nabonid, zmęczony tym zamieszaniem, z rosnącym gniewem słuchał kłótni między członkami rady królewskiej. Był do tego przyzwyczajony, lecz dzisiaj nie znajdował w sobie ani krzty zrozumienia nawet dla tych szczątkowych przejawów wolności słowa i demokracji.

Najwyraźniej tracił dystans. Starzał się.

Znał takich, których odmładzały kolejne małżeństwa, z coraz bardziej nieletnimi żonami. Jemu to nie pomagało. Gdyby było inaczej, to po jutrzejszej, siódmej już tego rodzaju ceremonii powinien poczuć się jak nastolatek. Ale wiedział, że tak dobrze nie będzie.

Nigdy nie było.

- Nadal uważam, że powinniśmy wykorzystać to małżeństwo i wcielić do imperium ziemie Medynitów, a kalifa zmusić do przeniesienia praw do tronu na nowego zięcia, naszego pana, Nabonida VIII, oby żył wiecznie! – generał Jalu nie po raz pierwszy dawał wyraz swojej niechęci do wyrafinowanej dyplomacji.

- Jestem gotów poprowadzić moją Armię Południa przeciwko tym poganiaczom wielbłądów.

Wielki wezyr, Uriasz, słuchał go z wyraźnym zniecierpliwieniem.

- Ojciec panny młodej - jak ona ma na imię? Ach tak, Miramis – uczyni to prędzej czy później. To tylko kwestia odpowiedniego nacisku. Zresztą, kraj Medynitów nie jest wart nakładów, które musielibyśmy ponieść na jego zdobycie. Jeśli oddadzą go nam za darmo, weźmiemy go. Ale nie chcę patrzeć, jak za ten kawałek pustyni giną nasi synowie.

- Moja armia robi to bez większych strat, ekscelencjo.

- Twoja armia, generale, będzie potrzebna do naprawienia błędu Armii Wschodu, która przyniosła hańbę swojemu imieniu i całemu imperium – odezwał się Zungi, wielki marszałek dworu. - Oby Armia Południa spisała się lepiej. Wolałbym zresztą, żeby jak najszybciej została ściągnięta również Armia Północy; na wypadek, gdyby pewność siebie naszych dowódców nie szła w parze z ich rzeczywistymi możliwościami.

- To nie będzie konieczne! Armia Południa sama...

- Dość! – Nabonid potarł dłońmi skronie. – Wystarczy. Wrócimy do tego później. Zostawcie mnie.

Po wyjściu doradców wstał ciężko z krzesła i poczłapał do prywatnych komnat. Kiedy nikt nie patrzył, mógł sobie pozwolić na okazywanie słabości.

Mijając masywne, poszarzałe z wiekiem filary, podtrzymujące ciężki strop, zdobny kasetonami z nieco już wyblakłym ornamentem, czuł zapach kurzu, gromadzącego się w grubych gobelinach i kobiercach. Zapach ten prześladował go od dzieciństwa. Zdumiewające, że mimo zastępu służących i niewolników żadne metody odkurzania nie były w stanie usunąć tej woni.

Czy może być coś bardziej przygnębiającego, niż przyjście na świat, życie, a wreszcie śmierć w ścianach tego samego pałacu? Pałacu, w którym rodziły się, żyły i umierały generacje jego przodków.

Okropność.

No, może gorsze byłoby życie od pokoleń w tej samej lepiance.

Do jego niewielkiego i zagraconego gabinetu w najintymniejszym zakątku Złotego Domu nie miał wstępu nikt, z wyjątkiem jednego zaufanego służącego. Mimo to za biurkiem siedziała piękna kobieta w dziwnym, obcisłym stroju, a na blacie spoczywał kulisty hełm, w którego dużej szybce Nabonid ujrzał odbicie swojej zaskoczonej i przestraszonej twarzy.

Zatrzymał się w progu.

- Pani... – wykrztusił. – Gdybym wiedział, że przybędziesz...

Isztar machnęła ręką.

- Nieważne, to nieoficjalna wizyta, Nabonidzie. Nie ma sensu robić wokół niej zamieszania.

- Czym mogę służyć, o Najpiękniejsza?

- Ależ niczym, Wasza Wysokość. Jedynym moim życzeniem – by tak się wyrazić – jest złożenie ci życzeń z okazji ślubu. Ponieważ nie będę mogła uczestniczyć w uroczystości – zresztą, jak wiesz, nigdy w nich nie uczestniczę – postanowiłam pogratulować ci wybranki, która, jak słyszałam, jest młodą, piękną i miłą dziewczyną.

- Dziękuję. Istotnie, jest taka...

- Jakżeby inaczej. Władca Wielkiej Chaldei nie może sobie pozwolić na zły wybór. Obowiązkiem panującego jest przecież zapewnienie naturalnego następstwa tronu. Prawda?

- Oczywiście...

Bogini założyła nogę na nogę i wymierzyła w Nabonida czubek wyglansowanego do połysku buta.

- Wszystko na tym świecie stanowi część boskiego porządku. Jesteśmy nim ograniczeni nawet my, bogowie, nie da się bowiem na dłuższą metę utrzymać reguł, które samemu się łamie. Dlatego każdy, bez wyjątku, musi niekiedy robić rzeczy, których nie chciałby robić. Niejeden człowiek przekonał się już, że nie ma takiej pozycji społecznej, której osiągnięcie uwalniałoby od wszelkich obowiązków. To po prostu niemożliwe, tak jak to, żeby strumień płynął pod górę.

Nabonid milczał, niepewny co powiedzieć wobec braku jakiegokolwiek pytania.

- Masz tu ciekawą kolekcję książek, Wasza Wysokość – Isztar wstała i podeszła do regału przy ścianie. Była wyższa od króla o głowę. Wzięła do ręki jakiś tom, oprawny w cielęcą, pociemniałą ze starości skórę. – Immanu-El, „Krytyka czystego rozumu”. To wartościowa pozycja. Co prawda, przeznaczona raczej dla wąskiego kręgu odbiorców, ale tak bywa z filozofią. Naturalnie elitarność to nic złego, jednak elity muszą pamiętać, że ich pozycja oznacza nie tylko przywileje, ale i powinności względem reszty społeczeństwa. Taka jest cena bycia wyjątkowym.

Odłożyła książkę i wzięła z biurka hełm.

- Jak już mówiłam, nie będzie mnie na uroczystości zaślubin, ale chętnie poznam nową królową Babilonu. Jeśli Wasza Wysokość pozwoli, któregoś dnia wpadnę w odwiedziny. Pogawędzimy sobie z Miramis – tak ma chyba na imię, prawda? – jak kobieta z kobietą.

- Zapraszam...

- Bądź zdrów, Wasza Wysokość. Ucałuj ode mnie oblubienicę.

- Dziękuję... Oczywiście, pani...

Odprowadził wzrokiem wychodzącą boginię, a następnie opadł na fotel, by natychmiast się z niego zerwać, kiedy przypomniał sobie, kto na nim przed chwilą siedział. W żołądku czuł ucisk, jakby połknął zwinięty w kulę i nasączony octem arkusz papieru.

A to go urządziła ta boska suka! Nic teraz nie mógł zrobić, dopóki nie upłynie wystarczająco dużo czasu, by Isztar zapomniała o swoim pomysle. Na szczęście, powinno to nastąpić dość szybko. Bogini miłości nie była symbolem żelaznej konsekwencji.

Co sprawiło, że nagle zainteresowała się jego ślubem? Dotychczas ani razu nie zaszczyciła go swoimi gratulacjami. Czyżby robiła się sentymentalna?

Nerwowo przebiegał wzrokiem po grzbietach książek, nawet ich nie widząc. W natłoku myśli powtarzały się pewne słowa: elitarność i powinność; władza i obowiązek. Doskonale wiedział, co Isztar chciała dać do zrozumienia. Siódme małżeństwo miało trwać dłużej od sześciu poprzednich i powinno zapewnić Wielkiej Chaldei następcę tronu.

Jego umysł w panice szukał jakiegoś wyjścia. Na pewno nie znajdzie go w tych książkach. To musi być coś nietypowego. Coś, z czym w żaden sposób nie da się powiązać jego osoby.

Jeśli nie można zastosować drastycznych środków po ślubie, to może przed? Wówczas życzenie Isztar po prostu straci rację bytu. A jeżeli się nie uda?

Wizja zbliżenia z kobietą wywołała u niego dreszcze. Niemożliwe – mamrotał do siebie z rozpaczą – niemożliwe... Cholerna władza, cholerne obowiązki, cholerni bogowie.

Z pewnością łatwiej byłoby ogłosić demokrację i rozpisać wybory.

Zaułki Babilonu miały własny mikroklimat, niewiele lepszy od bagien nad Eufratem. Pomimo straszliwej duchoty i gorąca Krest starannie zamknął okiennice, nim poszli spać.

Mursilis, leżąc na łóżku, przyglądał mu się sceptycznie.

- Jesteśmy na pierwszym piętrze – zauważył. – Nikt tu nie wejdzie.

- Nie obawiam się tych, co chodzą.

Nesyjczyk uniósł brwi.

- Sądzisz, że twoi przyjaciele z nieba mogą o nas wiedzieć?

- Isztar nas odnalazła tam, na bagnach; lepiej o tym pamiętać.

- Ach, Isztar – Mursilis uśmiechnął się znacząco. – Jak ci u niej było?

Krest wolno wydobył z pochwy rapier. Położył go koło wezglowia, ale dopiero gdy uśmiezek spełził z warg Nesyjczyka.

- Nie twój interes.

- Był mój, kiedy wisiałem w katowni Baala.

- Już ci podziękowałem za zabranie Wędrowca i przeprosiłem, że z mojego powodu spotkało cię to wszystko.

- Wiem i dlatego mi głupio.

Tym razem zdziwił się Krest.

- Głupio?

Tamten wzruszył ramionami.

- Nie powiedziałem ci tego od razu, ale to moja wina, że Baal cię znalazł. Nie zniosłem jego... perswazji. Jestem tylko złodziejem, a nie bohaterem.

Krest powstrzymał się od nadmiernej złośliwości. Nie kpił się z ludzi, którzy przyznają się do błędu, nawet jeśli udają, że to nie był błąd.

- Muszę cię rozczarować, ale okazałem się szybszy – rzekł. – Sam posłałem po boga wojny. Nie musiał mnie szukać. Przypuszczam, że chciał się po prostu zabawić twoim kosztem.

Mursilis poczerwieniał.

- Chcesz powiedzieć, że na darmo opierałem się temu sadyście? Że mogłem od razu wyśpiewać wszystko, co wiem?

- A opierałeś się?

Mursilis nagle wybuchnął śmiechem i rozłożył ręce.

- Jak powiedziałem, nie jestem bohaterem. Ale zaraz, z tego wynika, że ta kretyńska umowa, to twój pomysł?

- Nie, ale ją zawarłem. Więc to bez różnicy.

- Tak tylko pytam, na wypadek, gdybym musiał kiedyś komuś za nią podziękować.

- Jeśli nam się uda, nie będziesz miał komu dziękować. Jeśli nie – nie będziesz mógł.

Nesyjczyk spoważniał.

- Rozumiem. Nasz boski wspólnik jest tylko chwilowym sojusznikiem?

Krest nie odpowiedział. Nie musiał.

- Cóż – Nesyjczyk zamknął oczy. – I tak nie sądziłem, że pożyję wystarczająco długo, by zatańczyć na swoim weselu. Przynajmniej przed śmiercią zatańczyć na królewskim.

Zabójca Bogów zgasił świecę. Paradoksalnie, zmęczenie sprawiało, że nie mógł zasnąć. Karczma stała przy bocznej uliczce, ale w babilońskim Dolnym Mieście wszystkie uliczki były boczne, co bynajmniej nie zapewniało ciszy i spokoju.

Brzęk stali, stłumiony jęk i odgłos upadku zastępowały tu romantyczne szepty i miłosne wyznania. A zamiast serenady przy księżycu można było usłyszeć tyradę przekleństw na zbyt chciwą prostytutkę.

Jeśli porównać stolicę świata do domu dla milionów ludzi, to tutaj niewątpliwie znajdował się wychodek.

Krest nie wątpił, że uroczystości ślubne Nabonida to najlepsza okazja do spotkania z Mardukiem, który coraz rzadziej – według Baala - opuszczał swoją Łódź Milionów Lat. Nie miał też złudzeń, że to najgorsza okazja, by ujść z życiem, bowiem jeśli nawet los obdarzył go niezwykłym darem zabijania nieśmiertelnych, to śmiertelników musiał zabijać zwykłą stalą, a jego rapier i muszkiet Mursilisa to zbyt mało, by pokonać gwardię Nabonida.

Mimo wszystko, mieć Pana Bogów i Ludzi na wyciągnięcie rapiera... Uśmiechnął się w ciemności. Rzadko kiedy ma się do czynienia jednocześnie ze ziszczeniem marzeń i ucieleśnieniem koszmarów. No, może z wyjątkiem małżeństwa.

Huwer uważał się za państwowca. Był gotów do największych poświęceń dla Wielkiej Chaldei. A ponieważ był przekonany, że dla pomyślności państwa niezbędne jest sprawne funkcjonowanie Agencji Ładu i Pomyślności, czego najlepszym gwarantem był on sam, gotów był do największych poświęceń dla Huwera.

Dlatego tylko małoduszni wrogowie mogliby twierdzić, że to prywatnie, a nie racja stanu kierowała jego krokami, kiedy dyskretnie wkraczał bocznym wejściem do głównej świątyni Baala.

Wszystkich jednak musiałyby zdziwić, dlaczego nie była to świątynia Marduka.

Nie miał czasu, by się zapowiedzieć, ale kapłan, pełniący posługę, poznał go i wpuścił do środka.

- Zaprowadź mnie do Urungala - polecił Huwer, ściągając kaptur.

Kapłan z wahaniem skinął głową.

- Jego Świątobliwość nie udał się jeszcze na spoczynek. Zobaczmy co się da zrobić.

Huwer uśmiechnął się cynicznie. Najwyższy kapłan Baala najwyraźniej miał szczęście. Gdyby już spał, musiałby się obudzić. Nikt - może poza arcykapłanem Marduka - nie mógłby sobie pozwolić na zignorowanie wizyty dyrektora Agencji. Nawet o tak późnej porze.

Choć okręg świątynny Baala znacznie ustępował rozmiarami okręgowi świątynnemu Marduka, również składał się z kilku budowli, połączonych siecią portyków i przejść, na kształt labiryntu, irytującego Huwera tym bardziej, im więcej zakrętów i schodów musiał pokonać. Zapewne nie zgubiłby się, gdyby szedł sam, ale denerwowała go myśl, że tuż pod jego nosem są miejsca, których nawet oddział doświadczonych agentów nie mógłby opanować w pół minuty.

Już od dawna dostrzegał w tym potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego.

Kapłan nakazał mu gestem, by poczekał, po czym zniknął za masywnymi drzwiami, skrytymi w bogato rzeźbionym portalu. Huwer omiótł go obojętnym spojrzeniem, a mimo to jego wprawne oko zdołało zarejestrować każdą z figur i najmniejszy zwój oplatającego je ornamentu.

Drzwi otwarły się szerzej.

- Zapraszam, dyrektorze! – z mrocznego wnętrza odezwał się silny, władczy głos. – Widzę, że nie tylko ja cierpię na bezsenność.

- Wasza Świątobliwość powinien pić mniej kawy – Huwer zbliżył się do masywnego biurka, za którym siedział z kubkiem w dłoni mężczyzna po siedemdziesiątce, zbyt drobny i delikatny, jak na posiadacza takiego głosu.

- Zapewne kiedyś to nastąpi, ale póki co, ten diabelski napój to moja słabość. Cóż, wszystko w rękach bogów. A z czego pan powinien zrezygnować, Huwer, by lepiej spać? Z pracy?

- Być może to kiedyś nastąpi. Wszystko w rękach imperatora.

Kapłan wymknął się cicho i zostali sami.

- Nie przyszedł pan tu, by dołączyć do klubu nocnych marków – najwyższy kapłan odchylił się w fotelu. - Co pana sprowadza, dyrektorze?

- Mam ważną sprawę do Pana Burzy i Wojny.

Urungał uśmiechnął się.

- Proszę się pomodlić.

Huwer puścił żart mimo uszu. Musiał być cierpliwy. Najwyższy kapłan wprawdzie nie odważyłby się go nie przyjąć, ale mógł odesłać z kwitkiem.

- Pan wie, o czym mówię, Wasza Świątobliwość.

Tamten pokiwał głową.

- A pan wie, dyrektorze, iż tylko w wyjątkowych sytuacjach mogę zakłócać spokój Naszemu Panu. A i tak nie mam gwarancji, że odpowie na wezwanie. Ponadto, koszty połączenia...

- Będzie musiała pokryć świątynia – wpadł mu w słowo Huwer. - Jestem tu nieoficjalnie.

- Cóż, obawiam się w takim razie...

- Jestem przekonany – znów przerwał mu Huwer – że Wasza Świątobliwość popiera wszelkie działania ku chwale Baala.

Najwyższy kapłan taksował go wzrokiem. Odstawił kubek z kawą, jakby przestała mu smakować.

- To nasza statutowa działalność – warknął. – Do czego pan zmierza, Huwer?

Dyrektor Agencji Ładu i Pomyślności wiedział, że wygrał. Pytanie tylko, ile będzie musiał zdradzić, by starzec zechciał w końcu mu pomóc.

Gabinet Urungala nie grzeszył ascetyzmem. Gdyby zedrzyć ze ścian wszystkie marmury, porfiry i malachity, można by nimi wyłożyć dwie trzecie holu głównej siedziby Agencji. A nie był to bynajmniej najmniejszy gmach w centrum administracyjnym Babilonu.

Skłonność do luksusu stwarza często duże możliwości takim służbom, jak resort kierowany przez Huwera. Lecz w teczce najwyższego kapłana Baala nie było niczego, czym można by go szantażować. Lubił piękne rzeczy, ale mógł sobie na nie pozwolić dzięki legalnym dochodom świątyni. W końcu, jej patron był jednym z trzech najpowszechniej czczonych bóstw cywilizowanego świata.

A Urungał ograniczał swoją miłość i zachłanność jedynie do przedmiotów, niestety.

- Mam dla Baala niezwykle ważne informacje – rzekł Huwer. – Odpowiednio wykorzystane mogą znacznie podnieść jego prestiż.

- Naprawdę? A co sprawia, że są one przeznaczone właśnie dla tego boga? Wydawałoby się raczej, że jako urzędnik państwowy powinien pan zakoletować do bram Esagili.

Huwer skrzywił się.

- Urzędnik... Różnie mnie nazywają, ale tego określenia dawno nikt już nie użył. A co do pańskiego pytania, informacje należy przeznaczać dla tych, którzy zrobią z nich najlepszy użytek.

- Hm, ciekawe. Nie sądzi pan jednak, dyrektorze, że w tym przypadku mnie byłoby łatwiej, niż panu, ocenić ich przydatność?

- Nie chodzi o kwestie teologiczne, Wasza Świątobliwość. Mimo to, nie ulega wątpliwości, że i świątynia wiele zyska na umocnieniu pozycji swego boga.

- Być może, Huwer, być może... Chciałbym jednak mieć choćby blade pojęcie, dlaczego tej sprawy nie można przekazać normalnymi kanałami. W razie, gdyby Nasz Pan zapytał mnie, po jaką cholere zawracam mu głowę.

- Wystarczy, że mnie pan zapowie. Sam mu to wyjaśnię.

Najwyższy kapłan prychnął z irytacją.

- Bardzo pan pewny swego, dyrektorze. Gdyby nie był pan tym, kim jest... O megalomanię mógłbym pana wprowadzić, ale o brak instynktu samozachowawczego – stanowczo nie.

Zastanawiał się chwilę, po czym pociągnął za gruby, ozdobny sznur, wiszący przy ścianie obok biurka. Dzwonka nie było słychać, ale niemal natychmiast pojawił się kapłan; inny, niż ten, który przyprowadził Huwera.

- Przygotujcie Głos Pana - polecił Urungal.

Kapłan pochylił bez słowa głowę i wyszedł.

- Dobrze więc – rozmówca Huwera podniósł się zza biurka. – Proszę za mną. I obym tego nie żałował.

- Nie będzie pan. Czym jest Głos Pana?

Najwyższy kapłan tylko się uśmiechnął.

Huwer doskonale ukrywał ciekawość, ale jego oczy nieustrudzenie badały każdy szczegół otoczenia. Nigdy jeszcze nie dostąpił zaszczytu – a mniemał, że niewielu ludzi spoza grona najwyższych rangą kapłanów go dostąpiło – ujrzenia wewnętrznych komnat wielkiego kompleksu świątynnego.

Urungal był niezwykle łaskaw, choć, rzecz jasna, Huwer nie miał złudzeń, że to, co najciekawsze, nie zostanie mu pokazane.

Ceremonie i rytuały niewiele go obchodziły. Lecz okruchy boskiej wiedzy, które, jak powszechnie uważano, kapłani skrzętnie skrywali przed światem – interesowały go bardzo. Nie mógł, niestety, zarządzić przeszukania świątyni; takie świętokradztwo nie zdarzyło się co najmniej od tysiąclecia. Jeśli chodzi o mniej spektakularne sposoby pracy operacyjnej, to i one nie wchodziły w rachubę. Wyżsi kapłani nie dawali się kupić, a pośledniejsi o niczym nie mieli pojęcia. Umieszczenie informatorów w kongregacji również nie miało sensu – musieliby bowiem mozolnie wspinać się po szczeblach kapłańskiej hierarchii,

by wreszcie uzyskać dostęp do jakichś wartościowych informacji. Żaden szef tajnej policji nie utrzymałby się na stanowisku na tyle długo, by mieć z tego pożytek.

Naturalnie, najwięcej tajemnic wiązało się z okręgiem Marduka. Lecz i kapłani w przybytku jego wojowniczego brata mieli setki lat na pozyskanie, w taki czy inny sposób, szczypty boskiej technologii.

Nawet jeśli to im się udało, on niczego takiego nie widział.

Mijali wiele sal, pokonywali korytarze i schody, przemierzali dziedzińce z szemrzącymi sadzawkami pośrodku, ale wszystko to nie różniło się zbytnio od tego, co można było ujrzeć w Złotym Domu czy w jakimkolwiek innym pałacu imperatora, a nawet w niejednym gmachu publicznym Babilonu. Z drugiej strony, za każdymi z wielu zamkniętych drzwi, obok których przechodzili, mogły znajdować się prawdziwe skarby.

Kiedy zatrzymali się przed kolejnymi drzwiami, Huwer skonstatował bez zaskoczenia, że niczego interesującego po drodze nie dostrzegł. Należało się tego spodziewać. Droga, którą prowadził go najwyższy kapłan, z pewnością została wybrana w taki sposób, by ominęli wszystko, co najistotniejsze.

Wyglądało na to, że problem, czy kapłani dysponują czymś więcej, niż słowem bożym, miał pozostać nierozstrzygnięty na następnych kilkaset lat. Lecz Huwer nie zwykł płakać nad rozlanym mlekiem. Liczyło się nie to, czego nie widział, lecz wyłącznie to, co jeszcze miał szansę zobaczyć.

Urungal gestem nakazał mu, by poczekał, a sam przekroczył drzwi. Huwer ujrzał tylko fragment słabo oświetlonego pomieszczenia i przesuwaną się po ścianach cienie paru ludzi. Z wnętrza dobiegało ciche, równomierne buczenie. Nie potrafił go zidentyfikować.

Czekał kilka długich minut, aż poczuł chęć, by chwycić za klamkę. W tym momencie drzwi otwarły się i stanął w nich najwyższy kapłan.

- Wolałbym pana tu nie wpuszczać – powiedział z wyraźnym niezadowoleniem – ale Nasz Pan chce z panem rozmawiać. Musi pan jednak dać słowo, że nic, co pan tu zobaczy i usłyszy nie wydobędzie się poza mury świątyni.

- Czy Baal tu przybędzie?

Urungal zachichotał.

- Ma pan wysokie mniemanie o sobie, Huwer. Oczywiście, że nie. Ale wysłucha, co ma pan do powiedzenia.

- No cóż, przyrzekam zatem zachować dyskrecję.

Tamten świdrował go spojrzeniem.

- Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że jest to obietnica złożona nie mnie, lecz Panu Burzy i Wojny? Ze wszystkimi konsekwencjami ewentualnego jej niedotrzymania?

- Jestem tego świadomy.

- W takim razie proszę wejść. I niczego nie dotykać.

Pokój był mały i pozbawiony okien, ale posiadał drzwi, za którymi znajdowało się znacznie większe pomieszczenie – na tyle duże i wysokie, że swobodnie mieściło się w nim pionowo ustawione koło o średnicy jakichś siedmiu stóp. Przypominało koło napędzające młyn, tyle że bez czerpaków. Co jednak bardziej zaskakujące, po jego wewnętrznym obwodzie maszerował człowiek, powodując, że obracało się w niemalże jednostajnym rytmie.

Drzwi zaraz zamknięto, ale Huwer swoim wytrenowanym wzrokiem zdołał zarejestrować wszystkie szczegóły. Ząbkowana, zewnętrzna krawędź koła zazębiała się w przemyślny sposób z kołem podobnym, lecz dużo mniejszym i ustawionym poziomo. To zaś z następnym i tak dalej. Najwyraźniej całość służyła do pozyskania energii idącego człowieka, tak jak koło młyńskie pozyskuje energię z płynącej rzeki, a system przekładni przenosi ją na żarna, mielące zboże.

Jeśli tak było w istocie, to do czego służyła energia zmierzającego donikąd piechura?

Huwer zwątpił w swoją zdolność dedukcji. Bo czy możliwe, żeby energia ta zasilala... skrzynkę? A tak najwyraźniej było, ponieważ ostatnim obracającym się elementem zdumiewającej konstrukcji był krótki wał, wnikał w mur oddzielający oba pomieszczenia. W miejscu tym, lecz po przeciwnej stronie ściany, w pokoju, w którym znajdował się Huwer, wisiała drewniana skrzynia, z której dobiegało niskie buczenie. Związek tego dźwięku z obrotami wielkiego koła nie ulegał wątpliwości.

Domyślność Huwera musiała jednak odtrąbić kapitulację. Bez względu na trafność skojarzeń, zabrakło wody na młyn jego inteligencji.

Jakby nie dość było tajemnic, przed skrzynią stało zwyczajne krzesło. Poza tym małe pomieszczenie było puste.

Najwyższy kapłan obserwował Huwera kątem oka.

- Cóż, proszę usiąść, dyrektorze – oznajmił. – Oto Głos Pana.

Huwer ani drgnął.

- Jak to wszystko działa? – zapytał.

- Wybacz pan, dyrektorze, ale to wyjaśnienie nie jest konieczne, by mógł pan skorzystać z urządzenia.

- Jest konieczne, ponieważ w przeciwnym wypadku nie skorzystam z niego.

- Jak pan chce. Czy muszę przypominać, że to pan przyszedł do nas, a nie odwrotnie?

Huwer nie miał wyboru. Informacje, które posiadał, musiał przekazać teraz; za kilkanaście godzin straca swoją wartość.

Kiedy usiadł na krześle, zwrócony twarzą ku skrzyni, ujrzał na wysokości głowy kwadratowy otwór w drewnianej powierzchni, zasłonięty jakąś mocno naprężoną tkaniną. Pod nim znajdował się drugi, znacznie mniejszy, wypełniony siatką o bardzo drobnych oczkach.

- Będzie pan słyszał głos Naszego Pana dochodzący ze skrzynki – powiedział najwyższy kapłan. - Proszę się nie bać – uśmiechnął się kpiąco.

Huwer pominął milczeniem tę złośliwą uwagę. Poczłł chęć dotknięcia skrzyni. Powstrzymał się jednak.

- A co mam zrobić, żeby Pan Burzy usłyszał mnie?

- Proszę po prostu mówić przed siebie. Nasz Pan będzie słyszał pana równie dobrze, jak pan jego.

Huwer starał się zapamiętać każde słowo.

- Wszyscy będą musieli wyjść - oświadczył. - Moje informacje są poufne.

- Naturalnie. Jednak w sąsiednim pomieszczeniu pozostanie obsługa, ponieważ bez niej łączność uległaby zerwaniu. Ale zapewniam, że nie będą niczego słyszeć.

- Zatem jak to działa?

Urungał pokręcił głową.

- Na pańskim miejscu, nie traciłbym czasu, Huwer. Za żadne skarby nie kazałbym Naszemu Panu czekać. Wśród wielu jego przydomków nie ma określenia: cierpliwy.

Osobliwe doświadczenie pozostawiło po sobie uczucie, które nie opuszczało Huwera przez całą drogę do domu. Rozmowa z bezcielesnym głosem, rozbrzmiewającym w pustym pomieszczeniu, mogła stanowić doskonały przykład tego, co czują szaleńcy. A także prorocy.

Trzeźwy, analityczny umysł Huwera potrafił jednak odróżnić parapsychiczne doznania od przejawów nieznannej technologii. Technologii, która nie powinna pozostawać w ukryciu za świątynnymi murami.

Trzeba będzie coś z tym zrobić, postanowił. Układ z Baalem powinien zapewnić Agencji Ładu i Pomyślności sporo atutów w rozgrywce z jego kapłanami.

Wyjawił Panu Burzy i Wojny wszystko, czego dowiedział się od zabójcy z Przedpiekła o spisku na życie Nabonida. Jeśli Baal zrobi dobry użytek z tych informacji, poprawi swoją pozycję względem boskiego brata, Marduka. A potem...

Huwer wyczuwał siódmym zmysłem, że układ sił – tako w niebie, jak i na ziemi – ulega przewartościowaniu. Budziły się zadawnione ambicje, sny o władzy coraz gwałtowniej wyrzywały się na jawę.

Protektor miał rację mówiąc o zbliżającym się przesileniu, choć zapewne nie ogarniał jego skali. Nie mylił się również co do postawy Huwera. Sprowadzała się ona do oczywistej konstatacji, że dalej dopłynie ten, kto wybierze silniejszy prąd.

Rzecz jasna, o walce z nurtem rzeki w ogóle nie było mowy. Huwer pozostawiał ten jałowy wysiłek pożałowania godnym głupcom w rodzaju Jereda.

Już od wczesnego ranka wszyscy, którzy chcieli przez Bramę Isztar wejść do Babilonu lub go opuścić, byli odprawiani z kwitkiem. Musieli udać się do innej z kilkunastu bram miasta. Aleja procesyjna, ciągnąca się od Bramy Isztar do okręgu świątynnego Marduka, była bowiem zamknięta i przygotowana na powitanie najważniejszego z gości – nowej żony imperatora Wszechchaldei.

Miramis przybyła około południa. Naturalnie nie bezpośrednio ze swego odległego kraju, lecz z pobliskiej miejscowości, gdzie przebywała wraz ze swoją świtą już od tygodnia, sposobiąc się do uroczystego wjazdu do stolicy świata.

Towarzyszyła jej mała armia dam dworu, zauszników, dobrze urodzonych obiboków, sług i żołnierzy. Tego pokojowego najazdu Nabonid bał się bardziej, niż maszerującego ku Babilonowi wojska Kurusza. Przeciwno Persom mógł skierować trzy kolejne armie. Miramis jeszcze dziś będzie musiał wpuścić do własnego pałacu.

Tłumy gapiów szczerlnie wypełniały aleję, tłocząc się za szpalerem gwardii królewskiej. Kto zdołał, zajął miejsce na szczycie murów lub na tarasie którejs z najwyższych budowli. Reszta mieszkańców wyległa na płaskie dachy swoich domostw, skąd widok był wprawdzie ograniczony, lecz za to można było urządzić piknik.

Miramis była szczupłą, siedemnastoletnią dziewczyną o nieprzeciętnej urodzie, która lśniłaby niczym klejnot nawet na tle architektonicznego cudu, jakim była Brama Isztar, gdyby nie strach, czyniący z niej raczej wystrojoną lalkę, niż pewną własnego uroku kobietę. Przyszła królowa bała się tej chwili odkąd opuściła ojczyznę.

Medynia leżała daleko. Nie na tyle jednak, by nie dotarły tam pogłoski o losie poprzednich sześciu żon Nabonida.

Jej ojciec, szczyjący się tytułem kalifa, był w gruncie rzeczy jedynie nominalnym zwierzchnikiem kilkunastu plemion. Pochodził z rodu Oświeconego, który trzy wieki temu zjednoczył plemiona i podjął ekspansję na bardziej cywilizowane tereny, lecz został pokonany i zepchnięty z powrotem na pustynię. Konfederacja przetrwała wprawdzie w formie luźnego sojuszu, połączonego wspólną wiarą w moc Białego Kamienia, ale jej chwilowa potęga legła w gruzach, by nigdy się nie odrodzić. Dziś Medynicy nie odgrywali żadnej roli, nawet w polityce regionalnej. Dlatego prośba o rękę Miramis dla imperatora Wielkiej Chaldei stanowiła dla kalifa prawdziwy dar niebios. Dzięki temu małżeństwu mógł wzmocnić swoją pozycję w plemiennych rozgrywkach, a nawet mógł żywić nadzieję, że jego potomek zasiądzie kiedyś na turkusowym tronie Babilonu.

Motywy Chaldejczyków nie wzbudzały w nim niepokoju. Wątpił, by doradcy przyszłego zięcia kierowali się chęcią zagarnięcia jego ziem. Gdyby mieli taki zamiar, wystarczyłoby wysłać armię. Prawdopodobnie chodziło tylko o umocnienie wpływów i uzyskanie szerszego dostępu do surowców; szczególnie owej oleistej cieczy, której pod pustynnymi piaskami było więcej niż wody, a która – jak mówiono – miała w przyszłości odmienić oblicze świata.

Mieszkańcy Medynii śmiali się z takiej głupoty. Bo przecież nawet całe morze cuchnącego oleju nie byłoby w stanie sprawić, aby na pustyni wyrosło choć jedno drzewo.

Miramis myślała podobnie. Jej strach przed Nabonidem łagodziła jedynie nadzieja, że w Babilonie ziszczą się jej dziecięce marzenia o zielonych ogrodach, pełnych aromatu kwiatów i sennego brzęczenia pszczoł. A jeśli ich nie będzie, sama postara się, aby powstały, choćby miała ubłagać obcych bogów, by zawiesili je dla niej na niebie.

Bogato zdobionej lektyki nie nieśli tym razem niewolnicy, lecz wybrani przedstawiciele najlepszych rodów Medynii, co miało oznaczać, że Miramis przybywa do Babilonu nie jak zwykła podróżna, lecz wraz ze swoim ludem.

Choć bardzo zdenerwowana, nie mogła nie podziwiać wspaniałości i ogromu miasta. Począwszy od kolosalnej, lazuruwej bramy, wszędzie wokół widziała zakuty w kamieniu i suszonej cegle majestat, który komuś wychowanemu w bardziej, niż ona, cywilizowanych okolicach, mógłby się wydać megalomański, lecz jej imponował swoim aroganckim rozmachem.

Wieczne Miasto było takie, jakim je sobie wyobrażała. Jeśli wszystko na tym świecie, łącznie z człowiekiem, bało się upływającego czasu, to czas z pewnością bał się Babilonu.

Stolica świata ze swej strony podziwiała świeżość i bezpretensjonalność urody nowej królowej. Piękno było tu czymś powszednim – by nie powiedzieć wręcz, że spowszedniało – lecz nawet w tej ostoje snobizmu i zblazowania potrafiono docenić wartość nieoszlifowanego diamentu.

Smit nie należał do koneserów piękna, choć sam uprawiał swoisty rodzaj sztuki. W jego rękach długi łuk był narzędziem, które kreśliło koleje czyjegoś życia, najczęściej stawiając kropkę na końcu życiorysu. Dziś miał to być życiorys Miramis.

Albiończyk klęczał za attyką na dachu wysokiego budynku, na tyle odległego od alei procesyjnej, by nie znajdować się pod bezpośrednią obserwacją czujnych strażników. Musiał tylko uważać, aby nie dostrzegł go któryś z gapiów, zapelniających okoliczne dachy.

Budynek należał do jakiegoś okręgu świątynnego, dlatego zapewne dach był pusty. Dostał się nań jeszcze przed świtem, po karkołomnej wspinaczce po

gzymśach i fryzach. Wschód słońca przyniósł potwierdzenie jego przewidywań, że to świetne miejsce.

Nie odczuwał żadnych emocji, kiedy doświadczonym okiem oceniał odległość od celu. Nie mógł sobie zresztą pozwolić na emocje. Lektyka znajdowała się na granicy zasięgu jego potężnego łuku, a daleko poza możliwościami tutejszych, znacznie słabszych. Celowo wybrał to miejsce, ponieważ służby odpowiedzialne za ochronę uroczystości działały profesjonalnie, co oznaczało, że nie zamierzały rozciągać kordonu ochronnego na strefę, z której nie można było efektywnie zaatakować procesji.

Ten profesjonalizm był mu bardzo na rękę.

Założył na cięciwę przygotowaną wcześniej strzałę o długości niemal trzech stóp. Nie różniła się niczym od innych strzał, poza jednym szczegółem – Smit wrył na drzewcu dwa słowa w barbarzyńskim języku Albionu: serce królowej. Zawsze pisał, w jaką część ciała ma zostać ugodzona ofiara zamachu. I zawsze znajdowano strzałę dokładnie tam, gdzie powinna być. To był jego znak firmowy.

Albiończyk nie był okrutny, nawet jeśli tak mogło się wydawać, bowiem często celował w oko. Każdy żołnierz wie doskonale, że po trafieniu w mózg śmierć jest niemal natychmiastowa. W przypadku strzału w serce bywa rozmaicie, dlatego Smit uważał go za mniej humanitarny. Jednak o Miramis słyszał, że jest piękna, i nie chciał jej oszpecać. Zapłacono mu za to, by umarła. Pozbawienie jej urody nie zostało uwzględnione w cenie.

A on robił tylko to, za co brał pieniądze. W końcu, był zawodowcem. Tak dobrym w swoim fachu, że miał przy sobie zawsze tylko jedną strzałę. Na Wschodzie był znany jako Pustynny Szakał, ale wolał inny pseudonim, który sam sobie nadał, a który, jego zdaniem, dobrze oddawał specyfikę jego pracy: Lis Pustyni.

Mierzył krótko. Doświadczeni łucznicy zawsze oddają strzał szybko, co często zaskakuje laików. Ale prawda jest taka, że jeśli nie potrafisz celnie strzelić po pięciu sekundach, to tym bardziej nie zrobisz tego po minucie, kiedy ręka zaczyna drżeć, oko łzawić, a na dodatek stajesz się ośrodkiem powszechnego zainteresowania. To ostatnie było nieuchronne, trudno bowiem oddać niepostrzeżenie strzał z łuku o długości czterech łokci.

Dlatego Smit nigdy nie czekał, by ocenić efekt strzału. Gdy pocisk docierał do celu, jego już nie było. Nie zdarzyło się jeszcze, by chybił.

Nim przebrzmiał brzęk cięciwy błyskawicznie zdjął ją z łuczyska i zrzucił je do ogrodu, w zarośla. Przypominało zwykły kij, więc było mało prawdopodobne, by ktoś je tam znalazł. Będzie mógł wrócić po nie później. Cięciwę ukrył pod pasem. W ciągu piętnastu sekund był gotów do ucieczki.

Usłyszał odległy krzyk; najpierw pojedynczy. A potem wybuchła wrzawa.

Skonstatował ten fakt jako coś oczywistego i więcej się nim nie zajmował. Przełożył nogi przez krawędź dachu i zawisł na rękach. Kilka cali dzieliło jego stopy od szerokiego gzymsu; jednego z trzech przecinających

fasadę. Z tej strony budynku nie było żadnych okien. Choć przebywał na Wschodzie już od dłuższego czasu, wciąż nie mógł się przyzwycząić do budowli niemal całkowicie pozbawionych jakichkolwiek otworów w ścianach zewnętrznych. Rozumiał, że było to podyktowane chęcią ukrycia się przed upałem, ale ten styl budowania bardzo odbiegał od tego, który znał ze swoich mglistych wysp, gdzie każdy promień słońca przyjmowało się z zadowoleniem, niczym długo wyczekiwanego gościa.

Zwolnił uchwyt i opadł na gzyms, przyciskając jednocześnie ciało do ściany. Udało mu się utrzymać równowagę. Teraz musiał przykucnąć i opuścić się z gzymsu na niższy, a potem na kolejny, by dotrzeć do poziomu gruntu. Na szczęście był wysoki, szczupły i miał silne ręce łuczника; inaczej nie mógłby nawet marzyć o takich cyrkowych sztuczkach.

Wiedział, że niedługo będzie już na to za stary. Ale jego usługi nie należały do tanich, toteż do tego czasu zamierzał zgromadzić wystarczająco duży majątek, by osiąść w jakimś doczesnym rajku podatkowym.

Jeszcze dwa, trzy intratne zlecenia i przejdzie na emeryturę. Może nawet zamieni łuk na wędkę.

Bogowie jednak niewiele robią sobie z planów myszy i ludzi. Jaki bóg zresztą mógłby spokojnie patrzeć na zbrodnię, w której kluczową rolę odgrywa jego świątynia? A może był to tylko przypadek, że jakiś gołąb ulżył sobie na krawędzi gzymsu?

Ktokolwiek zesłał morderczego ptaka, musiał uczynić to niedawno, bowiem odchody nie zdążyły jeszcze wyschnąć w palącym słońcu. But Smita ześlizgnął się poza gzyms, a wywołane tym szarpnięcie wytrąciło go z równowagi. Odniósł wrażenie, że to ściana go odepchnęła.

A niech to, przemknęło mu, gdy spadał. Nie wiem nawet, do jakiego mściwego boga modlą się w tej świątyni.

Uderzenie o twardą, wysuszoną ziemię zgruchotało mu większość kości, a pęknięte żebra zmasakrowały wewnętrzne organy. Ostatnią jego myślą było, że dotarł niżej, niż zamierzał – na sam początek kolejki do piekła.

W gruncie rzeczy miał szczęście. Umarł bowiem nieświadom czegoś gorszego od śmierci - że ten jeden, jedyny raz chybił. Choć, jak zawsze, trafił.

Miramis z przerażeniem patrzyła na drgającą jeszcze strzałę, która z taką siłą wbiła się w pierś kukły, że wyrzuciła ją z lektyki.

Otoczona przez damy dworu, w których gronie, jako jedna z nich, podążała za lektyką, stanęła jak sparaliżowana. Groza ścisnęła jej serce, jakby to w nie trafiła strzała. Niemal przestała oddychać.

Chciano ją zabić. Już by nie żyła, gdyby nie staroświeckie, rodzime zwyczaje, które, jak większość młodych ludzi, nie raz wyśmiewała.

Wedle zamierchłej tradycji, wydana za mąż córka umierała dla ojca i rodziny, a w przypadku rodu królewskiego - także dla ojczyzny. Symbolicznym tego wyrazem była „śmierć” kukły, imitującej pannę młodą podczas przenosin do domu oblubieńca.

Jeszcze nie tak dawno temu tę zaszczytną rolę grała jedna z dam dworu, co najpotężniejsze medynickie rody poczytywały sobie za zaszczyt, chętnie poświęcając którąś z licznych zazwyczaj, a niełatwych do wyswatania córek.

Dziś nie zabijano już kobiet. Nawet pustynny kalifat ogarnęła niemoc zwana cywilizacją. Wiele osób jednak – i to nie tylko mężczyzn - uważało, że to już nie to samo, co kiedyś.

Podobieństwo kukły do wychodzącej za mąż księżniczki musiało być jak największe, toteż w przygotowanie manekina wkładano dużo wysiłku, a wyrzeźbieniem twarzy zajmowali się najlepsi artyści. Nic zatem dziwnego, że siedzącą w lektyce postać nawet z bliska można było wziąć za Miramis.

Szok, wywołany widokiem ciała wypadającego z lektyki, jedynie na chwilę poraził gapiów. Tłum, nieświadomy faktu, iż to nie księżniczka, pojął w swej zbiorowej mądrości, nabytej po setkach lat buntów, pogromów i pacyfikacji, że odpowiedzią na ten przejaw indywidualnej przemocy będzie przemoc zinstytucjonalizowana. Żołnierze, tworzący kordon, nie bez powodu stali tyłem do procesji, a przodem do publiczności; gotowi do odparcia prawdziwej bądź wyimaginowanej agresji z tej strony. Ich włócznie pochyliły się groźnie.

Tłuszcza niechybnie wpadłaby w panikę, gdyby nie zamieszanie w medynickim orszaku. Gwardziści, towarzyszący Miramis, rzucili się w jej kierunku, dobywając broni i otaczając ją szczelnym pierścieniem. Dowódca zmusił ją, by przyklękła i ukryła się za ich szerokimi plecami. Spod błękitnych turbanów ich oczy rzucały groźne błyski, choć byli zaledwie garstką wobec mrowia Babilończyków.

Błyski mieczy Medynitów zaniepokoiły chaldejskich żołnierzy z kordonu. Odwieczna, podświadoma nieufność mieszkańców miast do synów pustyni okazała się silniejsza od obawy przed tłumem. Odruchowo, bez żadnego rozkazu, żołnierze zwrócili włócznie przeciwko cudzoziemcom. Krwawa rozprawa zawisła w powietrzu.

Miramis odepchnęła rękę kapitana gwardzistów i wstała. Zrzuciła kaptur dwórki.

- Pokój! – zawołała po chaldejsku, a jej głos jakimś cudem zdołał przebić się przez gwar. – Jestem Miramis! Nic mi się nie stało!

Całe szczęście, że ojciec, człowiek zapobiegliwy, kazał nauczyć ją języka imperium.

Zapadła cisza.

Jakiś chaldejski oficer zbliżył się ostrożnie do lektyki i trącił ostrzem miecza leżącą w pyłe kukłę. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

- To prawda! – krzyknął. – To tylko manekin!

Medynicki mistrz ceremonii, wielki i ciężki, niczym zapaśnik z Nipponu, podbiegł i wdał się z nim w rozmowę. Wyjaśnienia dostojnika najwyraźniej usatysfakcjonowały oficera, ale zarazem jego zdziwienie przerodziło się w uczucia, które Miramis bez trudu zidentyfikowała jako pogardę i obrzydzenie. Zapewne nie spodobały mu się pustynne obyczaje.

Oficer dał znak i obaj potruchtali ku orszakowi Nabonida, oczekującemu na oblubienicę u końca alei. Gruby Medynita z trudem nadażał za żylastym Chaldejczykiem.

Tam dyskusja rozpoczęła się na nowo, w szerszym gronie, obejmującym najwyższych urzędników imperatora. Wynik musiał być zadowalający dla wszystkich, bowiem po dłuższej chwili oficer i mistrz ceremonii przybiegli z powrotem. Otyły Medynita gonił ostatkiem sił i Miramis przyszło do głowy, że jeszcze jeden sprint i będzie musiała wyznaczyć nowego wodzireja.

Tłum przyglądał się temu z zainteresowaniem. Jak zawsze i wszędzie, każda dokuczliwość, spotykająca możnych tego świata, radowała maluczkich. Już nie obawiano się, że dojdzie do masakry. A gdy mija strach, to, co groźne, często staje się zabawne.

Niczym na zawodach sportowych zewsząd posypały się kpiny, obelgi, gwizdy i śmiechy. Dostojęństwo procesji legło w pyle, obok groteskowej kukły. Gapiom nie przeszkadzało, że nie rozumieją, o co chodzi. A może właśnie dlatego bawili się tak dobrze.

Miramis cieszyła się z opóźnienia ceremonii. Ale to nie mogło potrwać zbyt długo. Nie każe się czekać władcy Wszechchaldei.

Z piersi manekina wyszarpięto strzałę, którą zatrzymał chaldejski dowódca, zaś kukła została ponownie umieszczona w lektyce. Miramis okryła głowę kapturem i stanęła wśród swoich dam dworu. Gwardziści wrócili na miejsca; co prawda nadal czujni i nieufni.

Zabrzmiał werbel i procesja ruszyła.

Tymczasem dalej, za murem zdobionym lwami i gryfami, który oddzielał aleję od reszty miasta, rozpoczęło się polowanie na zamachowca. Schwytano kilkudziesięciu, z których niemal wszyscy na torturach przyznali się do próby zabicia przyszłej królowej, króla oraz najwyższych dostojników królestwa, a także innych osób, których próby zabicia od nich oczekiwano.

Kiedy kapłani ze świątyni boga księżyca, Sina, znaleźli w ogrodzie pogruchotane zwłoki cudzoziemca, który nie miał przy sobie żadnych przedmiotów, pozwalających na jego identyfikację, uznali, że musiał nocą spaść z księżyca, zapewne zrzucony na ziemię za szczególnie ciężkie grzechy.

Świadczył o tym brak jakichkolwiek śladów wokół ciała.

Dlatego też bez zbędnych ceregieli pochowali go tam, gdzie zginął, by nie kalać miejsca innego, niż to, które już zostało skalane.

Nabonidowi udało się ukryć grymas zawodu. Był jednak wściekły, a to oznaczało, że doradcy, którzy zapomnieli poinformować go o dziwnym aspekcie zwyczajów barbarzyńców z pustyni, będą musieli ponieść konsekwencje.

Zamach na przyszłą królową to zbrodnia stanu. Zamach nieudany to coś, co karze się znacznie surowiej – kompromitacja.

Dwór weselił się. Tym samym długie oczekiwanie Jereda i jego ludzi dobiegło końca. Nadeszła pora działania.

Dwunastu spiskowców weszło do pałacu jako goście weselni. Nikt nie sprawdzał ich zaproszeń; strażom wystarczyło słowo człowieka, który ich wprowadzał. Człowiek ten bał się śmiertelnie. Jered od razu dostrzegł strach w jego oczach, lecz podsyciło to jedynie pogardę, jaką dlań żywił. Jeszcze silniejszym od pogardy uczuciem była nienawiść do każdej kropli krwi królewskiej, która płynęła w żyłach Unisa, siostrzeńca cesarza, potwora i czarnej owcy rodziny.

Z drugiej strony, kto był największym potworem w tym przeklętym rodzie? Czymże było kilka zwykłych zabójstw wobec tysięcy istnień ludzkich, jakie miał na sumieniu Nabonid?

Już niedługo! – zgrzytnął zębami Jered. Koniec tyranii bliski! Z trudem powstrzymał się, by nie wykrzyknąć tego ku rozgwieżdżonemu niebu, widocznemu nad dachami otaczającymi dziedziniec, na który zaprowadził ich Unis.

Jered czuł się źle w habicie kapłana jednego z pomniejszych, prowincjonalnych bogów – Melkarta. Miał nadzieję, że An w swej łaskawości wybaczy mu to bałwochwalstwo. Lecz biało-seledynowe uniformy, dostarczone przez księcia Unisa, stanowiły dobre przebranie. Mogli dzięki nim trzymać się razem, jak delegacje innych świątyń z całego imperium, przysłane na uroczystości ślubne imperatora. Wybór Melkarta dowodził przebiegłości Unisa, przy całym jego szaleństwie. Bóstwo było na tyle znane, że nie wzbudzało zainteresowania, a jednocześnie wiedza na temat obowiązującej w jego kulcie liturgii była tak nikła, że nie musieli się obawiać, by ktokolwiek poddał ich egzaminowi z jej znajomości.

Kilka godzin przesiedzieli na głównym dziedzińcu pałacu, gdzie dla najmniej ważnych weselnych gości imperatora ustawiono stoły z poczęstunkiem. Zdegustowany tą rozkrzyczaną, wulgarną hałasą, Jered nawet nie tknął wina i niczego nie zjadł. Jego towarzysze, wyraźnie podenerwowani, również stronili od jedzenia, ale niektórzy sprawiali wrażenie, jakby mieli chęć na kilka głębszych. Ponure spojrzenie Jereda powstrzymało ich jednak. W tłumie podchmielonych młodszych oficerów, niższych urzędników i kapłanów ostatnich bóstw wyglądali jak najbliżsi krewni zmarłego na stypie.

Unis, który wrócił po nich dopiero późnym wieczorem, wypatrzył ich bez większego trudu, choć nie zdjęli kapturek. Żadna inna grupa ludzi w habitach nie roztaczała takiej aury napięcia i wyobcowania. To nie było zbyt rozsądne i aż dziw, że nikomu nie wydało się podejrzane. Najwyraźniej nienawiść Jereda

do cielesnych przyjemności pozbawiła go zdolności racjonalnego myślenia. W miarę jednak jak wokół stołów przybywało rozochoconych biesiadników, kilkunastu trzymających się razem abstynentów mogło zwrócić wreszcie czyjąś uwagę.

Coś takiego właśnie nastąpiło, kiedy Unisa dzieliło tylko kilka kroków od Jereda i jego posępnej kompanii. Jakiś potężnie zbudowany oficer, mijając Jereda, zainteresował się barwami jego habitu. Z pijacką bezpośredniością pociągnął Habirczyka za rękaw.

- Powiedz mi, wielbny – wrzasnął – jakież to bóg lubi kolor wyrzyganej musztardy?

Jered nie zareagował. Żołnierz chwycił za kaptur, jakby chciał pod niego zajrzeć.

- Jest tam kto?! – zawołał.

Jered poderwał się na nogi, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Odruchowo zacisnął dłoń na ukrytym pod habitem sztylcie. Och, gdyby mógł go użyć... Jednym błyskawicznym pchnięciem osłodziłby sobie godziny siedzenia pośród tej hołoty.

Na Ana! Jakże ich nienawidził!

Ale to oznaczałoby klęskę. Zostałby zdemaskowany. Zawiódłby zaufanie Tego Który Go Powołał. Kto wówczas wyprowadziłby Jego lud z domu niewoli?

Unis z przyjemnością popatrzyłby na kłopoty Jereda. Ten fanatyk zasłużył sobie na porządne lanie. Jednak, niestety, będzie trzeba poczekać na inną okazję.

- To Melkart – odezwał się, podchodząc.

Oficer zwrócił na niego rozbiegane oczy.

- Że jak? – warknął.

- Bogiem, który lubi takie kolory, jest Melkart – wyjaśnił cierpliwie Unis.
– A właściwie, jak sądzę, raczej jego kapłani.

Tamten gapił się na niego, nie wiedząc, jak zareagować.

Twarz Unisa była powszechnie znana, jednak zadziorny żołdak najwyraźniej nie czytał kronik towarzyskich, a może był zbyt pijany, by rozpoznać księcia. Na szczęście nie miał problemu z zauważeniem bogatego stroju i malującej się na twarzy Unisa arogancji, jakiej nie można się nauczyć, lecz jedynie odziedziczyć po pokoleniach arystokratycznych przodków.

- A wam co do tego... panie? – obruszył się niezbyt pewnie.

- To przyjaciele tego domu, którego i ty jesteś gościem, panie oficerze.

Żołnierz zmarszczył brwi, ale po chwili wahania machnął ręką.

- Nie sobie będzie bóg, jaki chce! – zawołał na użytek gapiów, nie chcąc wyjść na tchórza. – Ale i tak ci kapłani wyglądają jak kocie wymiociny.

Przepchnął się obok Unisa i odszedł.

Ogień nienawiści, płonący w oczach Jereda, przygasł. Lecz nie zgasł zupełnie. Pewnie nigdy nie gaśnie – pomyślał z przekąsem książę. Od takich jak Jered można by odpalać pochodnie.

- Na bogów, chodźmy zanim zaczepi was ktoś inny – rzekł. – Imperator już udał się do swoich komnat.

Unis miał rację i zarazem mylił się. Nabonid w rzeczy samej opuścił przyjęcie weselne, by pójść za Miramis, która zgodnie z obyczajem już wcześniej udała się na pokoje. Tyle że nie zamierzał tam dotrzeć.

Isztar postawiła go w trudnej sytuacji. Rozmyślał o tym przez cały wieczór, nie bardzo mogąc skoncentrować się na ceremoniale. Na szczęście, tyle razy już przez to przechodził, że wystarczyło poddać się odruchom.

Marduk przybył na uroczystość zaślubin w pełni swego majestatu, co zresztą nikogo nie dziwiło, gdyż wszystko odbywało się w jego świątyni. Osobista obecność boga za tronami, na których zasiedli małżonkowie, nadawała ceremonii odpowiednią rangę, ale Nabonida przyprawiała o gęsią skórkę. Był jak człowiek znajdujący się za blisko pożaru – czuł, że lada chwila zapali się na nim ubranie.

Główną nawę Sali Tysiąca Złotych Kolumn w Wielkiej Świątyni Marduka, używanej jako królewski pałac ślubów, wypełniał pstry tłum tych wszystkich nieznanym mu, nie wartym poznania lub nie lubianym przez niego ludzi, których wypadało zaprosić.

Nabonid nie cierpiał tego miejsca, rozrośniętego i rozbuchanego ponad wszelką miarę. Sufit znajdował się tak wysoko, że nawet rosły człowiek czuł się karzełkiem, a co dopiero on sam. Las olbrzymich kolumn wzbudzał w nim poczucie zagrożenia, jakby zagubił się gdzieś w ostępach mrocznych, północnych puszczy.

Tak jak je sobie wyobrażał, rzecz jasna.

A poza tym oślepiały go refleksy świetlne odbite od kapiteli kolumn, pokrytych złotem, którego również nie cierpiał. Było ciężkie, zwłaszcza, kiedy nosiło się je na głowie, a także – choć od dziecka widział je wszędzie wokół – ciągle było go mało, nad czym lamentował każdy kolejny minister finansów.

Ceremonia trwała ponad dwie godziny. Przez ten czas Nabonidowi udało się dokonać nie lada sztuki – popatrzył na Miramis zaledwie kilkakrotnie; kiedy nie mógł już tego unikać. Za każdym razem napotykał jej śmiałe, jasne spojrzenie i natychmiast odwracał wzrok.

Miał nadzieję, że nie dostrzegła w jego oczach strachu. To raczej ona powinna bać się; jak każdy, kogo usiłowano zabić. Dlaczego więc się nie bała?

W kulminacyjnym momencie uroczystości Untasz, najwyższy kapłan Marduka, z namaszczeniem włożył koronę na głowę Miramis. Nabonid przypatrywał mu się podejrzliwie. Czyżby na ustach bezczelnego hierarchy wykwitł złośliwy uśmiech? Ten potomek kapłańskiego rodu, który swoje pochodzenie wywodził – zdaniem Nabonida mocno na wyrost - od pierwszego człowieka, który przeżył potop, dobrze wiedział, że jest nietykalny, dopóki miał

poparcie swego boga. Ale nic nie trwa wiecznie, a w każdym rodzie znajdują się malkontenci, gotowi poprzeć korzystne dla nich zmiany...

Błądząc spojrzeniem wyłowił z tłumu Huwera. Szef tajnej policji trzymał się skromnie z dala od innych dostojników. Nabonid usiłował wyczytać z jego twarzy, czy tamten wie o małej intrydze z wynajęciem łuczника, ale napotkał tylko obojętne i nieruchome spojrzenie. Huwer zapewne wiedział o wszystkim; taka była jego rola. Jeśli czuł się urażony załatwianiem takich spraw poza jego plecami, to nie okazywał tego. Z pewnością rozumiał, że Agencja Ładu i Pomyślności w żaden sposób nie mogła być wiązana z zamachem.

Zniknięcie niedoszłego zabójcy – swoją drogą, Nabonid był pod wrażeniem profesjonalizmu Smita, który, tak jak obiecał, przepadł niczym kamień w wodę – bardzo ułatwi rozpowszechnienie oficjalnej wersji o przypadkowym strzelcu. Król był zresztą pewien, że policja znajdzie jakiegoś szaleńca, który przyzna się do zamachu. Mniej lub bardziej dobrowolnie.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, by zastanawiać się nad tym, co poczułaby jego obecna żona, gdyby dowiedziała się, że to on zlecił jej zabójstwo. Kogo obchodziły jej uczucia? Zresztą, kobiety nigdy nie rozumieją polityki.

- Co zostało złączone przed Najwyższym, człowiek niech nie waży się rozłączać! – oświadczył uroczyście Untasz. W jego ustach ta zwyczajowa formuła nabrała, zdaniem Nabonida, podejrzanie znaczącego wydźwięku.

Król zmarszczył brwi. To nie mógł być przypadek. Najpierw namowy Marduka na kolejny ożenek. Potem Isztar ze swoimi zawołowanymi groźbami. A teraz ten zakłamany hipokryta, któremu wydaje się, że może napominać władcę niczym nowicjusza w swojej świątyni.

Najgorsze, niestety, że mógł.

Osaczano go. Ubezwłasnowolniano. Jeszcze trochę, a będzie musiał prosić o pozwolenie na skorzystanie z nocnika.

Cóż, jeśli będzie musiał prosić, poprosi. Głupcy, których nigdy nie brakuje, nazywali go gnuśnym. Może i nie lubił polowań, rozlewu krwi i śmierdzącego potem rynsztunku bojowego. Lecz choć nie zdobył, to również nie stracił ani skrawka ziemi, otrzymanej w spadku po swoich poprzednikach. A nie wszystkim z nich to się udawało.

Po części oficjalnej Marduk gdzieś zniknął, a Nabonid nie zamierzał go szukać. Bóg mógł się czuć zaproszony na ucztę weselną, ale najwyraźniej nie miał na to ochoty. Król doznawał frustracji, że nie może pójść w jego ślady.

Pełnił jednak honory domu; przynajmniej nominalnie. W praktyce wystarczało, że był obecny; resztę załatwiali liczni urzędnicy, a szczególnie Zungi, wielki marszałek dworu. O jego, jakże potrzebnym na tym stanowisku, doświadczeniu decydował fakt, że uczestniczył już w piątym ślubie swego władcy.

Kiedy wzniesiono wszystkie toasty – co trwało wystarczająco długo, by kolejni mówcy zaczęli się powtarzać – Miramis udała się do komnat, gdzie

miano ją przygotować do spędzenia nocy z mężem. Nabonid musiał jeszcze zostać, co akurat w tym kontekście wcale go nie martwiło.

Nieuchronne musiało wszakże nastąpić.

- Oblubienica wprowadzona już w twe komnaty, królu! – zaintonował jakiś dworzanin, którego twarzy Nabonid nie pamiętał. – Cieszyć się chce i weselić twoją miłością!

- Gdy król wśród biesiadników przebywa – podchwycili pozostali goście – jej ciało czeka na niego, rozsiewając zapach swój cudowny! Idź, królu, ku górom mirry, wejdź na wzgórze kadzidła!

Nabonid westchnął w duchu i wstał.

- Jedzcie i pijcie, przyjaciele! – odpowiedział, jak nakazywał obyczaj, cytatem z tej samej pieśni miłosnej. - Upajajcie się najlepszym winem! Odchodzę, biegnę przez góry, skaczę po wzniesieniach! Wkrótce wejdę do jej ogrodu i posilę się smacznymi owocami!

Gwar, jaki wybuchnął, został bez trudu zagłuszony przez potężny, jakże potrzebny na tym stanowisku, głos wielkiego marszałka dworu:

- Niech żyje Nabonid VIII, Imperator Wszechchaldei, Pan Czterech Stron Świata!

- Niech żyje! – odkrzyknęli zebrani, waląc w stoły czym popadnie. Tu i ówdzie rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Król Królów, Wielki Chan Zachodniego Stepu, Faraon Górnego i Dolnego Egiptu!

- Niech żyje!

- Naczelny Strateg Związku Mykeńskiego, Pierwszy Konsul Konfederacji Italskiej, dożywotni prezydent Nowej Fenicji i Winlandii, Lord Protektor Albionu...

Nikt nie zauważył, że Nabonid wyszedł bardziej przygarbiony niż zwykle.

- Bracie...
- Czego chcesz, Baalu?
- Sądziłem, że zabawisz dłużej w pałacu Nabonida...
- Wiesz, że męczą mnie takie imprezy. Moja obecność na ślubie była konieczna, ale nic poza tym. Zresztą, co ci do tego?
- Nie niepokoiłbym cię, Marduku, gdyby to nie było ważne.
- Spokojnie, braciszku, nie obrażaj się. Po prostu czasami mam dosyć tych wszystkich obowiązków... Co nie oznacza, że zamierzam z nich zrezygnować, rzecz jasna. No dobra, co chcesz mi powiedzieć?
- Obawiam się, że musisz tam wrócić.
- Muszę?
- No... Oczywiście, zrobisz jak zechcesz, bracie...
- Oczywiście. Ale ty uważasz, że istnieje powód, dla którego powinienem zstąpić na ziemię, skąd dopiero co z przyjemnością się ulotniłem?
- Niestety, tak. Wiem z dobrego źródła, że dziś w nocy zostanie przeprowadzony zamach na Nabonida.
- Zamach! Czy na tym świecie nie ma już nic świętego? Ludzie nie uszanują nawet nocy poślubnej. Okay, mów co wiesz.
- Zamachowcy zamierzają zaskoczyć króla w trakcie..., kiedy będzie z królową. Zapewne są już w pałacu. Nie mogło to być trudne przy panującym tam rozgardiaszu i liczbie zaproszonych gości. Parę nowych twarzy nikogo nie zainteresuje.
- Ilu jest tych zamachowców?
- Dwunastu.
- Dwunastu? Dlaczego akurat tylu?
- Nie mam pojęcia. To pewnie przypadek. Czy to ważne?
- Pewnie nie, ale tak mi się przypomniało, że nas też było dwunastu. Czy może raczej – dwanaścioro.
- Hm... To akurat nie był przypadek, Marduku. Liczba separatorów w Arce...
- Tak, tak, wiem to przecież, do licha. Wróćmy do bieżących spraw. Jak rozumiem, nie mogłeś wcześniej mnie o tym powiadomić? Kiedy byłem jeszcze na dole.
- Nie miałem dostatecznej pewności, by ci zawracać głowę. Musiałem zweryfikować informację.
- I zrobiłeś to, jak mniemam.
- Oczywiście. Możemy mieć pewność, że dojdzie do próby zabicia Nabonida.

- Próba to chyba najwłaściwsze słowo. Nie byłaby pierwsza. Z poprzednimi tajne służby i straż pałacowa poradziły sobie bez trudu. Tylko raz, o ile pamiętam, zamachowiec zbliżył się do króla na tyle, by go przestraszyć; bo nawet go nie zranił.

- To prawda, ale uważam, że teraz groźba jest realna, bracie. Ci ludzie to Habirczycy, wysiedleni kiedyś ze swojej ojczyzny i przeniesieni do Babilonu. Większość z nich nie angażuje się w działalność polityczną, ani nie chce zapewne powrotu na ten skrawek ugoru, który kiedyś zamieszkiwali, ale ekstremiści nie dbają o to. Jak wszyscy fanatycy wiedzą lepiej, co jest potrzebne ich ludowi. Podobno ich przywódca, niejaki Jered, lansuje nową wiarę... Za przeproszeniem - monoteizm.

- Monoteizm? A kto jest tym jedynym bogiem?

- Trudno powiedzieć.

- Nie sądzę, żebym to był ja...

- Ja również nie sądzę, bracie. Z moich informacji wynika, że to ktoś, kto nie nadużywa materialnej manifestacji.

- Duch? Przecież to absurd.

- Tym niemniej... Podobno nikt go nigdy nie widział.

- Zdumiewające. A co z nami? Wierzą w kogoś, kto nie istnieje, a odrzucają wiarę w kogoś, kto może całkiem dosłownie zamienić ich życie w piekło?

- Nie zaprzeczają naszemu istnieniu. Ale uważają nas za fałszywych bogów. Ten ich jedyny bóg jest, według nich, od nas silniejszy. Kiedy nas pokona, wyzwoli ich z niewoli Babilończyków i odeśle do ojczyzny.

- Nie wątpię. Pewnie nawet tych, którzy wcale nie chcą tam wracać... A więc mamy wroga, Baalu. I to we własnym gronie. Jeśli ten człowiek, Jered, nie jest kompletnym wariatem, który słyszy głosy, ktoś zorganizował całą tę maskaradę. Ktoś z nas, no bo któż by inny?

- Niewykluczone, że masz rację, Marduku. Czy mówiąc: ktoś z nas, masz na myśli rodzinę czy tylko naszą trójkę? Pamiętaj, że ja cię o wszystkim poinformowałem. Ale co do Isztar...

- Na jądra moich kapłanów! Czy ty i Isztar nie możecie zająć się czymś konstruktywniejszym, niż rzucaniem sobie kłód pod nogi? Jesteś tak samo podejrzany, jak pozostali. Wiem tylko, że to nie ja.

- Czy naraziłbym swoich wyznawców na twój gniew?

- Nie bądź śmieszny, braciszku. Gdybyś mógł na tym coś zyskać, postąpiłbyś jak każde z nas. Jesteśmy hipokrytami; to rodzinne. Ale, tak czy inaczej, nie możemy sobie pozwolić na utratę Nabonida. A skoro ty przyniosłeś tę niedobrą nowinę, pofatygujesz się tam ze mną.

- Podam go wam na srebrnej tacy... – nabijał się Mursilis. – Naprawdę tak powiedział ten przerośnięty zjadacz nektaru?

Krest nie zareagował. Nesyczyk zrzędził bardziej niż zwykle, jeśli to w ogóle było możliwe. Pewnie ze strachu.

Zgodnie ze wskazówkami Baala dostali się do Złotego Domu przez Wielką Świątynię Marduka. Podziemne przejście między cellą a pałacem przeznaczone było zapewne tylko dla wysokich rangą kapłanów.

Krest postanowił ponownie posłużyć się mistyfikacją, jaką tak skutecznie zastosowali wkraczając do Babilonu. Zgodnie z jego oczekiwaniami, nikt nie zaczepiał dwóch kalekich weteranów, chcących pomodlić się do Marduka w intencji udanego pożycia małżeńskiego króla.

Popołudniowa uroczystość zaślubin władcy dawno minęła, ale jej uczestnicy wciąż bawili się w pałacu. Prosty lud zaś świętował na ulicach. Dlatego świątynia była niemal pusta. Marduk najwyraźniej przegrał dziś z Bachusem, czy jak tam zwał się ten członek boskiej Dwunastki, który w mniemaniu ludzi patronował uciechom stołu.

Krest wątpił, by istniał ktoś taki. Co prawda, można było stwierdzić pewną specjalizację wśród owych istot, czymkolwiek były, jednak wynikała ona, zdaniem Kresta, nie z nadprzyrodzonych prerogatyw, lecz ze zwykłego podziału zadań w ramach klikki sprawującej władzę. Ot, i cała tajemnica wiary...

Las kolumn skrywał ich przed wzrokiem nielicznych wiernych. Przejście znajdowało się za kolosalnym, chryzelefantynowym posągim Marduka. Najwyższy bóg siedział na tronie, a jego głowa, wielkości powozu, o twarzy z kości słoniowej i żrenicach ze szmaragdów ogromnych jak pięści, sięgała stropu.

- Nie sądzisz, że gość ma kompleksy? – mruknął Mursilis.

- A ty byś miał, mogąc wszystko?

- Nikt nie może wszystkiego. Najlepszy dowód, że jeszcze żyjemy.

- I to mnie właśnie niepokoi.

Spojrzenie Nesyczyka stało się jeszcze bardziej ponure niż to, które prezentował na użytek odgrywanej z talentem roli kaleki, mającego pretensje do całego świata za swoją ułomność.

- Miło, że wreszcie zdecydowałeś się podzielić ze mną swoimi obawami – warknął.

- Po co miałem cię straszyć? Dość masz własnych obaw.

- Faktycznie, tego mi nie brakuje. A wiesz, dlaczego? Bo odczuwam dziwny dyskomfort na myśl, że zaufaliśmy komuś niegodnemu zaufania, by uśmiercić kogoś nieśmiertelnego.

- Nikt nie jest nieśmiertelny.
- Nikt też nie powinien być na tyle głupi, by to sprawdzać.
- Ktoś musi.
- Gdybyśmy musieli – sarkazmu w głosie Mursilisa było więcej, niż złota na posąg Marduka - to jeszcze nie byłoby najgorsze. Ale żeby chcieć?!
- W tym właśnie cała przyjemność.
- Dla nas z pewnością ostatnia.
- Więc przestań narzekać i ciesz się nią.

Mechanizm otwierający przejście był dobrze ukryty. Nie znaleźliby go, gdyby nie instrukcje Baala. Któż by się domyślił, że wystarczy wcisnąć kamień imitujący oko jednej z płaskorzeźb fryzu, przedstawiającego maszerujące lwy nadnaturalnej wielkości?

Fragment ściany uchylił się. Mursilis pchnął go, poszerzając szczelinę. Za nią znajdowały się schody, a dalej ciemność. Musieli się schylić, by przekroczyć wejście, ale tunel był wystarczająco wysoki nawet dla Kresta.

Drzwi, wepchnięte na miejsce, zatrzęsły się, jakby zaskoczyła niewidoczna sprężyna. Dopiero w tym momencie Krest zdał sobie sprawę, że Baal nie powiedział im, jak je otworzyć od wewnątrz. Nie mogli zawrócić, nawet gdyby chcieli. Ciekawe, czy stary łajdak zrobił to celowo?

Mroku nie rozświetlał najłżejszy promień światła, ale tego się spodziewali. Mursilis zapalił lampkę oliwną, kupioną w zajeździe, w którym spędzili noc. W jej słabym blasku poczynili ostatnie przygotowania. Mogli już zrezygnować ze swoich przebrań. W pałacu nie zdałyby się na nic. Kogokolwiek napotkają po drodze, będą musieli przed nim się ukryć bądź go zabić.

Krest wyciągnął z nogawki spodni rapier, który działał jak usztywnienie nogi, dzięki czemu Zabójca Bogów mógł poruszać się jak inwalida. Nesyjczyka czekało więcej roboty. Musiał zdjąć szerokie spodnie i dopiero wówczas mógł rozprostować nogę, zgiętą dotychczas w kolanie i spiętą paskiem, tak, by imitować jej brak. Odwiązał też muszkiet przymocowany lufą w dół do rzekomego kikuta i udający protezę.

- Bogowie! – westchnął z ulgą, masując udo. – Niedługo sama by mi odpadła.

- Pomyśl, że w ten sposób ty również pracujesz na legendę, jaka otacza nesyjskich złodziei.

- Zanim przejdę do legendy, chciałbym ukraść coś naprawdę wartościowego, a nie stracić życie za darmo.

- Powiedziałbym, że będzie ci to policzone w niebie, ale jeśli nam się uda – nie będzie nieba.

- Podziwiam twój talent do dodawania otuchy bliźnim.

Uśmiechając się w duchu, Krest cierpliwie czekał, aż tamten nabije broń. Nesyjczyk zrzędził, ale nie przeszkadzało mu to w zrobieniu tego szybko i sprawnie. Był naprawdę świetnym strzelcem i byłby znakomitym żołnierzem,

gdyby nie wybuchały indywidualizm. Niemniej, należał do ludzi, których w niebezpieczeństwie warto mieć u swego boku.

Byle nie za plecami.

Mursilis nie zapalił lontu. Było na to jeszcze za wcześnie. Jego woń mogła ich zdradzić, gdyby chcieli przemknąć niepostrzeżenie przez kordon straży. Miał tylko jeden strzał, więc nie mógł go marnować na najnowsze cele. Zgodnie z planem, kula, którą tak starannie umieścił w lufie, była przeznaczona dla Marduka. Oczywiście, nie chodziło o to, by go zabić, co prawdopodobnie było niemożliwe. Krest chciał, by Mursilis zranił boga lub go chociaż zaskoczył, strzelając natychmiast, kiedy tylko go zobaczą. Resztę brał na siebie.

O ile będzie jakaś reszta.

Korytarz pełnił rolę sekretnej przejścia, skracającego drogę z kompleksu świątynnego do Złotego Domu, był więc dość surowy i niezbyt przestronny, gdyż nie było takiej potrzeby. Korzystano z niego zapewne przeważnie w pojedynkę lub w niewielkich grupkach, kiedy główną troską było zachowanie dyskrecji. Kapłani Marduka od niepamiętnych czasów czuli się w pałacu władców Babilonu jak u siebie. Nie chcieli więc kołatać do bram, jak byłe petenci.

Krest i Mursilis nieomal ocierali się łokciami o niedbale otynkowane ściany. Zajęło im kilka minut nim pokonali korytarz, wspięli się na kilka schodków u jego końca i stanęli przed ślepy murem. Długość przejścia pozwalała przypuszczać, że dotarli do wewnętrznych komnat Złotego Domu. Zgodnie z obietnicą Pana Burzy i Wojny.

Nim Krest dotknął wystającej cegły, którą należało nacisnąć, Mursilis zgasił lampkę. Wiedzieli, że korytarz kończy się w małej kaplicy pałacowej, gdzie nie powinno nikogo być, lecz woleli zachować ostrożność.

Nie były to jeszcze prywatne komnaty Nabonida – tak daleko ingerencja kapłanów nie sięgała – ale znajdowały się one już blisko. To właśnie tam Baal miał zwabić Marduka.

Ciemność niewiele ustępowała tej w tunelu. Postanowili jednak nie używać już lampki i zdać się na odrobinę rozproszonego światła, przesączającego się przez wejście do kaplicy. Jego źródłem był księżyc, wiszący nad małym dziedzińcem, otoczonym krużgankami. Trzymając się wskazówek Baala obeszli placyk i ujrzeli oświetlone pochodniami, skromne na pozór drzwi, których strzegło dwóch gwardzistów. Jeśli bóg wojny ich nie oszukał, mieli przed sobą część pałacu przeznaczoną do osobistego użytku króla.

- Ty zajmij się tym większym – mruknął Mursilis.

- Na moje oko, obaj są równie duzi.

- Cholera, zawsze pozbawiasz ludzi złudzeń?

- Ludzie pozbawieni złudzeń z reguły dłużej żyją.

- Ale w stresie. No dobra, ja wezmę tego bliżej nas.

Nesyjczyk podniósł prawą rękę, zbliżywszy się do strażników.

- Przepraszam, koledzy, gdzie tu jest kibel? – uśmiechnął się szeroko. – Mój przyjaciel i ja wypiliśmy zbyt dużo piwa za zdrowie naszego imperatora i teraz...

W jego lewej dłoni błysnął krótki, szeroki nóż. Nim strażnik zdążył zareagować, ostrze przebiło mu krtań, a Mursilis napał ciałem, przyciskając go do framugi, dopóki tamtym nie przestały wstrząsać skurcze agonii.

Krest nie tracił czasu na dobywanie rapiera. W jego szczupłym ciele drzemało więcej siły, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Nie raz okazało się to zgubne dla jego przeciwników.

Wartownik był tego samego wzrostu, co on, lecz znacznie masywniejszy. Dlatego na jego twarzy odmalowało się zdumienie, kiedy pięść Kresta trafiła go w splot słoneczny, pozbawiając tchu i uszkadzając śledzionę. Wewnętrzny krwotok zabiłby go z pewnością po jakimś czasie, ale Krest zaoszczędził mu męczarni – drugim uderzeniem zgruchotał mu kręgi szyjne, gdy tamten zgiął się wpół.

- Nieźle jak na takiego chudzielca - skomentował Mursilis, wycierając ostrze noża o uniform zabitego strażnika.

- Siła nie zawsze tkwi w mięśniach.

- Jasne. Zaraz powiesz, że poprosiłeś go, by umarł.

- Ty zabiłbyś go samym dowcipem.

Nesyjczyk parsknął śmiechem.

- Skoro mamy zginąć, to na wesoło. Smutek pozostawmy tym, którzy będą słuchać pieśni o naszej samobójczej walce z bogami.

Krest uniósł brew.

- Naszej?

Mursilis wzruszył ramionami.

- Czyż nie jesteśmy partnerami? To jak małżeństwo. Bóg nas połączył i tylko bóg może nas rozłączyć.

- Jesteś zbyt brzydki na żonę.

- A ty za biedny na męża.

W prywatnych komnatach Nabonida panował półmrok. Wydawały się opustoszałe. Wieść głosiła, że król dopuszczał w pobliże siebie niewielu służących; jedynie tych, którym ufał. O ile jakkolwiek król mógł komukolwiek zaufać.

Ale Nabonid ich nie interesował. Niech zabawia się ze swoją młodą żoną. Przyszli tu dla kogoś znacznie ważniejszego.

Krest dobył rapiera, a Mursilis zdjął z pleców muszkiet i zapalił lont. Jeśli wierzyć słowom Baala – a musieli w nie wierzyć, inaczej wejście tutaj nie miałoby sensu – w tej części pałacu nie było uzbrojonych straży. Nabonid, jak wielu dyktatorów, najbardziej bał się swoich obrońców.

- Jeśli strzelę, może mnie spotkać to, co na bagnach – mruknął Mursilis upewniając się, że na panewce znajduje się wystarczająca ilość prochu.

- Jeśli nie strzelisz, może nas spotkać coś znacznie gorszego.

- Nie muszę tam iść.
- Nie musisz.
- Właśnie. Żeby nie było wątpliwości, że nie musiałem. No, to którą teraz?

Unis prowadził ich szybko, choć w jego ruchy coraz wyraźniej wkradała się nerwowość. Spod modnej peruki spływały krople potu. Jered obserwował go bacznie, szukając najmniejszych oznak paniki.

Nie dopuszczał możliwości, że Unis ich zdradzi. Księżę miał zbyt wiele do stracenia. Bardziej prawdopodobne było, że stchórzy w ostatniej chwili i ściągnie na nich uwagę strażników. Jered był jednak przekonany, że jeśli w porę zauważy objawy załamania, cios sztyletem załatwi sprawę. A potem jakoś sobie poradzą.

Jego ludzie trzymali się dobrze jak na, było nie było, bandę amatorów. Milczeli, jakby w obawie, że otwarcie ust może sprawić, że nie zapanują nad strachem. Jered wiedział, że może na nich polegać tylko do pewnych granic. Byli zwykłymi zjadaczami chleba; An do nich nie przemawiał.

Pewien był jedynie siebie. Ale tak było przecież przez całe życie.

Z zaskoczeniem skonstatował, że komnaty Nabonida urządzone są niezwykle skromnie, jak na pałac cesarski. Nie pasowało to do wizerunku rozpustnego, zepsutego do szpiku kości potwora.

Nieważne, potwór czy nie, świat będzie bez niego lepszy. W każdym razie świat Jereda.

Nikt ich nie nagabywał. Nieliczni służący, rozpoznawszy księcia Unisa, udawali, że nie widzą jego zakapturzonych towarzyszy. Na dworze królewskim zbytnia spostrzegawczość równie często pomagała, jak i mogła okazać się zgubna.

Drewniane drzwi do sypialni, ozdobione piękną snycerką, na którą nikt z zamachowców nie zwrócił uwagi, otwały się bezgłośnie. Nikły blask kilku lampek oliwnych wydobywał z mroku zaledwie zarys wielkiego łoża z baldachimem i muślinowymi zasłonami, sięgającymi posadzki.

Unis stanął wyczekująco w progu, zaś fałszywi kapłani rzucili się do przodu. Jered brutalnie szarpnął tkaninę, zrywając spory jej fragment i wznosił sztylet do ciosu.

Powstrzymał się w ostatniej chwili.

To nie Nabonid otworzył szeroko oczy na widok lśniących ostrzy. Króla nie było we własnym łożu. Miramis leżała sama w oczekiwaniu na oblubieńca. Znużona całodziennymi ceremoniami zapadła w płytki sen i teraz, wyrwana z niego, ujrzała nad sobą wykrzywione żądzą mordy, a jednocześnie przerażone i skonsternowane twarze. Paraliżujący strach nie pozwolił jej nawet krzyknąć.

Jered opuścił nóż. Nie mógł uwierzyć w to, na co patrzy. Odwrócił się.

- Gdzie król? – warknął do Unisa. - Twierdziłeś, że tu będzie.

Księżę miał minę skazańca, któremu zakładają stryczek.

- Powinien być – wykrztusił. – Przecież musiał dotrzeć tu przed nami. Może usłyszał nas i schował się?

Jered skinął na swoich ludzi.

- Rozejrzyjcie się.

- Bogowie, pospieszcie się! – lamentował Unis. – Musimy uciekać.

Niczego nie znaleźli. Nabonid najwyraźniej nie spieszył się do skonsumowania małżeństwa. Jered zdał sobie sprawę, że runął plan zaskoczenia króla z opuszczonymi spodniami.

- Idziemy – rozkazał. – A ty – zwrócił się do Unisa - pomożesz nam go szukać.

- To samobójstwo! Nie uda nam się. Musimy...

Jered chwycił go za ubranie.

- Zrobisz, co mówię, gnido. Zrozumiano?

Tamten skinął głową. Jered pchnął go ku drzwiom.

- Ruszaj.

- A ona? – Unis popatrzył na Miramis. - Widziała mnie; trzeba ją zabić!

- M y nie mordujemy kobiet.

- Ale ona nas zdradzi...

- Nas nie zna. A ciebie... Cóż, nie pozostaje chyba nic innego, jak usunięcie Nabonida. Wtedy nie będzie to już miało znaczenia. Ruszaj.

Jered wiedział jednak, że nie powinni pozwolić dziewczynie na podniesienie alarmu. Dał znak jednemu ze swoich ludzi, potężnie zbudowanemu murarzowi o imieniu Melech. Miramis nawet nie zauważyła, jak jego pięść pozbawia ją przytomności.

Jered miał nadzieję, że cios nie był zbyt mocny. Wszystko w ręku Ana, pomyślał. Jej los – jak i ich wszystkich - był zapisany, zanim jeszcze pierwsze gwiazdy rozświetliły niebo. Choć niektórzy twierdzili, że człowiek jest panem samego siebie, Jered jeszcze nigdy nie spotkał nikogo, komu nie przytrafiałyby się rzeczy, których sobie nie życzył.

Nikogo; włącznie z nim samym.

Niemal biegli w ślad za Unisem, nie wiedząc nawet, dokąd ich prowadzi. Książę nie przypominał już wykwintnego dworaka; raczej prowincjonalnego szlachetkę, który w swoim własnym zamku szuka kryjówki przed zbuntowanymi poddanymi. W dodatku, nie wyglądał na kogoś, kto miał nadzieję ją znaleźć.

Gorączkowo przetrząsali wszystkie pomieszczenia po drodze. Jered nie dbał już o to, czy zostaną zdemaskowani. Zrzucił kaptur i nie wypuszczał noża z ręki, naśladowany przez swoich ludzi. Napotkali kilkoro niewolników, którzy zachowali całkowitą bierność. Jakaś starsza służąca, prawdopodobnie wolna Chaldejka, dygnęła przed Unisem i szybko odwróciła wzrok. Cokolwiek sobie pomyślała, wołała zachować dla siebie.

Nabonida nigdzie nie było. Czyżby został ostrzeżony? Jered przytknął ostrze noża do gardła Unisa.

- Powiedziałeś komuś o moim planie? Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz.

- Nikomu nie mówiłem – książkę pocił się obficie pod peruką. - Przysięgam!

- Więc dlaczego Nabonidowi nie spieszy się do młodej, pięknej żony?

- Nie mam pojęcia. To dziwak. Niektórzy twierdzą, że zboczeniec.

- I kto to mówi! – prychnął Jered. – Cała wasza rodzina będzie smażyć się w piekło. Tobą zajmą się inni, ale Nabonida chcę tam wysłać osobiście. Więc pytam po raz ostatni: gdzie on jest?

- Nie wiem, naprawdę! Niczego nie rozumiem. Powinien być z Miramis. Sam widziałem, jak wychodzi z przyjęcia.

Jered puścił go.

- Masz pięć minut, żeby nas do niego doprowadzić. Potem zamiast niego zabijemy ciebie.

A potem siebie – dodał w myślach. Nie mogli zawieść Ana. Jeśli to zrobią, nie będzie dla nich miejsca ani na tym, ani na tamtym świecie. Opuszczają pałac z krwią Nabonida na sztyletach lub swoją.

Istniała, oczywiście, możliwość, że wielu z nich czeka i jedno, i drugie. Jered był gotów na taką ofiarę. Gotowość pozostałych rozumiała się sama przez się.

Narastała w nim furia, potęgowana obawą przed niepowodzeniem. W jakiej dziurze ukrył się ten pies, Nabonid? Poczul przemożne pragnienie spotkania się z Anem. Dłoń odruchowo poszukała bicia; jego jaźń zaczęła odpływać. To było jak głód narkotyczny, ucieczka od rzeczywistości, chęć powrotu do matczynej łona.

Ścisnął rękojęść noża, aż poczul ból. Nie teraz, do licha! Nie tutaj!

- Dalej! – warknął na Unisa, który obserwował go, lecz szybko odwrócił wzrok. - Twój czas dobiega końca. Nie marnuj go.

Mina księcia nie wyrażała niczego. O jego zdenerwowaniu świadczyły jedynie strużki potu, złobiące bruzdy w warstwie pudru pokrywającego twarz.

- Jest jedno miejsce... - bąknął. – Ale Nabonida nie powinno tam być w noc poślubną.

- Nas też nie powinno tu być. To dziwna noc, więc wszystko jest możliwe. Prowadź!

Na wysokich regałach biblioteki, do której wbiegli, spoczywały owoce myśli pokoleń mieszkańców cywilizowanego świata; począwszy od rozsypujących się już niemal starożytnych tabliczek glinianych, napisanych w martwych od dawna językach, poprzez zwoje papirusu i pierwsze inkunabuły, aż po współczesne książki.

Było tego tyle, że Jered nie zdziwiłby się, gdyby znalazł tu również natchnione księgi świętego Pisma swego ludu. Chaldejscy nie tylko pozbawili jego naród wolności, ale także nie omieszkali ograbić z myśli i idei.

Bibliotekę spowijał mrok, lecz nie przybyli tu, by oddawać się lekturze. Unis nakazał im gestem ciszę i powiódł ku bocznym drzwiom, zza których sączył się nikły blask świecy.

Zatrzymali się w wejściu. Nic nie przygotowało Jereda na widok, który ujrzał.

Małe pomieszczenie było rodzajem skryptorium, nader jednak skromnym, jak na miejsce pracy imperatora Wszechchaldei. Jered ze zdumieniem patrzył na prosty, dębowy stół pełniący rolę biurka, toporne krzesło bez żadnych ozdób i nagie, okopcone ściany. Pod jedną z nich, w kącie, wprost na deskach podłogi spał Nabonid. Był nadal w ceremonialnym, ślubnym stroju. Kulił się niczym płód w łonie matki, co nie tylko zaskoczyło Jereda, ale wydało mu się wyjątkowo odrażające. Ten potwór nie miał prawa wyglądać tak bezbrannie.

Habirczyk przypadł do niego z cichym warknięciem i zamachnął się sztyletem. Tym razem nie było wątpliwości, że to imperator we własnej osobie.

Królowi musiało śnić się coś nieprzyjemnego, bowiem jęknął żałośnie i wzdrygnął się, a wówczas z jego objęć wysunęła się mała lalka, którą tulił do siebie. Była stara i podniszczona, ale mechanizm działał nadal, toteż pod wpływem zmiany położenia tułowia rozległ się zgrzytliwy głosik, który w panującej ciszy zabrzmiał jak krzyk:

- Ma-ma!

Jeredowi na moment stanęło serce. Dłoń zadrżała i sztylet chybił, ześlizgując się po gardle Nabonida zamiast je przebić. Król otworzył oczy i ze zdumiewającym refleksem zerwał się na nogi, przewracając pochylonego nad nim Jereda, a następnie rzucił się do ucieczki, roztrącając zaskoczonych zamachowców.

- Za nim! – wrzasnął Jered. – Nie dajcie mu uciec!

Z dzikim wyciem, zrodzonym bardziej z rozpacz niż z krwiożerczości, pognali za Nabonidem. Imperator biegł jak pijany, objijając się o regały i brocząc krwią ze zranionej szyi. Zawodził opętańczo, lecz jego głos nie był w stanie przebić się przez zgiełk sfory prześladowców.

Mimo to został wysłuchany.

W drzwiach biblioteki pojawił się postawny mężczyzna o kruczoczarnej brodzie. Jednym spojrzeniem ogarnął rozgrywającą się scenę.

- Ciemno tu – mruknął. – Przydałoby się więcej światła.

Podmuch gorąca pchnął Jereda niczym rozpalona dłoń giganta. Ujrzał jak jego ludzie, jeden po drugim, wybuchają płomieniem, zamieniając się w żywe pochodnie. Ich krzyki przerodziły się w skowyt. Jedenaście ognistych żagwi miało się po całym pomieszczeniu, wpadając na siebie i na regały, sypiąc wkoło iskrami. Dwunastą stanowił Unis, którego również dosięgnął gniew Najwyższego.

Oglądane z bardzo daleka mogłoby to przypominać taniec robaczków świętojańskich.

Jered leżał w potwornym swądzie, dopóki ostatni z nieszczęśników nie zamienił się w kupkę popiołu. Dopiero wówczas zauważył ze zdumieniem, że jakimś cudem nie zapaliła się żadna z książek.

Ani on.

- Doprawdy, Nabonidzie, powinieneś być ostrożniejszy – odezwał się czarnobrody. - Znów muszę ratować twoją skórę.

Roztrzęsiony król, dobiegłszy do drzwi, osunął się na kolana, w niezamierzonej chyba parodii adoracji bóstwa. Marduk prychnął pogardliwie.

Jered po raz pierwszy w życiu spojrzął w żywe oblicze demona, który miał się za władcę świata, a którego imienia nigdy nie wymawiał bez przekleństwa. Zawiodłem Cię, o, Anie – pomyślał z rezygnacją. Okazałem się człowiekiem małej wiary, bo czyż inaczej pozwoliłbyś mi przegrać?

Zza pleców Marduka wychylił się olbrzym i z zainteresowaniem zlustrował bibliotekę.

- Miałem nadzieję, że zostawisz mi ich, bracie – powiedział z wyrzutem.

- W przeciwieństwie do nich, jakoś to przeżyjesz, braciszku. Ale ten będzie dla ciebie.

Jered wiedział już, że nie wykona zadania.

Nesyjczyk trzymał w pogotowiu muszkiet. Zdążyli przejść kilka pomieszczeń, nie napotykając żywego ducha, kiedy nagle usłyszeli śmiech.

Zatrzymali się.

- Nie chcę się powtarzać, ale nie podoba mi się to – zauważył Mursilis.

- Trwa wesele – odparł Krest. – Nazwa wzięła się stąd, że ludzie się weselą. Zazwyczaj przejawia się to śmiechem.

- W przeciwieństwie do ciebie, zwolennika psychologii dla ubogich, wolę kierować się fizjologią. I właśnie czuję, że coś tu śmierdzi.

- Wyjątkowo się z tobą zgodzę. To swąd spalenizny.

- W prywatnej części pałacu nie powinno być kuchni. Więc może pożar? Ktoś za dużo wypił i zasnął z fajką w zębach...

- Jeśli tak było, już nam o tym nie opowie. To swąd spalonego ciała.

- Jesteś pewien?

- Owszem.

Mursilis milczał chwilę.

- Nie będę pytał, skąd ta pewność, bo nie wiem, czy chciałbym usłyszeć odpowiedź. Jedno mnie tylko niepokoi.

- Tak? Co?

- Co w tym śmiesznego?

Uwaga Nesyjczyka nie zrobiła wrażenia na Zabójcy Bogów. Nie miał złudzeń co do poczucia humoru swego chwilowego sojusznika. Bo nie wątpił, że śmiał się Baal. Słyszał już ten śmiech.

- Jak tam twój muszkiet? – zapytał.

- Rwie się do akcji, jak poborowy na przepustce.

Krest nie sądził, by to miało jakiegokolwiek znaczenie. Gdyby kule imaly się bogów, nigdy nie pozwoliliby na wynalezienie prochu. Ale musieli wykorzystać każdą możliwość. Nawet z góry skazaną na niepowodzenie.

Śmiech Baala brzmiał zbyt naturalnie jak na kogoś, kto pragnie ukryć swój udział w zdradzie i zabójstwie brata. Krestowi przemknęła myśl, że w kwestii przedmiotu zdrady mogły zajść zmiany. Nie powiedział tego głośno, bowiem to także nie miało znaczenia. Nie mógł się wycofać. A Nesyjczyk był mu potrzebny. Wiedział zresztą, czym ryzykuje podejmując się tego zadania.

Krest uśmiechnął się gorzko. Czym różnił się od tych, których chciał usunąć? Jakże łatwo, dla własnych celów, rozporządzał życiem innego człowieka.

Lecz czy to były tylko jego cele? Wolał myśleć, że działa na rzecz ogółu. Nawet jeśli ogół jeszcze sobie nie uświadamiał swoich dążeń. Jak to zazwyczaj ogół.

Swąd spalenizny nasilił się, kiedy dotarli do biblioteki. Kresta nie zdziwiło, gdy w drzwiach pojawili się Marduk i Baal. Tak miało być. Nie zaskoczyło go również, kiedy Baal powiedział:

- Oto mój prezent dla ciebie, bracie. Są twoi.

Tak też miało być. Bóg wojny do końca powinien był grać swoją rolę.

A jednak w jego uśmiechu było coś, co sugerowało, że scenariusz przedstawienia uległ zmianie. Pojął to także Mursilis.

- Podam go wam na tacy... – warknął. – Akurat!

Baal roześmiał się.

- Cóż mogę powiedzieć? Mały podstęp, żeby schwytać małych rzezimieszków. Chyba nie sądziliście, że naprawdę zdradzę własnego brata?

Marduk obrzucił go badawczym spojrzeniem, które wiele mówiło o braterskiej miłości i zaufaniu między nieśmiertelnymi. Krestowi przemknęła myśl, że może niepotrzebnie się trzusi; prędzej czy później bogowie sami się nawzajem powyrzynają.

- Nie lubię, kiedy się ze mnie śmieją – spokojnie rzekł Mursilis.

- Nie rób nic głupiego – ostrzegł go Krest. – To koniec. Nie poradzimy sobie z obydwojma. Im chodzi o mnie. Ty się nie mieszaj.

- Już jestem w to zamieszany.

Marduk skupił swoją uwagę na Kreście. Taksował go wzrokiem, w którym nie było żadnego uczucia, poza zainteresowaniem. Krest omal nie poczuł się dotknięty, że nie zasłużył na odrobinę złości czy choćby niechęci.

- Więc to ty pozbawiłeś nas tylu cennych hybryd? Nie wyglądasz na herosa. Chętnie usłyszałbym od ciebie, w czym tkwi twoja siła, ale zapewne sam tego nie wiesz. Myślę, że lepsze rezultaty osiągniemy przeprowadzając badania twojego mózgu. Badania, rzecz jasna, bardzo inwazyjne. A potem temu, co z ciebie zostanie, wytoczmy proces o bluźnierstwo i zniszczenie mienia, w którym zapadnie - jakżeby inaczej? - wyrok śmierci. Mój brat chętnie dopilnuje jego wykonania. Co o tym sądzisz, człowieczku?

Krest wzruszył ramionami.

- Możesz sobie pomarzyć zanim cię zabiję.

Baal zarechotał; dość dwuznacznie, jak na kochającego brata.

- Z przyjemnością się tym zajmę, Marduku. Tacy głupcy nie zasługują na to, by żyć. W ogóle nie powinniśmy byli dopuścić do stworzenia ludzi; to gatunek zbyt nieprzystosowany. Jestem zawsze chętny, by naprawić nasz błąd, ha ha...

- Powiedziałem – wrzasnął Mursilis – że nie lubię, kiedy się ze mnie śmieją!

Poderwał muszkiet i natychmiast wypalił. Trwało to zaledwie sekundę, lecz i tak Krest zdążył dobrać rapiera. Skoczył ku Mardukowi zanim pojął, że Nesyczyk strzelił do niewłaściwego boga.

Kula trafiłaby Baala prosto między oczy, gdyby nie nadludzka szybkość reakcji nieśmiertelnego. Jednak poruszenie tak ogromnym ciałem wymagało

czasu. Baalowi udało się tylko odchylić głowę i pocisk rozorał mu skroń, ześlizgując się po czaszce. Olbrzym zatoczył się, impet wpełznął go do biblioteki, a uderzenie lekko zamroczyło. Krest wiedział wszakże, że to nie wystarczy, by wyeliminować boga. Zresztą, nawet gdyby Mursilis zastrzelił Baala i tak nie mieliby szans w walce z Mardukiem. Ta kula powinna była trafić Marduka i dać Krestowi parę chwil na użycie rapiera. A Baal miał wówczas, zgodnie z umową, spojrzeć w inną stronę.

Nesyjczyk wszystko zaprzepaścił, niczego nie osiągając. Musiał być teraz z siebie cholernie dumny.

Krest nie oglądał się na niego. Stojąc w obliczu swego największego wroga włożył całą siłę i szybkość w jedno pchnięcie. Lecz Marduk nie ustępował refleksem swemu bratu, a nawet – używając ciała znacznie lżejszej budowy – był od niego zwinniejszy. Bez większego trudu uchylił się przed ostrzem. Nie wykonał żadnego gestu, ale Krest poczuł gwałtowne uderzenie gorąca; co ciekawe, nie od zewnątrz, na skórze, ale wewnątrz ciała, jakby ktoś rozpalil w jego trzewiach ogień. Trwało to tylko ułamek sekundy; żar zaraz zgasł, pozostawiając przeczucie przerażającego bólu, który był tuż.

Marduk uniósł brwi.

- Odporność na samozapłon. Interesujące...

Krest, starając się ukryć, jak bardzo wstrząsnęło nim to przeżycie, sparodiował wyraz jego twarzy.

- A więc nie jesteś wszechmocny. Interesujące...

Bóg patrzył na niego bez cienia jakiegokolwiek emocji. Widać nie miał poczucia humoru.

Krest, nim jeszcze skończył mówić, wyprowadził cięcie w udo. Jako doświadczony szermierz wiedział, że przeciwnikowi znacznie łatwiej stosować uniki tułowiem, niż poruszyć nogą, na której spoczywa ciężar ciała. Czubek głowni ledwie musnął cel, ale to wystarczyło, by zadał płytką, lecz bolesną ranę, rozorując skórę i mięśnie.

Marduk krzyknął i zachwiał się. Najwyraźniej, zgodnie z tym, co mówiła Isztar, był podatny na ciosy niczym człowiek.

To dlatego - przemknęło Krestowi – Baal przyjmował ciało olbrzyma. Jeśli już musiał być skrępowany ludzką powłoką, ze wszystkimi jej ograniczeniami i słabościami, to chciał przynajmniej górować siłą nad każdym potencjalnym wrogiem. I dlatego też nosił broń – zwyczajną, ostrą i niezawodną stal. Marduk nie dysponował ani jednym, ani drugim.

To był duży błąd.

Lecz nie wystarczyło czasu, by go wykorzystać. Niemal równocześnie z biblioteki wyłonił się Baal, a w korytarzu zaroiło się od gwardzistów, zaalarmowanych wrzaskiem Nabonida. Kilku miało kusze. Wymierzyli w Kresta i Mursilisa, a jeden z nich, szczególnie nerwowo, pociągnął za dźwignię.

Brzęk zwalnianej cięciwy był jak wyrok śmierci. Z tak bliska nie można było chybić.

Krest zdumiał się, że nie czuje uderzenia. A potem ujrzał krótki, gruby bełt wiszący nieruchomo w odległości łokcia od swojej piersi.

A więc Najwyższy coś jednak potrafił... Interesujące.

- Rzuć broń – polecił Marduk, jednocześnie gromiąc spojrzeniem żołnierza, który oddał strzał. – Nie chciałbym cię zabijać... Jeszcze nie.

Ostrze rapiera zadrżało leciutko, jakby wypisując słowa, których Krest nie wyartykułował. Marduk zmarszczył brwi.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości, człowieczku. Martwy mi się nie przydasz, ale, z drugiej strony, pozbędę się kłopotu.

Krest zerknął na Baala, który ścierał z policzka krew ściekającą z powierzchownej rany na skroni, ale wcale nie wyglądał na rozgniewanego. Wręcz przeciwnie; wydawał się zadowolony. Ich oczy spotkały się i bóg wojny ledwie dostrzegalnie skinął głową.

Krest nie był pewien, czy mu się nie przywidziało. Ale i tak nie miał wyboru.

- Skoro tak to ujmujesz... - położył rapier na podłodze i wyprostował się.

- Dotyczy to także twojego współnika.

Krest obejrzał się na Mursilisa.

- Słyszałeś?

Nesyjczyk dzierżył w jednej ręce muszkiet, a w drugiej sztylet. Opierał się plecami o ścianę, obserwując wszystkich potencjalnych wrogów. Ani drgnął.

- I tak nas zabiją – warknął.

- Zapewne – zgodził się Krest. – Ale wolę zagrożenie śmiercią niż natychmiastową śmierć.

Mursilis wyszczerzył zęby.

- Skoro tak to ujmujesz... - zakpił.

Pogardliwym gestem rzucił sztylet pod nogi Baala, w daremnej raczej próbie obrażenia boskiego zdrajcy. Jednak muszkiet potraktował inaczej – przykucnął i ostrożnie położył cenny oręż na posadzce. Zupełnie, jakby miał nadzieję, że go jeszcze kiedykolwiek użyje.

Marduk przez chwilę napawał się widokiem pokonanych przeciwników. A potem uśmiechnął się.

Jakby nagle znikła niewidzialna ściana bełt skoczył do przodu, podejmując przerwany lot. Oczy Kresta zarejestrowały ruch, ale sygnał nerwowy, nawet jeśli zdążył dotrzeć do mózgu, to za późno, by wywołać jakąkolwiek reakcję.

Rozległ się głuchy stukot i zadźwięczał metal.

Król śnił. Spośród wszystkich snów ten był najgorszy.
Ponieważ był taki sam jak inne.

Nabonid znów wzlatywał ponad nieznane miasto, wyrzucony niczym z katapulty. Na placu przed wysoką ścianą kłębił się tłum ludzi, odprawiających jakiś rytuał. Ich rytmiczne ruchy wyglądały jak seria szybkich, nerwowych, lecz płytkich pokłonów. Jakiż bóg mógł wymagać tak chorobliwego pośpiechu? I takiej gorliwości?

Na pewno nie żaden z bogów Wielkiej Chaldei.

Świat był na tyle duży, że sam fakt czczenia gdzieś nieznanego w cywilizowanych krajach bóstwa nie był niczym niepokojącym. Niepokój budziło pytanie, dlaczego śniło się to właśnie jemu? A raczej – który z bogów, znanych czy nieznanymi, zsyłał na niego ten sen?

I co oznaczały ukazujące się na murze płomienne litery?

Samo unoszenie się wysoko ponad tłumem sprawiłoby Nabonidowi przyjemność. Pozwoliłoby oddalić się od ludzi na odległość niemożliwą do osiągnięcia na jawie, gdzie zawsze i wszędzie otoczony był chmurą dworaków. Co więcej, wzniosłby się ponad nich, a to połechtałoby jego ambicję.

Słowem, byłby to piękny sen, gdyby nie strach, jaki wywoływał szaleńczy pęd w górę.

Z pewnością za część tego niepokoju były odpowiedzialne wypadki minionego dnia. Nieomal udana próba zamachu na jego życie przeraziła go. Prawie tak samo wstrząsnęło nim niespodziewane pojawienie się Marduka i Baala. Wdzięczność za ratunek nie była w stanie przytłumić głębokiej nieufności wobec boskich opiekunów. Kiedy tylko opanowali sytuację, uciekł stamtąd natychmiast.

Drżał jeszcze, kiedy w jego komnatach zaroiło się od najwyższych urzędników i wojskowych. Wielu przybiegło wprost od stołów, gdzie wciąż trwała weselna pijatyka. Większości z nich nie potrzebował, a ich fałszywa gorliwość irytowała go; rozumiał jednak, że nie mogli postąpić inaczej. W tym świecie dworskiej walki o byt liczyła się nie tyle rzeczywista lojalność, ile jej ostentacyjne manifestowanie.

Jedynie Huwer sprawiał wrażenie, jakby ani nie ucztował, ani nie spał. Nabonid wolał się nie zastanawiać, co ten człowiek robił po nocach.

- Kto to był, Huwer? Jak się tu dostali?

Szef tajnej policji nawet nie zmarszczył czoła, choć doskonale słyszał przyganę w głosie imperatora.

- Nie jest trudno wejść dzisiaj do pałacu, Wasza Wysokość. Wesele...

- Co mnie to obchodzi? Pytam, kto ich tu wpuścił?!

- Sądzę, że zostali zaproszeni.

- Co? Jak to?! - Nabonid gapił się na niego wytrzeszczonymi oczami.

Huwer uśmiechnął się w duchu. Jacyż oni wszyscy są przewidywalni. Jak niewiele trzeba, by zasiać strach nawet u kogoś, kto, wydawałoby się, już bardziej bać się nie może.

- Zidentyfikowaliśmy ciało jednego z ludzi unieszkodliwionych przez Naszego Pana, Marduka - rzekł. - To Unis, twój siostrzeniec, Wasza Wysokość.

- Unis! - Nabonid niemal wypluł to imię. - Bogowie! Jestem osaczony przez zdrajców!

- To mógł być przypadek – odważył się odezwać Uriasz, wielki wezyr. - Może Unis został zmuszony przez tych bandytów do wskazania im drogi?

Huwer popatrzył na niego.

- Nie sądzę.

- Nie znaleziono przy nim broni, prawda? – upierał się wezyr. - Czyżby chciał zostać jedynym w historii zamachowcem bez broni?

Ktoś zachichotał nieopatrnie, lecz zaraz umilkł.

- Nie powiedziałem, że Unis był zamachowcem – wycodził zimno Huwer. - Powiedziałem, że jego ciało znaleźliśmy wraz z ciałami zamachowców. Ale nic nie wskazuje na to, by był zakładnikiem. Zresztą, widziano go przy stole, jak rozmawiał z hersztem bandy; najwyraźniej w dobrej komitywie.

- I dopiero teraz nas o tym informujesz? – zachnął się Nabonid.

- Niestety, Wasza Wysokość, nikt wówczas nie wiedział, kim są rozmówcy księcia. Nie inwigilujemy członków rodziny królewskiej.

Nabonid spochmurniał. Nie mógł głośno zaprzeczyć temu cynicznemu kłamstwu.

- Nigdy mu nie ufałem – mruknął. - Wdał się w mojego szwagra, który przejawiał niepohamowaną skłonność do kłania karmiącej go ręki. Bogom dzięki, nie ma go już wśród nas...

- Tak czy inaczej, Unis był co najwyżej narzędziem w ręku tych, którzy go wykorzystali – odezwał się milczący dotychczas Untasz, arcykapłan Marduka. - Nie zwracajmy sobie głowy narzędziem, lecz zajmijmy się dłonią, która je dzierżyła.

- Została już ucięta – zauważył Zungi, wielki marszałek dworu. - Prawie wszyscy zamachowcy ponieśli śmierć.

- To nie wystarczy – twardo stwierdził Untasz. - Trzeba zapobiec kolejnym próbom świętokradztwa. Musimy wykorzenić cały ten przeklęty lud szaleńców i bałwochwalców. Oni jedni, dzięki nadzwyczajnej, aczkolwiek niepotrzebnej wyrozumiałości przodków Waszej Wysokości, nie składają ofiar na ołtarzach Marduka. Tego nie można dłużej tolerować. Albo przejdą na prawdziwą wiarę, albo zostaną unicestwieni. Trzeba im to wyraźnie dać do zrozumienia. Natychmiast.

- To pachnie pogromem – skrzywił się generał Jalu. - Armia nie weźmie udziału...

- Armia zrobi to, co jej rozkaże imperator, generale. Ale wasza pomoc nie będzie potrzebna. Wieść o udziale Habirczyków w próbie zamachu na boskiego pomazańca już krąży po Babilonie. Wielu dobrych Babilończyków nie będzie spało dziś w nocy. Za to wielu Habirczyków już nigdy nie zaśnie.

Untasz nie krył zimnej satysfakcji.

- Ależ, to tylko niewielka sekta, Wasza Świątobliwość – bronił się Jalu.- Mały naród wygnany ze swojej ziemi; odcięty od korzeni. Bez siły, bez woli i bez przyszłości. Nie są niebezpieczni.

- K a ż d y innowierca jest niebezpieczny. Zwłaszcza ten, który mieszka w cudzym domu i nie szanuje swojego gospodarza. Co byś zrobił, generale, gdyby twój niewolnik próbował poderznąć ci gardło? Czy nasze prawo nie przewiduje w takich przypadkach zbiorowej odpowiedzialności? Czy kwestionujesz tę zasadę w odniesieniu do całego państwa? Zresztą – ton Untasza wykluczał dalszą dyskusję - ta polemika jest zbędna. Moim podwładnym, kapłanom Wielkiego Marduka, nie uda się w nieskończoność powstrzymywać słusznego gniewu ludu. Baczmy, by nie obrócił się on również przeciwko nam.

Nabonid w milczeniu słuchał sprzeczki. Doskonale wiedział, że kapłani Marduka nie tyle powstrzymują, co podsycają gniew ludu. Untaszowi od dawna nie podobała się religijna tolerancja względem niektórych mniejszości narodowych. Esagila, uosabiana przez ambitnego arcykapłana, chciała objąć niepodzielną kontrolę nad każdym aspektem religijnego – i nie tylko religijnego – życia Babilonu.

Przez kilkadziesiąt lat imperatorzy Chaldei skutecznie się przed tym bronili. A on nie chciał przejść do historii jako pierwszy, który stał się marionetką w rękach wszechwładnego kleru.

Z drugiej strony, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko poprzeć Untasza. Arcykapłan miał rację, że gniew ludu – nawet jeśli on sam go wywołał – mógł obrócić się przeciwko państwu. Należało więc przejąć nad nim kontrolę i skierować go przeciwko zastępczemu wrogowi. A to mogli uczynić jedynie kapłani.

Nabonid musiał przełknąć gorzką pigułkę. Untasz w gruncie rzeczy nie oczekiwał jego zgody, lecz obiecywał wziąć go pod opiekę przed jego własnymi poddanymi.

W komnacie zapadła cisza i wszyscy patrzyli na niego. Król zdawał się kurczyć pod ich spojrzeniami.

- Dobrze... - szepnął; tak cicho, że z pewnością go nie usłyszeli.

- Wasza Wysokość? – odważył się odezwać Zungi.

Nabonid wziął się w garść.

- Zgadzam się – oświadczył. – Niech kapłani pokierują słusznym gniewem ludu.

Przez oblicze Untasza przemknął cień uśmiechu.

- Będzie, jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. Zaraz wydam dyspozycje.

Wielki wezyr, Uriasz, chciał zaprotestować:

- Ależ, Wasza...

- Dosyć! – Nabonid poderwał się z krzesła. Trząśnięty całym z tłumionej wściekłości, podszytej strachem. Niemal przebiegł komnatę i zatrzymał się przed Huwerem, od którego był o dwie głowy niższy. - A co ty o tym sądzisz, Huwer? – warknął.

Szef tajnej policji pozostał niewzruszony.

- Działanie jest lepsze od bezczynności.

Nabonid wpatrywał się w niego, jakby czekał na dalszy ciąg, ale Huwer najwyraźniej nie miał nic więcej do powiedzenia.

Król odwrócił się gwałtownie.

– Generale Jalu! Poślesz swoich żołnierzy do ochrony ludu przed napaścią ze strony Habirczyków. Czy to jasne?

Stary żołnierz zagryzł wargi.

- Tak jest, Wasza Wysokość. Obawiam się jednak, że w zamieszaniu mogą ucierpieć niewinni ludzie...

Arcykapłan Untasz skierował na niego zimne spojrzenie.

- Zabijajcie wszystkich podejrzanych. Prawdziwi bogowie rozpoznają swoich i wynagrodzą ich po śmierci.

I podczas gdy imperator śnił o tajemniczym ludzie, modlącym się pod wysoką ścianą, jego lud pławił się we krwi płynącej po wąskich uliczkach Babilonu.

Przez całą noc miasto przebiegały zbrojne watahy, polując na ludzi o nieco bardziej gardłowej wymowie niektórych zgłosek, o ciemniejszym bądź jaśniejszym od przeciętnego kolorze skóry, nieostrzyżonych wedle obowiązującej mody, nietypowo ubranych, bądź jedynie dziwnie się zachowujących, o co nie było trudno, jako że niełatwo zachować spokój na widok ogarniętej żądzą mordy zgrai. Podejrzanych kazano zaintonować modlitwę do Marduka; jeśli odmawiali lub nie znali słów – ginęli na miejscu.

Dzielnica zamieszkała przez Habirczyków została otoczona i odcięta od pozostałych dzielnic Babilonu. Tutaj pogrom przybrał mniej żywiołowe oblicze i zamienił się w metodyczną eksterminację. Z domów wywlekano kobiety i mężczyzn, zarzynano i gwałcono; w dowolnej kolejności, zależnie od upodobań napastników. Dzieci wyrzucano przez okna, co wywołało protesty jednego z prowodyrów, wysokiego rangą kapłana o imieniu Hirod. Kiedy jedno z niemowląt niemal spadło mu na głowę, polecił uśmiercać je w taki sposób, by nie stwarzać zagrożenia dla prawowiernych Babilończyków.

Przysporzyło to napastnikom pracy i spowolniło mordowanie, bowiem trzeba było teraz poświęcić dzieciom niemal tyle samo uwagi, co dorosłym. Pominąwszy te techniczne szczegóły, akcja rozwijała się pomyślnie.

I był płacz i zgrzytanie zębów.

Lecz nikt nie słuchał, nikt nie został więc wysłuchany. Imperator śnił swój sen, a bogowie byli daleko. Pan Świata, Marduk, odpoczywał na swej Łodzi Milionów Lat, przy ulubionej uwerturze ze „Zmierzchu bogów” Wagne-Ra i zastanawiał się nad niepojętym fenomenem zdolności artystycznych, których bogowie byli zupełnie pozbawieni. Isztar, Najpiękniejsza, rozładowywała stres w karkołomnych ewolucjach na latającym rydwanie, gdzieś nad swoim Rozdrożem. Oczywiście, nie wzięła ze sobą spadochronu.

Jedynie Baal, Pan Burzy i Wojny, przed świtem był już z powrotem w Babilonie. Nie przywiodły go tu jednak nocne wypadki. Działał według planu, w którym nie zostały one uwzględnione i dla realizacji którego nie miały żadnego znaczenia.

Jak ukłucie drzazgi dla człowieka wbijanego na pal.

- Obraziłbym się, gdyby ten sukinsyn, Marduk, zabił nas od razu, jak pospolitych przestępców – głos Mursilisa był ledwie rozpoznawalny. – Ale teraz żałuję, że tak się nie stało.

Krest nie odpowiedział. Nie odczuwał już bólu. Odrętwienie, jakie go ogarnęło, było niewątpliwie wynikiem utraty dużej ilości krwi. Pomimo palącego słońca, na jakie byli wystawieni, przenikał go dotkliwy chłód.

To prawda, że ich nie zabito. Najwyższy pozwolił sobie na żart i w ostatniej chwili, gdy bełt kuszy dotykał już ubrania Kresta, ponownie zatrzymał jego ruch, po czym pozwolił mu upaść na posadzkę. Wszakże o lekceważeniu ze strony bogów zdawał się świadczyć fakt, że zamknięto ich w pałacowym areszcie. Krest spodziewał się czegoś mniej banalnego.

Nie trwało to jednak długo. Nad ranem wyprowadzono ich z celi. Mrużąc oczy, ujrzeli na dziedzińcu pluton wojska i oddział straży pałacowej. Na ziemi leżały trzy kilkucalowej grubości zaostrzone pale.

Setnik straży popchnął Kresta.

- Podnieście je, psy. Nikt ich za was nie będzie dźwigał.

Dlaczego aż trzy? – przemknęło Krestowi. Wtem spostrzegł za Mursilisem jakiegoś człowieka, którego nigdy wcześniej nie widział. Smagły, średniego wzrostu, o ponurym, zaciętym obliczu i płonących szaleństwem oczach. Szarpał się w rękach strażników, aż wreszcie któryś z nich, zniecierpliwiony, dzielił go w głowę ręką miecza. Tamten osunął się na kolana.

Strażnik wymierzył mu kopniaka.

- Wstawaj, kanalio! – wrzasnął.

Chciał kopnąć ponownie, lecz Krest chwycił go za ramię i ścisnął. Chrupnęły kości. Strażnik krzyknął i zatoczył się. Na plecy Kresta spadł grad uderzeń korbaczem. Zachwiał się, ale zdołał odwrócić się ku napastnikom. Uśmiechnął się zachęcająco.

Zewsząd rozległ się szcęk dobywanej broni.

- Dosyć! – potężny głos przebił się przez zgiełk.

Uśmiech Kresta stał się mroczniejszy, kiedy ujrzął Baala. Pan Burzy i Wojny torował sobie drogę przez tłum, bezceremonialnie roztrącając tych, którzy nie dość szybko usunęli mu się z drogi.

Nie zaszczyił Kresta nawet spojrzeniem.

- Róbcie swoje – pochylił się groźnie nad setnikiem. – I nic więcej, jasne?

- Hej, ty, grzmocie! – odezwał się Mursilis. – Zawsze mnie zastanawiało, po co w tym pustynnym kraju bóg burzy i piorunów. Nie masz za wiele roboty,

co? Pewnie torturujesz ludzi z nudów, a kiedy brakuje delikwentów, wyrwasz muchom skrzydełka.

Baal obrócił się ku niemu.

- N i g d y nie brakuje delikwentów. Głupich ludzi jest więcej niż much. Powinieneś to wiedzieć, jako jeden z nich.

Mursilis wyszczerzył zęby.

- Odezwał się bóg mądrości...

Baal zacisnął ogromne pięści. Przez ułamek sekundy wydawało się, że rozszarpie Nesyczyka na strzępy. Opanował się jednak.

- Nie licz na szybką śmierć, beczelny człowieczku. Nie jestem też bogiem miłosiernym.

- Ani dotrzymującym umów.

- Umowy między bogami a ludźmi, ha ha... Naprawdę jesteś głupi, nawet jak na człowieka. Ale wystarczy tej konwersacji. Przed wami ciężki dzień. Na szczęście dla was ostatni.

Pan Burzy i Wojny odwrócił się i odszedł. Ani razu nie spojrzał na Kresta, a Krest się nie odezwał. Nie miał nic do powiedzenia. Bardziej zajmowała go myśl, dlaczego Baal jest sam. Czyżby działał bez upoważnienia Marduka?

Niewykluczone, że chciał się ich pozbyć, zanim zdradzą Mardukowi kulisy ich współpracy. Było jasne, że Baalowi łatwiej będzie wytłumaczyć się z pospiesznej egzekucji, niż z wcześniejszych konszachtów z Krestem.

To tyle, jeśli chodzi o rzekomy przerost mięśni nad intelektem.

Jered podniósł się chwiejnie. Nie znał człowieka, który stanął w jego obronie, ani tego drugiego, o jasnych włosach, typowych dla mieszkańców północnych, peryferyjnych prowincji chaldejskiego Imperium Zła. Jednak obaj najwyraźniej mieli stać się wraz z nim ofiarami kaźni. To czyniło ich towarzyszami niedoli.

Otoczeni przez żołnierzy, dźwigając pale, przemierzyli dziedziniec, skąd boczna brama wyprowadziła ich z pałacu.

O tej porze ruch na ulicach Babilonu był zazwyczaj jeszcze dość niewielki, ale panujące tego ranka pustki w niczym nie przypominały codziennego, leniwego przebudzenia stolicy świata. Złowieszcza cisza spowijała miasto. W śródmieściu nie było widać żadnych śladów nocnych zająć; jedynie w powietrzu wyczuwało się słaby swąd spalenizny. Jered, który podobnie jak Krest i Mursilis całą noc spędził w lochu, nie wiedział, co o tym myśleć; może doszło do jakiegoś pożaru? Ale wtedy panowałyby zamieszanie, a nie ten nienaturalny spokój.

Bez trudu domyślił się, że zmierzają nad brzeg Eufratu. Strażnicy, nie chcąc narażać się na gniew Baala, nie bili ich już, lecz kuksańce, jakimi ich popędzali, niewiele różniły się od ciosów.

Napięcie poprzedniego dnia i bezsenność noc wyczerpały Jereda. Co gorsza, próby nawiązania kontaktu z Anem spełzły na niczym. Jered pozostał sam, ze świadomością klęski i dręczącym poczuciem winy, że sromotnie zawiódł. Brak kontaktu z Anem odczuwał niemal jak odstawienie od twardego narkotyku; był rozbity, oszołomiony i umierał ze strachu.

Jak każdy fanatyk, nie bał się śmierci; w ogóle nie zaprzętał sobie nią głowy. Lękał się tylko, że umrze nie usłyszawszy głosu Ana. Nawet słowa wyrzutu byłyby lepsze od milczenia.

Czy to możliwe, że zgubił Go swoją klęską? Że fałszywi bogowie ostatecznie zatriumfowali, ponieważ on nie zdołał utorować drogi temu, który miał ich obalić?

Ta myśl wprowadziła go w rozpacz.

- Dalej! – mocne pchnięcie omal go nie przewróciło. – Nie zatrzymywać się!

Nawet nie zwrócił na to uwagi. Czym była fizyczna niewygodność wobec wizji wiecznego potępienia, na jakie skazał swoją duszę? Lecz i ono było niczym, w porównaniu z zawodem, jaki sprawił Anowi. Chętnie sam oddałby się w ręce władców piekieł, byle tylko zatriumfowała jedyna prawdziwa wiara. Jego wiara.

Niepewność, czy nie zaprzepaścił okazji, która mogła się już nie powtórzyć, niemal odbierała mu zmysły. O Anie! Gdzie jesteś? Dlaczego nie odpowiadasz? Jeśli nie spełniłem Twoich oczekiwań, ciśnij mnie w otchłań, skąd nie ma powrotu, lecz nie każ mi umierać w nieświadomości, co do szans Twego przyjścia w chwale.

Czy proszę o zbyt wiele?

Zataczając się i potykając, Jered podążał za pozostałymi skazańcami, niewiele pamiętając z drogi, jaką przebył. Niejasno zdawał sobie sprawę, iż dawno już pozostawili za sobą ostatnie zabudowania Złotego Domu, gdzie ten syn szatana, Nabonid, świętował zapewne swe ocalenie. A sam Wielki Szatan, jego wybawiciel, podzwaniał ogonem na wiwat.

Uliczki w dzielnicy rzemieślników, zwykle pełne krzątający, teraz były wyludnione i ciche. Nagle to się zmieniło. Poprzedzona zgiełkiem, zza rogu wytoczyła się zgraja okrwawionych, pijanych, uzbrojonych w co popadnie ludzi. Na widok żołnierzy przycichli nieco, lecz ujrawszy Jereda podnieśli wrzask.

- To jeden z nich! Zabić świętokradcę! Wydajcie go nam!

Żołnierze czujnie pochylili włócznie, lecz nie sprawiali wrażenia gotujących się do walki. Ich dowódca uniósł rękę.

- Uspokójcie się, ludzie! To skazańcy, idący na śmierć. Przepuście nas.

- Chcemy tylko jego! – krzyknął wielki, tęgi mężczyzna w poplamionym krwią kowalskim fartuchu, wskazując na Jereda.

Setnik położył dłoń na rękojeści miecza.

- Powtarzam, przepuście nas. Nie chcemy kłopotów. Wy na pewno też nie.

- Daj go nam, żołnierzyku, to nie będzie kłopotów. Załatwimy sprawę po naszymu – herszt zgrai potrząsnął zakrwawionym młotem. – Tak, jak załatwiliśmy dzisiejszej nocy całe to przeklęte plemię.

- Usuńcie się z drogi!

- Dziś wszystkie drogi w Babilonie są nasze, panie oficerze. Chcecie przejść, musicie za to zapłacić. Życiem tego habirskiego psa.

- To królewscy więźniowie. Wzywam was w imieniu króla do rozejścia się!

- Nie w imieniu króla wezwano nas, byśmy się zebrali, lecz w imię Najwyższego.

- Zatem rozejdźcie się, w imię Najwyższego!

- Nie bluźnij! Co prosty strażnik może wiedzieć o woli Naszego Pana, Marduka?

- Nie mniej niż prosty kowal. Powtarzam po raz ostatni: przepuście nas! Żołnierze, baczność!

Człowiek z młotem przestał się uśmiechać.

- Żołnierze! – zagrział. – Czyich rozkazów posłuchacie w godzinie próby: tego bluźniercy czy Naszego Pana, Marduka, który napełnił nas świętym gniewem i natchnął pragnieniem spełnienia jego woli?

- Formować szyk!

- Czyje słowo powinno być dla was rozkazem: tego oto człowieka, o duszy skażonej grzechem arogancji, czy boga, miłosiernego dla swoich owieczek, lecz bezwzględny dla ludzi małej wiary?

- Gotuj broń!

- Czy chcecie oddać życie za habirskiego odszczepieńca? A wasze matki i żony, czy mają was oplakiwać w imię niższych ras i obcych bogów? A wasi ojcowie, czy...

Wtem zamilkł, a wzniesiony młot opadł zwolna, jakby ręce kowala, wbrew jego woli, odmówiły dźwigania takiego ciężaru. Potężny mężczyzna skurczył się w sobie, patrząc na coś ponad głowami swoich ludzi.

Przez skwapliwie rozstępujący się tłum przeciskał się chudy młodzieniec w białej szacie kapłana Marduka. Bez lęku stanął przed prowodyrem, mierząc go spokojnym spojrzeniem.

- Przepuście ich.

- Ale to przecież...

- Oddaliście bogom, co boskie, a teraz oddajcie cesarzowi, co cesarskie. To więźniowie imperatora. Przepuście ich.

Kowal skłonił głowę.

- Tak, eminencjo.

Tłum, przed chwilą wrogi i groźny, w jednej chwili przeistoczył się w zbiegowisko zwykłych obywateli: rzemieślników i sklepikarzy. Jakby budząc się ze snu potrząsali głowami i rozchodzili się w milczeniu; niektórzy z niejakim zdumieniem spoglądali na zakrwawioną broń trzymaną w rękę.

Wkrótce ulica opustoszała. Kowal ociągał się nieco, zapewne nie chcąc nadmiernie nadwerężyć zdobytej dzisiejszej nocy pozycji, lecz i on oddalił się wreszcie w ślad za innymi.

Kapłan przyjął rozwój wydarzeń jako coś oczywistego. Nie miał jeszcze zapewne trzydziestu lat, ale widać było, że doskonale zdaje sobie sprawę ze stojącej za nim potęgi boga, którego reprezentował.

Setnika zaszczycił zaledwie jednym spojrzeniem, po czym odszedł bez słowa. Na więźniów nawet nie zerknął.

Jereda przerażała jego arogancja. Oznaczała, że fałszywi bogowie nadal dzierżą władzę nad światem. Gdyby było inaczej, ich kapłani nie panoszyliby się na ulicach.

A zatem An nie zstąpił w chwale. I to on, Jered, był tego przyczyną.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że coś złego musiało spotkać jego lud, o czym wspomniał herszt zgrai. Na wpół zapomniane słowo „pogrom” zakołatało w umyśle. Takie rzeczy zdarzały się od czasu do czasu; ostatni pogrom miał jednak miejsce przed przyjściem na świat Jereda. Zginęło wówczas kilkudziesięciu Habirczyków. Jak głosiła plotka, krwawe incydenty sprowokowano celowo, dla odwrócenia uwagi babilońskiego plebsu od problemów imperium.

Z jakiego powodu doszło do tego ponownie teraz? Czyżby to nieszczęście również miało coś wspólnego z nieudanym przedsięwzięciem Jereda?

Zgubił Ana, swój lud i siebie. Doprawdy, zasłużył na to, co miało go spotkać.

- Naprzód – padła komenda, poparta kuksańcami.

Nie niepokojeni więcej dotarli nad brzeg Eufratu. Wspięli się na niewysoki pagórek, od niepamiętnych czasów wznoszący się w tym miejscu, co w tej równinnej krainie stanowiło osobliwość. Legendy podawały sprzeczne wyjaśnienia tego fenomenu. Według jednych, był to kopiec ziemi, jaka nawarstwiła się przez tysiąclecia na ruinach jakiegoś starożytnego miasta. Inne legendy mówiły o wielkim królu nieznanego imienia, pochowanym w sztucznie usypanym wzgórzu. Ten barbarzyński zwyczaj znany był w starożytności na zamieszkanym przez koczowników stepach. Niektórzy historycy utrzymywali, że i na obszarze dzisiejszej Chaldei żyły niegdyś plemiona nomadów, choć zgodnie z oficjalną wersją historii imperium istniało zawsze.

Pewną przesłanką, że w tych opowiastkach mogło tkwić ziarenko prawdy, był fakt nazywania wzgórza Królewską Czaszką. Oczywiście, była to nazwa potoczna; ze zrozumiałych względów nie można jej było znaleźć na planach miasta.

Tak czy inaczej, wzgórze nie bez przyczyny kojarzyło się ze śmiercią. Od pokoleń stanowiło idealne miejsce na egzekucje. Nabitych na pal nieszczęśników było doskonale widać nie tylko z miasta, ale także z gęsto zazwyczaj zapełnionego łodziami Eufratu. Miłosiernie panujący imperatorzy

mogli być pewni, że wieść o ich stanowczości zostanie zanesiona daleko przez załogi cudzoziemskich statków.

Na szczycie pagórka czekał Baal. Przed nim znajdowały się trzy otwory w ziemi. Dziesięciolecia kopania podobnych dołków sprawiły, że grunt został spulchniony niczym wzorcowo uprawiane pole. Prawdziwe pole śmierci.

Pan Burzy i Wojny skinał przyzwalająco głową.

Jered bezwolnie dał się obedrzeć z ubrania i rozciągnąć na ziemi. Brutalnie wygięto mu ręce do tyłu i skrępowano mocno w łokciach. Kątem oka widział, że tak samo potraktowano jego dwóch towarzyszy. Wobec jednego z nich, tego, który stanął w jego obronie, uczyniono coś jeszcze. Do związanego mężczyzny zbliżył się sam Baal i założył mu na głowę coś w rodzaju połyskliwego, metalowego wieńca. Musiał być szorstki lub mieć ostrą krawędź, bowiem po czole i skroniach skazańca pociekły strużki krwi. Nieznajomy jednak nawet się nie skrzywił. Spokojnie patrzył prosto w oczy boga, który odwzajemniał mu się nieodgadnionym spojrzeniem. Wreszcie Baal powiedział coś cicho, odwrócił się i odszedł na bok.

Jered nie rozumiał, co się dzieje, ale przypominało to jakąś parodię koronacji. Podobnie myśleli zapewne żołnierze, uśmiechając się szyderczo.

A potem niczego już nie widział, bowiem jego uwagę całkowicie zaprzętnął straszliwy ból, kiedy zaostrzony koniec pała wbito mu uderzeniami młota w pachwinę, a następnie opuszczono pał w dołek i wyprostowano do pionu, unosząc Jereda, niczym kurczę nadziane na czubek różna.

- O Anie! – wykrzyknął w udreće, nim stracił przytomność. – Przebacz mi, choć wiedziałem, co czynię!

Mursilis zaklął głośno, co wyrwało Kresta z odrętwienia. Uchylił opuchnięte, pokąsane przez gzy powieki. Jakiś żołnierz dotykał ust Nesyjczyka mokrą gąbką, zatkniętą na ostrzu włóczni. Mursilis widocznie nie chciał pić, bowiem prychał, a nawet usiłował opluć żołnierza, nie udało mu się jednak. Najwyraźniej bał się poruszyć głową, gdyż każdy ruch powodował, że pał zagłębiał się coraz mocniej w ciało.

Pała celowo nie ostrzono zbyt mocno, by za szybko nie zabił. Jednak sam ciężar ciała sprawiał, że stopniowo czubek pała rozrywał kolejne tkanki. Jeśli wszakże egzekucję przeprowadzono umiejętnie, skazaniec umierał dopiero w wyniku upływu krwi. A to mogło potrwać kilka godzin.

Rzecz jasna, zatrudnieni przez Baala oprawcy znali się na swoim fachu.

Żołnierz zbliżył się do Kresta i przysunął mu do ust gąbkę. Krest nie miał wątpliwości, że nie chodzi o nagły przyptyw humanitaryzmu, lecz o przedłużenie agonii. Mimo to oblizał zwilżone wargi, odczuwając chwilową, niewielką ulgę.

Mursilis zwrócił na niego karcące, na wpół szalone spojrzenie, ale nic nie powiedział.

Teraz, kiedy utrata dużej ilości krwi wywołała efekt podobny do znieczulenia, obejmującego dolną część ciała, tym silniej Krest odczuwał delikatną wibrację na skórze głowy, w miejscach, gdzie wbiły się w nią kolce dziwnego diademu, jakim uwieńczył go Baal. Wibracji towarzyszyło wrażenie ciepła, nie związanego jednak – tego był pewien – z nagrzewaniem się metalu w palącym słońcu.

Czymkolwiek była owa obręcz, to jej zapewne dotyczyły zagadkowe słowa Pana Burzy, kiedy zakładał ją Krestowi.

- Nie wszystkim umrę... - mruknął ironicznie, bardziej do siebie niż do Kresta.

Krest nie miał pojęcia, co to mogło znaczyć. Z tonu Baala zdawało się wynikać, że bóg posłużył się cytatem, z czego wszakże i co chciał przez to powiedzieć – próżno byłoby dociekać.

Z pewnością obręcz była czymś więcej, niż kawałkiem metalu. Pan Burzy nie zadawałby sobie trudu, aby w tak dziwny sposób folgować swoim sadystycznym skłonnościom. Raczej własnoręcznie wbijałby skazańców na pal, obdzierał ich ze skóry lub coś w tym guście.

Nie uczynił jednak żadnej z tych rzeczy. Ciekawe, co go powstrzymało?

Opuścił zresztą miejsce kaźni niedługo po tym, jak się zaczęła. Krest nie rozglądał się wprawdzie, lecz był pewien, że Baala nie ma na wzgórzu. Pozostali na nim tylko oprawcy i ofiary. Dwudziestu żołnierzy i trzech łotrów nabitych na pale.

Krest nie był już w stanie uporządkować myśli. Galopowały bezładnie i poza kontrolą, jak stado spłoszonych koni.

Chociaż umierał, nie przesunęło mu się przed oczyma całe życie. Upadł zatem kolejny mit. Szkoda, z przyjemnością przypominałby sobie niektóre, co ciekawsze epizody. Zwłaszcza te, w których zwyciężał, zabijał i unicestwiał bogów; podrzędnych wprawdzie, ale równie niepotrzebnych, co ich potężniejsi krewni.

Jak przez mgłę widział leżącą w dole szeroką wstęgę Eufratu. W przeciwieństwie do zwykłego dnia, kiedy na rzece uwijały się dziesiątki statków i łodzi, dziś było zupełnie pusto. Żadna łódź rybacka nie wypłynęła na połów. Żaden statek kupiecki nie przybił do nabrzeża. Na horyzoncie widać było żagle tych, które uciekły z portu nocą i teraz starały się oddalić jak najszybciej od Babilonu. Statki, które z takich czy innych przyczyn musiały pozostać, wyglądały na opuszczone. Na pokładach nie było żywego ducha, nie odbywał się załadunek ani wyładunek.

Spełnił się najpiękniejszy sen ekologów: najbardziej zatłoczona rzeka świata stała się na powrót dziewicza. Zaś najgłośniejsze miasto świata można byłoby ogłosić światową stolicą ciszy. Martwej ciszy.

Kto dokonał tego cudu? Nabonid, przerażony próbą zamachu na siebie? Marduk, rozsierdzony próbą zamachu na siebie i Nabonida? A może Baal, ucieszony obydwoma zamachami?

Kątem oka dostrzegł, że pilnujący wzgórza żołnierze i ich dowódca poderwali się z ziemi. Musiał przybyć ktoś ważny, lecz kimkolwiek był, pozostał poza zasięgiem wzroku Kresta. Setnik dziarsko potwierdził jakiś rozkaz, po czym dobył miecza i ruszył ku palom.

Zatrzymał się przed Habirczykiem, który znajdował się po lewej ręce Kresta, zajrzał mu w twarz, ukłął czubkiem ostrza, wreszcie z biegłością, wynikającą z długiego doświadczenia, sprawdził puls. Nie odniosło to żadnego skutku. Krest zrozumiał – tamten już nie żył. Przemknęła mu myśl, że nawet nie poznał imienia przypadkowego współtowarzysza niedoli. Nie zamienił z nim ani słowa.

Cóż, życie składa się z takich strat; mniejszych lub większych.

Setnik stanął przed Krestem. Nie musiał sprawdzać, czy żyje. Ich spojrzenia spotkały się.

- Pan Burzy okazał ci łaskę – silnym pchnięciem wbił miecz w bok Kresta. – Chwał go za to.

Ciałem Kresta wstrząsnął spazm, kiedy ostrze dotarło do serca. Wszechświat wybuchł w feerii światła, dźwięków i zapachów, niczym eksplodująca skrzynia fajerwerków z C'in. Przez mgnienie Krest był wszystkim i wszędzie. Patrzył w przeszłość i w przyszłość. Wiedział o rzeczach, o których nie śniło się filozofom, i zarazem nie wiedział, kim jest. Stał się równy bogom.

A może zawsze mu o to chodziło?

Usłyszał (ujrzał, poczuł, wyobraził sobie?) bezsensowny okrzyk Mursilisa:

- Pomścij mnie, Demonie z Rapiere!

A potem... Nicość.

Pod jej butem zachrzącił kamień. Kopnęła go z tłumioną furią.

Żołnierze gapili się na nią z osłupieniem, kiedy wyskoczyła z latającej maszyny, która usiadła na pagórku jak olbrzymia ważka. Kurz jeszcze nie opadł, ale jej to nie przeszkadzało. Szybkim krokiem ruszyła ku trzem palom z wiszącymi na nich nagimi zwłokami.

Poza kilkoma żołnierzami, których pozostawiono do pilnowania miejsca kaźni, na wzgórzu nikogo nie było. Nim wylądowała żołnierze grali w kości o – jak zrozumiała teraz – zdarte wcześniej ze skazańców ubrania. Wśród nich rozpoznała rzeczy należące do Kresta.

Poczuła wzbierającą wściekłość. Nie miała broni, lecz nie potrzebowała jej przeciwko ludziom.

Wyraz jej twarzy przeraził żołnierzy. Najpierw jeden z nich, potem pozostali padli na kolana i uderzyli czołami o ziemię w pokłonie należnym bogini.

Stała nad nimi przez chwilę, opanowując się z wysiłkiem. Nie było sensu mścić się na narzędziach. Niczego to nie zmieni. Już po wszystkim. O wiele za późno.

Chociaż, z drugiej strony...

Wymierzyła silnego kopniaka żołnierzowi, na którego nogach ujrzała wysokie buty Kresta. Usłyszała trzask pękających żeber. Patrzyła jak tarza się w pyłe, jęcząc cicho.

Nieźle, jak na boginię miłości.

Cóż, była nią wczoraj. I może będzie jutro. Ale nie dziś.

Zatrzymała się przed środkowym palem, nie spojrzawszy nawet na inne. Ciało Kresta zaczynało sinieć. Krew na udach zbrązowiała. Głowę miał opuszczoną, a otwarte oczy wpatrywały się w coraz dłuższy cień u podstawy pala.

Istota, używająca imienia Isztar, nosiła w sobie pamięć niezliczonych tysiącleci. Istniała, zanim na tym świecie pojawiły się uczucia. Powinna zatem być ponad nie. Lecz nie była. Jej ludzka powłoka stanowiła coś więcej niż kostium. Jaźń bogini kształtowała jej ciało, lecz i sama była przez nie kształtowana. To była interaktywna gra. Nieunikniony skutek uboczny uzależnienia od fizjologii.

Dlatego też Isztar zapłakała.

- Głupcze – szepnęła. – Cholerny głupcze...

Lecz kiedy dostrzegła krew na czole i skroniach Kresta zmarszczyła brwi. Co, u licha?

Nagle zrozumiała.

- Baal – warknęła. – Ty podły, wredny sukinsynu!

CZEŚĆ TRZECIA

Wciąż bolała go głowa po pijaństwie sprzed dwóch dni. Nie mógł w tym przypadku zastosować zasady: klin klinem. W przeddzień służby Amel nie odważyłby się nawet na wypicie naparstka babcinej nalewki.

Nie chciał ryzykować kariery. Należał do elity i zamierzał w niej pozostać.

Dla bogów pracowały setki ludzi. Spełniali głównie funkcje usługowe, związane z tymi elementami boskiej infrastruktury, które wymagały obsługi, konserwacji bądź chociażby sprzątanania. Do zadań tych potrzebna była siła robocza o charakterze świeckim, nie duchownym, toteż nie leżały w sferze zainteresowania stanu kapłańskiego.

Amel uśmiechnął się ironicznie. Kapłani woleli sprawować rząd dusz, a nie wykonywać czarną robotę.

Śpośród tych setek ludzi zaledwie kilku mogło poszczycić się przebywaniem równie blisko Marduka, jak on. Byli to jego koledzy z załogi Łodzi Milionów Lat.

Amel był najmłodszym z czterech pilotów, zmieniających się co trzy miesiące na mostku Łodzi. Pracowali w dwuosobowych zespołach i przez ten czas po prostu mieszkali na Łodzi, podobnie jak sam Marduk.

Właściwie stanowili jedyny, choć bardzo nietypowy, dwór Najwyższego.

To oni, a nie kapłani, widywali Wielkiego Marduka w miejscu, które bóg uważał za swój prawdziwy dom. Wbrew temu bowiem, co głosili kapłani, nie była nim Esagila, lecz Łódź Milionów Lat, gdzie Najwyższy znajdował chwilę wytchnienia od trudów rządzenia Uniwersum.

Inne boskie siedziby także miały swój personel. Poza Łodzią Milionów Lat Marduka, Rozdrożem Isztar oraz Orlim Gniazdem Baala istniało jeszcze osiem Domów należących do pozostałych członków panteonu.

Wtajemniczeni wiedzieli, że liczby się nie zgadzają. Wprawdzie prosty lud nadal czcił Dwunastkę, która zstąpiła z nieba, jednak Domów było tylko jednaście. Droga do dwunastego, w którym mieszkał Ojciec Bogów i Ludzi, An, zagubiła się gdzieś w otchłani pokoleń, a bogowie jakoś nie kwapili się do pomocy w jej odnalezieniu.

Lecz Amel nie zaprzętał sobie tym głowy. To było zajęcie dla teologów, a nie dla techników.

Potrząsnął głową. Jak mógł być tak nierozsądny, żeby tyle wypić? Z większości wieczoru oraz całej nocy niczego nie pamiętał. Co robił, gdzie był, kiedy i jak wrócił do domu? W miejscu, gdzie powinny znajdować się odpowiedzi na te pytania, ziała czarna dziura. Pozostała tylko wyjątkowo silna migrena, utrzymująca się dłużej niż zwykle.

Przyjęcie u Santhy, jego przyjaciółki, zapowiadało się zwyczajnie; jak wiele poprzednich. Santha pochodziła z bogatej rodziny i lubiła gości, wskutek czego jej dom zawsze był ich pełen. Amel, nawet gdyby chciał, nie mógłby uczestniczyć we wszystkich wybrykach tej szalonej dziewczyny. Dręczony zazdrością, przeżywał z tego powodu ciągle rozterki, jednak nic nie mógł zrobić. Santha była bardzo niezależną osobą.

Bez większych problemów dotarł do portu, gdzie cumowała Łódź Milionów Lat. Jeszcze wczoraj mogło być gorzej. Wprawdzie nocne walki ze zdradzieckimi Habirczykami, którzy chcieli przemocą obalić ustrój imperium i zabić króla, nie objęły całego miasta, lecz i tak zdeorganizowały wiele dziedzin życia, przede wszystkim komunikację.

Babilon był tak wielkim miastem, że w ekskluzywnej dzielnicy Wiszących Ogrodów, gdzie mieszkała Santha, nikt spośród uczestników przyjęcia nawet nie podejrzewał, co dzieje się w tym czasie kilka kwartałów dalej. Bawili się znakomicie.

Inna rzecz, że wcale nie bawiliby się gorzej, nawet gdyby wiedzieli.

Amel nie uważał się za ksenofoba, jednak cudzoziemcy powinni znać swoje miejsce, skoro korzystają z gościnności Chaldejczyków. Zamach na babiloński styl życia i obywatelskie wolności musiał spotkać się ze stanowczą reakcją.

Jaką konkretnie? Niewiele go to obchodziło. Od tego byli inni specjaliści.

Marduk nie przepadał za liczną służbą. Nie lubił też nowych twarzy i z nieufnością odnosił się do zmian personalnych. Toteż rotacja stanowisk była niewielka i wszyscy członkowie załogi znali się doskonale.

- Pan Nasz, Marduk, przebywa na pokładzie – poinformował go Nahon, pełniący wraz z nim służbę na tej zmianie. – Postaraj się go nie niepokoić.

Podczas gdy Nahon sprawdzał systemy sterowania, Amel – zgodnie z procedurą – miał udać się na obchód statku. Na poły żartobliwe ostrzeżenie nie było potrzebne. Amel za żadne skarby nie wszedłby bez pozwolenia do prywatnych kajut Najwyższego.

- Stanę się niewidzialny - obiecał.

Nahon spojrział na niego z ironią. No tak, zreflektował się Amel, niewidzialność to kiepski kamuflaż wobec Wszchemogącego.

Trudno o nudniejsze zajęcie niż przemierzanie po raz setny tych samych korytarzy. Marduk gardził iluzją, toteż wszystko na Łodzi wyglądało dokładnie tak, jak w rzeczywistości: ciasne przejścia, niewielkie pomieszczenia i brak wszelkich ozdób. Wszędzie wokół szara stal, niebarwione szkło i niemalowane drewno.

Funkcjonalność w najczystszej postaci. Okropność.

Amel nie raz słyszał od ludzi pracujących w innych Domach o bajecznym luksusie – nieważne, realnym czy opartym na ułudzie - jakim otaczali się bogowie. Odczuwał pewną zazdrość, lubił bowiem ładne rzeczy. Zapewne Najwyższemu ascetyczny tryb życia rekompensowała pełnia władzy, jaką

sprawował. Czy to jednak wykluczało możliwość skorzystania z usług dekoratora wnętrz?

Idąc korytarzem, przez niewielkie okna z niesłychanie grubego szkła widział nabrzeże i leniwe fale Eufratu rozbijające się o opływowe burty Łodzi Milionów Lat. W oddali, ponad miastem, wznosiło się nagie wzgórze, a z jego szczytu wyrastały trzy, cienkie z tej odległości niczym patyczki, pale. Jeden był pusty; na dwóch pozostałych wisały jeszcze ludzkie szczątki, cieszące się dużym zainteresowaniem gromady sępów.

Amel obojętnie odwrócił spojrzenie. Zwłoki złoczyńców straconych na Królewskiej Czaszce były stałym elementem babilońskiego krajobrazu.

Wrócił myślami do swojej pracy. Za dwa, trzy dni, kiedy Marduk uzna ziemskie sprawy za chwilowo załatwione, Łódź odpłynie ku szerszym wodom, a tam wzniesie się ku nieskończoności. Prawdopodobnie polecą na ulubioną sferę Najwyższego. Parametry jej orbity zostały tak dobrane, żeby można było mówić o wysokości nad ziemią, a nie o odległości od Ziemi.

Dzięki temu Wielki Marduk, przebywając na postawionej w dryf Łodzi, będzie miał poczucie, że z bliska czuwa nad ludzkimi losami, zachowując jednocześnie odpowiedni dystans.

Podczas kilku poprzednich zmian Amel miał okazję przekonać się, że to wrażenie nie było pozbawione podstaw. Kiedy patrzył przez te same okna na błękitną półkulę, zawieszoną w atramentowej pustce, myślał o Santhcie i wszystkich swoich przyjaciółach, a także o miliardzie innych ludzi, pozostałych na tym padole łez.

Spoglądał na nich z góry. Nie widział ich, ale oni tam byli. Uwięzani do ziemi, po której stąpali. Niezdolni wnieść się ponad swoje drobne problemy.

Nie było im dane obcować z wszechświatem.

Czy czuł się przez to lepszy od nich? Jasne, że tak. Niby dlaczego miałyby grzeszyć nadmierną skromnością?

Zajrzawszy do mesy, kuchni i paru innych pomieszczeń, oraz zamieniwszy kilka słów z kucharzem i stewardem, Amel zatrzymał się na rozwidleniu korytarza przed kajutami Najwyższego. Powinien pójść dalej, jednak nie potrafił oprzeć się pokusie spojrzenia na drzwi do prywatnych kabin władcy bogów i ludzi. Teoretycznie wstęp tam nie był zabroniony. W praktyce poza stewardem nikt tam nie bywał.

I nagle coś się stało.

W jednej chwili Amel znajdował się jeszcze w głębi korytarza, a w następnej był już przy drzwiach do kabiny Marduka i naciskał klamkę. Nawet nie pamiętał, żeby rozważał taką możliwość. Teraz czuł nieprzerepartą chęć, a nawet nakaz.

Czyj nakaz?

Drzwi nie były zamknięte. Amel znalazł się w niewielkim przedsionku, skąd prowadziły wejścia do kilku innych pomieszczeń. Niektóre drzwi były

uchylone i tam zajrzał w pierwszej kolejności. Nie zastanawiał się nad możliwymi konsekwencjami. W ogóle o tym nie myślał.

Ani w skromnie urządzonej gabinecie, ani w żadnym z pozostałych pomieszczeń nie było Najwyższego. Amel z ciekawością oglądał miejsca tak zwykle niedostępne, jak boska toaleta - niczym zresztą nie różniąca się od ludzkiej - ale nie zatrzymywał się; coś pchało go dalej. Chciał odnaleźć boga. Zdaje się, że miał mu coś ważnego do zakomunikowania.

Musiał mieć, inaczej po co by tutaj wchodził? Wprawdzie nie pamiętał, co, ale z pewnością sobie przypomni, kiedy zobaczy Marduka.

Pozostała tylko jedna możliwość - drzwi, które nie miały klamki, ale za to na ścianie obok znajdowała się niewielka skrzyneczka z ponumerowanymi klawiszami. Amel nigdy nie spotkał się z niczym podobnym. Ignorując ten fakt, palce jego dłoni - bez udziału woli - zatańczyły na klawiaturze, dotykając w określonej kolejności kilku przycisków.

Rozległo się metaliczne szcęknięcie i drzwi uchylły się, jakby puściła niewidoczna blokada. Amel pchnął je.

Za maleńkim przedsionkiem, gdzie jedynym sprzętem był wieszak na ubranie, znajdowało się duże pomieszczenie, niemal w całości wypełnione kulistą konstrukcją. W jej wnętrzu, trzy stopy nad posadzką, jakby stał na niewidzialnym postumencie, unosił się Marduk. Bóg był nagi i miał zamknięte oczy. Wokół niego wirowały leniwie ogromne, lśniące pierścienie z jakiegoś niezemskiego metalu.

I nagle Amel wiedział już, co musi zrobić. Jakby i w jego umyśle puściła blokada.

Wrócił do kajuty Marduka. Żaden z członków załogi nie nosił broni na pokładzie Łodzi. W ogóle jej tu nie było. Ale ciało można skutecznie uszkodzić nie tylko bronią. Szukał czegoś, co mógłby wykorzystać. Musiało to być coś, czym zdołałby dosięgnąć Marduka spoza separatora. Wyłączenie urządzenia spowodowałoby powrót cienia do ciała i przebudzenie boga (skąd to wiedział?), a wejść do środka nie mógł, póki nie wyłączy separatora (a to skąd?).

Gorączkowo rozglądał się za czymś, co go wybawi z tego błędnego koła.

I znalazł.

Niezbale oparty o regał z książkami stał miecz w pochwie. Nie, nie miecz. Amel wyciągnął lśniącą klingę i spostrzegł, że głownia jest zbyt długa i wąska, jak na miecz. Również bardzo rozbudowana garda nie przypominała zwyczajnego jelca. Nigdy czegoś takiego nie widział. Niejasne wspomnienie zasłyszanych gdzieś pieśni podsunęło mu obraz jakiegoś demona posługującego się dziwnym orężem o nazwie zbyt egzotycznej, by ją zapamiętać.

Nieważne. Tak czy inaczej, to coś było bronią.

Skąd wzięła się w pokoju Marduka? Czy bóg jej używał? W przeciwieństwie do swego boskiego brata, Baala, Najwyższy nigdy nie pokazywał się uzbrojony.

Zagadka niedługo zaprzętała Amela. Broń to broń. Teraz mógł wykonać zadanie.

Stanął jak mógł najbliżej separatora i ocenił, że uda mu się zadać pchnięcie. Nie był dobrym szermierzem, lecz powinien sobie poradzić. Mimo to, gdzieś w trzewiach, głęboko pod tym nakazem, który zmuszał go do działania, odczuwał przeraźliwy strach. Podnosił rękę na boga. Zasługiwał na wieczne potępienie.

Ostrze drżało, kiedy wsunął je między wirujące pierścienie. Wskazał nim pierś Najwyższego i pchnął z całej siły.

Ktokolwiek kierował nim, niczym marionetką, nie dostarczył mu informacji, czego powinien się spodziewać. Dlatego, kiedy ciało Marduka szarpnęło się spazmatycznie, jak żywe, Amel odskoczył z cichym okrzykiem, a dziwny miecz upadł na podłogę.

Przez mgnienie czuł przemożną chęć ucieczki, lecz nogi nie chciały go słuchać. Na szczęście, w porę przyszła konstatacja, że przecież ciało Marduka żyło, nawet kiedy jego cień przebywał gdzie indziej. Przedśmiertne konwulsje były efektem najbardziej podstawowych odruchów. Istota, nosząca imię Marduka, nie miała z tym nic wspólnego.

Nie było jej tu.

Amel okazał się lepszym szermierzem, niż przypuszczał. Cios był czysty, prosto w serce. Krwi wypłynęło niewiele, a drgawki szybko ustały.

Ciało Najwyższego było martwe.

Teraz Amel mógł wyłączyć separator. Uczynił to z biegłością, której źródła nie znał. Nie miał pojęcia, skąd wie, jak to zrobić. Pierścienie zaczęły zwalniać, a kiedy się zatrzymały, ciało Marduka osunęło się na posadzkę.

Zadanie zostało wykonane. Uczucie bezradności i zniewolenia nieco osłabło i Amel został nagrodzony czymś w rodzaju satysfakcji.

Dobry piesek. Pomerdaj ogonem. Możesz odejść.

Ale zaraz potem puściła kolejna blokada i nowy, znacznie silniejszy impuls przełamał w umyśle Amela wcześniejsze uwarunkowanie. Nowy rozkaz zapłonął w jego świadomości ognistymi literami. Brzmiał on: zabić!

I już nie chodziło o ciało.

Kto go wydał? Jaka walka toczyła się w duszy Amela? A może – o duszę? Jakie siły starły się na gruzach jego woli i do czego dążyły?

Zestaw poleceń, które miał wykonać, nie zawierał odpowiedzi na te pytania.

Posłuszny nakazowi wywlókł ciało Marduka na zewnątrz, po czym rozebrał się i wszedł do separatora. Stanął na środku, nie zważając na plamę krwi, i włączył pole. Pierścienie ruszyły z miejsca.

Gdzieś daleko słyszał ostrzegawczy głos, nie miało to jednak znaczenia wobec siły sugestii, która trzymała jego jaźń w żelaznym uścisku.

Miał wejść, więc wszedł. Jeśli miał też zginąć, zginie.

Ludzie nie posiadają cienia - słyszał. Nie posiadają duszy.

Wierzył w to, nawet kiedy poczuł, że unosi się w powietrze. Był pewien, że umrze wisząc między wirującymi pierścieniami.

A potem jego cień, który nie miał prawa istnieć, oddzielił się od ciała.

Nadal był.

Był?

W każdym razie, jakaś jego część nadal była.

Chętnie krzyknąłby: niech się stanie światłość! Gdyby miał czym krzyczeć. Nie znaczy to, że wokół panowała ciemność. Chodziło raczej o brak wszystkiego, co mógłby oglądać za pośrednictwem oczu. A także o brak oczu.

Zatem, czy naprawdę był?

Był.

Tak, na pewno. Wiedział, że jest.

Lecz nie wiedział, gdzie jest.

Ani – kim jest.

Co dziwne, czuł się z tym zupełnie dobrze. O ile, rzecz jasna, określenia takie, jak „czuł” i „dobrze” miały w tej sytuacji jakiś sens.

Ponieważ ludzki umysł – najwyraźniej nawet oderwany od ciała – nie potrafi funkcjonować bez wstępnych założeń, przede wszystkim należało przyjąć, że nadal jest Amelem. Zyskał dzięki temu punkt zaczepienia.

Niestety, jedyny.

Próba odpowiedzi na pytanie, czy żyje, czy jest martwy, spaliła na panewce. Obie możliwości były równie prawdopodobne. I równie nieprawdopodobne.

Miejsce, w którym się znajdował – a raczej którego był częścią – przesycala obecność innych jestestw. Tego, rzecz jasna, należało się spodziewać w zaświatach.

Lecz w zaświatach nie przebywają bogowie.

A przecież to byli Oni. Ich natura, choć tak różna od ludzkiej, leżała przed nim jak na dłoni; naga, odarta ze świętości. Przepływały przez niego ich emocje, niezrozumiałe, wypaczone frustracjami trwającymi całą wieczność; ich lęki, nieokreślone, narosłe przez tysiąclecia balansowania na granicy istnienia i nieistnienia; ich żądze, niepohamowane, wynaturzone milleniami zmagania z przekleństwem własnej wszechmocy.

Nie był jednym z nich. Jego natura, tak różna od boskiej, natychmiast przyciągnęła ich uwagę. Zwabieni jego emocjami, lękami i żądzami, tak odmiennymi od ich własnych, opadli go niczym muchy padlinę.

Prosząc go o coś.

Domagając się czegoś.

Grożąc czymś.

Z obrzydzeniem strząsnął z siebie ich jaźnie. Rozpierzchli się, przerażeni, a jego zdumiała łatwość, z jaką tego dokonał.

Kim był? Czy aby na pewno Amelem? Czy człowiek mógł być silniejszy od bogów?

Pytania, pytania... i żadnych odpowiedzi.

- Czym jesteś?! – nagle zahuczała przestrzeń, nie-przestrzeń. – Jak się tu dostałeś?

Władczy głos, emanujący zdumieniem, niepokojem i gniewem (niekoniecznie w tej kolejności), mógł być też obrazem, wrażeniem czy uczuciem, co w tym miejscu, nie-miejscu nie stanowiło różnicy.

W sposób najbardziej ogólny, a zarazem najtrafniejszy, należałoby to określić słowami: nastąpił kontakt.

Oto stanął przed obliczem Marduka, którego ciało zabił. A raczej to jego cień dostąpił zaszczytu współ-czucia z cieniem Pana Bogów i Ludzi. Natychmiast rozpoznał tę mroczną i mocarną jaźń. Lecz dlaczego Najwyższy nie rozpoznał jego?

Amel był tym kompletnie zaskoczony.

- Odpowiadaj! – ponaglił go bóg.

- Jestem... - zawahał się - kim jestem.

- Wiem, kim jesteś, pilocie Amelu! Ale nie wiem, czym jesteś. Nie wiem też, co nie pozwala mi dostrzec twojej prawdziwej natury. Nie wiem stanowczo zbyt wielu rzeczy, jak na fakt, że podobno jestem Wszechwiedzący!

Amel milczał.

- Ludzie nie mają cienia, więc nie możesz być człowiekiem. A ponieważ nic mi nie wiadomo o żadnych zaginionych krewnych, nie możesz też być bogiem.

- Nie jestem bogiem.

- Cóż za ulga... Ale to wiedziałem już przedtem. Pytam więc jeszcze raz: czym jesteś?

Amel powinien się bać. Przed najpotężniejszym z bogów powinien umierać ze strachu (rzecz jasna, jeśli jeszcze nie umarł). Człowiek był bezradny niczym dziecko wobec tych przerażających istot.

A jednak nie odczuwał lęku. Co więcej, budziła się w nim moc, której źródła nie znał, lecz która napępiała go, niezwykle w tej sytuacji, pewnością siebie.

- Zabiłem cię – powiedział.

- Słucham?

- Zabiłem twoje ciało na Łodzi Milionów Lat.

- Co takiego!?

- A teraz muszę zabić ciebie. Po to tu jestem. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Marduk nie odpowiedział od razu, ale eter przeszył impuls szalonego gniewu. Jaźń Amela zadrżała jak liść w podmuchach wiatru. Lecz Najwyższy pohamował się.

Na chwilę.

- Ach tak, wydaje ci się - wycedził. - A jak zamierzasz tego dokonać?
- Nie wiem.
- Niewiele wiesz, Amelu, prawda?
- Chyba tak.
- A zatem, jak sądzę, będziesz mi wdzięczny, kiedy odświeżę ci pamięć...

Zanim cię zabiję.

Uderzenie przyszło nagle, ze wszystkich stron naraz... i z żadnej. Potworna siła zgmiotła jaźń Amela, jak gdyby to sam wszechświat, w którym się znajdował, zapadł się w sobie.

Może zresztą tak było. Cóż człowiek mógł wiedzieć o wszechświecie?

Przez mgnienie jego świadomość była już tylko iskierką, gasnącą w nicości. Lecz nie zgasła. Niespodziewanie dla niego samego rozbłysła nagle z nową mocą, niczym żarzący się węgielek, na który ktoś dmuchnął.

Ciekawe, kto chciał rozniecić ten ogień?

Poczuł gwałtowny przypływ sił. Chłonał je, rósł i męźniał, jakby jego cień – który nie miał prawa istnieć – zamierzał wystąpić na olimpiadzie.

Marduk cofnął się, zaskoczony.

Amel roześmiał się triumfalnie. Zdołał oprzeć się Najwyższemu. Nie był słabszy.

A potem zaatakował.

W nicości, która nicością nie była, śmierć oczywiście nie mogła być śmiercią. Co jednak nie zmieniało faktu, że istnienie – czymkolwiek było – mogło stać się nieistnieniem – które byłoby już tylko niebytem.

Eschatologiczne rozważania, dobre na długie klasztorne wieczory, musiały jednak ustąpić przed instynktem przeżycia.

Być albo nie być – to byłoby w tej sytuacji wyjątkowo głupie pytanie.

Amel nawet go sobie nie zadał.

Skądkolwiek pochodziła jego moc, wystarczyło jej na powstrzymanie Marduka, ale nie na wymierzenie mu śmiertelnego ciosu. Władca bogów i ludzi sparował uderzenie i sam uderzył, z równie nikłym skutkiem.

Eter falował, wstrząsany tymi eksplozjami przemocy, a oni krążyli wokół siebie jak dwaj barbarzyńscy tancerze wymachujący szablami. Ale ich bronią była...

Był...

Było...

A może zresztą coś zupełnie innego?

Amel czuł obecność wielu jestestw, unoszących się trwożnie gdzieś w bezpiecznej odległości. Nie wyglądało na to, by jakiś bóg zamierzał pomóc Mardukowi. Zapewne uważali to za niepotrzebne i Amel miał nieprzyjemną świadomość, że mogą mieć rację.

Lecz nic nie zdołałoby go powstrzymać. Odczuwał dla tych istot jedynie pogardę. Było to dziwne, zważywszy, że jako człowiek został uwarunkowany na uwielbienie i bojaźń bożą.

Cóż to więc za heretyckie myśli?

Co się z nim działo?

Skąd się wziął, kim był i dokąd zmierzał?

Ale najwyraźniej także przed nim, jak przed Najwyższym, prawda dotycząca jego istoty została ukryta.

Wiedział, że jest. Lecz kim był ten, który wiedział, że jest?

Amel niecierpliwie strząsnął z siebie te akademickie dywagacje. Najważniejsze, że wiedział, kim powinien być. Jeśli chciał przetrwać, musiał stać się zabójcą.

Zabójcą boga.

Owładnęła nim chłodna determinacja, której istnienia u siebie nawet nie podejrzewał. Ze zdumieniem odkrył, że niczym weteran niezliczonych pojedynków potrafi kontrolować strach, wściekłość i żądzę mordy.

Z całą pewnością człowiek – chwilowo będący nim – nie był amatorem.

Zdawał sobie sprawę, że Marduk wkrótce też będzie to wiedział. A wówczas czynnik zaskoczenia zostanie zmarnowany. Nie mógł do tego dopuścić.

Musiał zabić szybko.

Udał, że się cofa. A potem wszystkie swoje ujawnione i nie ujawnione moce - także te, o których sam nie miał pojęcia - włożył w jedno potężne uderzenie.

Najwyższy zatoczył się.

Jęknął.

Było w tym więcej oszołomienia, niż bólu, ale Amel nie czekał, aż bóg otrząśnie się i odpowie pięknym za nadobne. Metodycznie uderzał raz za razem, beznamietnie i bezlitośnie, z wprawą doświadczonego boksera, który wie, że niebezpiecznemu przeciwnikowi nie można pozwolić na odzyskanie inicjatywy.

Lecz skąd on, zwykły zjadacz chleba, o tym wiedział?

Cóż... Wiedział. Tylko to się liczyło.

Marduk cofał się pod gradem ciosów. Eter słuchał teraz Amela i obrócił się przeciwko Najwyższemu. A w każdym razie tak się wydawało.

Nie było gdzie się ukryć. Nie było dokąd uciec. Nie było skąd uzyskać pomocy.

Amel zdobył się na największy wysiłek. Choć wciąż myślał o sobie jako o Amelu, było jasne, że bogu ducha winny pilot ma z tym niewiele wspólnego. Znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Tyle że dla kogoś, kto to wszystko zaplanował, zarówno miejsce, jak i pora, były jak najbardziej właściwe.

Kto to był?

Tym - obiecał sobie Amel - zajmiemy się w następnej kolejności.

A teraz musiał zabić.

Musiał?

Nie. Coś się zmieniło. Przymus, który kazał mu zniszczyć Marduka, gdzieś zniknął. Zastąpiło go inne uczucie.

Chciał zabić.

Bardzo chciał.

Ponad wszystko.

Skoncentrował całą swoją wolę. Sięgnął ku najdalszym krańcom eteru, zamykając Marduka w objęciach swojej jaźni. Czuł rosnącą w sobie moc, jakby uruchomiły się drzemiące w nim rezerwy.

Stawał się wszystkim.

Mógł wszystko.

Bezgłośny krzyk rozpaczony rozdarł pozbawioną dźwięków nieskończoność, gdy Amel dotknął (pomyślał o dotknięciu? wyobraził sobie dotknięcie?) czoła Najwyższego.

- Ty! – zawył Pan Bogów i Ludzi. - Ty...

A potem zadrżała osnowa świata.

W jednej straszliwej chwili jaźń Marduka utraciła spistość, rozpadając się na milion kawałków, jak stłuczony kalejdoskop.

Zdało się, że to eksplodował sam eter.

Niczym odłamki, Amela przeszły szczątki boskiej osobowości: niezrozumiałe myśli, niepojęte pragnienia, nieodgadnione emocje.

I zaraz przepadły w otchłani niepamięci.

I umarł nieśmiertelny. Jak gdyby nigdy nie istniał.

Radość Baala opiewaj, bogini...

Taki początek poematu o bogu wojny byłby może mniej atrakcyjny od opowieści o jego gniewie (co zawsze gwarantowało znacznie więcej akcji), ale byłby jak najbardziej na czasie.

Baal cieszył się.

Baal triumfował.

Jego intryga udała się nadzwyczajnie. O jej skonstruowanie nikt by nie podejrzewał tępego mięśniaka.

I to było w tym wszystkim najpiękniejsze.

Jeśli Amel wypełnił powierzone mu zadanie i pozbawił życia ciało Marduka, szanowny braciszek miotał się teraz uwięziony w eterze, bez możliwości ponownego wcielenia się. Gdyby tam pozostał dłużej, mógłby znaleźć jakiś sposób wydostania się z pułapki. Dlatego Baal musiał osobiście dokończyć dzieła. Zniszczenie separatora dostrojonego do indywidualnego cienia uniemożliwiało powrót. Miał zamiar zrobić to własnoręcznie na Łodzi Milionów Lat.

Nad likwidacją cienia Najwyższego zastanowi się później. Kiedy znajdzie jakiś alternatywny sposób na stabilizację osobliwości, w której przebywał An.

Zaś gdy już utrwali swoją władzę nakaże blokadę wszystkich separatorów. Ci z Dwunastki, którzy nie zechcą się wcielić, niech zostaną w nicości. Nikt za nimi nie będzie płakał.

Przebywanie w eterze było jak narkotyk, a on nie tolerował używek. Nie cierpiał słabeuszy. Przeznaczeniem nieśmiertelnych było rządzić światem, który stworzyli, a nie uciekać przed nim. Czas przywrócić bogom autorytet, oparty na zdrowych, pierwotnych podstawach, takich jak strach i groza.

Te wszystkie kultury i rytuały, jakimi obrosły stosunki między bogami a ludźmi, służyły, jego zdaniem, tylko osłabieniu tego autorytetu. Oswajały bogów, czyniły ich bardziej zrozumiałymi i bliższymi ludziom. Krępowały boską swobodę i zamieniały bezwzględną dominację w politykę.

A on nienawidził polityki.

Co prawda, nie będzie mógł od niej całkowicie uciec. Kiedy przejmie władzę, wszystko znajdzie się na jego głowie. Nie zamierzał jednak dokonywać w tym względzie radykalnych zmian. Przynajmniej na razie. Nabonid nadal będzie sadzał swój tłusty tyłek na tronie Hammurabiego. Chaldejczyk jak dotychczas będzie niewolić narody. A z tymi śmierdzącymi koniorobami, Persami, którzy już podchodzili pod Babilon, rozprawi się z prawdziwą przyjemnością. Choćby miał przerobić na pale wszystkie okoliczne lasy.

Tym razem zjawi się osobiście na polu bitwy.

Łódź Milionów Lat, symbol zwierzchnictwa nad bogami i ludźmi, należała teraz do niego. Nie spodziewał się w tej kwestii żadnych sprzeciwów. Dlatego nie musiał nikogo prosić o pozwolenie, by się tam udać.

Tym niemniej, wolał na razie zachować dyskrecję.

Wprowadził kod otwierający włącz serwisowy. Rzecz jasna, zadbał o to, by mieć aktualne dane. Marduk, jak każdy z bogów, dbał o swoją prywatność, toteż zmieniał kody.

Zbyt rzadko jednak – Baal roześmiał się – zmieniał ludzi. Amel już od dawna, choć nieświadomie, zdradzał Panu Burzy tajemnice swego mocodawcy.

Wchodząc do wnętrza Łodzi nie odczuwał niepokoju. Odpowiednio uwarunkowany Amel na pewno wykonał swoje zadanie. Nie mógł go nie wykonać. Jego słaby, ludzki mózdzek nie byłby w stanie przełamać wgranego weń podczas suto zakrapianej imprezy u Santhy programu.

Pan Burzy uśmiechnął się sardonicznie. Nikt nie posądzałby go o umiejętność planowania z wyprzedzeniem. A jednak to potrafił. Wiedział, że słabość pilota Łodzi do tej dzierlatki przyniesie mu kiedyś wymierną korzyść. I tak się stało.

Któż oczekiwałby zdolności do snucia bizantyjskich intryg od bywalca siłowni?

Nie musiał pytać o drogę do kabin Marduka. Bywał tu wprawdzie niezmiernie rzadko, gdyż wzajemne składanie sobie wizyt w boskich siedzibach było obyczajem, który nigdy nie przyjął się w rodzinie, ale przez te wszystkie millenia zebrało się tego całkiem sporo, toteż nienajgorzej znał rozkład pomieszczeń na statku.

O załodze nawet nie pomyślał. Tak jak nie myślał o innych elementach Łodzi: silniku, kadłubie czy posadzce, po której stąpał.

Przemierzał korytarze krokiem zdobywcy, który wkroczył do stolicy wroga i który dziś triumfuje, a na jutro pozostawia roztrząsanie problemu, czy sam tu zamieszka, czy zrówna wszystko z ziemią.

Dopiero w prywatnych apartamentach Marduka jego pewność siebie uległa zachwianiu.

Drzwi do separatora stały otworem, a obok leżało ciało Najwyższego. Było martwe, co nie stanowiło niespodzianki. Jednak widok siedzącego nieopodal nagiego człowieka zaskoczył go. Amel sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie odzyskał przytomność i nie bardzo wie, gdzie się znajduje, kim jest i co się z nim działo.

Baal zmarszczył brwi.

- Nie powinno cię tu być – warknął. - Zrobiłeś swoje.

Człowiek podniósł oczy na ogromną postać.

- Ja... - wyjąkał. – Mnie...

- Tak, ciebie. Wykonałeś zadanie. Marduk nie żyje. Powinieneś znów być pilotem. Tak cię uwarunkowałem. Co więc tu jeszcze robisz? I dlaczego, do cholery, jesteś goły?

- Goły? – powtórzył bezradnie Amel.

- Owszem. Goły. Nagi. Rozebrany. Nie wiesz co to znaczy? Może nie jadłeś jeszcze z drzewa wiadomości?! Psiakrew, cholerne ludzkie mózdzki! Wystarczy trochę przy nich pomajstrować i już się do niczego nie nadają.

- Ja... Nie rozumiem, o czym mówisz...

- No cóż – Baal przyglądał mu się beznamiętnie. – Tak czy inaczej, nie będziesz mi już potrzebny. Zamierzałem pozbyć się ciebie później, ale równie dobrze mogę zrobić to teraz.

Pochylił się i jego wielka dłoń niemal całkowicie zamknęła się na szyi Amela. Bez wysiłku uniósł człowieka.

- Nadal nie wiesz, kim właściwie jesteś, co? – zaśmiał się. – Nie masz pojęcia, czyje odruchy kierowały tobą, kiedy zabijałeś swego boga? Naprawdę niczego nie pamiętasz? Żadnych dziwnych wrażeń czy cudzych wspomnień? Czyżby śmierć w mękach była tak nie znaczącym doznaniem, że nie pozostawiła śladu w podświadomości? Ciekawe.

W oczach Amela wciąż odbijała się dezorientacja.

- Może kiedyś przeprowadzę w tej kwestii dokładniejsze badania – ciągnął Baal. – Sądziłem, że bohater ludowych opowieści powinien mieć silniejszą osobowość. Że zdominuje jaźń tego mięczaka Amela, nawet jeśli będzie tylko pasażerem na gapę w jego mózgu. A tu, proszę, tygrys okazał się papierowy. Osławiony Zabójca Bogów nie zdołał nawet wydostać się z kloaki zwanej podświadomością. Choć spełniłeś swoją rolę, to jednak zawiodłeś mnie, Krest. Miałem nadzieję, że własnoręcznie zabiję właśnie ciebie, a nie tę pozbawioną tożsamości kreaturę.

- Krest? – powtórzył Amel.

- Tak, Krest. Człowiek, którego kazałem ukrzyżować i którego umysł uchroniłem od zniszczenia. W gruncie rzeczy ocaliłem cię przed śmiercią. Bo czy można mówić o prawdziwej śmierci, jeśli rzecz najważniejsza – osobowość – istnieje nadal? Owszem, przyznaję, byłeś mi potrzebny. Kto zdołałby zabić boga, jak nie Zabójca Bogów? Zawarliśmy przecież umowę, czyż nie?

- Nie wiem... Nie pamiętam... Kim jesteś?

- Kim jestem?! – huknął Baal. – A jak myślisz, człowieczku?

- Ja... nie wiem... Jestem...

- Jesteś Krestem! – wrzasnął Baal. – Krestem, rozumiesz? Miałeś zniszczyć ciało Marduka, bo żaden inny człowiek by się na to nie odważył. Wypełniłem naszą umowę. Umożliwiłem ci realizację twojego głównego celu. Zapewne nie tak to sobie wyobrażałeś, ale musiałeś zginąć, żeby móc zbliżyć się do Najwyższego, kiedy będzie bezbronny. Ale teraz jest już po wszystkim i czy tego chcesz, czy nie, jesteś Krestem. Musisz być Krestem! Musisz, ponieważ

masz umrzeć z mojej ręki jako Krest. A potem zakończę sprawę z moim boskim braciszkiem.

Zacisnął dłoń na wątlej szyi człowieka. Amel zaharczał.

- Już za... zakończona...

- Słucham?

- Marduk... Marduk nie żyje...

- Tylko jego ciało nie żyje, durniu. Myślisz, że to wystarczy, aby zabić boga?

- Nie żyje... Zabiłem go... Jego cień... W eterze.

Baal rozwarł palce i Amel osunął się na podłogę.

- Co powiedziałeś?

Amel zaczął się krztusić. Lecz nie z powodu trudności z oddychaniem. To był śmiech.

Drwiący i bezlitosny.

- Teraz pamiętam – rzekł. – Tak długo pozostawałem poza ciałem, że w pierwszej chwili nie potrafiłem sobie poradzić z nadmiarem bodźców. Ale to już mija. Ciekawe, niemal zapomniane uczucie... Fascynujące... Lecz wróćmy do rzeczywistości, ha ha... Owszem, Baalu, byłem Amelem. Byłem też Krestem. W pewnym sensie jestem nimi nadal. Możesz więc uznać, że masz przed sobą Zabójcę Bogów. Niestety, obawiam się, że spełni się tylko pierwsza część twojego życzenia. Będziesz bowiem musiał zrezygnować z przyjemności zabicia go. To znaczy mnie. Nas.

Zachichotał.

Coś w jego głosie sprawiło, że Baal stężał. Na pozór mógłby unicestwić tamtego jednym ciosem. Ale tak nie zachowywałby się nikt, zdający sobie z tego sprawę.

- Bez względu na to, czy czujesz się Amelem, czy Krestem, kłamiesz – powiedział. – Żaden człowiek nie może wejść do eteru.

- Tak, przypominam sobie. Mówiła mi o tym twoja siostra, kiedy byłem Krestem. Uwierzyłem jej, bo przecież musi być coś, co by odróżniało bogów od ludzi.

- Jest wiele takich rzeczy, człowieczku!

Amel parsknął.

- Nie wątpię, Baalu, nie wątpię.

- Nie nazywaj mnie tak, śmiertelniku! Krów z tobą nie pasalem!

- Ależ – Amel wykrzywił się szyderczo - po co ta burza w szklance wody, ha ha?

Baal uderzył zanim przebrzmiał śmiech. Twardy jak taran kułak trafił człowieka w skroń. Niczym worek piasku ciało Amela przetoczyło się przez korytarz i pacnęło o ścianę. Znieruchomiało.

- Napisano: nie bluźnij – rzucił za nim Baal. – Uczymy was czytać właśnie po to, abyście takie rzeczy wiedzieli.

Odwrócił się i wszedł do pomieszczenia z separatorem. Zamierzał zniszczyć wszystko, co tylko da się zniszczyć. Nie miał żadnych narzędzi, ale przy jego sile nie powinien tu pozostać tranzystor na tranzystorze.

Chwycił jedną z obręczy skanujących.

- Nie spiesz się tak z pracami rozbiórkowymi, olbrzymie - powstrzymał go głos z korytarza. – Mogę jeszcze potrzebować tego urządzenia.

Obejrzał się. Amel (Amel?) stał tam cały i zdrowy.

Pan Burzy i Wojny opuścił ręce.

- Marduk? – zapytał niepewnie.

- Marduk? – uśmiechnął się Amel. – Ach, no tak, na złodzieju czapka gore... A raczej, w tym przypadku, na mordercy. Nie, Baalu, Marduk nie żyje, jak ci już mówiłem. Nie potrafiłby zresztą – w przeciwieństwie do mnie - wcielić się w cudze ciało bez uprzedniej synchronizacji. Dobrze o tym wiesz. Więc dlaczego sięgasz po niemożliwe? Z podświadomego strachu przed bratobójstwem? A może...

- Niczego się nie boję! – huknął Baal. – Kim jesteś?!

- Kim jestem? Cóż, skoro przyszło ci do głowy niemożliwe, to dlaczego nie pójdziesz dalej i nie pomyślisz o czymś absolutnie wykluczonym? Wtedy dowiesz się, kim jestem, ha ha...

- Dość! – Baal ruszył ku człowiekowi. – Zaraz będziesz czymś absolutnie martwym!

Amel czekał z całkowitym spokojem, a potem, kiedy mocarne ramiona boga zamknęły się wokół niego, dotknął lekko jego piersi.

Pod Baalem ugięły się nogi, jakby nagle jego mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Ogromne ciało runęło na posadzkę.

Amel uklęknął przy bogu i położył dłoń na jego czole.

- Przykro mi, synu – rzekł patrząc mu w oczy. – Mój powrót z przymusowej emerytury wymaga pewnych rozrachunków w rodzinie.

Ciałem Baala szarpnęły skurcze. Jak gdyby mięśnie odzyskały sprawność, lecz kierująca nimi siła nie wiedziała, jak ich używać. Tułów wyginał się do granic wytrzymałości kręgosłupa i gwałtownie prostował, ręce biły wokół na oślep, a nogi kopały podłogę.

- Neeee! – zawył. – Ojcie... Neeee...

Tylko głowa olbrzyma trwała nieruchomo pod łagodnym dotykiem drobnej dłoni człowieka.

Był to jednak dopiero początek straszliwej przemiany. Baal już nie krzyczał. Między zaciśniętymi spazmatycznie zębami pojawiła się krew z przegryzionego języka. Skurcze ciała zmieniły się w odrażające, podskórne falowanie, jakby kłębiły się tam rzesze robactwa. Mięśnie i kości zdawały się płynąć i roztopiać. Lecz nic nie rozlewało się wokół, nic nie plamiło posadzki. Skóra, narządy wewnętrzne, krew i płyny ustrojowe zniknęły bez śladu. Zupełnie jakby ciało Baala ulegało sublimacji, przechodząc ze stanu stałego bezpośrednio w stan lotny.

Czyż to nie odpowiednia śmierć dla boga?

Aż wreszcie dłoń zabójcy zawisła w próżni. I zdało się, że nigdy nie było inaczej.

An wstał bez uśmiechu.

- Polityka to paskudna rzecz, chłopcze - westchnął. – Dlaczego nie pozostałeś przy wojnie?

Stok był zbyt stromy i nierówny, by zdołała wylądować blisko celu. Posadziła więc śmigłowiec na ostatnim przed szczytem, w miarę płaskim odcinku zbocza i dalej poszła pieszo. W Orlim Gnieździe nie było odpowiedniego dla niej lądowiska. Jakoś jej to nie dziwiło.

Odstępiała ją ta górską sceneria: poszarpane granie, ostre iglice, głębokie żleby. Lubiła jej przeciwieństwo: morze. W końcu, jedna z jej lokalnych inkarnacji narodziła się z morskiej piany.

Przypominająca twierdzę siedziba Baala wisiała nad przepaścią i tylko z jednej strony można było do niej podejść bez wspinaczki z użyciem odpowiedniego sprzętu.

Isztar pogardliwie wydeła wargi. Zupełnie, jakby ten przerośnięty łajdak czegoś się obawiał. A przecież żaden człowiek nie zbliżyłby się do boskiej siedziby, nawet gdyby znajdowała się na jego podwórku. Zaś przed krewnymi i tak nie było ochrony.

Najczarniejsza wściekłość przegnała z jej serca wszelkie inne uczucia. Szła porozmawiać z bratem. W jedynym zrozumiałym dla niego języku.

Zabije sukinsyna, jeśli tylko drgnie mu powieka.

Musi dać jej to, czego chciała. Inaczej wszyscy wymachujący ostrymi narzędziami durnie będą musieli poszukać sobie innego patrona.

Nie było tu żadnej ścieżki, toteż spod jej wysokich butów co rusz obsuwały się skalne odłamki. Nie zważała na to. Na koniec stanęła przed masywną, spiżową bramą o skrzydłach ozdobionych płaskorzeźbami przedstawiającymi zrywające się do lotu orły.

Co za kicz. Świat zyska, jeśli usunie tego barbarzyńcę.

Rzecz jasna, widziała to już wielokrotnie. Lecz nigdy wówczas nie była w takim nastroju.

Ktokolwiek mógłby jej otworzyć, nie był godzien tego zaszczytu. Położyła dłonie na chłodnym metalu, zaczerpnęła mocy i pchnęła. Brama otwierała się na zewnątrz, ale jakie to miało znaczenie? W huku pękających ościeżnic potężne odrzwia runęły na posadzkę. Przeszła po nich zanim przebrzmiał głęboki ton, do złudzenia przypominający dźwięk, jaki mógłby wydać spadający na ziemię dzwon z brązu.

Nadchodzę, Baalu – pomyślała. Lepiej nie pytaj, komu bije ten dzwon. Może się okazać, że bije on tobie.

Hol był pusty. Baal zatrudniał kilkunastu ludzi jako strażników, jednak raczej dla dodania kolorytu zamkowej scenerii, niż z rzeczywistej potrzeby. Jeśli nawet wiedzieli o jej wtargnięciu, nie odważyli się wyściubić nosa ze swojej nory.

Pokiwała głową z aprobatą. Widać posiadali nad podziw dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy.

Surowość ceglanej budowli budziła w niej odrazę. Jakby znalazła się w piwnicy. Czy to nie wstyd mieć brata, który przy tych wszystkich możliwościach zdołał wymyślić tylko coś takiego?

Prawdziwa erupcja twórczej inwencji.

Gdzie on jest, ten zakuty łeb?

- Baal! – zawołała. – Nie jestem w nastroju do zabawy w chowanego!

Istniało prawdopodobieństwo, że go nie zastanie. Jednak w przypiływie nieopanowanego gniewu, który kazał jej tu przybyć, nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

Nie odejdzie stąd z kwitkiem.

Z narastającą furią przemierzała korytarze i zaglądała do komnat. Robiła to z taką koncentracją na celu, jakim było znalezienie Baala, że nie dostrzegała ani ich wystroju, ani wyposażenia. Po zamknięciu drzwi nie potrafiłyby powiedzieć, czy była w sypialni, kuchni czy w salonie.

Jak dotąd, nie spotkała nikogo.

Jeśli nie ma Baala, to gdzie jest to, po co przyszła? Zabrał to ze sobą?

Chcę to dostać – pomyślała. Teraz. Natychmiast. W końcu, jestem kobietą. Mam prawo do kaprysów.

Ktoś ma, kurwa, jakieś obiekcje?!

Powściągnęła złość. Gdzieś powinien być gabinet Baala. Każde z nich miało coś takiego w swojej siedzibie. Naturalnie, u każdego wyglądało inaczej. Zdaje się, że w Orlim Gnieździe pomieszczenie to nie różniło się wiele od reszty zamku. W każdym razie nie na tyle, by pozostawiło trwałe ślad w jej pamięci.

Poczuła chęć natychmiastowego rozwiązania problemu. Wokół niej koncentrowała się moc, choć nie tak potężna i niemal nieograniczona, z jakiej mogła korzystać w Rozdrożu. Znajdowała się przecież na obcym terenie. Mimo to, wystarczyłoby jej, by zwalić parę ścian i zobaczyć, co się za nimi kryje; bez tego upokarzającego biegania po korytarzach.

Pokusa była silna. Nie obawiała się reakcji gospodarza. A nawet, być może, pragnęła podświadomie ją sprowokować. To by jej dało upragniony pretekst do skopania mu tyłka.

Za przeszłe i przyszłe łajdactwa. Za całokształt.

Lecz przy okazji mogłaby uszkodzić delikatny, precyzyjny przyrząd, jakim był duplikator. Bo że o to chodziło, nie miała wątpliwości. Ślady na czole Kresta wskazywały, że Baal zdjął zapis jego mózgu. W gruncie rzeczy skopiował Zabójcę Bogów, bo czymże jest człowiek, jak nie garścią ładunków elektrycznych błądzących w pajęczynie połączeń nerwowych?

Od bardzo dawna nie słyszała o przypadku użycia duplikatora. Nie miała nawet pojęcia, że Baal nim dysponuje. Musiał być sprytniejszy, niż na to wyglądał.

Nie doceniała go i chyba nie była w tym odosobniona. Trzeba będzie poważnie porozmawiać o tym z Mardukiem.

Ale dopiero, kiedy dostanie to, czego chciała. Po dobroci lub siłą.

Kobieca ostrożność kazała jej mieć nadzieję na to pierwsze. Temperamentowi amazonki w skórzanym kombinezonie lepiej odpowiadałoby to drugie.

Szarpnęła klamkę jakichś drzwi i omal nie zderzyła się z człowiekiem, który w tym samym momencie chciał je otworzyć od wewnątrz. Był niższy od niej, ale krępy i silnie umięśniony. Na brutalnej twarzy odmalowało się zaskoczenie, ale niemal natychmiast wyszczerzył zepsute zęby w obleśnym uśmiechu. Bez słowa wyciągnął rękę.

To był błąd.

Isztar chwyciła go za nią i szarpnęła, wyłamując bark ze stawu. Nieszczęśnik wrzasnął i popełnił kolejny błąd, usiłując dosięgnąć jej drugą ręką. Znów trzask pękających kości i przeraźliwy ryk bólu. Bogini przycisnęła człowieka do ściany.

- Gdzie twój pan? – warknęła. – Gdzie Baal?

- Aaa... - zawodził bełkotliwie tamten. – Aaa...

Isztar dostrzegła w otwartych ustach mężczyzny jakiś czerwony strzęp; coś tam drżało do wtóru zwierzęcego wycia, mięsiste i odrażające.

Ucięty język.

W przypiływie wściekłości uniosła człowieka i cisnęła przez całą szerokość korytarza. Patrzyła jak wali się na podłogę. Zacisnęła pięści. Zdawała sobie sprawę, że zabicie narzędzia to pusty gest. Zastępcze ujście dla jej agresji.

No i co z tego? Bardzo dobrze. Zrobi to ponownie; ile razy będzie trzeba.

Nie wpadła tu na herbatkę.

Poszła dalej, nie obejrzawszy się na zmasakrowane zwłoki. Weszła na piętro po wąskich kręconych schodach. Wszędzie pusto i niewiele śladów czyjejkolwiek obecności. Baal z pewnością nie zaglądał tu zbyt często.

Gdzieś powinny znajdować się pomieszczenia przeznaczone wyłącznie dla niego, takie jak separator. Mogły być jednak ukryte; poza tym, wejście do nich z całą pewnością wymagało znajomości odpowiednich kodów.

Których ona nie znała.

Szukanie po omacku nie miało sensu. Tak samo zresztą jak jej podyktowany wzburzeniem przyjazd tutaj. Ale już za późno na taką refleksję.

Nagle zatrzymała się.

Człowiek, którego zabiła, miał na sobie coś, co powinno było zwrócić jej uwagę. Co to było, u licha? Fartuch. Może kucharski? Nie. Gruby, skórzany. Rzeźniczy?

Wtem zrozumiała.

To był strój roboczy oprawcy. A więc gdzieś tu musiała być izba tortur. Lochy. Ciemnice. Bogowie wiedzą, co jeszcze.

Tego należało się spodziewać w domu sadysty. A gdzie sadysta lubi spędzać czas? Przy swoich zabawkach.

No jasne, prychnęła z pogardą, przeszukiwanie biblioteki nic nie da. Trzeba zajrzeć do katowni. Jeśli gdziekolwiek, to tam najprędzej znajdzie swojego brata.

Wróciła na dół. Obok schodów na piętro znajdowało się zejście do podziemi. Wbrew temu, czego się obawiała, piwnice nie były aż tak bardzo wilgotne, mroczne i cuchnące. Najwyraźniej Pan Burzy chciał stworzyć klimat, ale nie na tyle paskudny, by samemu dostać kataru. Jak by wyglądał Wielki Baal z chusteczką do nosa?

Spośród kilkorga drzwi, znajdujących się w skąpo oświetlonym korytarzu, jedne były otwarte na oścież.

To zbyt piękne, żeby było prawdziwe – przemknęło jej.

Ale jej nie powstrzymało.

Obcasy wysokich butów stuknęły głośno, gdy pewnym krokiem zmierzała ku drzwiom. Ktokolwiek był w środku, miał czas, by się przygotować.

Rzecz jasna, ta myśl nie powstrzymała jej również.

Wysoka sala była mroczna i ponura, wypełniona odorem krwawego potu, śmierci i spalenizny. Ochlapane krwią ściany łączyły się górą w łukowate sklepienie okopcone dymem. Wszędzie stały, wisiały bądź leżały przerażające konstrukcje, urządzenia i narzędzia o nietrudnym do rozszyfrowania przeznaczeniu.

Nie wyglądały na dekoracje.

Pośród nich stał szczupły, młody człowiek o sympatycznym wyglądzie. Zwrócił ku niej uśmiechniętą twarz.

- Witaj – odezwał się pierwszy, kiedy tylko weszła. - Ciekawa kolekcja, prawda?

Patrzyła na niego niepewnie. Nie miała wątpliwości, że człowiekiem jest tylko zewnątrz. Kim był naprawdę? W eterze byłaby w stanie rozpoznać go natychmiast. W ludzkiej postaci jej możliwości były znacznie ograniczone.

- Nie możesz być Baalem – rzekła. – On nigdy nie wcieliłby się w takie chucherko.

- Fakt – roześmiał się. – Zawsze musiał mieć największe jaja.

- Nie jesteś też Mardukiem. Brakuje mu poczucia humoru.

- Trafna charakterystyka. Niejednokrotnie mówiłem mu: synu, straszny z ciebie sztywniak, ha ha... Nie mam pojęcia, po kim to odziedziczył.

Odetchnęła głęboko.

- Synu? – powtórzyła jak echo.

Już się nie uśmiechał.

- Tak, córko.

Jej serce przebił sopel lodu.

To niemożliwe! – coś krzyknęło w niej, ale nie była aż taką idiotką, by powtórzyć to głośno. Jeśli wyeliminuje się to, co możliwe, prawdą musi być to, co nieprawdopodobne; jak mawiał jeden z popularnych bohaterów literackich dalekiego Albionu.

Źródła potęgi Ana zawsze były tajemnicą, a jego siła posiadała aspekty, których nie rozumieli. Powinni byli o tym pamiętać, kiedy podjęli decyzję o pozbawieniu go władzy.

Ale byli młodzi i zbyt pewni siebie. Zaskoczyli go we troje i tylko dlatego im się udało. Teraz była sama. Nie mogła nic zrobić.

Powoli, przełamując opór mięśni, opadła na kolano i pochyliła głowę.

- Ojciec...

Skrzywił się.

- Wstań, Isztar. Nigdy nie byłaś potulna. Nie jest ci z tym do twarzy.

Podniosła się.

- Tak lepiej. Cieszę się, że tak szybko zaakceptowałaś fakty. Zawsze uważałem, że jesteś najbystrzejsza z waszej trójki. Powinnaś była objąć inny resort; może wtedy traktowałiby cię poważniej.

- Co z nami zrobisz?

- Pytanie nieaktualne, ha ha... W obecnej sytuacji powinno brzmieć: co zrobię z tobą?

- Zabiłeś ich?

- Isztar, na litość boską! Co z tobą, dziewczyno? Czy mam zmienić opinię o twojej inteligencji? Naturalnie, że ich zabiłem. Takie są reguły tej zabawy, którą sami rozpoczęliście.

- Przecież Marduk tylko... - zawahała się. – Myśmy tylko cię uwięzili.

- A zdołalibyście mnie zabić?

Nie odpowiedziała.

- Otóż to – skonstatował. – A teraz dajmy spokój rzeczom oczywistym i zajmijmy się ważniejszymi sprawami. Jeśli się nie mylę, przybyliśmy tu w tym samym celu.

- Szukałam Baala – odparła ostrożnie.

- Czyżby? A przypadkiem nie tego drobiazgu?

Trzymał w dłoni metalową obręcz, zbyt grubą na ozdobę. Na jej wewnętrznej stronie znajdowało się kilka krótkich elektrod przypominających ciernie.

Isztar zrozumiała, że się spóźniła. Baalowi zdołałaby, być może, odebrać duplikator. Anowi nie.

Ale z drugiej strony...

- Nawet o tym nie myśl! – ostrzegł. – Chyba że twoje myśli zawierają słowo: proszę.

Zamarła z otwartymi ustami. Rozbawiło go jej zaskoczenie.

- Mowę ci odjęło, dziecko?

Nie mogła pozbyć się wrażenia absurdalności sytuacji, w której ktoś, wyglądający młodziej od niej, nazywa ją dzieckiem.

- Czy to znaczy, że oddasz mi...?

- O nie! – obruszył się. - Co to, to nie. Żadne: oddasz. Po prostu ci to dam.

- Przepraszam, ojcze, źle się wyraziłam. Ale z tego wynika, że wiesz...

- Wiem - znów nie pozwolił jej dokończyć. - Jasne, że wiem czyje zwłoki zdjęłaś z pala.

Jego niecierpliwość wydawała się nienaturalna. Nie takim go pamiętała. Być może był to skutek długiego przebywania w eterze, gdzie komunikacja jest niemal natychmiastowa. Stąd brak zrozumienia dla werbalnej wymiany informacji. Niewykluczone też, że obserwowała klasyczny efekt wpływu fizjologii na psychę – cechy fizyczne ciała często deformowały zachowanie się tego, kto je nosił.

W innych okolicznościach widok najstarszego z bogów w ciele młodzika mógłby być zabawny. Ale nie dziś.

- Mam wobec niego dług wdzięczności – powiedział. – Zresztą, nieważne. Łap.

Rzucił jej duplikator tak nagle, że zaskoczenieomal jej nie sparaliżowało. Wybuchnął śmiechem, kiedy zdołała chwycić nadspodziewanie ciężką obręcz.

Krew napłynęła jej do twarzy.

- No no, już dobrze, Izis... - zamachał rękoma. – Wybacz staruszkowi te sztubackie żarty. Ale to taka frajda móc znowu cieszyć się ciałem... I to jakim! Posiada znacznie więcej możliwości, niż się śniło poprzedniemu właścicielowi. Zamierzam wykorzystać je wszystkie, ha ha...

Nie słuchała jego paplaniny. Patrzyła na przedmiot, którego zdobycie mogło ją tak wiele kosztować. Wyglądał jak toporny diadem, najważniejsze jednak kryło się w środku. Nie znała się na elektronice. Nikt już nie znał się na t a k i e j elektronice. Stopniowo zapominali wiedzę, jaką ze sobą przynieśli. No, może z wyjątkiem ojca, ale on już dawno zrzucił kostium technokraty. Stracił zainteresowanie dla szkiełka i oka. Przestał popierać kult rozumu.

Wolał wprowadzić kult samego siebie.

Umieli jeszcze korzystać z większości urządzeń, jednak każda awaria mogła okazać się ostatnią. Nie wszystko potrafili naprawić, a zapas części zamiennych nieustannie się kurczył.

Nadejdzie czas, zadumała się, gdy będziemy musieli ponownie wynaleźć koło.

- Naturalnie, dobrze wiesz, że nie ma stuprocentowej pewności, iż to się uda – przestrzegł An. – Przywrócić życie, to jedno, a sprawić, że będzie to takie samo życie jak przedtem, to co innego. Nie spodziewaj się podziękowania.

- Jestem tego świadoma – szepnęła, bardziej do siebie, niż do niego.

Usłyszał jednak.

- Cóż – ruszył ku drzwiom. – Myślę zatem, że powinnaś mu pomóc. Znam twój afekt do ludzi, zwłaszcza płci męskiej, ale pewnie już się domyśliłaś,

że Krest nie jest człowiekiem. W każdym razie, niezupełnie. To może być pierwszy przedstawiciel nowego gatunku – ludzi obdarzonych nieśmiertelną duszą. A ty przecież jesteś egzobiologiem. Powinnaś studiować ten przypadek z tym większą przyjemnością, ha ha...

Śmiech Ojca Bogów, jaki rozbrzmiał w korytarzu, mógłby zbudzić umarłego.

I umarły zbudził się.

Jak nowo narodzony uczył się jeść, chodzić i spuszczać wodę w toalecie. Za sukces należało uznać fakt, że po dwóch tygodniach od zmartwychwstania potrafił już samodzielnie się ubrać. Pod warunkiem jednak, że nie trzeba było niczego wiązać. Odzyskanie tej umiejętności zabrało mu kolejny tydzień.

Pamięć wracała chwiejnym krokiem pijaka wyrzuconego nad ranem z ostatniego baru. Wspomnienia pojawiały się i znikwały bez ładu i składu, jak przynoszone przez wiatr strzępy podartej gazety. Układał je mozolnie, sfrustrowany niemożnością wypełnienia dziur, których liczba przywodziła na myśl helwecki ser.

Aż któregoś dnia przypomniał sobie, że już kiedyś tu był.

Rozdroże Isztar.

Isztar.

To imię usunęło ostatnie blokady. Przypomniał sobie więc także, że już raz stąd uciekł.

Nie na długo, jak widać.

Dziwne, lecz od kiedy wróciła mu świadomość ani razu nie spotkał bogini. Opiekowały się nim jej służące. Mógł poruszać się po pałacu do woli, jednak jego ścieżki nie krzyżowały się ze ścieżkami Isztar. Akceptował to. Miała prawo czuć się urażona. W gruncie rzeczy było zdumiewające, że po tym wszystkim znów ratowała mu skórę.

Nie, to nie tak. Nie uratowała go. Umarł na wzgórzu zwanym Królewską Czaszką.

Świadomość tego nie była przykra. Zapamiętał śmierć nie jako doznanie, lecz jako koniec wszelkich doznań. Nie trząśił się z przerażenia na myśl o tej chwili. Nie trapiły go koszmary; nie budził się spocony w skotłowanej pościeli.

Nawet wspomnienie kaźni wyblakło; może dlatego, że trwała tak długo i przez większość tego czasu niczego nie odczuwał.

A może po prostu nie był zdolny do uczuć wyższych? Nawet w życiu po życiu?

Tak zapewne sądziła Isztar. Nic dziwnego; po tym, co jej zrobił.

Zatem fakt, że przywróciła go światu – w jaki sposób, próżno by się zastanawiać – to jedno, a fakt jej nieobecności – to drugie. Oba fakty mogły zaistnieć niezależnie od siebie; była przecież kobietą, a kobiety potrafiły godzić takie sprzeczności.

Za jednym zamachem wskrzesić i odtrącić – czy może być coś bardziej kobiecego?

Niekiedy myślał o Mursilisie. Krewki Nesyjczyk wplątał się w coś, co go nie dotyczyło i co go przerastało, lecz wytrwał do końca. Nie o każdym człowieku dałoby się to powiedzieć. Co też tam krzyczał nim umarł?

„Pomścij mnie, Demonie z Rapierem!”.

Krest uśmiechnął się gorzko. Nie zrobił tego i raczej już nie zrobi. Obaj ponieśli klęskę. Byłoby naiwnością oczekiwać, że Isztar odebrała go śmierci wyłącznie z własnej inicjatywy. Zapewne za wszystkim stał Marduk, wściekły, że Baal przyspieszył egzekucję. Krest stał się zakładnikiem jakichś rodzinnych sporów.

Lecz, z drugiej strony, póki życia (drugiego życia?) istniała nadzieja.

Krest. Tego imienia używał na określenie samego siebie. Czy miał do tego prawo? Nie mógł być przecież tym samym człowiekiem, który zakończył swą ziemską wędrówkę na nagim wzgórzu u brzegów Eufratu. Śmierć jest ostateczna. Inaczej biegałyby po świecie hordy żywych trupów.

Jak mawiają, tylko dwie rzeczy w życiu człowieka są pewne: śmierć i podatki. Obie mają charakter nieodwracalny. Jak już zapłacisz, nie odzyskasz pieniędzy. Łatwiej byłoby zapewne zmartwychwstać.

Kim zatem był?

A czy musiał być kimś? Czy nie mógł być sobą? Tym sobą, który istniał tu i teraz. Bez żadnych określeń.

Witajcie w klubie Anonimowych Zmartwychwstańców!

Zdawał sobie sprawę, że kwestionowanie własnej tożsamości to rodzaj naiwnego buntu przeciwko tym, którzy najpierw pozbawili go życia, a potem mu je przywrócili. Jak gdyby na złość mamie chciał odmrozić sobie uszy. A przecież czuł, że częścią obu tożsamości – tamtej i obecnej - jest misja, którą sobie narzucił przed laty. Nadal miał coś do zrobienia.

On. Właśnie ten on, który istniał tu i teraz.

Był nawet gotów zgodzić się na określenie Zabójca Bogów. Choć, prawdę mówiąc, Krest brzmiało bardziej anonimowo.

A potem przyszła do niego nocą i tak to się zaczęło, jak mówi refren starej, kiczowatej piosenki.

Cóż, refren, jak to refren, lubi się powtarzać. Ale nie tym razem.

Nie przyszła nocą i nic się nie zaczęło. Przyszła za dnia i nie była sama. Towarzyszył jej szczupły młodzieniec o twarzy skorej do uśmiechu i otchłannie zimnych oczach, które zamieniały uśmiech w pusty grymas.

Krest nigdy wcześniej go nie widział.

Siedział właśnie w gabinecie i wertował jedną z księzek z bogatego księgozbioru Isztar. Traktowała o podróży latyńskiego kupca, o imieniu Markopolus, do cesarstwa C'in.

Odłożył książkę, ale nie wstał, kiedy weszli. Stłumił impuls, by to uczynić. Cokolwiek było kiedyś między nim a Isztar, pozostało po tamtej stronie nicości.

- Witaj, Krest – powiedziała.

- Krest nie żyje – odparł. Nie zamierzał jej niczego ułatwiać. – Nie jestem nim.

- Czyżby? – zacisnęła szczękę.

Nieznajomy położył jej dłoń na ramieniu.

- Zostaw nas samych, Isztar.

To nie była prośba. Krest, z trudem kryjąc zaskoczenie, patrzył jak bogini odwraca się bez słowa i wychodzi.

Robiło się coraz ciekawiej.

- Jestem An – rzucił tamten.

Opadł na krzesło naprzeciw Kresta, ale po chwili zerwał się i zaczął spacerować wzdłuż regałów. Widać było, że nie potrafi usiedzieć na miejscu.

- Pewnie nie kojarzysz tego imienia – machnął ręką. – Nie przejmuj się. Mało kto je pamięta. Ale to się, oczywiście, zmieni... Tak... cieszę się, że mogę wreszcie zobaczyć Zabójcę Bogów na własne – zachichotał – oczy.

Krest nie odwzajemnił uśmiechu.

- Już powiedziałem, że on nie żyje.

Tamten ponownie usiadł.

- Nie tobie o tym decydować, mój chłopcze – założył nogę na nogę i potrząsał nerwowo czubkiem buta.

- Jak mnie nazwałeś?

- Ach, no cóż, wybacz starcowi... Jestem Ojcem Bogów, rozumiesz... Dawne dzieje. Rzekłbym nawet - błędy młodości, ha ha...

Krest patrzył na chłopięcą, ledwie co dojrzałą twarz. Zdawał sobie sprawę, że nie ma do czynienia z człowiekiem, jednak wzrok to potężny zmysł; do tego stopnia, że umysł gotów był raczej przyjąć za rzeczywistość to, co rejestrowały oczy, niż to, na co wskazywał rozum.

- Ojcem Bogów? – mruknął z mimowolnym powątpiewaniem. - Sądziłem, że to tylko mit. Kosmogonia i te rzeczy...

- Jak widać, w każdym micie tkwi ziarenko prawdy, ha ha...

- A więc jesteś ojcem Marduka? Najwyższy poskarżył się tatusiowi?

- Najwyższy? Tak kazał się nazywać? Co za skromność... Ale mylisz się co do mojej roli. Jestem ostatnią, hm... osobą, którą Marduk wezwałby na pomoc. Prędzej zostałby ateistą, ha ha...

- Co więc tu robisz? Isztar cię zaprosiła?

- A skąd. Ta mała dziwka to typowa baba. Jak już coś zrobi, nawet wbrew sobie, jest bardziej konsekwentna od samej śmierci. Nigdy nie zmieni zdania. Wróciłem wbrew nim wszystkim. Przejmuję rodzinny interes. A ty mi w tym pomogłeś, za co chciałbym ci podziękować. I powiedzieć, kim jesteś.

- Wiem, kim n i e jestem.

An zerwał się z krzesła.

- Posłuchaj, Krest. Bądź sobie kim chcesz. Możesz nawet zostać kominiarzem. Podobno to marzenie wielu chłopców. Ale niech ci się nie zdaje, że będziesz człowiekiem. Nigdy nim nie byłeś. Jasne?

- Miałem rodziców...

- Tak, tak, a Ziemia jest okrągła... Zlitujcie się, bogowie! Przecież to oczywiste, że miałeś. Tajny agent – zaśmiał się - musi być jak wszyscy.

- Kto?

- Ktoś, kto wypełnia misję. Jak go zwał, tak zwał. Wolisz inne określenie? Może wysłannik? Pomazaniec? Mesjasz?

- Czyim miałbym być wysłannikiem?

- Moim, oczywiście.

- A jaka miałaby być moja misja?

- Miałeś wprowadzić w czyn nowe przykazanie, które wymyśliłem dla ludzi: nie będziesz miał bogów cudzych przede mną. Czyli, rzecz jasna, przede mną, ha ha...

- Nie rozumiem.

- Rany, Krest! Weź się w garść, chłopcze. Przecież to jasne jak słońce! Zamierzałem odzyskać władzę i postanowiłem, że tym razem będzie to jedynowładztwo. Żadnych krewnych i spadkobierców. Żadnych pomniejszych bóstw i demonów. Koniec z politeizmem. Nie mam ochoty ciągle oglądać się za siebie. Ktoś więc musiał zrobić wstępne porządki. Nie byłem w stanie wziąć spraw we własne ręce, ponieważ pozostawałem zamknięty w pewnym miejscu poza światem, gdzie uwięzili mnie Marduk, Baal i Isztar.

- A w jaki sposób ci pomogłem? Zabijając kilka nieśmiertelnych pokrak?

An wybuchnął śmiechem.

- Nieśmiertelnych pokrak, dobre sobie... Ale nie doceniasz się, Zabójco Bogów. Potrzebowałem kogoś, kto zabije Marduka.

- Przecież mi się nie udało.

An patrzył na niego z ironicznym rozbawieniem.

- Marduk nie żyje? – w głosie Kresta po raz pierwszy pojawiła się niepewność.

- Owszem. Zabiłeś go.

Krest parsknął.

- Ten drobiazg jakoś umknął mojej uwadze.

An westchnął teatralnie.

- Tłumaczenie ci wszystkiego robi się nudne... Dobrze, zacznijmy od początku. Baal chciał cię wykorzystać do usunięcia Marduka, ale w tym celu musiałeś najpierw umrzeć. Dlatego Baal cię zdradził, po czym, aby zaskoczyć Marduka, przyspieszył egzekucję. Zanim umarłeś założył ci na głowę urządzenie, duplikator, dzięki któremu skopiował twoją osobowość. Następnie przeniósł ją do mózgu pewnego młodego człowieka, który pracował na Łodzi Milionów Lat. Człowiek ów, o imieniu Amel, nie był niczego świadomy, kiedy

udawał się na pokład Łodzi. Tam pod wpływem uwarunkowania, jakiemu poddał go Baal, ujawniła się twoja podświadomość i Amel pozbawił życia ciało Marduka. Na tym rola Amela miała się skończyć, ponieważ ludzie nie mogą wchodzić do eteru, ale Baal nie wiedział, że ty nie jesteś człowiekiem. Zadbalem o to, byś został wyposażony w tę umiejętność. Dlatego twoja jaźń wzięła górę, wszedłeś do eteru i tam zniszczyłeś cień Marduka. Wówczas upadły zamykające mnie bariery i mogłem się wydostać. Skorzystałem z ciała, które znajdowało się w separatorze Marduka – z ciała Amela, w którym widzisz mnie w tej chwili – i zabiłem Baala. Ty pozostałeś jako zapis prądów w duplikatorze. Pozwoliłem Isztar, by odwróciła procedurę i przeniosła twoją osobowość z duplikatora do ciała, które, oczywiście, zostało wcześniej poddane kapitalnemu remontowi, ha ha... Nie możesz pamiętać niczego, co wydarzyło się po śmierci, jednak to ty zabiłeś Marduka. Wypełniłeś swój życiowy cel. Usunąłeś najważniejszego z bogów.

- Najważniejszego? Tak myślałem kiedyś. Teraz mam wątpliwości.

An zachichotał.

- Najważniejszego z bogów, którzy byli twoimi wrogami. Mnie nie powinieneś zaliczać do tej kategorii. Kocham cię jak syna.

- Nie jestem pewien, czy to lepiej...

- Ha ha... Kto by się spodziewał, że Zabójca Bogów jest kawalarzem?

- Być może nie wszystko zrozumiałem, ale jak to było możliwe, skoro, jak twierdzisz, byłeś uwięziony?

- Gdyby moje dzieci odrobiły lekcje z fizyki wiedziałyby o parowaniu osobliwości. Biedni głupcy, nie sądzili, że mogę w pewnym stopniu nawiązać kontakt z ludźmi, zwłaszcza o dość specyficznej konstrukcji umysłowej. Jeden z twoich towarzyszy kaźni, choć szalony, był moim człowiekiem. Nie udało mu się wprawdzie zabić Nabonida, ale nie to mu było przeznaczone. Miał tylko narobić zamieszania, by ułatwić ci kontakt z Mardukiem. Wypełnił swoją rolę. Zasłużyłby na raj, gdyby coś takiego istniało, ha ha... Ale kto wie, może zasadzę kiedyś parę drzewek..?

- Nie o to mi chodziło. Jak kierowałeś mną?

- Ależ, chłopcze, wcale tobą nie kierowałem! Skąd ten pomysł?

- Stąd, że, jak słyszę, robiłem to, czego po mnie oczekiwałeś.

- No tak, oczywiście, jakżeby inaczej? Lecz nie dlatego, że wywierałem na ciebie jakikolwiek wpływ. Przygotowałem wszystko już dawno temu, kiedy powziąłem obawy przed buntem moich ambitnych pociech. Musiałem się jakoś zabezpieczyć. Rozumiesz, nie wystarczyłaby doraźna ochrona; zresztą, kto miałby chronić Wszechmocnego? Potrzebny był plan długofalowy. Czynniki, który zadziałałby po pewnym czasie i doprowadził do sytuacji, w której mógłbym się uwolnić.

- I to ja stałem się tym czynnikiem?

- Właśnie. Wiedziałem, że dzięki odpowiednim zabiegom na twoich przodkach po wielu pokoleniach przyjdiesz na świat. Oczywiście, ty w sensie

umownym. Nie mogłem przewidzieć, jak będziesz wyglądał i tak dalej. Lecz chodziło przede wszystkim o to, byś posiadał pewne bardzo specyficzne cechy i zdolności. Między innymi umiejętność zabijania tych, których zabić nie można. I tak się stało, jako było zapisane w genach, ha ha...

Krest miał już dość tego nerwowego chichotu i objawów chorobliwej nadpobudliwości. Był zmęczony. Śmiertelnie.

- Czego ode mnie chcesz?

Ojciec Bogów zachnął się.

- Ależ, chłopcze, niczego od ciebie nie chcę! Już nie. Zrobiłeś swoje. Wygraliśmy. Proponuję ci zajęcie pozycji odpowiedniej dla twoich zdolności i zasług. Zostań moim współrzędcą. Usiądź po mojej prawicy, by wyrazić się nieco górnolotnie.

- Jak to się ma do jedynowładztwa, które chcesz zaprowadzić?

- Cóż, moje i twoje kompetencje obejmowałyby, by tak rzec, odmienne sfery działalności. Ciężar reprezentacji urzędu na zewnątrz wziąłbym na siebie...

- Innymi słowy, potrzebujesz kogoś do czarnej roboty? Nie, dziękuję.

An nie wydawał się urażony.

- Rozumiem, co czujesz, ale nie mogłem zapobiec temu, co się stało. Nie mogłem uchronić cię od śmierci. Tak było...

- Zapisane?

- Ha ha... Chciałem powiedzieć, że tak było trzeba... No cóż, trudno. Podejrzywałem, że odmówisz.

- Cieszę się, że cię nie zawiodłem. Ale, mimo to, mam prośbę.

- Tak?

- Nie rób krzywdy Isztar.

- Dlaczego miałbym zrobić jej krzywdę?

- Pomagała braciom. Ich już się pozbyłeś. No i ta cała gadanina o jedynowładztwie...

- Zapewniam cię, że nie zamierzałem wyciągać w stosunku do niej daleko idących konsekwencji. Nic jej nie grozi. Ot, jedynie będzie musiała zrezygnować ze statusu osoby publicznej. Ten rodzaj kultu już nie będzie potrzebny. Ale o reformach religijnych porozmawiamy innym razem.

An wstał.

- Czy jestem wolny? – zapytał Krest.

- Ależ oczywiście! Nie powiedziałem tego? Naturalnie, że jesteś wolny. Wszystkie swoje rzeczy otrzymasz z powrotem. Może kiedyś przyjmiesz moją propozycję.

Krest pominął tę uwagę milczeniem. Zamiast tego wydusił z siebie:

- Kim jestem?

- Cóż... - An zawahał się. - Długo by dyskutować o znaczeniu pierwiastka boskiego w twoich genach i o tym, który jest ważniejszy – boski czy ludzki. W pewnym sensie można cię uznać za mojego syna. Koloru oczu wprowadzie po

mnie nie odziedziczyłeś, ha ha..., ale coś znacznie ważniejszego – umiejętność odsyłania w nicość nieśmiertelnych. Jesteś więc wyjątkową istotą, Krest. Jedyną o tak dwoistej naturze. Jesteś człowiekiem, posiadającym cień, co dotychczas stanowiło sprzeczność samą w sobie. Mówiąc inaczej, masz duszę. Co z nią zrobisz teraz, skoro odmawiasz współpracy ze mną, to już tylko twoja sprawa.

Machnął ręką i ruszył ku drzwiom. Sprawiał wrażenie, jakby myślami już dawno był gdzie indziej.

- Poczekaj – rzucił za nim Krest. – A kim wy jesteście?

An zatrzymał się.

- My? Hm... Cóż, może powinienem ci powiedzieć... - zawrócił i ponownie usiadł przed Krestem. - Wolisz wersję kanoniczną czy niekanoniczną?

- Prawdziwą.

- Ha ha... trafny wybór. Ale nie wiem, czy mądry. Czasami wiedza jest przekleństwem. Dobrze więc... Dawno, bardzo dawno temu dwanaście istot przybyło na tę planetę... z innej, odległej planety. Istoty te potrafiły pokonywać przestrzeń i czas, dzięki temu, że umiały wyzbyć się swoich fizycznych ciał. Ich jaźnie, osobowości, dusze, cienie, czy jakkolwiek to nazwiesz, przebywały w urządzeniach, które znasz jako separatory. Stamtąd zawiadywały wszystkimi systemami statku, który je wiozł. Podróż trwała wiele eonów, bowiem odległości we wszechświecie są ogromne. Była to podróż w jedną stronę, ponieważ na macierzystej planecie upłynęło tyle czasu, że powrót nie miałby sensu. Zatem istoty te zostały na Ziemi. Istniało tu bujne życie roślinne i zwierzęce, ale nie wykształcił się jeszcze miejscowy gatunek istot rozumnych. Największe szanse po temu posiadały stworzenia dwunożne, wyposażone w dość zręczne dłonie i o stosunkowo dużych mózgach. Aż się prosiło, by przyspieszyć ich ewolucję. I tak, po wielu eksperymentach, porażkach i sukcesach powstałi ludzie. Dzięki temu mogliśmy zagospodarować planetę szybciej, niż za pomocą urządzeń mechanicznych. Szczególna przydatność ludzi ujawniła się w odniesieniu do prac związanych z uprawą ziemi i wydobywaniem surowców. Zwłaszcza z rolnictwem maszyny nie radziły sobie zbyt dobrze. W ten sposób narodziła się cywilizacja. A my, hm..., jesteśmy tu nadal. Czuwamy nad całokształtem. Nazwaliście nas bogami. Cóż... Określenie jak każde inne, ha ha...

Poderwał się raptownie.

- I co? Jak ci się podoba ta wersja?

- Jest tak nieprawdopodobna, że może być prawdziwa.

- Ha ha, szybko się uczysz, Krest. Jeszcze będą z ciebie ludzie, ha ha... A teraz, jeśli pozwolisz... - ruszył do wyjścia. - Mam sporo do zrobienia.

Krest wstał również.

- A jest prawdziwa? – zawołał.

An zaśmiał się.

- Nawet jeśli nie, to musisz przyznać, że została dobrze wymyślona, ha ha...

W drzwiach odwrócił się jeszcze.

- Zakładam, że dobrze się zrozumieliśmy, chłopcze? – lekki ton gdzieś zniknął. - Twoja misja została zakończona. Będziesz o tym pamiętał, prawda?

Lecz nie doczekał się odpowiedzi.

Robotnicy trudziли się przez tydzień, by rozebrać fragment muru. Musieli robić to ręcznie, bowiem nie istniały maszyny na tyle potężne, by rozbić legendarne mury Babilonu. Z drugiej strony, nie wystarczyło dokonać prostej rozbiórki. Należało uczynić to w taki sposób, by mur wyglądał na zburzony w wyniku działań wojennych.

Zdobywca chciał wjechać do miasta przez wyrwę w murze, a nie przez plac robót budowlanych.

Wielu Babilończyków sarkano na to życzenie, choć oczywiście po cichu. Kurusz nie był, ich zdaniem, żadnym zdobywcą. Nowy Pan Bogów i Ludzi, An, powołał go na tron Babilonu, usuwając stamtąd Nabonida, ale był to raczej przewrót pałacowy, niż podbój. Babilon pozostał niezdobyty, jak przez tysiąc poprzednich lat.

I tysiąc następnych – dodawali patrioci oraz udający ich oportuniści.

Użycie prochu niewątpliwie ułatwiłoby sprawę, lecz ze względów rytualnych nie wchodziło w rachubę. Kurusz Wielki, ani żaden ze szlachetnych jeźdźców perskich nie skierowałiby koni w miejsce splugawione tym nowomodnym, barbarzyńskim i cuchnącym wynalazkiem.

Arses, który z uwagi na swoje zasługi jechał w orszaku Kurusza, aż się wzdrygnął na myśl o tym. Broń palna nie była godna prawdziwego mężczyzny. Dlatego w nowej armii Wielkiej Persji, której stolicą będzie Babilon, posługiwać się nią będą jedynie cudzoziemcy.

No bo przecież ktoś musiał.

Stolica świata witała ich z radością cokolwiek sztucznie podsycaną. Arses nie dałby złamanego grosza za szczerotę wznoszonych okrzyków i za świeżość kwiatów rzucanych pod kopyta koni. Podobno w Dolnym Mieście już teraz dochodziło do skrytobójstw na perskich żandarmach, a ciała znajdowano bez głów i oręża.

Jednak Arses wierzył, że w przeciwieństwie do gnuśnych potomków Hammurabiego, Kurusz rozprawi się z Protektorem, tym tajemniczym człowiekiem w srebrnej masce. Pracował już nad tym nowy szef reformującej się imperialnej służby bezpieczeństwa... Huwer. Arses z podziwem pokręcił głową – osławiony dyrektor Agencji Ładu i Pomyślności naprawdę musiał być niezatapialny.

Ciekawe, co miał na sprzedaż, kiedy stanął przed Anem? Zapewne dużo, skoro zdołał kupić swoją dotychczasową posiadłość, a nie tylko życie.

W odróżnieniu od zdecydowanej większości Persów, Arses znał nieco Przedpiekle. Kilkakrotnie spotykał się tam z Jeredem. A swoją drogą, wątpliwości co do szans powodzenia zamachu na króla okazały się uzasadnione.

Spiskowcy Jereda nie zabili Nabonida, który dopiero dziś, zdjęty z tronu, uwięziony i osądzony w trybie doraźnym, bez możliwości złożenia apelacji, miał dać głowę pod topór.

Ale zarazem, paradoksalnie, Habirczykom się powiodło. Oto przecież ich An powrócił w chwale. Czyż nie o to chodziło? Tyle że jednocześnie przestał być tylko ich.

Arses uśmiechnął się ironicznie. Chciałby zobaczyć minę Jereda, odkrywającego, że jego bóg należy teraz do wszystkich.

Wielka polityka nigdy nie interesowała Arsesa. Był prostym wojakiem. Jednak i on rozumiał, że w owym pojęciu „wszyscy” mieszczą się obecnie także Persowie. A może nawet do nich An będzie należał bardziej?

Z punktu widzenia boga wszyscy wierni mogą wydawać się równi. Lecz ludzki punkt widzenia zawsze pozwalał dostrzec, że niektórzy są równiejsi.

W końcu, nic nie stało na przeszkodzie, by An nosił także inne imię: Aryman. Teolodzy i językoznawcy z pewnością znajdą jakieś logiczne uzasadnienie.

Król śnił...

Stop.

Nie król, ale były król. I nie śnił, lecz umierał.

Tak czy inaczej, mózg Nabonida w pełni wykorzystał ostatnie sekundy przed śmiercią z niedotlenienia, wywołanego przyczyną tyleż banalną, co ostateczną - oddzieleniem głowy króla od tułowia.

Okrutny demon, tkwiący w każdym człowieku, zafundował zdetronizowanemu monarsze pożegnalny koszmar.

Nabonid spadał. Nie wznosił się, jak we wcześniejszych odcinkach sennego serialu, lecz na odwrót - leciał w dół na łeb, na szyję. Pod sobą widział plac z wysoką ścianą, a na nim tych samych, odprawiających dziwne rytuały ludzi.

Obserwował to wszystko w coraz większym zbliżeniu, jakby był obalonym bogiem, strąconym z nieba na ziemię.

A może ofiarą powietrznej katastrofy?

W wielkim pędzie przelatywał wzdłuż muru, na którym znów zaczęły rysować się płomienne litery, lecz w odwrotnej kolejności, jakby cały sen, niczym czytana w przeciwną stronę opowieść, uległ odwróceniu. Nabonid pojął nagle w przebłysku intuicji, że wreszcie jest to kierunek właściwy. W poprzednich snach bogowie drwili z niego, ukazując mu przyszły upadek jako wywyższenie.

To podobne do tych bezdusznych istot.

Odczytywał machinalnie litery, w miarę jak pojawiały się i znikwały:

K R E S T O S

Poczuł zawód. Tajemnicze słowo nawet w tym kształcie pozostało tajemnicze. W każdym razie, dla niego. Co gorsza, po raz pierwszy w życiu nie będzie miał kogo poprosić o wyjaśnienie. Chyba że demony ciemności, nim rozpoczną walkę o przywilej pożarcia jego potępionej duszy.

Bezskutecznie usiłował spowolnić upadek, jednak zamiast tego przyspieszał. Od wielkiej prędkości ściana zamieniła się w migotliwą smugę, a znaki, utrwalone na siatkówkach oczu, choć dawno już niewidoczne na murze, zaczęły gasnąć:

K R E S T O S

K R E S T O

K R E S T

Wówczas ostatni atom tlenu rozpadł się w mózgu Nabonida i skołatana jaźń króla zgasła także.

- Kiedyś ostrzegałam cię, że bez trudu mogę nie pozwolić ci odejść. Nic się nie zmieniło.

- Ostrzegałaś kogoś innego, Isztar. Tamtego już nie ma.

- Będzie, jeśli ja tak zechcę.

Z zadowoleniem stwierdził, że Wędrowiec ma się doskonale, a nawet, być może, przybył nieco na wadze. Ktokolwiek opiekował się koniem, zasłużył na podziękowanie.

- Nie będzie – odparł, zapinając popręg. – Wiesz, że mam rację. Droczyysz się ze mą, bogini.

- Już nią nie jestem – prychnęła. – Prace rozbiórkowe przy moich świątyniach już się rozpoczęły. Lecz i tak potrafiłabym cię zatrzymać.

- Twój ojciec uznał, że jestem wolny.

- Mój ojciec wykorzystał cię i wyrzucił jak zużyte narzędzie. Twoja wolność nic go nie obchodzi.

- Ale obchodzi ciebie i dlatego pozwolisz mi odejść.

- Nigdy nie mów kobiecie, że wiesz, co robi.

Zgodnie z obietnicą Ana otrzymał z powrotem wszystkie swoje rzeczy. Najbardziej ucieszyło go, że odzyskał Wędrowca, którego trzymano w królewskich stajniach. Jak się dowiedział, uczyniono tak na polecenie Baala. Krest zadumał się nad skomplikowaną naturą tego dziwnego boga i trudną do przeniknięcia grą, jaką prowadził. Czyżby chciał jednak dotrzymać umowy i zwrócić Krestowi życie po pozbyciu się Marduka? Skoro udało się to Isztar, to dlaczego nie miałyby się udać Baalowi?

Było to już jednak bez znaczenia. Obaj bracia nie żyli, a ich ojciec wprowadzał nowe porządki. Pozbawienie tronu i egzekucja Nabonida były tylko wstępem do całkowitej zmiany ekipy rządzącej. An już wcześniej porozumiał się z Persami i teraz Kurusz nosił na głowie tiarę Hammurabiego, każąc nazywać się Wielkim, a Persowie zajmowali miejsce Chaldejczyków jako nowa elita polityczna.

W ten prosty sposób uniknięto wyniszczającej wojny i przewietrzono skostniałe struktury władzy.

Dotychczasowi bogowie mieli być zapomniani w trybie administracyjnym, a jedyną świątynią, jaką zamierzano pozostawić w Babilonie, Esagilę, przerabiano już na Anteon.

Kresta niewiele to obchodziło.

Pierwsza rozmowa z Isztar po spotkaniu z Anem nie należała do najprzyjemniejszych. Choć nie czuł się odpowiedzialny za to, co zaszło między nią a tamtym Krestem, zawdzięczał jej życie, a to wystarczyło, by wzniecić w

nim bunt przeciwko niechcianym zobowiązaniom. Odpłaciła mu złościwością, ponieważ najwyraźniej uważała, że to on jest tamtym Krestem.

Mimo buńczucznych deklaracji nie mogła jednak uniemożliwić mu wyjazdu. Oboje wiedzieli, że się na to nie odważy.

To również nie ułatwiało porozumienia.

Lecz kiedy nadszedł ten dzień, sama zaoferowała mu miejsce w swojej latającej maszynie. Jako upadła bogini nie mogła wylądować ani w samym Babilonie, ani nawet w pobliżu, ale wcale tego nie pragnął. Nie pozostawił w tym mieście niczego, z czym chciałby się pożegnać. Wędrowiec już czekał na niego na łagodnych wzgórzach, skrywających ruiny starożytnych miast.

Zwietrzała skorupa rozbitego naczynia pękła pod jego butem, kiedy wskakiwał na siodło. Zabrzęczał rapier.

- Dokąd pojedziesz? – zapytała.

- Przed siebie.

- Uważaj – zakpiła. – Ziemia jest okrągła, więc możesz wrócić do punktu wyjścia.

- Będę o tym pamiętał.

Chwilę patrzyli na siebie w ciszy. Wiele niewypowiedzianych słów narodziło się i rozpadło zanim oderwał od niej spojrzenie.

- Żegnaj, Isztar.

Nie czekając na odpowiedź spiął konia. Oddalał się, a ona wciąż milczała.

Poczuł żal i złość, że go odczuwa.

A potem usłyszał jej głos.

- Obejrzyj się, Krest! – zawołała. - Co zostawiasz za sobą? Zamiast kilku potworów – jednego, ale za to stokroć gorszego. Czy taka była twoja misja?

Nie obejrzał się. Nie musiał. Przed sobą widział to samo.

